

# Ostatni ork

De Mari Silvana



calibre 0.9.27

przełożyła Anna Filip



Silvana De Mari

ostatni ork

**księga trzecia**

ostatni

**ORKEj**, Kapitanie - powiedział mu raz Lisentrail. - Wiedziałeś, że dzieciom królów każą spać w samotności, w ciemnym pokoju, bez nikogo, kto opowiedziałby im jakąś historię albo coś zaśpiewał na dobranoc? To od tego robi im się paskudny charakter, i potem, jak już są dorosłe, oddają ludzi w ręce kata.

I

J

una miała szczęście. Dotarliśmy do tego, co wcześniej tworzyło stos pogrzebowy Yorsha, orkowie

musieli i podjąć decyzje o rozbiciu obozu.

Usłyszała ich wrzaski i zorientowała się, że jej nie ścigają. Jechała całą noc i cały dzień. Stawała przy strumykach, aby się napić. Ogołociła drzewa z wiśni, a z opuszczonych gospodarstw zabrała marchewki i suszone jabłka.

Zatrzymywała się jedynie po to, by Enstriil nie padł z wycieńczenia. Często drzemała, wycieńczona, zapadając w krótki, koszmary sen, z którego budziła się z pełnym cierpienia szlochem. Przed nią siedziała Erbrow, milcząca i jakby otulona snem, oraz Jastrin, który płakał jeszcze przez pół

nocy i robiłby to nadal, gdyby Juna, sina ze złości, nie kazała mu przestać.

Kiedy się uspokoił, znów zaczął swój monolog. Wtedy Juna zatęskniła za jego szlochem. Chłopiec znał przepowiednię Ardu-ina: stanowiła ona część jego fragmentarycznych, aczkolwiek godnych uwagi, wiadomości z zakresu historii. Jak tylko oczy mu obeschły, począł wypytywać Junę, czy to prawda, że ona, tak jak jej przodek, umiała patrzeć w przyszłość?

Druga połowa nocy była nieprzerwanym ciągiem peanów na cześć jej jasnowidztwa.

- ...to wielkie szczęście, znać przyszłość. Nigdy nie masz wątpliwości, co robić, co powiedzieć. Nie tak jak my, maluczcy... tobie wcale się nie zdarza nie znać biegu wydarzeń! Wszystko jest

w twojej głowie. Wystarczy, że zamkniesz oczy i już. Wszystko jest takie łatwe... od razu wiadome...

Jastrin był nieustępliwy, łatwo nie odpuszczał. Kiedy już znalazł jakiś temat do rozmowy, mógł tak mówić od pierwszych gwiazd wczesnego zmierzchu do brzasku, a potem od nowa, od brzasku po zmierzch, robiąc przerwy tylko na oddech.

Juna starała się zebrać myśli, lecz głos chłopca monotonicznie dzwonił jej w uszach.

Znienawidziła go i przeklęła w myślach. Nie była to jednak nienawiść prawdziwa, jaką czuła do wrogów, lecz raczej irytacja, z jaką traktuje się zwykłych natrętów.

Tylko zupełny kretyń mógł uważać jej dar za błogosławieństwo. W

rzeczywistości wizje były poszarpane, chaotyczne, nieprzewidywalne, prawie zawsze niezrozumiałe i sprzeczne, czasem wręcz absurdalne.

Chroniły ją i pomagały jej, gdy była dzieckiem, podczas niebezpiecznej ucieczki z Yorshem, ale na ogół ich znaczenie rozszyfrowała dopiero wtedy, gdy było już za późno. Zawsze wydawały jej się raczej bezużyteczne, męczące i przytłaczające, niczym muchy w letnie popołudnie. Kiedy Yorsh wyruszył, by ostatecznie ponieść śmierć, jedyną rzeczą, jaka zajmowała umysł Juny, uniemożliwiająca jej zebranie myśli, było stado biegnących wilków.

Po szoku wywołanym przez jego śmierć, wizje stały się jeszcze bardziej niezrozumiałe i rzadsze, utraciły jakiegokolwiek rozpoznawalne elementy.

Yorsh powtarzał często, że magia elfów topi się w cierpieniu. Coś podobnego musiało przytrafić się i jej: odkąd małżonek zniknął gdzieś w królestwie śmierci, wszystkim, co pozostało w jej głowie, były zamazane cienie, kolorowe plamy, które wzajemnie się przenikały pośród mętnej i ciemnej mgły.

Choć za dnia świeciło słońce, Junie marzła ogolona głowa. Kobieta musiała dopiero przyzwycząić się do braku włosów. Nadal nosiła swoją wspaniałą, misterną koronę, na której pędy bluszczu spletały się ze sobą, a złoto pokrywające złobienia towarzyszy-

szło błękitowi emalii. Korona lśniła swoim własnym blaskiem. Złoty naszyjnik hrabiego Daligar, który Juna nosiła na szyi, na postrzępionych łańcuchach jaśniał słabiej.

Wszędzie spotykali uchodźców z hrabstwa. Nadciągali orkowie. Nie można było już uciec - przejście przez Góry Północy zostało podobno zablokowane.

Zarządcy i armii Daligar nie groziło już niebezpieczeństwo.

Dwór, powiadomiony o zagrożeniu za pomocą ogni sygnalizacyjnych, zaopatrzone w broń i z bagażami, również pospieszył w stronę Alyil, niedostępnego miasta sokoła w Górach Północy.

Pomysł wyruszenia do Daligar wciąż zdawał się Jutrzni absolutnie szalony, ale był też jedynym sensownym. Ogłuszona paplaniną Jastrina i własnym bólem, w dalszym ciągu myślała o podjętej decyzji.

Zmęczenie było tak straszne jak głód, ale żadne z tych doświadczeń nie mogło się równać z rozpaczą, którą czuła. Dzień ciągnął się w nieskończoność. Co jakiś czas Juna coś mówiła, trochę po to, by uspokoić samą siebie, a trochę, by usłyszeć własny głos.

Cały czas powtarzała to samo zdanie: „Będę matką dwojga żywych dzieci”.

Czasem zsiadała z konia i szła pieszo, by dać Enstriilowi odpocząć. Głowy Jastrina i Erbrow kołysały się we śnie, a jej własna chętnie zrobiłaby to samo. Ponieważ Juna miała konia i koronę, na ludziach pozbawionych nadziei musiała zrobić wrażenie przewodniczki. Zdała sobie sprawę, że podążali za nią, bo nie mieli innego wyjścia.

Za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała tylko rozmazane cienie.

Może przyszłość nie została jeszcze zapisana, miała się dopiero rozegrać.

Może po prostu dar jasnovidzenia Juny umarł razem z Yorshem.

Wreszcie wyszła z lasów. Nie odczuwała strachu, czyżby ten również minął, utonawszy w rozpacz? W końcu ujrzała zniechęcone Daligar.

Za jej plecami przybywało ludzi. Potwierdzali oni, że minionej nocy rozbłysły ognie sygnalizacyjne. Wielu je widziało - miasto zostało powiadomione o najeździe orków. Przynajmniej wartownicy trzymali jeszcze straż.

A jednak nie wszystkich ostrzeżono. Inni uciekinierzy mówili o jakimś przeklętym elfie, który po tym, jak rozzłościł orków i podburzył ich przeciw ludziom, miał na dodatek czelność żartować sobie z całej tej sytuacji. Dzięki temu jednak, że o tym mówił, ludzie ci zdołali uciec.

Juna musiała się powstrzymać, żeby nie kłąć. Kusiło ją, by chwycić za miecz i kazać opowiadającym zapłacić krwią za bzdury, które pletli.

Przypomniała sobie o wielkoduszności i szlachetności swego małżonka, który uratował tym wszystkim ludziom życie, wykorzystując ich wrogość w stosunku do jego osoby. Wspomnienie Yorsha wzbudziło w niej rozpacz, ale znów ją od siebie odpędziła, bo teraz musiała walczyć o życie dzieci, a nie dokona tego, jeśli podda się żałobie.

Daligar otaczali zdesperowani ludzie, im bliżej murów miasta, tym lepiej zorganizowani.

Musiały to być różne grupy uciekinierów. Ostatnia z nich wciąż jeszcze znajdowała się w drodze i właśnie się szykowała do rozbicia obozu.

Niczym grzyby po deszczu wyrastały maleńkie schronienia, zbudowane z drewnianych kijków wbitych w ziemię i nakrywanych płaszczem. Były niższe niż człowiek, więc w środku na pewno

poruszano się na czworakach. Wszędzie coś się gotowało na ognisku. Na linach rozciągniętych nad zaimprovizowanymi paleniskami suszyły się rzędy dziecięcych kaftaników.

Najwcześniejsza fala uciekinierów, która dotarła już pod mury, zorganizowała sobie chatki i maleńkie ogródki warzywne, odgro-

zione od siebie rzędami pomidorów, między którymi czasem dreptał jakiś marny kurczak, mimo wszystko na tyle cenny, by miały go na oku zastępy ponurych chłopców uzbrojonych w kije. Juna zapytała o coś do jedzenia kobietę, która piekła mały podpłomyk na płytkiej patelni, poobijanej i brudnej, i poprosiła, by ta dała jej choć odrobinę ze zwykłej litości. Głód był nie do wytrzymania, a ona sama nie miała nic, co mogłaby ofiarować w zamian. Tylko tunikę, w którą była ubrana, brudną i podartą, bo przecież nie nosiła butów. W całym tym nieszczęściu jedynym pocieszeniem było to, że w noc ich uprowadzenia Erbrow poszła spać w tunice i fartuszkę, razem z zabawkami w dużych, haftowanych kieszeniach. Dziewczynkę zabrano bez butów na nóżkach, ale miała na sobie wystarczająco dużo ubrań, by chroniły ją przed zimnem. Prawdziwym błogosławieństwem okazały się także zabawki, bo z szeroko otwartymi oczami, cicha i zdumiona, Erbrow mogła przynajmniej ścisnąć w rękach swoją małą łódkę i lalkę.

Kobieta wstała, uśmiechając się gniewnie. Już sama myśl o tym, że ktoś prosił o jej podpłomyk, nie mając nic, co mógłby dać w zamian, była obrazą i kpina.

- A ten naszyjnik ze złota, który nosisz na szyi, moja droga? Nie wiem, komuś go ukradła, ale jak dasz mi jedną klamrę, to możemy podyskutować - powiedziała z pogardą.

Zrozpaczona i niehumanie zmęczona Juna zapomniała zarówno o swoim naszyjniku, jak i koronie. Musiała przyznać, że trudno było pozostać niezauważoną na koniu i z wszystkimi tymi ozdobami, a jednocześnie rościć sobie prawo do statusu żebraka. Teraz było już za późno. Zmusiła się, by ochłonąć i znów zacząć myśleć.

Naszyjnik został wykonany z pojedynczych płytek, połączonych ze sobą.

W rzeczy samej, dałoby się go łatwo rozebrać na części. Kiedy nad tym dumiała, Angkeel, do tej pory drzemiący na kolanach Erbrow, obudził się i poderwał do lotu z ochryplym



krzykiem. Zatoczył powoli koło nad jej głową, a potem usiadł na ramieniu. Juna z powrotem podniosła wzrok na kobietę, lecz ta znikła. I dopiero gdy Juna usłyszała jej głos, zobaczyła jak klęczy przed kopytami Enstriila.

- Moja pani - zawodziła - moja pani, wybaczcie mi. Błagam was. Nie gniewajcie się, jestem tylko biedną kobietą. My, biedni ludzie, nie znamy się. Nie przyjrzałam się wam dobrze. Nie widziałam korony, miecza. Nie widziałam orła. Jesteście z rodu pradawnych królów, czy tak? Przyszliście nas uratować? Zarządca uciekł. Zostaliśmy sami, opuszczeni. Dwór, żołnierze - wszyscy uciekli. Tylko my zostaliśmy, sami wśród orków. Moja pani, te raz już tylko wy... proszę was... moja pani, kim jesteście? Stoicie tu naprawdę czy jesteście zjawą przybyłą z innych czasów?

Juna wpadła w zakłopotanie.

- Nazywam się Jun... - urwała. Nie to miała powiedzieć. - Je stem Jutrznia, dziedziczka Arduina - zdołała wykrztusić. Potem głód wziął górę nad wszystkim. - Podpłomyk... - wymamrotała.

Kobieta pospieszyła, by wręczyć jej jeszcze gorący placek, a potem odeszła, kłaniając się wiele razy. Jastrin wyjaśnił szybko szeptem:

- Starożytni królowie stoją w pradawnym pałacu Daligar. Co?

Nie, nie oni naprawdę, tylko ich posągi. Yorsh tak mówi, chcia łem powiedzieć: tak mówił, kiedy jeszcze żył. Wiesz, starożytni królowie mieli ogolone głowy pod koronami. Żyli w czasach trochę, jak opowiadał Yorsh, ciemnych, surowych, moim zda niem ci królowie to banda prostaków, wieśniaków i pastuchów, którzy wkładali sobie korony na głowy, kiedy należało walczyć.

A jednak byli to dzielni ludzie, dzielni wojownicy i dzielni królowie. Wtedy nie umiano jeszcze dobrze wytwarzać czegokolwiek, zwłaszcza hełmów. Spiny przyłbic były tak ostre, że włosy się w nie wplątywały. Kiedy ktoś szedł na wojnę, golili mu głowę na łyso. To był znak, że należało walczyć. Wiesz, z tą koroną na ogolonej głowie prawdopodobnie przypominasz **14**

posągi pradawnych królów. Do tego masz jeszcze Angkeela. A właśnie tym, co odróżniało królów od pozostałych wojowników, był orzeł. Każdy król miał orła, one też muszą być na posągach. Angkeel nadaje ci odpowiedni wygląd. Szkoda, że nie mamy też jakiegoś wilka. Arduin miał

jednego. Wiem te wszystkie rzeczy od Yorsha. To niesamowite, ile on wiedział i jak wspaniale potrafił opowiadać. Och, przepraszam, zapomniałem, że prosiłaś, bym nie wymawiał jego imienia.

Dla Juny dźwięk imienia Yorsha był niczym cios sztyletem, ale zdołała powstrzymać się przed uciszeniem chłopca. Musiała stać się harda, jeśli chciała, by dzieci Yorsha żyły. Musiała uczynić swe serce twardszym niż diament, bardziej wytrzymałym niż stal.

Przez chwilę podrzucała podpłomyk w dłoniach i dmuchała, by go ostudzić, a potem podzieliła się nim z jastrinem i Erbrow. Zbliżyły się do niej jakieś obdartusy i mówiąc nieśmiało, trochę bezładnie,

opowiedziały jej o tym, że prawie cały dwór, ostrzeżony przez ognie i kto wie, może też powiadomiony przez jakiegoś posłańca Zarządcy, wyruszył dzień wcześniej w kierunku Alyil, miasta sokoła, w Górach Północy.

•Pojechali sobie, wiecie, pani, wszyscy. Pani, a wy kim jesteście?

Przybyliście nam pomóc?

•Pani, bez obrazy, dziwni jesteście, i to nawet bardzo, ale tutaj naprawdę nie pozostał nikt inny. Czy dowódcą miasta jesteście teraz wy?

•Pani, nie opuszczajcie nas, na dusze waszych zmarłych i naszych.

Większość żołnierzy odeszła z miasta, zabrali ze sobą konie i nosze.

•Zostali tylko żołnierze przy bramach i ci na murach.

•A my, kto nas teraz obroni?

•Daligar jest puste...

•Bezbronne...

•Opuszczone. Zostawili miasto samemu sobie. Pani, tu zostały tylko mury i wy. Jesteście wojowniczką? Możecie coś zrobić?



•Pani, wybaczcie, możecie kazać i nas wpuścić do miasta, bo jak się zjawią orkowie, to tak czy inaczej, po drugiej stronie murów będzie nam lepiej...

•Pani, na dusze waszych zmarłych i naszych...

Z ustami pełnymi podpłomyka Juna zbliżyła się do fosy, w której stała mulista woda. Była zielonkawa, pokryta gęstą warstwą alg, które upodabniały ją do łąki. Sięgała wysoko. Mogła zatrzymać armię nieprzyjaciela. Monumentalny most zwodzony był opuszczony i Juna przeszła na drugą stronę.

Brama miasta była zamknięta ogromną kratą, spuszczaną z góry przez grupę żołnierzy za pomocą systemu lin na wielkim kołowrocie.

Juna spojrzała na żołnierzy, a oni na nią.

Pomyślała, że jeśli poprosi ich wystarczająco grzecznie, jeśli ubłaga, to może nawet ich przekona, by pozwolili jej wejść, i przynajmniej przez jedną noc Erbrow będzie bezpieczna.

Gdy szukała właściwych słów, błędnym wzrokiem ogarnęła pozostałych uciekinierów: były wśród nich chmary obdartych dzieci, gromady zrozpaczonych matek. Patrzyła na tę cierpiącą rzeszę i zastanawiała się, jakimi słowami wzbudzić litość żołnierzy.

Przełknęła podpłomyk, zsiadła z konia, uniosła dumnie głowę, położyła jedną dłoń na rękojeści miecza, a drugą na kracie. Po ozdobach na zbrojach spróbowała się zorientować, kto jest dowódcą, i zwróciła się do niego:

- Jestem Jutrznia, dziedziczka Arduina. Wręczono mi insygnia miasta. Podnieście kratę.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Za plecami Juny zebrał się mały tłum uciekinierów.

Desperacja musiała ogarnąć również żołnierzy. Imię Arduina rozbrzmiało niczym dźwięk rogu. Głowy się podniosły, spojrzenia ożywiły. Juna znów nabrała odwagi i powiedziała to, co należało. Teraz, gdy przywódcy, w których wierzono, odeszli, ludzie potrzebowali tylko wodza i iskry nadziei. Lata szkolenia do po-

śluszeństwa, najbardziej ślepego z możliwych, lata tolerancji dla okrucieństwa, najbardziej niecnego z istniejących, odebrały Dali-gar resztki jakiegokolwiek inteligencji i odwagi. Głupota i tchórzostwo rządziły tu niepodzielnie.

Mieszkańcy bez dowódcy, który powiedziałby im, co robić, gotowi byli tam pozostać i najzwyczajniej w świecie dać się wymordować.

Nie przyjęli do środka uciekinierów i nie podnieśli zwodzonego mostu.

Musiał istnieć jakiś rozkaz, którego nikt nie śmiał złamać, bojąc się przerażających kar, za pomocą których Zarządca likwidował jakąkolwiek formę niesubordynacji, i żołnierze gotowi byli z tego powodu umrzeć, nie próbując nawet stawiać oporu.

- Hm - zaczął z trudem dowódca żołnierzy. - Jutrzno... to znaczy... pani...

Ja... To nie moja wina... Widzicie... Nie mamy kluczy do miasta... Trzeba iść i poprosić o nie Marszałka Dworu... Nie można o nie prosić, nie będąc upoważnionym...

Juna pomyślała, że to wszystko na nic.

Mogłoby jej się udać, gdyby wzięła ich z zaskoczenia, ze swoją koroną na głowie, ze złotymi insygniami na szyi, z imieniem Arduina na ustach i wspaniałym biało-niebieskim orłem siedzącym na jej ramieniu.

Tymczasem oni tkwili po uszy w regulaminie.

Zbyt wiele czasu potrzeba było, by zdobyć klucze, uprawnienia, prosić o nie, czekać na decyzję o tym, czy można ich użyć.

Magiczna chwila przeminie szybko. Emocje opadną. Górę weźmie posłuszeństwo. Lada moment ktoś odgadnie, że Jutrznia to to samo co Juna, i przypomni sobie, że wisi nad nią kara śmierci.

Erbrow wraz z Jastrinem pozostała na grzbiecie Enstriila. Dziewczynka była dokładnie na wysokości ogromnej zasuwy z kutej stali. Położyła na niej swoją maleńką, pulchną dłoń, która nie miałyby nawet siły unieść klucza.



i rzędy pomidorów, po czym zatrzymała się bezładnie tuż przed fosą.

Z hord orków oblegających miasto uniosły się straszliwe okrzyki, którym odpowiedziały przekleństwa na murach.

•Pani, most zwodzony na północnej stronie wciąż jeszcze jest opuszczony - obwieścił jej jeden z halabardników. - Aby do niego dotrzeć, orkowie muszą przebyć koryto Dogonu. Jest jeszcze drewniany most pół mili stąd. Ten też mamy podnieść?

•Oczywiście - odparła Juna. - Jak tylko wpuścicie do środka wszystkich koczujących w pobliżu.

Znowu zdziwiła się, że nawet dla tak oczywistej czynności konieczne było upoważnienie albo przyzwolenie kompletnie obcej osoby, która zjawiała się ni stąd, ni zowąd i ogłosiła się dowódcą.

Została uwięziona w mieście, gdzie jeszcze chwilę wcześniej chciano ją powiesić, w mieście, gdzie tchórzostwo obrońców dało się porównać jedynie do okrucieństwa i odwagi oblegających.

Modły dziękczynne podniosły się znad rzeszy uciekinierów, teraz zgromadzonych wokół studni na dolnym placu, tuż za wejściem do miasta.

Arduin przysłał jakąś dziwną istotę, która ich ocaliła.

W tym momencie Angkeel zdecydował, że dość już ma swego królewskiego bezruchu i rzucił się na tłustego kurczaka pozostawionego bez nadzoru. W końcu i tak królewska władza nowej Królowej została oficjalnie uznana i nic już nie mogło mu zagrozić.

# D

owódca strażników Wielkiej Bramy odprowadził Junę aż do pałacu Zarządcy, który był kiedyś siedzibą królów. Zdążyła już trochę poznać tę budowlę, bo w jej podziemiach została uwięziona jako dziecko - Yorsh przybył wówczas, by ją uwolnić.

Pałac był cudaczny, dziwnie koślawy i asymetryczny, z nielicznymi, rzadko rozmieszczonymi oknami. Jutrznia przemierzyła okazałe, puste sale, surowe i głuche korytarze, proste i niezamieszkałe komnaty, piękny ogród pełen kwiatów i wreszcie szerokimi schodami, całymi w kwiatach glicynii, weszła do pomieszczenia, które dowódca żołnierzy nazwał Wielką Salą Starego Tronu. Z trzech stron zamykały ją ściany, a z czwartej - otwierała się na długi taras, gdzie w równych odstępach stały ogromne kamienne posągi królów Daligar. Wszyscy trzymali w ręku miecze. Ci najdawniejsi nosili korony na ogolonych głowach, a dwaj na początku szeregu, pierwsi królowie Daligar, mieli na ramieniu orła. Sala i balkon znajdowały się na pierwszym piętrze, nad dziedzińcem, zupełnie innym niż reszta tego dziwnego i nieprzystępnego miejsca, otoczonym krużgankami, gdzie poskręcane kolumny podtrzymywały wspinające się do góry schodkowe łuki. - Druga dynastia runiczna - wyjaśnił Jastrin. Żołnierz przedstawił

szczegółową analizę architektoniczną.

- Tam, gdzie są łuki i kolumny, to starożytna część, która hi storią sięga jeszcze czasów dynastii runicznych - wyjaśnił. - Nie wiele po niej pozostało, bo Zarządca kazał wszystko wyburzyć i zbudować od nowa, tak jak jemu się podobało. Z wyjątkiem tego, co zostało tutaj, bo to akurat jest galeria królów, serce Daligar. Ale on i tak chciał to zmienić. To nie jego tron - dodał

żołnierz, wskazując wielkie siedzisko z kamienia, bez żadnych ornamentów. - Ten należał do Arduina. Zarządca urzędował

w Małej Sali Nowego Tronu, tam stał tron należący do niego.

Juna trzymała na ręku Erbrow, która zasnęła, a na ramieniu siedział jej Angkeel, także niezbyt ruchliwy. Jastrin włożył się powoli tuż za nią.

Przemierzając długi balkon z posągami królów, ujrzała dwie postaci idące jej naprzeciw - pierwsze, jakie spotykała w pałacu. Przodem kroczył

wysoki dygnitarz z podłużną twarzą, falującą brodą i długimi, białymi włosami. Miał na sobie okazałe szaty z jasnego brokatu. Za nim podążał

mężczyzna równie stary, ale mały, łysy, z okrągłą twarzą, krótką brodą, ubrany w lnianą szatę przykrytą ciemną tuniką, która mimo swej wykwintności sprawiała wrażenie codziennego stroju.

Znalazłszy się przy nich, Juna stanęła.

- Miasto jest otoczone przez orków i trzeba je ratować - ob wieściła. - Jestem Jutrznia, spadkobierczyni Arduina.

Znów powinszowała sobie w duchu tej mowy, która nie zawierała żadnego fałszywego ani też podważalnego stwierdzenia. Zapadła cisza.

Jako pierwszy odezwał się mały starzec. Mężczyzna cały promieniał i wzruszony powitał ją głębokim, pełnym szacunku ukłonem.

- Pani - odparł - jestem Przełożonym Domu Królów i zaszczytem będzie dla mnie móc wam godnie służyć. Jeśli czegokolwiek będzie wam trzeba, mówcie. Wasza obecność... fakt, że tu przy byliście...  
- zawahał się, szukając właściwych słów. - Nie zostańmy więc sami w naszym nieszczęściu.  
**Spadkobierca Arduina 21**

jest z nami. Wy, pani, stanowicie jedyny promyk słońca pośród ciemności tej strasznej nocy.

Uklon drugiego, wysokiego starca, był o wiele mniej głęboki, w rzeczywistości bardziej przypominał nieznaczące skinienie głową.

-Jestem Marszałkiem Dworu, pani, i nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że nim umrę, przyjdzie mi

jeszcze być świadkiem, jak Daligar oddane zostaje w ręce dowódcy, który nie ma nawet butów. Jakby niewystarczająca była hańba pozostawienia nas samym sobie, na pastwę orków.

Juna zastanawiała się, czy powinna się rozżłościć, czy raczej zachować spokój. Przełożony Domu Królów najwyraźniej zajmował się kuchniami, pilnował, by zamieciono schody, pościelono łoża i wykonano wszystkie prace, dzięki którym pałac nie zamienił się w przystań dla karaluchów, nietoperzy i szczurów. Nie wiedziała dokładnie, kim był Marszałek Dworu i czym się zajmował. Prawdopodobnie to ktoś w rodzaju doradcy. A jeśli dryblas z białą czupryną był pomocnikiem Zarządcy, jest to kolejny dobry powód, by nie mieć z nim nic wspólnego. Poza tym nie wzbudzał jej sympatii.

Tak czy inaczej, nazwał ją przynajmniej „panią”. Pomyślała, że odłoży spór na później - może to nie był najlepszy moment, by osłabiać ich już i tak bardzo nadwątlone siły. Potem zmieniła zdanie. Jutro prawdopodobnie wszyscy już polegną. To była jej pierwsza i ostatnia noc jako dowódcy czegokolwiek. W związku z tym chciała zachowywać się jak prawdziwy król. Znów spróbowała sobie przypomnieć, jak mówili królowie, półbogowie i herosi w dramatach i tragediach, które Yorsh wymyślał, by umilić im długie letnie wieczory na plaży pod skałami. „Powoli”, powtarzał Yorsh podczas prób. „Król zawsze mówi powoli. Nie musi się spieszyć, żeby zabrać rybę znad ognia czy sprawdzić sieci. Królowie nigdy nie robią nic innego oprócz tego, że są królami. Zawsze mają mnóstwo czasu”.



- Daligar nie zginie jutro - odparła, wypowiadając słowa bardzo, bardzo powoli. - Nie mogłabym jednak powiedzieć tego o was. Moja cierpliwość musiała się gdzieś zagubić wraz z butami, a i tak nie było jej za wiele, nawet za najlepszych czasów. Radzę wam o tym pamiętać.

Daligar miało doczekać jutra: to było pierwsze niepewne stwierdzenie, na jakie sobie pozwoliła. Przechodząc natychmiast do bardziej praktycznej kwestii, spytała Przełożonego Domu Królów o miejsce, gdzie mogłaby położyć swoją córkę, byle tylko nie w łóżku Zarządcy. Tamten skłonił się, poprosił ją gestem, by podążyła za nim, i skierował się w głąb pałacu.

Jastrin dreptał tuż za Juną, coraz bardziej zmęczony. Pochód zamykał

sztywny i wyprostowany Marszałek Dworu.

Przed rzeźbionymi drzwiami minęli czterech wartowników robiących wrażenie, ale zupełnie niepotrzebnych, i weszli do pokoju w całości wyłożonego białym jedwabiem, nazywanego Małą Salą Nowego Tronu, gdzie stał fotel z intarsjowanego srebrem drewna, dawniej należący do Zarządcy. Na suknie, którym był obity, wyhaftowano złote stokrotki. Na oparciu wisiał okazały płaszcz z bardzo ciemnego błękitnego aksamitu, z misternym wzorem ze złota i pereł. Wyglądał jak falujące morze lśniące w świetle księżyca. Białe woale tworzyły wokół jakby delikatną muszelkę.

W końcu nowa władczyni została wprowadzona do „jej apartamentów”: był to ciąg wielkich komnat, a w najgłębiej położonej z nich stało ogromne łóże z baldachimem i kominek.

Juna położyła śpiącą Erbrow na łóżku i przykryła ją kołdrą z jasnej wełny, która otuliła dziewczynkę niczym obłoczek. Wtedy Angkeel opuścił jej zmęczone ramię, by usiąść spokojnie obok dziewczynki, która nie budząc się ze snu, objęła go.

Juna pochyliła się, by pocałować swoją córkę w czoło. Najchętniej położyłaby się przy niej i spałaby tak długo, jak tylko się da, ale wiedziała, że wtedy prędzej czy później obudziliby ją orkowie.

- Zostańcie blisko dziewczynki i pilnujcie jej - powiedziała ła godnie do Przełożonego Domu Królów - a wy - zwróciła się oschle do Marszałka Dworu - chodźcie ze mną natychmiast na mury i zobaczymy, czy choć brak mi butów, zdołam ocalić to miasto kretynów, gdzie nawet rozkaz podniesienia mostów mu siałam wydać ja sama.

W drzwiach Juna odwróciła się, by spojrzeć na śpiącą Erbrow.

- Teraz staniemy do walki - powiedziała do Przełożonego Domu Królów. - Ja. Ci, którzy mogą walczyć. Wszyscy. Ale wy nie. Wy zostaniecie tu na straży. Gdybym miała już nie wrócić do tego pokoju, to wy zajmiecie się moją córką i to tak, jakby była waszą własną - dodała, wskazując na Erbrow.

Przełożony Domu Królów skłonił się nisko na znak potwierdzenia.

•Chciałam powiedzieć - ciągnęła Juna, walcząc z odruchem wymiotnym i zawrotem głowy, o które przyprawiały ją te słowa - że jeśli mnie nie uda się wrócić, a orkowie tu dotrą... To znaczy... Jeśli orkowie dotrą do mojej córki... - Zawahała się, a potem zakończyła posepnie: - Nie dajcie jej im wziąć żywej.

•Zrozumiałem, moja pani - odparł tamten.

Droga obrona przez Marszałka, by poprowadzić Junę szybko na mury, wiodła przez niższą część pałacu, czyli pierwszy poziom podziemi. Był to długi szereg małych pomieszczeń, wypełnionych setkami szklanych kul z przezroczystym płynem.

•Co to takiego? - spytała Juna.

•Perfumy - powiedział obojętnie Marszałek.

•Nie wiem, czym są perfumy - odparła władczyni. Nawet Ja-strin wyjątkowo zdawał się nie mieć pojęcia, o co chodzi.

Marszałek westchnął i wznosił oczy do nieba, jakby wzywając bogów na świadków takiego barbarzyństwa.

- Zarządca - wyjaśnił - znalazł sposób przeistaczania nadmia ru owoców i zboża w nawóz do kwiatów przy pałacu Daligar.

- Nadmiaru owoców i zboża? - spytała Juna, sina ze złości.

Wspomnienie nędzy i głodu z jej dwóch lat spędzonych w Domu dla Sierot towarzyszyło w jej pamięci widokowi żołnierzy ciągnących za sobą jej rodziców, którym zarzucono próbę ocalenia zbiorów wioski Astrid. Żołnierze przyszli zarekwirować zapas jako nadmiar i postawili też zarzut podejrzanej przyjaźni z el fem. - Jakiego nadmiaru owoców i zboża? Kiedy czegokolwiek nam zbywało w hrabstwie?

Marszałek dworu nie skomentował tej uwagi, która przerwała jego wypowiedź, znów westchnął i kontynuował.

- Owocami i zbożem nawozi się zwłaszcza bardzo mocno pachnące glicynie. Skomplikowana aparatura destylacyjna przekształca

kwiaty w perfumy: przezroczysty płyn, łatwopalny i oczywiście pachnący, przydatny w walce z szerzącymi się zarazami. Perfumy sprzedawane są wszędzie, nawet poza granicami hrabstwa. Spora część bogactw Zarządcy pochodzi właśnie z owych transakcji.

Fakt, że ludność Daligar latami głodzono, by produkować to bezużyteczne głupekstwo, nie wydawał się ani trochę dziwić czy gorszyć kościstego dworzanina. Sympatia Juny do Marszałka bynajmniej nie wzrosła.

- Łatwopalny? - spytała na koniec. - To znaczy, że się pali? Ale woda nie może się palić!

Kolejne westchnięcie.

•Przezroczysty płyn to nie woda, tylko właśnie perfumy - wyjaśnił

Marszałek. -Jeśli zbliży się go do ognia, zapala się. Co więcej, jeśli jedna butelka wpadnie, tłukąc się przy tym, do kominka, w którym rozpalono ogień, płomień staje się tak gwałtowny, że dochodzi do eksplozji.

•Eks... co? - spytała Juna.

•Eksplozja, pani, to płomień, który rozprzestrzenia się z odgłosem grzmotu.

Po wyjściu z podziemi przecięli szeroki wewnętrzny dziedziniec. Ciągle w towarzystwie Jastrina, Juna wspięła się na wysoki mur i rozejrzała wokoło.

Przed wieczorem miasto było już szczelnie otoczone. Daligar lśniło w ostatnich promieniach słońca zachodzącego za Górami Ciemności, podczas gdy na wschodzie, od strony Varil, niebo wydawało się ciemne niczym stalowa płyta i ciężkie od chmur. Na jego tle mury obronne i Cytadela odcinały się, jakby były całe ze złota. Pod sinym nieboskłonem mewy wisiały nieruchomo, a ich białe skrzydła jaśniały w słońcu. Poniżej murów kar-mazynowe sztandary powiewały w ostatnim blasku dnia. W

wodach Dogonu odbijały się słabe promienie zachodzącego słońca, zamieniając rzekę we wstęgę światła, które lśniło pośród cieni. Dogoń płynął ze wschodu na zachód: z równiny Varil kierował się w stronę Gór Ciemności, dzieląc się na dwie asymetryczne odnogi, które otaczały wyspę, gdzie wznosiło się Daligar, tworząc wokół niej naturalną fosę.

Południowo-wschodni Dogoń był szeroki, spokojny i prawie stał w miejscu, otoczony zaroślami, a ponad nim przebiegał monumentalny most zwodzony, który Juna przemierzyła królewskim krokiem. Północny Dogoń, wąski i kamienisty, płynął z kolei wartko. Most zwodzony północnej bramy był krótki i mały.

Orkowie rozbili już obozy na brzegach rzeki. W odległości około mili od miejsc, w którym ponownie Dogoń płynął jednym korytem, między Daligar a Górami Ciemności, Juna dostrzegła stary most, który umożliwiał

ruch między dwoma brzegami bez konieczności przechodzenia przez miasto. Armia nieprzyjaciela zajęła go i tym sposobem pierścień oblężenia się zamknął. Żołnierze Daligar, pozostawieni sami sobie, nie wykazali nawet najmniejszej inicjatywy i nie wpadli na to, by bez rozkazu spalić ów most.

Jak wyjaśnił Jastrin, drewniany most został osłonięty dachem, zdobionym i pokrytym barwnymi płaskorzeźbami, które przedstawiały zwycięstwa sir Arduina. Tak mówił Yorsh.

Sam dźwięk imienia męża sprawiał jej ból i by je wymówić, Juna musiała naprawdę skupić wszystkie swe myśli na Erbrow i za wszelką cenę pamiętać o synu, którego w sobie nosiła. Zdołała poprosić Jastrina, by powiedział jej zupełnie spokojnie o strategii sir Arduina, by powtórzył

słowo w słowo wszystko to, co on, Yorsh, mówił mu na temat stylu walki zwycięskiego Władcy Światła. Niestety, akurat jeśli chodzi o strategię sir Arduina, monolog Jastrina szybko się skończył, bo chłopak nie wiedział o tym kompletnie nic. Do tego nie doszli. Jedyne, co Yorsh zdążył mu powiedzieć, to dwa zdania, które Arduin zawsze powtarzał: „Będę walczył

tym, co mam" i „Walczę tylko po to, by zwyciężyć".

Juna kazała sobie je powtórzyć, by upewnić się, że naprawdę jedynie w tych dwóch zdaniach zamykała się cała wiedza, jaką wielki przywódca miał do przekazania. Zupełnie nic dla niej nie znaczyły i na nic nie mogły się przydać.

„Walczę tym, co mam".

„Walczę tylko po to, by zwyciężyć".

Zdania te przypominały słowa, które jeden herszt bandy małych łobuzów wypowiada do przywódcy drugiej bandy, zanim zaczną okładać się pięściami na środku ulicy.

Ogniska obozów orków przeplatały się, tworząc nieregularne geometryczne wzory, z dzidami, na których sterczały głowy tych, co nie zdążyli uciec na czas. Żołnierze na murach rozpoznawali i wskazywali te należące do ich towarzyszy broni: do wartowników, którzy odważnie zapalili ogień, by ostrzec, że zbliżają się orkowie, a potem, z braku rozkazów pozwalających im opuścić pozycje, pilnowali już tylko ogni i czekali na pewną śmierć. Odległość była zbyt wielka, by widzieć wszystko dokładnie, lecz Juna wyobraziła sobie oczodoły, w których gałki już zaczynały się rozkładać, pokryte muchami, włosy poplamione krwią, ostatni krzyk zastygły na przeraźliwie wykrzywionych ustach.

Nawet z wysokości murów obronnych czuło się zapach obozujących orków: mieszaninę ekskrementów i zgniłego mięsa, i na-27

wet świeży wiatr, który podtrzymywał skrzydła mew, nie potrafił odpędzić czy osłabić smrodu. Woda Dogonu była już brudna i nie nadawała się do picia. Całemu miastu pozostała jedynie głęboka studnia w pobliżu mostu zwodzonego, w strefie, która najprawdopodobniej padnie jako pierwsza.

Wciąż zgodnie z wyjaśnieniami Jastrina, który o strategiach sir Arduina nie wiedział nic, ale w kwestii zwyczajów orków był prawdziwym autorytetem, noc miała minąć spokojnie. Atak nie zacznie się przed świtem.

Orkowie, jeśli mogli wybierać, a tym razem tak było, unikali walki nocą.

W nocy nie widać pogruchotanych kości. Cierpienie, przerażenie i zgroza na twarzach czekających na

śmierć są niedostrzegalne i dla podsycenia zapалу towarzyszącego atakowi pozostają tylko krzyki oraz jęki konających i rannych. Za dnia świeci słońce i krew na dzidach i toporach odbija jego blask, zwielokrotniając wojenną furię. Rany ukazują się w całej swej okazałości: trzewia wypatroszonych żywcem, krew z poderżniętych gardeł, zgasłe oczy ściętych i te zwęglone spalonych żywcem.

Jedynie w razie bezwzględnej konieczności orkowie mogliby z tego wszystkiego zrezygnować, ale takiej potrzeby nie było.

•Do rana Daligar jest bezpieczne - zapewnił Jastrin. - Jeśli będziemy mieć szczęście, jutro spadnie deszcz i dostaniemy w darze jeszcze jeden dzień życia.

•Gdy pada deszcz, to nie atakują?

•Tylko jeśli bardzo im się spieszy. Nie lubią tego robić.

W tym momencie chmury zaczęły odpływać, gnane gdzieś daleko przez wiatr, który z godziny na godzinę stawał się coraz silniejszy, tak samo jak nadzieja obłączonych na deszcz.

Ostatnia, jedna jedyna noc.

- Orkowie z bagien są dobrymi pływakami i wspinaczami.

Widzisz, tam, w dole? Ten stos rzeczy spiętrzonych jedna na drugiej, które nie wiadomo do czego służą? To łodzie. Używa-28

ją takich lekkich łodzi, zrobionych ze skór i gałęzi. Ciągną je za sobą, gdziekolwiek idą, załadowane na małe wozy z drewna i słomy.

•W takim razie nasza fosa na nic się nie zda?

•Niezupełnie. Nie mogą wszak użyć drabin - odparł Jastrin pocieszająco.

Juna ujrzała łodzie z góry. Każda z nich mogła pomieścić kilku piechurów, a było ich naprawdę bez liku. Sama woda nie powstrzyma orków, miasto potrzebowało jakiejś wojskowej osłony. Niedaleko łodzi orkowie wzniesli wysoki pal, najpewniej posmarowany tłuszczem, który błyszczał w świetle zmierzchu.

- A to? - spytała Jutrznia.

Jastrin potrzebował chwili, by znaleźć odpowiedź.

- To do szkolenia wojowników akrobatów.

Grupa orków wspinała się na pal, trochę jak na słup szczęścia, który Jutrznia widziała raz na jarmarku.

•Widzisz? - powiedział Jastrin. - To wojownicy akrobaci.

•A więc podpływają łodziami, a potem wspinają się na mury?

•Tak, dopóki ktoś z nich nie zdoła opuścić mostów zwodzonych. Wtedy już po nas.

Jutrznia wciąż przyglądała się orkom, którzy wspinali się, a potem schodzili z powrotem, popisując się przy tym całą serią skomplikowanych ruchów, prawie jak w jakimś tańcu. Wyglądało to niczym wyzwanie rzucone śliskiemu palowi i ciężarowi, którego ich ciała wydawały się nie mieć. Juna wpatrywała się zafascynowana, nie mogąc oderwać wzroku od ich akrobacji, dopóki Jastrin nie zwrócił jej uwagi na coś innego.

Za kawalerią i piechotą tuż przed zachodem słońca, ciągnięte przez mnóstwo małych osłów, nadjechały katapulty - wielkie, czarne i straszne.

- Są używane przeciw mostom zwodzonym. Miotają rozżarzone wiązki drewna i oliwę. Nie sądzę, by przeleciały mury i dotarły do dachów domów, ale mosty z pewnością spalą, a bez mostów **29**

zwodzonych pozostaną już tylko kraty uniemożliwiające dostanie się do wewnątrz. Ale kraty, jeśli będzie ich wielu, już sobie podniosą.

Juna poczuła, jak ogarnia ją bezgraniczna rozpacz. Nie było nikogo, kto by mógł dowodzić miastem, a ona nie miała najmniejszego pojęcia, jaka strategia mogłaby zadziałać. Stojąc bez ruchu, patrzyła w dół z wysokości murów. Zbity z tropu ciszą Jastrin oddalił się od Juny, prawdopodobnie w poszukiwaniu jakiegoś bardziej przychylnego i uważnego słuchacza.

Jedynym w miarę rozsądnym planem była kapitulacja, ale - co obszernie wyjaśnił Jastrin - rozsądek nie charakteryzował bynajmniej hord, które ich oblegały.

•Tych, którzy się poddają, mordują w okropny sposób. Ci, co próbowali pertraktować, słono za to zapłacili.

•Zapłacili? Jako to „zapłacili”? Za co mieli zapłacić, skoro się poddali?

•Zapłacili za zniewagę, jakiej się dopuścili, pozbawiając orków przyjemności walki. Orkowie są wściekli, jeśli nie mogą walczyć. To są wojownicy, rozumiesz? Czują się oszukani, kiedy ktoś się poddaje.

Złoszczą się.

•Złoszczą się? - spytała Jutrznia. Nie była pewna, czy dobrze rozumiała. Jastrin próbował starannie dobierać słowa, tak samo jak kiedyś Yorsh, lecz z mizernym skutkiem.

•Złoszczą się - potwierdził.

•A mnie się wydaje, że się złoszczą też wtedy, gdy ktoś usiłuje walczyć albo uciekać!

•To prawda! - przyznał Jastrin zrezygnowany. - Są bardzo drażliwi.



•Czy wiadomo ci coś na temat jakiegoś sposobu, by nie zostać zabitym przez orków?

•Oczywiście, wystarczy wcześniej wymordować się nawzajem. Była kiedyś taka twierdza, gdzie wszyscy się pozabijali. To się wydarzyło jeszcze przed królestwami elfickimi. Jej obrońcy po-30

zbawili się nawzajem życia i kiedy orkowie wdarli się do środka, znaleźli same trupy i nie mogli już nikogo skrzywdzić.

•Kto wie, jak bardzo musieli się wtedy zezłościć - skomentowała Jutrznia. - W końcu są tacy drażliwi!

•Właśnie - odparł Jastrin, nie rozumiawszy sarkazmu. - Ale nic już nie można było zrobić.

Prawdopodobnie nawet największy spośród królów, najpotężniejszy z wojowników, nie wpadłby na inne rozwiązanie niż to, by popełnić zbiorowe samobójstwo przed nadejściem orków; poderżnąć sobie gardło po poderżnięciu go wcześniej dzieciom, by uniknąć o wiele dłuższych i bardziej wymyślnych metod uśmiercania, jakie stosowali orkowie wobec pokonanych.

Pomysł zbiorowego samobójstwa wydał się Junie jedynym możliwym do zrealizowania i długo się nad tym zastanawiała, podczas gdy słońce schowało się za horyzontem i pierwsze gwiazdy zaślniły na zachodzie, na coraz czystszy niebie.

Ale w końcu porzuciła tę myśl, bo byłoby to najzwyklejsze tchórzostwo.

Daligar zginie, walcząc, by opóźnić marsz orków i dać czas wciąż wolnemu światu, aby się uzbroił i kontratakował. Zginą wszyscy, co do ostatniego małego dziecka, co do ostatniego zapchlonego psa, co do ostatniego parszywego kurczaka. Zdechną, walcząc, i będą bronić się najdłużej jak będą mogli.

Jej ukochana córeczka i syn, którego nosiła w łonie, zginą wraz z nią i ród elfów wygaśnie wraz z rodem Arduina, Władcy Światła. To będzie ich koniec, ale nie zachowają się jak tchórze. Nie mogą wybierać między życiem a śmiercią, ale między śmiercią ludzi a śmiercią muchy, powalonej uderzeniem dłoni w letni wieczór - tak. Każda wypuszczona strzała, każdy pokonany, zraniony czy w jakikolwiek sposób powstrzymany ork oznaczają dzień więcej dla świata ludzi, by mógł się przygotować. I po-darują temu światu nie tylko czas, ale natchną go też odwagą i wiarą.

Wokół ognisk obozowych, na polach bitwy, podczas bez-31

księżycowych nocy, kiedy wiara zaczyna się chwiać, a bezbolesna śmierć staje się pokusą, której trudno się oprzeć, ludzie będą opowiadać o Daligar, mieście, które zginęło, walcząc, stawiając opór, ulica za ulicą, dom za domem, wojownik za wojownikiem, i wtedy odwaga powróci, a nadzieja odżyje.

Juna cofnęła się, odwróciła i skierowała na schody, w stronę Małej Sali Nowego Tronu. Syn, którego nosiła, poruszył się. Zatrzymała się wzruszona. Od śmierci Yorsha po raz pierwszy się to zdarzyło. Na moment oczy Juny wypełniły się łzami.

Może nie wszystko stracone. Może przeznaczenie chciało, by to dziecko się narodziło.

Jastrin starał się dzielnie dodać odwagi, której sam nie miał, grupce chłopców i dziewcząt. Opowiadał im historię o Ardui-nie walczącym z orkami: na jednego jego żołnierza przypadało dziesięciu, ba, nawet nie dziesięciu, a dwudziestu, trzydziestu, stu pięciu... A Arduin rozgromił ich wszystkich podczas jednej bitwy, zmiotł niczym wielka zawierucha. Juna przerwała Jastri-nowi i bardzo spokojnym głosem rozkazała wszystkim natychmiast wstać i zebrać w zbrojowni tych, którzy trzymali się na nogach na tyle, by móc walczyć z bronią w ręku. Z rozkazu Królowej Daligar, spadkobierczyni Arduina, wszystko, co mogło być rozdane, miało zostać rozdane. Każdy musiał przyjść. Nawet kobiety i dzieci. I tak nie mogło się już wydarzyć nic gorszego niż to, co zrobią orkowie po zdobyciu miasta. Zatem śmierć za śmierć. Ktokolwiek tego pragnął, miał

prawo zginąć z bronią w ręku. Królowa poleciła także pospieszyć do studni i napełnić wszystkie bukłaki, garnki, dzbany oraz beczki i dać każdemu jedną manierkę czystej wody, aby przynajmniej na okres pierwszych dni walki pragnienie nikomu nie doskwierało.

- Pierwsze dni walki - powtórzyła spokojnie. Daligar nie umrze nazajutrz o świcie.

Dzieci rozbiegły się natychmiast po całym mieście. Podczas gdy Juna udawała się do swoich apartamentów, by pożegnać Erbrow i coś wymyślić, usłyszała własne rozkazy przekazywane sobie z ust do ust.

Zobaczyła rozpalane łuczywa i miasto nabierające z powrotem odwagi, ożywiające się.

Powtórzyła te same rozkazy czterem żołnierzom, którzy nadal stali przed Małą Salą Tronową, co nie miało sensu, jako że nie znajdował się tam już nikt, kogo należałoby strzec. Wartownicy trzymali halabardy w dłoniach, a głowy mieli opuszczone. Ale usłyszawszy jej słowa, spojrzeli na nią i po namyśle, nie od razu, ale jednak opuścili swe stanowisko przed monumentalnymi drzwiami z drewna i żelaza. Przynajmniej mieli znowu kogoś, kto wydawał rozkazy. Kogoś, kto miał jakiś plan; jakiś pomysł; kogoś, kto brał na siebie odpowiedzialność za podjęte decyzje.

- Mamy dowódcę.

- To kobieta.

- Lepsze to niż nic.

- I do tego jest w ciąży.

- Lepsze to niż nic.

- Do tego jeszcze w ciąży z elfem. To ona, to ta poszukiwana. Żona elfa.

A my ją wzięliśmy na dowódcę.

- Z orkami u bram, może być i taka. A poza tym, jak jest w ciąży to jeszcze lepiej.

- Lepiej? To elfy to nie śmierdzące kanalie?

- Kanalie, ale potrafią robić całą masę różnych rzeczy. Ona też musi coś potrafić.

- Śmierdzące kanalie, do licha. To nie pamiętacie już tego napisu na murze, co go Zarządca kazał dłutem zdrapać?

- Mówią, że to była przepowiednia. Przepowiednia samego sir Arduina.

- Mówiła o żonie elfa. Moja szwagierka jest kuzynką jednego skryby. On mówił, że dziedziczka sir Arduina poślubi ostatniego z elfów.

- A z elfem co się w końcu stało?
- Zarządca go zabił, tak powiedział chłopiec.
- Ten na wpół kaleki?
- Tak. Powiedział też, że ten elf to był ostatnim z rodu, nawet nazywał się „ostatni”. Wiesz, oni mieli te swoje długie imiona, tak że od razu wiedzieli, co mają w życiu robić.
- Skoro sir Arduin Zwycięzca pofatygował się, żeby pisać o tym po murach, to chyba wcale nie dla zabicia czasu i zapewnienia jakiegoś zajęcia dłuownikom.
- Kobiety w ciąży już same z siebie są trochę magiczne. Elfy były zdecydowanie magiczne. Kobiety w ciąży z elfami to czarownice i pewnie mają w sobie całe mnóstwo magii. Może czarownica rzuci jakiś czar i orkom poprawi się charakter. Albo my się staniemy dzielni i wygramy.

Jutrznia nasłuchiwała. Słowa „elf i „czarownica” rozbrzmiały wyraźnie, ale wypowiedziano je półgłosem i bez nienawiści czy urazy, może wręcz z cieniem nadziei w głosie, a nawet z odrobiną wiary. Nagle samo słowo

„czarownica” zniknęło i wśród wszystkich głosów, wśród wszystkich szeptów pojawiła się „Królowa Czarownica”. Głosy jeszcze bardziej ucichły. Nadzieja rosła.

W Małej Sali Nowego Tronu nie było nikogo.

Juna położyła dłonie na rękojeści miecza Yorsha i z trudem wyciągnęła ostrze z pochwy. Broń została stworzona z myślą o kimś znacznie wyższym od niej, przede wszystkim nie dla ciężarnej kobiety: zrobiła to niezgrabnie, niemrawo i musiała wyjąć miecz dwoma pociągnięciami, oburącz.

Wreszcie się udało. Zacisnęła dłonie mocno na rękojeści miecza.

Ostrze lśniło. Odbijało światło pochodni. Odbijało twarz Juny, jej błyszczące czarne oczy. Kobieta przyjrzała się swemu odbiciu. Broń była wystarczająco lekka, by mogła się nią posługi-

wać: dwa długie wyżłobienia, które wyznaczały środek obu stron ostrza, dodatkowo zmniejszały jej ciężar. Liczne godziny spędzone w morzu definitywnie przydały jej ramionom siły wojownika. Nawet teraz, kiedy ciąża odbierała jej trochę mocy, mogła utrzymać miecz i walczyć.

Potem nie myślała już o niczym.

Ujrzała króla.

Wizja pojawiła się z taką gwałtownością, że Junie wydało się, jakby ktoś ją uderzył. Zachwiała się,

lecz miecz pozostał w jej mocnym uścisku.

Król wypełniał jej umysł. Spoglądał na nią z wnętrza miecza. Wypełnił jej duszę. Miał na głowie jej koronę ze splatającym się bluszczem, trzymał jej własny miecz w rękach i zasiadał, silny i pewny, na kamiennym tronie.

Jego plecy przykrywał płaszcz z ciemnego aksamitu wyszywanego perłami i złotem, który opadał ciężkimi fałdami, a światło i cienie przywodziły na myśl fale morskie w blasku księżyca.

Nie był to szkielet, lecz żywy człowiek, który spoglądał na nią z wnętrza jej wizji. Juna odwzajemniła spojrzenie: nie była w stanie wyraźnie widzieć. Postać króla skrywała się w półcieniu, a ona odniosła wrażenie, że jego uszy były lekko szpiczaste. Półelf? Określenie, przy całym ładunku pogardy, jaki w sobie zwierzało, rozdrażniło ją i zdenerwowało. Poszukała w głowie innego określenia, lecz nie znalazła go. Do diabła: półelf.

Termin był precyzyjny i w pełni oddawał istotę rzeczy.

Wystarczyło wypowiedzieć go z dumą zamiast ze wstydem. Półelf.

Delektowała się każdą sylabą, jakby była ona kroplą miodu. Umysł elfa i odwaga człowieka. W połowie siła ludzi, w połowie dusza elfów. Półelf.

Niezwyciężony niczym półelf, silny niczym półelf. Brzmiało dobrze.

Wystarczy się przyzwyczaić. Małeństwo w jej wnętrzu kopnęło. Półelf był

królem siedzącym na tronie z jej mieczem i jej koroną. Król długo na nią patrzył, podczas gdy Juna czuła, jak rośnie w siłę.

Kto był tym królem? Arduin? Kto jeśli nie Arduin, Władca Światła, wielki wojownik, który rozgromił orków i odzyskał Da-ligar, wbrew wszelkim przewidywaniom, wbrew logice, wbrew jakimkolwiek przeblyskom zdrowego rozsądku, który każdemu innemu podpowiedziałyby, aby dać za wygraną i zająć się czym innym? Arduin również musiał być półelfem.

- Arduin? - spytała szeptem Juna.

Sir przytaknął, potem figura się rozmyła, ale nie zniknęła zupełnie, pozostała w zakątku umysłu, niczym cień wspomnienia.

On nie obawiałby się orków. Wiedziałyby, co robić. Pozostawił

wiadomość. Dwa zdania godne herszta bandy musiały zatem mieć jakieś znaczenie wówczas i miały je także dzisiaj.

On był Władcą Światła. Światła. Światła ognia. Ogień daje światło.

Juna przestała obawiać się orków. Wiedziała już, co robić.

Zabrała z pozłacanego tronu płaszcz z ciemnego aksamitu wyszywanego perłami i złotem i owinęła się nim. Zapięła na szyi ciężką złotą klamrę.

Płaszcz okazał się ciepły i lekki niczym skrzydła ptaka. Nie będzie jej przeszkadzał ani w jeździe konnej, ani w walce. Należał do króla, a ona potrzebowała czegoś, co zakryłoby jej łachmany i podkreśliło królewskość jej osoby.

Teraz to ona była jedynym królem, jakiego mieli do dyspozycji.

Od jej królewskiego majestatu zależała wszelka walka.

Królewski majestat. Delektowała się tymi słowami: stała się królem.

Musiała to powtórzyć wiele razy, by przekonać samą siebie. Król to ktoś, za kogo można umrzeć.

W tragediach układanych przez Yorsha, które odgrywali na plaży Erbrow, by wypełniać czymś letnie wieczory, była zawsze rola jakiegoś wojownika lub króla. Teraz ona musi zrobić to samo: musi zagrać rolę króla wojownika i w pewnym sensie nim się stać. W najgorszym wypadku żałosna grupka jej zwolenników, których mogła zebrać, odniesie wrażenie, że podąża za królem

wojownikiem, i to ją pokrzepi. Może nawet zwyciężą. Albo umrą godną śmiercią.

Juna miała koronę nasadzoną na byle jak ogoloną i nadal brudną od krwi i błota głowę. Przyjrzała się swemu odbiciu w ostrzu miecza i stwierdziła, że nie wygląda zbyt dobrze. Oderwała jeden z białych woali, które otaczały tron, i włożyła na głowę, przytrzymując go koroną tak, że jej twarz wydawała się zawieszona w powietrzu, otoczona chmurą.

Spojrzenie króla znów zagubiło się w jej umyśle. Potem władca zniknął.

Nadeszła pora walki.



Jutrznia opuściła Małą Salę Nowego Tronu. Erbrow spała i nie obudziła się, gdy jej matka pochyliła się, aby ją pocałować. Przełożony Domu Królów pilnował drzwi i uklonił się, gdy Juna go mijała.

Królowa Czarownica wróciła na mury, lecz wcześniej przeszła przez podziemia i szybko policzyła butelki perfum - tej magicznej wody, z której rodzi się ogień - starannie poukładane jedna na drugiej: prawie dwie setki.

Czuła podskórną, że król jest przy niej. Schowanie miecza do pochwy było za trudne, a równie skomplikowane okazałoby się ponowne wyciągnięcie go, postanowiła więc trzymać broń obiema rękami. Już na murach jej spojrzenie błędziło po bezkresnych obozowiskach, które ich otaczały. Przybrała tę samą pozycję co pradawni królowie, których posągi miała za plecami.

Żołnierze już się zbierali, pełni zwątpienia, wystraszeni, niepocieszeni, ale przynajmniej z bronią w ręku. Wszyscy patrzyli na nią, wyprostowaną i czujną, okrytą okazałym płaszczem, który przypominał morze w blasku księżyca, w koronie starej jak samo miasto lśniącej nad spokojną i surową twarzą.

Miasto było w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale oni mieli króla.

Korona Jutrzni połyskiwała w słabym świetle pochodni, ponad woalem, który powiewał na wietrze niczym jedyny sztandar, w tej godzinie, która mogła być ich ostatnią. Na jej płaszczu

perły przeplatały się ze złotą nicią, delikatnie migocząc. Miecz także lśnił

pośród ciemności bezksiężycowej nocy. Królem była kobieta i nikt już prawie nie pamiętał, by coś takiego zdarzyło się kiedykolwiek. Ale w starożytnych czasach kobiety sprawowały władzę i były nazywane królowymi. Niektóre królowe były Czarownicami.

Miasto ma teraz Królową Czarownicę.

Może jednak nie jest jeszcze zgubione.

Juna nie przepadała za Daligar. A właściwie nienawidziła go z całej duszy.

To było miasto, które patrzyło obojętnie, jak wieszano jej rodziców i które w innych okolicznościach świętowałoby śmierć Yorsha. Ludzie spoglądali teraz w jej stronę z takim samym oddaniem, z jakim powitaliby jednego z bogów, który zstąpiłby z nieba, żeby kupić sobie parę funtów papryki na nędznym miejskim ryneczku. Juna wiedziała, że byli to ci sami ludzie, którzy ze szczerą radością oklaskivaliby jej powieszenie, gdyby Zarządca nie pozostawił wszystkiego na pastwę orków i nie uciekł.

Ze wszystkich miast, za które chciałaby walczyć i umierać, Daligar było ostatnim.

Ze wszystkich ludzi, z którymi chciałaby walczyć i umierać, ci co ją otaczali, byli ostatni.

„Walczę tym, co mam”, powiedział Arduin. Ona będzie walczyć na czele ludu Daligar, bojaźliwego i tępego, którym gardziła.

Patrzyła z murów obronnych. Ostatni obłoczek został przegnany z nieba, teraz pełnego gwiazd, które lekko migotały. Noc była bezksiężycowa, lecz ogniska orków rozświetlały równinę i wzgórza, czyniąc teren doskonale widocznym: wyglądał jak ogromna mapa usiana światełkami.

Jastrin, stojący tuż obok, opowiadał Junie po kolei o różnych plemionach orków, podając dokładne opisy ich zachowań, obyczajów i historii.

Na północnym zachodzie, czterdzieści stóp za małym mostem zwodzonym przy północnej bramie, tuż za lasem wierzbowym, znajdowała się duża grupa wielkich orków z południowych równin, kompletnie upitych piwem jęczmiennym. Mieszali trunek z miodem i kozimi ekskrementami. Uważali to za prawdziwy rarytas. Miód zwiększał

szybkość, z jaką działało piwo, a kozie łajno, zawierające sól, potęgowało pragnienie, i dzięki temu mogli się upijać o wiele skuteczniej. Zajadali właśnie kozę, bardzo już nieświeżą, a nawet zepsutą. Obecność robaków podwyższała jej kulinarną wartość, jak powiedział Jastrin. By uniknąć sytuacji, w której pozostaliby bez jedzenia i napojów, orkowie trzymali za ogrodzeniem stado małych kóz, które prowadzili ze sobą ze swoich ziem.

Aby wyżywić zwierzęta, mieli worki z sianem, przywiązane do koni, teraz umieszczone obok ogrodzenia.

Spojrzenie Juny zatrzymało się dłużej na tych zapasach. Siano, jeśli podłoży się pod nie ogień, płonie szybko.

Pół mili na południe stacjonowali orkowie z gór, nieco mniejsi, trochę biedniejsi i brudniejsi - jeśli mogli tacy być. Ich obozowisko znajdowało się między rzeką, która się nie zapali, a skałami nadbrzeżnymi, które również nie zajmą się ogniem, lecz tuż za skałami były jałowe nieużytki, z żółtą i zeschniętą trawą, a ta pali się już bardzo dobrze. Orkowie z gór także się upili, kiepskie piwo uderzyło im do tępych głów, i chwilowo zaspokoiili swoją żądzę krwi czerwonym winem. Pijani słabo się biją i nieskutecznie walczą z pożarem. Wystarczy podpalić siano dla kóz, a potem wiatr od gór, który wieje z północy, dokończy dzieła. Najeźdźcy znajdą się w potrzasku między pożarem a rzeką, mając za doradcę tylko piwo.

Im dłużej Juna patrzyła, tym bardziej rosła w niej nadzieja - odradzała się i tańczyła niczym iskry pośród płomieni.

Na tym samym brzegu rzeki, także od północnej strony, tam gdzie były zarośla, ucztowało wielkie zbiegowisko małych or-

ków z niższych bagien. Mieli zbroje ze spłowiałej, zielonkawej skóry oraz maski i hełmy ozdobione drobnymi ostrymi kłami morskich drapieżników.

Nieopodal znajdowały się małe łódki ze skóry i drewna, w których nazajutrz zaatakują. Bez nich szarża się nie powiedzie.

Mali orkowie z bagien to dobrzy pływacy, jak powiedział Jastrin. Mieli lekkie zbroje i w razie pożaru uratują się w wodach Dogonu. Wprawdzie byli bardzo liczni, ale w tym miejscu rzeka płynęła wartko. Nie wszyscy sobie poradzą w głębokiej wodzie i stracą pewnie część zbroi. Podstawową kwestią jest jednak zniszczenie łodzi.

Na wprost, na południowym brzegu, osobno i mieszając się z szumowinami, obozowała kawaleria

orków. Już ona sama napawała większym przerażeniem niż wszystkie pozostałe oddziały. Kawalerzyści nie byli pijani i jedli spokojnie coś, co upolowali, prawdopodobnie dziki.

W ich pobliżu stały katapulty, które nazajutrz miały spalić Daligar, prawdziwe cuda inżynierii wojskowej. Kawalerzyści znajdowali się w niedogodnym miejscu: jako że wiatr wiał od północy, należałoby podłożyć ogień od strony rzeki. Ktoś - lub coś - musiał dotrzeć z miasta do obozu orków. Eksplozja to „płomień, który rozprzestrzenia się z odgłosem grzmotu”, jak powiedział Marszałek Dworu. Czyli wcale nie tak trudno być generałem. Wystarczy mieć odpowiednią broń i zawsze umieć dobrze ocenić pozycję wroga względem kierunku wiatru. Poniżej w ciemności powiewały sztandary. Wreszcie Juna zdała sobie sprawę, jak bardzo są długie i lekkie.

Dowódca żołnierzy przybył poinformować ją o stanie ich sił. W mieście pozostało bardzo niewiele zbrojnych: około pięćdziesiątki piechurów i pół

tuzina kawalerzystów. Byli to ludzie o niskim i niedawno uzyskanym szlachectwie, którzy nie otrzymali rozkazu towarzyszenia Zarządcy w jego ostatniej wyprawie, przede wszystkim dlatego, że po prostu nikt ich tam nie potrzebował. Tak więc koni było siedem, razem z Enstriilem.

Jutrznia wydała rozkaz zbudowania całej flotyli małych tratw, na które zostaną załadowane flaszeczki perfum, po dwadzieścia na każdą. Kazała też przygotować pochodnie do podpalenia obozowisk na południowym brzegu Dogonu. Jednocześnie Królowa poleciła rozdać pozostałe buteleczki kawalerzystom. Z nią będzie ich siedmioro. Każdy z nich weźmie około dziesięciu flaszeczek, jedną pochodnię i jeden sztandar nasączony łatwopalnym płynem. Plan jest prosty: zrobić wypad przez mały most zwodzony na północy i za pomocą perfum, sztandarów, pochodni i wiatru podpalić wszystko, co się da, a zwłaszcza łodzie. Potem wrócić na drewniany most i zniszczyć go, by dwa brzegi Dogonu, czyli dwie grupy oblegających wojsk, zostały odcięte. W międzyczasie tratwy z perfumami zostaną puszczone na wodę i podpalone, by popychane wiatrem dotarły do zarośli i wzniciły pożar. Powstały więc tratwy obładowane wiązkami drewna mokrymi od perfum i dwudziestoma pełnymi flaszeczkami bez zatyczek z laku.

Juna wyjaśniła, że nie mają wyboru. Muszą zacząć walkę jeszcze tej nocy.

Nazajutrz miasto upadnie. Nie mają jednak żadnej broni przeciw katapultom, nie zatrzymają dziesiątek łodzi, nie mogą zapobiec wspinaczce orków na mury. Miasto upadnie, chyba że oni zdołają w nocy wywalczyć dla niego ratunek. Przedostaną się na zewnątrz, uda im się.

Zwyciężą dla miasta. Dla dzieci, które tego wieczoru poszły spać, myśląc, że czeka je jakieś jutro.

Zwyciężą dla tych wszystkich, którzy opuścili miasto jak starą ruinę.

Miasto przeżyje, a oni wraz z nim.

Wszystkie twarze były zwrócone w jej stronę, nie tylko kawalerzystów, ale i mieszkańców Daligar, żołnierzy i Marszałka Dworu. Jutrznia czuła, że powinna ciągnąć przemowę. Najpierw powtórzyła to, co mawiali zwycięscy wojownicy w jej i Yorsha przedstawieniach na plaży. Przez kolejne stulecia, za każdym razem,

gdy jakaś ziemia zostanie napadnięta przez niesłychanie potężne i okrutne armie, przy ogniu wszyscy będą odzyskiwać odwagę, wspominając ten ich bohaterski zryw w wietrzną noc.

Zwyciężą.

Niech każdy pamięta, że wiara jest z nimi. Zaraz, zaraz... A może to oni powinni mieć wiarę? Nie, lepiej, żeby wiara była z nimi. Nie do końca jasne było dla Juny, co to miało oznaczać, ale tak brzmiało lepiej. Skoro nie mieli nikogo innego po swojej stronie, to niech przynajmniej wiara za nimi stanie. Jutrznia zastanowiła się, czy to był odpowiedni moment na wgłębianie się, czego lub kogo ta wiara dotyczy, lecz stwierdziła, że lepiej pozostać przy ogólnikach i nie wdawać się niepotrzebnie w drobiazgi.

Potem jednak przestała powtarzać słowa, których nauczyła się na pamięć. Gdy pojawi się widmo strachu, niech każdy przywoła wyraźnie w myślach twarze tych, za których walczy, tak jak ona wyobrazila sobie twarz swojej córki.

Na długo przed świtem jej oddział był gotów. Zanim wsiadła na konia, pomyślała, że powinna pójść ucałować Erbrow. Może to będzie ostatni raz. Po długim namyśle stwierdziła, że nie może tego zrobić. Ryzyko utraty odwagi wydawało się zbyt wielkie. Powtórzyła sobie, że będzie matką dwojga żywych dzieci. Zarówno ona, jak i Erbrow przeżyją tę noc i będą miały całe życie na to, by się do siebie jeszcze przytulać.

Zastanowiła się, czy i jak bardzo galop mógłby zaszkodzić dziecku, i gdy o tym myślała, dotarło do niej, że przecież dziecko, które nosi w swoim łonie, jest dzieckiem Yorsha. To tak, jakby ostatni z elfów wciąż jeszcze przy niej był. Jest dziedziczką Arduina, w sobie nosi dziedzica elfów i musi zwyciężyć. „Walczę tylko po to, by zwyciężyć” oznaczało, że kto jest pewien zwycięstwa, walczy bez strachu, a kto walczy bez strachu, odnosi zwycięstwo. Wizja króla powróciła, intensywna i wyraźna. Władca uśmiechnął się do niej.

- Walczę tym, co mam, i tylko po to, by zwyciężyć! - krzyknęła Juna, wsiadłszy na konia, do żołnierzy jej zastępu, których przy gnębione twarze od razu się rozpromieniły.

Na szczęście nikt nie zaczął się śmiać.

Spróbowała sobie przypomnieć, co takiego mawiały dawne królowe z dramatów Yorsha, jakie zdanie byłoby mniej głupie od: „Walczę tym, co mam, i tylko po to, by zwyciężyć”.

„Jestem tylko kruchą kobietą”, przypomniała sobie z trudem. W tym momencie jak nigdy wydało jej się to prawdziwe, „ale będę walczyć jak...”

... będę walczyć jak... Jak brzmiało to przeklęte zdanie? Ale będę walczyć jak dzik...”

Nie, nie, to nie dzik. Co oni takiego mówili? Nigdy nie znała się na zwierzętach, to Yorsh był ekspertem od nauk przyrodniczych, tak jak od wszystkiego innego. Co to za zwierzę, które dla wędrownych śpiewaków było uosobieniem odwagi?

Nieważne, i tak się im spodobało, choć coś tam pomyliła. Królowa odważyła się na dowcip. To było jeszcze donośniejsze niż dźwięk rogu.

Niemal lepsze od patosu Arduina.

-Jestem tylko kruchą kobietą, ale będę walczyć jak wół... -spróbowała ponownie.

- Taaaak! - krzyknęli wszyscy.

Znów nie bardzo to wyszło, lecz brzmiało dobrze. Skoro dla niej samej między wszystkimi tymi zwierzętami prawie nie było różnicy, prawdopodobnie nie widzieli jej także mieszkańcy Daligar.

-Jestem tylko kruchą kobietą, ale będę walczyć jak lew. - Tak, to było to właściwe zdanie.

Tym razem tłum odpowiedział z mocą, a następne twierdzenie zabrzmiało jeszcze efektowniej:

-Jestem tylko kruchą kobietą, ale mam serce króla! - krzyknęła Jutrznia, Królowa Daligar. - W mej piersi bije serce Arduina!

Ja zwyciężę, zwyciężę dla moich dzieci, zwyciężę dla was. To my zwyciężymy!

Wiedziała, że tak właśnie się stanie. Jej strach zniknął. Krzyki i siła ludzi spłynęły na nią i ją wypełniły. Miała w sobie serce Arduina. I tak jak on, zwycięży.

W tym momencie, prawdopodobnie gnany głodem, Angkeel poderwał się do lotu i wyłonił z ochrypłym okrzykiem z okna królewskich apartamentów, gdzie spała Erbrow. Usiadł ciężko na ramieniu Juny i został

entuzjastycznie powitany przez wszystkich obecnych. Królowa Czarownica, spadkobierczyni Arduina, uzbrojona w elficki miecz, pędziła konno z orłem i koroną, która lśniła własnym światłem. Znaki zwycięstwa przemawiały za nimi. Może również wiara była po ich stronie, cokolwiek to oznaczało. Walczyli, by zwyciężyć.

Tratwy zostały umieszczone na wodzie i jednocześnie opuszczono most zwodzony. W przeciwieństwie do tego przy południowej bramie, wielkiego, powolnego i hałaśliwego, most północny, który przechodził nad rwącym i wąskim nurtem, był mały, bardzo cichy i szybko się opuszczał.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pozostawał w cieniu, z dala od pochodni, zarówno tych na murach, jak i tych w obozowiskach.

Orkowie zauważyli ich dopiero, gdy pędzili przez most. Żołnierze mieli mnóstwo czasu, by z powrotem go podnieść, na długo zanim pierwszy ork zdążył postawić na nim stopę. Jutrznia usłyszała, jak most zamknął się tuż za jej plecami, i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że znajduje się wśród wrogów bez żadnej drogi ucieczki. Wtedy znów zjawił się król i pokrzepił

ją uśmiechem. Musi się udać.

Nadal pędziła przed siebie. W torbie miała, tak jak wszyscy, sztandar nasączony łatwopalnym płynem i dziesięć flaszeczek. Rzuciła jedną w stronę ogrodzenia kóz, lecz nie trafiła i butelka upadła na miękką ziemię, nie rozbijając się. Juna spróbowała ponownie. Flaszeczka wypadła jej z rąk. Zaklęła cicho. Pomimo stanu upojenia orkowie zaczęli się podnosić i sięgać po



broń. Następna buteleczka z hukiem uderzyła o ogrodzenie kóz.

Kawalerzysta tuż za Jutrznia zdołał ją podpalić. W tym samym czasie od strony południowego brzegu usłyszeli przerażający huk - przynajmniej jedna z tratw dosięgła celu i spowodowała eksplozję. Małe kozy, przerażone, zaczęły uciekać pośród ciemności i dymu we wszystkie strony, a do hałasu i okrzyków, które dobiegały zewsząd, dołączyło pełne przerażenia beczenie.

Teraz problem stanowił ogień. Nie tylko orkowie znajdą się przez niego w pułapce, ale także i oni.

Jutrznia zobaczyła trzech swoich kawalerzystów podpalających łodzie.

Nasiąknięte perfumami małe barki z wyprawionej skóry zapaliły się jak papier. Teraz, gdy zniszczyli łodzie umożliwiające przepłynięcie obu ramion Dogonu, miasto było uratowane. Przynajmniej na jakiś czas. Jeden z jej ludzi został powalony gradem strzał, lecz dwaj pozostali, ukryci w dymie, zdołali uciec.

Jutrznia rozpoznała leżącego kawalerzystę: to ten wysoki nilczący młodzieniec. Przypomniała sobie jego ciemne oczy i wiedziała, że już niczego nigdy więcej nie ujrzą. Do tej pory był dla niej pionkiem na szachownicy, jednym z sześciu ludzi, z którymi miała przypuścić atak.

Gdy ujrzała go, jak upada, pionek stał się na powrót człowiekiem. W

Daligar z pewnością był jakiś ojciec i jakaś matka, prawdopodobnie żona, może nawet i dzieci, do których on już nie wróci. Jutrznia poczuła, jak znów wypełnia ją przerażenie. Z całych sił zapragnęła być gdzie indziej, razem z Erbrow, bezpieczna w mieście. Na szczęście myśl o córce przywróciła jej odwagę, jej strach zamienił się we wściekłość. Ci, którzy czekali na młodego martwego już kawalerzystę, dowiedzą się, że ten młodzieniec dał się zabić z miłości, którą ich darzył.

Juna znów pomyślała o Yorshu i po raz kolejny przysięgła sobie, że jej dzieci będą żyły, nawet jeśli ona będzie musiała w tym cefu walczyć aż po kres swoich dni. Jej serce stało się twardsze.

Nie zostało im nic innego jak polegać na pozostałych pięciu kawalerzystach, a ci zasługiwali w końcu na dowódcę wierzącego w zwycięstwo. „Walczę tym, co mam, i tylko po to, by zwyciężyć”. Im częściej sobie to powtarzała, tym prawdziwsze stawały się te słowa.

W obozach orków rozległy się krzyki. Ogień, który postanowiła podłożyć, teoretycznie rozważywszy posłużenie się nim jako bronią strategiczną, wybuchał teraz w postaci płomieni, które naprawdę, ale to naprawdę, siały zniszczenie. Przynajmniej część orków nie ucieknie przed płomieniami. Jutrznia zastanawiała się, czy oni naprawdę powstawali z błota, jak się mówiło, czy też znajdowali się kiedyś w łonie matek.

Odpędziła te myśli i przywołała wspomnienie swojej córeczki i jej chęć bycia matką dwojga żywych dzieci wzięła górę. Jeśli przyszłoby jej spalić wszystkich orków, którzy stanęliby jej na drodze, zrobi to, byle tylko jej córka mogła żyć.

Enstriil gnał niczym wiatr. W obozowisku orków na północnym brzegu nie było koni, więc nikt nie mógł Jutrzni ścigać. Ze wszystkimi swoimi ludźmi, pędzącymi tuż za nią, Królowa dotarła do drewnianego mostu, o milę na zachód od miasta. Zarówno ona, jak i pozostali z całych sił rzucili swoimi torbami w filary mostu, które nasiąkły łatwopalnym płynem.

Jutrznia podniosła wzrok i napawała się powodzeniem tego przedsięwzię-

cia: rozdmuchane przez wiatr płomienie trawiły obozowiska orków na północnym brzegu i wszystko, co spotykały na swej drodze.

Ona i pozostali kawalerzyści na pewno nie zdołają przedostać się przez płomienie, by wrócić tam, skąd wyruszyli. Musieli jechać dalej, pokonać palący się most i spróbować dostać się do miasta od południa. Z drugiej strony stał szyk orków - przerażający wojownicy, do tego jeszcze na koniach. Nie było czasu do namysłu. Przejechała przez most, a inni kawalerzyści tuż za nią rozwinęli sztandary, które podpalone zamieniły się w języ-47

ki ognia na wietrze. Rzęsiście oświetlone zdobienia na moście przedstawiały zwycięstwa sir Arduina: byli tam ranni, polegli i uciekający orkowie, matki, które obejmowały swe dzieci, i pola pełne kwiatów.

Obrazu przywódcy nie było jednak nigdzie. Na szczęście jego wyobrażenie znów pojawiło się w umyśle Juny.

Na południowym brzegu, stojącym w ogniu zapanował chaos. Królowa zostawiła za sobą płonący most, tuż za plecami miała swoich ludzi. Lada moment z płomieni wyłoni się straszna kawaleria orków. Jakby na rozkaz jeźdźcy Daligar, jeden za drugim, puścili swoje płonące sztandary, które z północnym wiatrem pofrunęły niczym anioły zwiastujące zagładę każdemu, kto stanie na drodze szarżującego oddziału.

Nagle Jutrznia znalazła się naprzeciw ogromnych katapult, które wyłoniły się z dymu niczym

potwory. Zbudowane z dobrze wysuszonego drewna, zostały już załadowane wiązkami, które miały wzniecić ogromny pożar w Daligar. Juna pozbyła się swoich zapalających flaszeczek, lecz żołnierze podążający za nią jeszcze je mieli. Ujrzała katapulty wznoszące się nad nią niczym złowrodzy giganci. A potem, gdy szybkie jak wiatr kopyta Enstrila niosły ją dalej, obróciwszy się, zobaczyła, że maszyny stoją już całe w językach ognia, zamieniając się szybko w tysiące iskier wirujących ku górze i rozświetlających noc swoim blaskiem. Juna chwyciła w obie dłonie elficki miecz z bluszczem na rękojeści, który należał do Yorsha. Ostrze zaśniło srebrnym światłem w mroku i wśród płomieni.

Enstriil dzielnie gnał w dymie i pośród zamętu. Nagle spośród cieni wyłonił się wybieg dla koni orków, dokładnie naprzeciw Juny, która ściągnęła wodze, by mu się przyjrzeć. Konie wrogiej armii nie różniły się od siebie: bardzo ciemne, bardzo piękne, z lśniąca sierścią i grzywami misternie zaplecionymi, spiętymi klamrami z żelaza. Ogrodzenie zostało zbudowane byle jak, w kilka godzin poprzedzających nadejście nocy, zaraz po przybyciu kawalerzystów. Wykonano je z grubych lin ze ścięgien wołu i z płótna, rozciągniętych między

palami wbitymi w ziemię. Juna zsiadła z konia, zamachnęła się mieczem: wystarczył jeden, jedyny cios, by je otworzyć. Konie, oszalałe z przerażenia na widok ognia, rozbiegły się na wszystkie strony w ciemnościach. Tymczasem tuż przed Juną wyrósł ogromny ork, który złapał Enstriila za lejce.

Kobieta zacisnęła dłonie na złotej, zdobionej rękojeści. Ostrze starego miecza elfów uniosło się, lśniąć w świetle księżyca, i spadło na szyję orka.

Klinga wbiła się głęboko. Jutrznia poczuła, jak krew wroga tryska na jej twarz i dłonie, na płaszcz i na to, co pozostało po jej ogolonych włosach.

Przez moment przerażenie na myśl o tym, co właśnie robiła, o mało jej nie powaliło, lecz zdołała je od siebie odegnąć. Powtórzyła w myślach: nawet jeśli przyjdzie jej ściąć wszystkich orków między Daligar a Górą Ciemności, to zetnie ich, byleby tylko jej syn mógł przyjść na świat. Jeśli będzie musiała ułożyć ciała zabitych wrogów w stosach sięgających koron drzew, zrobi to, byleby tylko dziewczynka o oczach ostatniego z elfów mogła oddychać. Ona sama nie stanie się jedną z furii, nie będzie błakającym się duchem, targanym tęsknotą za swoimi nienarodzonymi lub zabitymi dziećmi. Będzie matką dwojga żywych dzieci.

Tymczasem orków przybyło. Pięciu kawalerzystów z Daligar natychmiast ciasno otoczyło Królową Czarownicę. Ta starła krew z twarzy, uniosła długie ostrze wysoko pośród ciemności i uderzyła znowu, a potem jeszcze raz. Słyszała dziki i okrutny krzyk towarzyszący każdemu uderzeniu i ze zdziwieniem rozpoznała swój własny głos.

Juna potrafiła walczyć. Nie tylko dzięki temu, że staczała długie pojedynki z Yorshem, dla zabawy, używając patyków zamiast miecza, ale i dzięki temu, że kiedy chodziła na polowania, zawsze wiedziała, gdzie pojawi się zwierzyna. Krew orków na jej twarzy rozrzedził pot. Ramiona zaczęły ją boleć tak, jakby zostały trafione. Ze zmęczenia ledwie oddychała. Zabrakło jej powietrza.

Spojrzała na ostatniego z orków, którego miała przed sobą, i zorientowała się, że nie zdoła już unieść miecza kolejny raz.

Pomyślała o swoich dzieciach.

Pomyślała o swoim ojcu.

Pomyślała o matce i jej suszonych jabłkach.

Pomyślała o Yorshu.

Ramiona miała jak z ołowiu. Miecz ciążył jej niczym cierpienie całego świata. Ręce opadły bezwładnie.

Dwaj orkowie nacierali na nią.

Juna zrozumiała, że to już koniec.

W tym momencie obie kreatury runęły na ziemię.

Dwie strzały, jedna za drugą, trafiły w małe przerwy między zbroją a osłoną na gardło. Bardzo piękne strzały, wykonane z cienkiego pręta, ze stali lub może srebra, ozdobione na końcu białymi i karmazynowymi piórami. Opierając się o miecz i próbując utrzymać na nogach, Juna obejrzała się i poszukała wzrokiem tego, kto przyszedł jej na ratunek.

Łucznik dosiadał konia w kolorze dymu i nawet w ciemności dało się dostrzec piękno wierzchowca: lśniąca sierść przykrywała idealnie umięśnione ciało, które wydawało się wyrzeźbione przez wiatr, smagający galopujące zwierzę. Łucznik miał niesamowite oko, tylko Yorsh tak strzelał.

Juna rozpoznała wspianego konia Zarządcy.

Na długą, cudowną chwilę zatopiła się w myślach. Miała próżną nadzieję i zamarzyła sobie, że to Yorsh wstał ze swego stosu i przybył jej na ratunek, zadrwiwszy po raz kolejny z Zarządcy i kradnąc jego konia.

Ostre światła pożarów i dym czyniły obraz niewyraźnym. A może sprawiła to trudność, z jaką oczy rozpoznają coś niewiarygodnego i spostrzegają rzeczy niemożliwe. Tak czy inaczej Juna nie poznała swojego wybawcy, dopóki się do niej nie zbliżył. Miał odkrytą głowę i jego jasne włosy lśniły w świetle ognia, tak jak misterne siateczki ze srebra i małe perły, które je zdo-

biły. Kołnierzyk z jasnego jedwabiu wychodził w burkach spod aksamitu kurtki.

Bez wątplenia była to Aurora, córka Zarządcy. Ostatni człowiek -

spośród wszystkich ludzi na świecie, którego Juna spodziewałaby się ujrzeć na polu walki, i od którego oczekiwałaby ratunku.

Księżniczka Daligar jak zwykle robiła wrażenie idealną, urzekającą urodą. Miała na sobie szatę z aksamitu ciemnego jak noc, a pokrywające ją delikatne srebrne hafty przypominały fale jej własnych włosów. Pod spodem nosiła parę spodni z takiego samego aksamitu i bardzo ciemne wysokie buty. Oprócz odsłoniętej twarzy i dłoni nie widać było ani skrawka skóry.

Juna poczuła dotkliwy chłód wiatru na swojej ogolonej głowie, na przemoczonych i gołych nogach oraz otartych kolanach, które sterczały odsłonięte, gdy siedziała na koniu w nasiąkniętej krwią i błotem sukni.

Księżniczka Daligar zatrzymała swego wspaniałego rumaka w kolorze dymu. Zsiadła z niego, uklękła przy dwóch orkach, których zabiła, i obydwóm zamknęła oczy, pozostając przy nich na moment, cicha i zasmucona, jakby ci dwaj byli jej ukochanymi bliskimi. Cała ta scena wydała się Junie jeszcze bardziej niesamowita niż wszystko, czego do tej pory doświadczyła. Aurora skinęła głową i szybko dosiadła swego konia.

Najwyraźniej dostrzeżono ich wówczas z murów, bo ogromny i ciężki most zwodzony zaczął się opuszczać, a towarzyszył temu hałas i zgrzyt łańcuchów. Jutrznia i jej kawalerzyści, których wraz z Aurorą było znów sześcioro, przebyli most i dotarli do dużego placu ze studnią, a za ich plecami krata zaczęła od razu opadać, podczas gdy most z powrotem się podnosił. Cztery konie orków, rozproszone, dołączyły do nich i zdążyły wraz z nimi wbiec przez bramę, zanim krata runęła ciężko w dół i w ostatniej chwili zatrzymała szarżę grupy ścigających ich orków. Nie tracąc równowagi na unoszącym się moście, załadowali swoje kusze i wystrzelili.

Jutrznia próbowała zsiąść z konia najszybciej jak mogła, by zejść z linii strzału, lecz zaplątała się w swój płaszcz i nagle znalazła się na ziemi, na kolanach. Strzała przeznaczona dla niej drasnęła ją w prawe ramię, które zaczęło lekko krwawić, plamiąc jasny woal wokół jej twarzy. Ściągnęła go z siebie i użyła do zatamowania krwi. Czerwień na trwale zabarwiła jasny materiał jedną ciemną strużką i paroma jaśniejszymi. „Szkoda”, pomyślała Królowa, bo był to dobry materiał, lecz nie miała nic innego. Razem z woalem ściągnęła koronę i położyła ją sobie na udach.

Tuż obok niej leżał miecz ze splotami bluszczu na rękojeści i zakrwawionym ostrzem.

Łoskot żelaza i łańcuchów za jej plecami upewnił ją, że jest bezpieczna.

Orkowie, którzy do niej strzelali, zostali zabici albo spadli w wody Dogonu z mostu, który właśnie się podniósł całkowicie. Wróg pozostał na zewnątrz murów tej nocy. Tak samo nazajutrz i później.

Ktoś stał nad nią.

To była Aurora. Również i ona zsiadła z konia. Miała na sobie wysokie buty i nie tkwiła gołymi stopami ani kolanami w błocie. Jutrznia starała się nie myśleć o tym, że lekkość ruchów upodobniała Aurorę do Yorsha.

Wstała i pozostała w bezruchu z mieczem w jednej ręce, a koroną i woalem brudnym od krwi w drugiej.

Księżniczka Daligar przyjrzała jej się z zaciekawieniem. Dla Juny było ono równie natrętne co chmara gzów, od których nie sposób się opędzić.

Tamta była córką człowieka, który kazał zabić Yorsha. Matka i ojciec Juny zostali powieszani na jego rozkaz.

Jutrznia poczuła nienawiść do Aurory, ale zaraz uprzytomniła sobie, że ona dopiero co uratowała jej życie.

Aurora była tak samo piękna jak Yorsh. Ale nie tylko dlatego Juna wciąż jej nie znosiła mimo że Yorsh był martwy i żadna zazdrość nie miała już sensu. Pomyślała jednak, że tamta właśnie ocaliła życie jej, a więc i jej córce i nienarodzonemu jeszcze dziecku.

Z trudem stała o własnych siłach. Była śmiertelnie zmęczona. Musiała z oprzeć się o Enstriila i użyć miecza jako kija, by się na nim wesprzeć i nie upaść. Jej stopy tonęły w błocie, ale przynajmniej sterczące brudne kolana zasłaniała suknią. Juna zastanowiła się, gdzie mógł się podziąć płaszcz z ciemnego aksamitu wyszywany złotem. Po chwili ujrzała go na ziemi, nieopodal kopyt Enstriila.

Wokół niej zaczął zbierać się tłum. Byli tam wszyscy: żołnierze, kobiety, dzieci, mieszkańcy miasta i uciekinierzy, i oczywiście Marszałek Dworu.

Brakowało tylko Przełożonego Domu Królów, który najwidoczniej nie czuł się upoważniony do opuszczenia Erbrow, nawet słysząc zwycięskie okrzyki.

Księżniczka hrabstwa nadal się jej przypatrywała. Wydawała się zmieszana. Juna wciąż myślała o tym, że powinna jej podziękować za uratowanie życia, ale za bardzo jej nienawidzi, by się na to zdobyć.

Wreszcie Aurora rozpromieniła się.

-Juna! Jutrzenka. Jutrznia? - spytała cicho, wesoło i triumfalnie, jak ktoś, kto właśnie rozwiązał trudną zagadkę.

Juna przytaknęła i wówczas doszło do drugiego niewiarygodnego wydarzenia tej nocy, a trzeciego, jeśli uwzględnić ich zwycięstwo, bo i ono, gdy się nad tym zastanowić, było niesamowitym osiągnięciem.

Księżniczka Daligar uklękła przed nią, pochylając głowę. Jej aksamitna szata i spodnie zanurzyły się w błocie.

-Moja pani - powiedziała silnym głosem i uniosła głowę. -

Jutrznia, spadkobierczyni Arduina, ta, która ma w swym imieniu światło nowego dnia i nadziei, co każdego ranka odradza się dla ludzi, władczyni Daligar, przybyła, by walczyć za miasto i jego mieszkańców.

Jutrznia stała nieruchomo, niezmiernie zmęczona i zdziwiona. Nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić, nie miała też siły, by uczynić cokolwiek.

Wreszcie zdołała przytaknąć. Żyła. Część oblegających ich wojsk przegnał

ogień. Jej córka żyje i może uda się



ją ocalić. Pojawił się sprzymierzeniec, co prawda ostatni, jakiego by sobie życzyła, ale za to o niezawodnym oku i właśnie je wykorzystał, by ją uratować.

Aurora wstała, podniosła błękitno-złoty płaszcz i podała go Junie, lekko się ukłoniwszy.

Władczyni Daligar zarzuciła go sobie na plecy. Poczowała jego miękkie ciepło. Jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniami kawalerzystów, którzy jej towarzyszyli, i dostrzegła, jak bardzo się wszystko zmieniło.

Podążyli za nią z rozpaczą, tak jak banda łobuzów za tymczasowym przywódcą, teraz patrzyli tak, jak spogląda się na Królową a identycznie patrzył tłum, który ich otaczał. Wielu upadło na kolana.

- Moja pani - przemówiła znów Aurora - brak mi słów, by wyrazić wstyd z powodu haniebnej zbrodni popełnionej przez mego ojca. Zabijając waszego małżonka, dopuścił się on najohydniejszego z występków, a co więcej - osłabił świat ludzi, który w osobie ostatniego z elfów znalazł

obrońcę w tych okropnych chwilach, gdy nasze ocalenie jest niepewne.

Mój ojciec zbiegł do Alyil i tam bezpiecznie schronił się ze swoim dworem oraz niemal całym naszym wojskiem. Nieskończenie wielkim przerażeniem napełniły mnie słowa ojca, chwającego się zgładzeniem waszego małżonka, tego, którego uważał za ostatnią przeszkodę stojącą mu na drodze do chwały. Tak samo nieskończenie wielka była ma radość, którą odczułam, słysząc, jak ubolewał nad tym, iż wy, spadkobierczyni Arduina, wymknęliście się z jego rąk. Wtedy zrozumiałam, że świat ludzi nie jest jeszcze zgubiony, bo ma wciąż Królową, i przybyłam, by do was dołączyć i dla was walczyć.

Po raz kolejny Jutrznia pomyślała, że powinna podziękować Aurorze, lecz znów się na to nie zdobyła.

Stała nadal oparta o miecz i Enstriila. Spojrzała na rumaka w kolorze dymu, najwspanialszego, jakiego kiedykolwiek widziała. Nawet Enstriil nie mógł się z nim równać.

- Piękny koń - zdołała wybąkać. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziała do Aurory.

Ta kiwnęła potakująco głową.

- Najpiękniejszy w królestwie - potwierdziła.

Kiedy skończyły rozmawiać, okrzyki radości znów uniosły się znad małego tłumu. Oddział kawalerzystów został obsypany oklaskami i kwiatami. Ktoś rozrzucał nawet wśród ludzi małe ciastka z rodzynekami i miodem. Juna znów zdała sobie sprawę z odczuwanego głodu i musiała wykorzystać całą swoją wolę, by pamiętać o tym, że jest Królową i nie może rzucić się na ziemię, żeby zbierać słodczyce między końskimi kopytami.

Obecność Aurory napęliła miasto odwagą, a jej hołd złożony Junie wzmocnił wiarę w mieszkańcach.

Mieli prawdziwą Królową.

Nie wszyscy ich opuścili.

Skoro córka Zarządcy była w Daligar, to znaczy, że nie zostało ono jeszcze skazane na klęskę. A skoro pędziła na koniu w ślad za tą tutaj obłąkaną, ogoloną na łyso, prawdą musi być, że to nie szalona kobieta, ale najprawdziwsza dziedziczka Arduina.

Podczas gdy tłum wznosił oklaski, wydarzyła się trzecia lub czwarta, jeśli liczyć zwycięstwo, niezwykła rzecz tej nocy.

Aurora uklękła przed kobietą w łachmanach, trzymającą dwójkę dzieci za ręce. Cała ta scena była zupełnie niezrozumiała i natychmiast zapadła cisza, bo każdy chciał się dowiedzieć, o co chodzi.

- Pani! - powiedziała Aurora, powstając i wręczając kobiecie naszyjnik z dwoma wisiorkami; Jutrznia stała dość blisko, by do strzec, że miały one kształt żółędzi. - Wasz mążonek, Mandrail, był dowódcą straży niesłusznie oskarżonym o zdradę i został

stracony dziesięć lat temu. Kiedy wszystkie wasze dobra skonfi skowano, ten oto naszyjnik, dar waszego małżonka, trafił w me ręce. Nic więcej nie mogę zrobić w obliczu niesprawiedliwości mojego ojca, który skazał na śmierć owego człowieka, mimo że **55**

dobrze wiedział o jego lojalności i niewinności, jak tylko oddać wam ten skarb.

Kobieta wpatrywała się w naszyjnik spoczywający w jej dłoni praczki, dłoni zniszczonej przez wodę.

Jej ramiona uniosły się wyżej, tak jak podnosi się głowa człowieka przepelnionego dumą.

Teraz, dzięki Aurorze, nie będzie już uchodzić za żonę zdrajcy. Honor mężczyzny, który był jej mężem i ojcem jej dzieci, został przywrócony.

Nigdy więcej nie będzie musiała pocieszać tych dzieci, gdy zostaną obrzucone kamieniami jako potomstwo zdrajcy.

Najmroczniejszy odcinek jej drogi do piekieł miał swój koniec tu i teraz.

-Jeśli oddając swe życie - ciągnęła Aurora, znów stojąc i zwracając się do wszystkich - mogłabym cofnąć wszystkie wstrętne występki, które popełnił mój ojciec, oddałabym je. Mogę tylko powiedzieć, że ból i wspomnienia nigdy mnie nie opuszczą i że przyszedłem prosić was o to, by móc dostąpić zaszczytu walki i śmierci za miasto Daligar i jego władczynię.

Na tę prośbę odpowiedział pełen zdumienia szmer. Juna pomyślała, że już nic jej nie zaskoczy i że to chyba koniec niezwykłych zdarzeń przewidzianych na tę noc. A potem wypełniła ją dzika radość: jej córka żyje!

-Musisz coś powiedzieć. Po zwycięstwie coś się mówi - wy szeptał Jastrin, wyłaniając się z ciemności, niczym duch, by stać u jej boku.

Nie musiała się długo namyślać. Widok Aurory klękającej, by przywrócić utracony honor jednej z ofiar okrucieństwa jej ojca, przypomniał Junie, że król to także ten, który decyduje o honorze i hańbie.

Ona nadal żyła, lecz niektórzy mieli mniej szczęścia.

Ostatkiem sił zdołała podnieść swój głos, by wszyscy dobrze ją usłyszeli.

- Łodzie orków zostały zniszczone, katapulty spalone. Ogień strawił północny brzeg. Orkowie, którzy przeżyli, musieli ra tować się ucieczką w pław, pozostawiając zbroje i broń. Most, dzięki któremu mogliby zająć swoje pozycje, spłonął. Miasto w tej chwili jest nie do zdobycia, jeden z jego brzegów został

wyzwolony.

Kolejne okrzyki radości witały jej słowa, lecz tym razem Jutrznia powstrzymała je gestem dłoni.

- Wyruszyłam z sześcioma kawalerzystami. Powracam z pięć cioma - kontynuowała. - Wojownik, którego straciliśmy, przelał

swą krew, by miasto mogło ocaleć.

Jutrznia nie musiała pytać, kim byli krewni zmarłego. Zduszone szlochy poprowadziły jej wzrok: jedna starsza kobieta, jedna młoda ze zdziwionym dzieckiem na ręku - spojrzenia wszystkich zwróciły się w ich kierunku. Juna nie wiedziała, co powiedzieć. Zastanowiła się, co się mówi, gdy zginie człowiek, i próbowała wymyślić coś, co nie zabrzmiałoby bezsensownie i głupio. Przypomniła sobie twarz zabitego żołnierza, ujrzała znów piegi i ciemne oczy.

- On zginął za was - powiedziała z wysiłkiem. Nie była pewna, czy mówi coś mądrego. Pokusa, by zamilknąć, była bardzo silna. - To był jego sposób okazania wam miłości - dodała.

Grupka spoglądała na nią, niemal spijając słowa z jej ust. Juna pomyślała, że jedną z cech króla jest umiejętność niesienia pociechy.

- Gdyby nie jego ofiara, miasto nie byłoby bezpieczne - dodała nieco ciszej.

To zdanie także musiało być tym właściwym, bo choć ból nie mógł

zmaleć, duma pojawiła się w oczach całej trójki. A te słowa, które jej wydawały się niepewne, dla wszystkich brzmiały przekonująco, dobitnie i poważnie.

- Prawdziwi królowie przyznają odznaczenia - wyszeptał Jastrin. - Coś, co przynosi honor rodzinie, ich spadkobiercom.

Jutrznia opuściła wzrok na naszyjnik ze złota, który wręczył jej hrabia Daligar. Zmęczonymi dłońmi oddzieliła pojedyncze płytki. Marszałek Dworu wyciągnął wstążkę ze swego rękawa i podał ją Junie. Ona przewlekła ją przez zapięcie płytki. Potem zbliżyła się do kobiet i do dziecka, założyła prowizoryczny naszyjnik na szyję wdowy po zabitym kawalerzyście i pozdrowiła ją lekkim skinieniem głowy, na który tamta odpowiedziała ukłonem.

Wielu obecnych rozplakało się.

Juna wróciła do Marszałka, wzięła swój miecz i nie mając już nawet siły, by schować go z powrotem do pochwy, skierowała się w stronę swych apartamentów.

Biały woal pobrudzony krwią upadł na ziemię. Była zbyt słaba, by go podnieść, choć jej ramię już prawie nie krwawiło. Zostawiła go tam, gdzie upadł.

Przełożony Domu Królów uklonił się, gdy weszła do komnaty.

- Moja pani - szepnął, potem zniknął.

Kiedy przybyła, Angkeel siedział tuż obok Erbrow.

- Posuń się, przerośnięta kuro - szepnęła Juna, a potem runęła na łóżko, wciąż z mieczem w ręku. Wypuściła go, objęła Erbrow i zasnęła.

# E

rbrow obudziła się na długo, zanim wstał świt. Za wysokim i ciasnym oknem, podzielonym na dwie części kolumnką, wysoko na niebie księżyc stał i rozświetlał wietrzną noc. Erbrow rozejrzała się dokoła w nadziei, że ujrzy blask włosów swojego taty lub zielone skrzydła smoka, lecz powitała ją jedynie surowa i obojętna biel ścian, których nie poznała.

Noc musiała być straszna: w powietrzu unosił gęsty dym i okropne zapachy, jakby furii i bólu. Jak zwykle nikt nie powiedział Erbrow, co się działo.

Nie miała już taty, który wszystko jej wyjaśniał.

Patrzyła, jak odlatuje na skrzydłach smoka. Teraz ona wiedziała, jakie to uczucie: być unoszonym w locie - wspaniałe! Ale taty brakowało jej strasznie. Tak bardzo chciałaby się rozpłakać, jednak mama powiedziała, że nie można. Gdyby wolno jej było płakać, to może ten kamień, który czuła w środku, rozpuściłby się. Chciałaby, aby mama wzięła ją na ręce, przytuliła tam, gdzie słychać serca braciszków. Wtedy może kamień by się rozpuścił, chociaż odrobinę. Ale mama nigdy nie mogła jej wziąć na ręce, zawsze miała coś innego do roboty.

Kiedy już całkiem się rozbudziła, zorientowała się, że mama śpi tuż obok niej. Na moment ją to pocieszyło, ale gdy światło księżycy rozjaśniło komnatę, zobaczyła krew. Mama miała ją na

twarzy, na ubraniu, na włosach, a raczej na tym, co z jej włosów zostało.

Była ranna. Dziewczynka położyła małą dłoń na ramieniu mamy, tam, gdzie pod rozdartym ubraniem z niedużej, wciąż jeszcze świeżej rany sączyło się kilka kropelek krwi, i uleczyła ją. Wysięk ją wycieńczył i miała ochotę się rozpłakać. Zdołała połknąć łyżę i znów zapragnęła z całego serca mieć swojego tatę blisko siebie.

Zachciało jej się siusiu. W domu, tam, gdzie się urodziła, wystarczyło pójść na plażę. Erbrow zastanowiła się, jak z tego dziwnego miejsca, w którym się znajdowała, można dotrzeć na plażę. Mama z pewnością by wiedziała, ale teraz śpi. Erbrow poczuła, jak bardzo Juna jest zmęczona, i nie ośmieliła się jej obudzić.

Ześlizgnęła się z łóżka. Światło jasnej nocy wypełniło cały pokój, obok mamy zobaczyła ozdobiony wijącym się bluszczem miecz, na którym zawsze smażyli omlety, teraz cały w zakrzepłej krwi. Erbrow wytrzeszczyła oczy i uciekła, bo nie chciała tego wszystkiego widzieć.

Szukając plaży, zastanawiała się, jak będą teraz smażyć omlety, nawet jeśli uda im się znaleźć gniazda mew.

Błąkała się i szła na oślep, nie znalazła żadnej plaży. Jej dom był łatwym do ogarnięcia miejscem, w środku się spało, a na zewnątrz rozciągała się plaża, i tam można było zrobić siusiu, nawet nocą, bez konieczności oddalania się za bardzo od taty i mamy, którzy spali. Jej dom był

miejscem, gdzie miecz z bluszczem pozostawał czysty i służył do robienia omletów, gdzie mieszkał tata, który opowiadał historie i śpiewał piosenki, kiedy ciemność zapadała i robiło się strasznie.

Ten dziwny dom, w którym teraz się znajdowała, ciągnął się bez końca, drzwi za drzwiami, i nigdzie nie dało się z niego wyjść. Erbrow zastanawiała się, co się stało z plażą. W końcu dotarła do ogrodu pełnego zielonych roślin i dużych kwiatów, które lśniły rosą pośród nocy, i tam problem siusiu został rozwiązany.

Dziewczynka zorientowała się, że się zgubiła. Jakkolwiek straszna była myśl o powrocie w pobliże zakrwawionego miecza mamy, niemożność dotarcia do Juny wystraszyła ją jeszcze bardziej.

Poczuła, że wzbierają w niej łzy, ale mama powiedziała że nie wolno płakać. Usiadła na ziemi, objęła kolana rękami i położyła na nich głowę.

Wyciągnęła swoją lalkę i trzymała ją w dłoni, przesuwając palcami po ociosanym drewnie. Ale nawet to nie przyniosło jej pocieszenia. Tata poleciał sobie wraz ze smokiem, a ona została sama. Nie wiedziała już, co się dzieje. Wszystko napawało ją strachem. I było takie okropne. Miecz do omletów zakrwawiony, mama także cała we krwi, a do tego jeszcze ona, Erbrow, zgubiła się. Doskwierało jej zimno.

Mama powiedziała, że nie wolno płakać.

I powtarzała, że chce być matką dwojga żywych dzieci.

Braciszków było dwóch i będą żywi.

Ona jest niepotrzebna, może sobie iść.

Skulona na ziemi, Erbrow zapragnęła, by jej tata przybył i zabrał ją ze sobą na skrzydłach smoka. Pomyślała, że jeśli zatrzyma swoje serce, tak się stanie. Mama i tak ma przecież braciszków, a ona się zgubiła...

Wiedziała, jak można samemu zatrzymać swoje serce. Jej tata nie zrobił

tego wprawdzie, lecz gdy jego spojrzenie zagubiło się w jej oczach, pomyślał o tym, i ona to zrozumiała.

Ktoś jej dotknął. Erbrow uniosła główkę i pośród słabego światła dostrzegła wysoką postać z lekko lśniącymi włosami i przez moment pomyślała, że wreszcie jej tata przybył ją zabrać. Ale smoka nigdzie nie widziała.

To jednak nie był tata, lecz młoda kobieta ubrana jak mężczyzna, z łukiem przełożonym przez ramię i z misterną siecią srebra i pereł, podtrzymującą jej włosy. Przyklękła na jedno kolano, by spojrzeć Erbrow prosto w oczy.

- Czy mogę wam w czymkolwiek pomóc, moja mała pani? - spytała.



Erbrow zmieszała się. To było trudne pytanie. Podczas gdy starała się wymyślić, jak na nie odpowiedzieć, nieznajoma znów przemówiła.

- Mam na imię Aurora - przedstawiła się i lekko skinęła głową.

Dziewczynka przytaknęła. Natychmiast powściągnęła swoją rozpacz.

Zastanawiała się, czy także powinna się przedstawić. Była bardzo onieśmielona, nie chciała jednak sprawić wrażenia nieuprzejmej. Tacie zawsze tak bardzo zależało na uprzejmości. Wskazała na samą siebie.

- Ebbou - zdołała wydusić z siebie.

- To piękne imię, moja mała pani, i prawdziwy zaszczyt dla mnie móc je poznać - stwierdziła Aurora.

Erbrow przytaknęła.

- Smoka - poczuła się w obowiązku uściślić informację, wskazując na siebie samą.

- To imię smoka. Rozumiem. Nosicie imię ostatniego ze smoków, tego, któremu wasz ojciec, w swych młodszych latach, towarzyszył w locie.

Erbrow skinęła głową, a potem długo mierzyła wzrokiem Aurorę, widoczną w słabym świetle pochodni.

- Teaz - szepnęła.

- Teraz? Teraz... Chcecie mi powiedzieć, że wasz ojciec i smok teraz znów są razem i latają?

Erbrow przytaknęła. Wreszcie znalazła kogoś, kto cokolwiek rozumiał.

- Pozwolicie, że was przytulę? - spytała niespodziewanie Aurora.

Erbrow się zgodziła i po chwili została otoczona przez ciepłe i miękkie ciało, opatulone materiałami, którego dotyk sprawiał przyjemność.

Wtuliła głowę w ramiona Aurory i poczuła zapach powietrza i wiatru, przypominający jej trochę tatę. Młoda kobieta długo głaskała ją po włosach. Nie było to wprawdzie to

samo, co móc się rozplakać, ale przynajmniej znalazł się ktoś, kto ją przytulał, podczas gdy ona mówiła o swoim tacie, a to już coś. Zimny i ciemny głaz, który miała w sobie, odkąd ujrzała tatę, jak umierał, zaczął

się trochę zmniejszać. Gdyby mogła rozplakać się w ramionach kogoś, kto zapłakałby razem z nią, ten głaz jeszcze bardziej by zmałał i zielone wspomnienie skrzydeł smoka wyparłoby ciemnoczerwone wspomnienie krwi, ale mama powiedziała, że nie wolno płakać, i Erbrow nie ośmieliła się tego zrobić.

- Wasza lalka jest bardzo piękna - powiedziała jej jeszcze Aurora. - To wspaniale mieć taką lalkę. Nigdy nie jest się samotnym.

Erbrow prawie zdołała się uśmiechnąć. Podobało jej się, że Aurora mówiła do niej, małej osóbką, w ten sam sposób, w jaki zwraca się do dorosłych.

- Mam nadzieję, że jeśli urodzę córeczkę - dodała Aurora - to będzie mogła mieć lalkę tak piękną jak wasza, i wtedy nigdy nie będzie sama.

Tym razem Erbrow rozpromieniła się w uśmiechu. Zadowolona, wodziła paluszkami po swojej laleczce wystruganej z drewna.

- Zgubiliście się? Ten pałac jest bardzo duży i łatwo tutaj zabłądzić. Jeśli pozwolicie, odprowadzę was. Mogę wziąć was na ręce?

Wiem, gdzie śpi wasza matka - dodała.

Erbrow przytaknęła. Ogarnęło ją zmęczenie. Wspaniale, że Aurora wzięła ją na ręce. Wszystko było ciepłe i miłe w jej objęciach. Erbrow położyła głowę na jej ramieniu i pomyślała, że gdyby opłakała śmierć swojego taty tam, w tamtej chwili, zimny kamień, który czuła wewnątrz siebie, zupełnie by się rozpuścił. Kiedy znalazły się w dziwnym pokoju, gdzie stało bardzo duże krzesło całe ze złota, Aurora postawiła ją na ziemi.

- Tam, na wprost, jest wasza matka. Bądźcie przy niej, ona was teraz potrzebuje, i to bardzo. Pamiętajcie, że nie możecie się zgnębić. Miasto oblegają orkowie, lecz wasza matka odniosła wspaniałe zwycięstwo, i teraz Daligar jest nie do zdobycia. Tej nocy **63**

zadano cierpienie, ale dzięki Junie, jej waleczności i odwadze, nieskończenie większe męki zostały zażegnane. Za sprawą waszej matki i krwi, jaką przelano, dzieci w tym mieście nadal mogą używać słowa

„jutro”. Juna nie będzie mogła teraz z wami zostać, bo musi obronić was i miasto przed śmiercią oraz zniszczeniem, i tylko ona zdoła to uczynić.

Nikt nie ma jej siły. Nikt nie jest tak odważny. Wy, moja mała pani, jesteście najważniejszą osobą w

mieście. Bez was wasza matka poniesie klęskę, a bez waszej matki my wszyscy zginiemy. Nie gubcie się zatem więcej, błagam was. Teraz muszę już iść. Wiatr się uspokoił i mgła się podnosi. Niedługo połknie światło księżycy i wszystko stanie się niewyraź-

ne, jak we śnie. W ciemności mogę się wymknąć z miasta. Mój koń jest najszybszy w królestwie, a jego maść wtapia się w cień i mgłę tak, jak kolor mojego ubrania. Znam wszystkie skróty, które w ciemności tylko ja jedna potrafię odnaleźć. Mogę przedostać się przez Wzgórze Nowego Księżyca, które oddzielają nas od Varil. Muszę jechać, by wezwać bardzo silnego wojownika, który będzie walczył zamiast waszej matki, a wówczas ona będzie mogła zostać przy was.

Erbrow przytaknęła, odczuwając ulgę. Wreszcie znalazła kogoś, kto rozumiał, gdy ona mówiła, i wytłumaczył jej, co się stało. Świat przestawał być tylko zamęt, wyłaniał się z zagadkowego mroku, i teraz kilka promieni słońca zaczęło prześwitywać przez mgłę. Aurora mówiła spokojnym głosem, który przypominał szelest zarośli, kiedy nad morzem nie wieje wiatr. To był głos, w który można się wtulić. Pochylić głowę i zamknąć oczy. Erbrow chciała śnić sen o tym, że śmierć taty nie będzie już boleć.

Wreszcie znalazła kogoś, kto mówił i robił coś, co miało sens.

•Nie be - poleciała zaniepokojona.

•Oczywiście - zapewniła ją Aurora. - Będę uważać, by nie stało mi się nic złego. Teraz idźcie. Wasza matka was potrzebuje. Mogłaby się obudzić i nie znaleźć was obok siebie, a to byłoby dla niej straszne. -

Skłoniła się, odchodząc.

Dziewczynka znów kiwnęła głową, i dygnawszy, odbiegła. Chciałaby ciepłej pożegnać Aurorę i wymówić jej imię, lecz było to akurat imię z wyjątkowo licznymi „r”, tą spośród wszystkich głosek, która jest najbardziej złośliwa i trudna.

- Aoa - powiedziała cicho. Bez tych złośliwych liter imię stawało się niczym lekki powiew w upalny dzień.

Minęła trzy komnaty i w końcu dotarła do łóżka swojej mamy.

Najpierw szła, przyciskając się do ściany, na której znajdował się kominek, a potem przecięła pokój, kierując się w stronę łóżka, tak by nie oglądać już zakrwawionego miecza.

Zwinęła się w kłębek jak kotek, uważając, by nie dotknąć sukni matki tam, gdzie była brudna od ciemnej czerwieni, i starając się nie spoglądać na inne plamy.

Wszystko było ciepłe i usłyszała bicie serc braciszków.

Pośród nocy, która lada moment miała przejść w brzask, zaczęły się pojawiać nowe zapachy, delikatna woń podpłomyków, które się piekły, podsmażanych placków, i nadziei, które znów ożywały. Pianie koguta niosło się w powietrze.

Erbrow zamknęła powieki i jej umysł zagubił się pośród marzeń sennych, niczym płatek śniegu w morskiej wodzie.

# S

łońce świeciło już pełnią swego blasku, gdy Jutrznia się zbudziła. Jak za każdym razem, gdy otwierała oczy, tak i teraz dopadła ją rozpacz po stracie Yorsha, i jak zawsze - odpędziła ją od siebie. Nadejdzie czas na płacz, rwanie szat i włosów z głowy, lecz to jeszcze nie jest ten moment.

Jej szaty już były w strzępach, włosy zostały zgolone i miała całą armię orków obozujących przed północną bramą miasta tchórzy i tępaków, którzy całymi latami radowali się z zaszczytu bycia poddanymi Zarządcy.

Erbrow spała zadowolona tuż obok niej, a rana, którą Królowa miała na ramieniu, zdążyła się zagoić. Jutrznia uznała to za dobry znak, ucałowała swoją córkę w czoło i choć z wielkim trudem, podniosła się.

Dzień wstał radosny i przyniósł przyjemne niespodzianki. Kosz podpłomyków i jabłek, stojący w Małej Sali Nowego Tronu, powitał

władczynię. Na tronie leżała również dziwna szata, z nakładających się na siebie płacht, z suknią niezszytą na brzegach. Pod to miała włożyć prawdziwe spodnie, o wiele bardziej nadające się do jazdy konnej. Cały strój był czarny, a przy kołnierzyku miał złote hafty. Płachta najbardziej wewnętrzna, która przylegała do gołego ciała, była z lnu, podczas gdy ta zewnętrzna - z aksamitu, ciepłego i wytrzymałego. Na podłodze stały rozmaite pary butów, wszystkie czarne, w różnych rozmiarach, tak by **66**

któreś na nią pasowały. Na dnie kosza Jutrznia znalazła kawałek sera owczego i spojrzała na niego z prawdziwym wzruszeniem: nie jadła takiego od śmierci swoich rodziców. Poszła położyć go razem z podpłomykiem i jabłkiem obok Erbrow, by mała znalazła je, jak tylko się obudzi, a potem zastąpiła swoją brudną, podartą tunikę nowym ubiorem, nakładając go na siebie tylko jedną ręką, bo drugą wpychała sobie do ust podpłomyk. Wróciła do Małej Sali Nowego Tronu.

Odgłos kroków uprzedził ją o nadejściu Przełożonego Domu Królów, który spojrzał na nią szczęśliwy.

•Muszę wam podziękować - zaczęła Juna, a jego spojrzenie napełniało się dumą. - To ubranie jest naprawdę piękne i wygodne. Jak wpadliście na pomysł zrobienia czegoś, co byłoby jednocześnie ubraniem kawalerzysty i tuniką?

•To dama Aurora - odparł. - Wyjaśniła mi, jak je zrobić, a ja wydałem odpowiednie dyspozycje. W nocy zrobiliśmy pierwsze, a dziś wykonamy drugie takie ubranie. Pracowaliśmy w godzinach nocnych, ale z wielką radością, moja pani. Ale przede wszystkim musicie podziękować damie Aurorze. - Mężczyzna nie chciał najwyraźniej podziękować. - Gdyby nie ona, nigdy bym nie wpadł na pomysł uszycia spodni, które wyglądają na pozór jak suknia. Ona pokazała nam swój strój i pozwoliła wziąć miarę...

Radość częściowo zniknęła z twarzy władczyni, lecz choćby nie wiadomo jak nie znosiła Aurory, szata, którą teraz nosiła, była zbyt wygodna, aby z niej zrezygnować.

Na szczęście Przełożony miał dla niej wiadomość.

Aurora nie będzie się już jej narzucać. Jak przybyła, tak i odjechała.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi kazała opuścić most zwodzony, ryzykując tym samym ściągnięcie na siebie wszystkich orków lub - co gorsza - ich wtargnięcie do miasta, po czym zniknęła w ciemnościach i mgle. Gdzie wyruszyła, tego nie wiadomo.

Juna przypomniała sobie, że nie wydała rozkazu kategorycznie zabraniającego opuszczania mostów zwodzonych, przyjmując

jąc jako oczywisty fakt, iż nikt nigdy nie odważyłby się na taką głupotę, lecz teraz zdała sobie sprawę, że nie doceniła tępoty tutejszych ludzi. Tak, w Daligar nigdy nie należało być niczego pewnym.

Zadała sobie w duchu pytanie, czy Aurora wpadła w ręce or-ków, i myśl o tym lekko ją zabolęła, bo ta kobieta uratowała jej w końcu życie.

Jutrznia z przerażeniem przypomniała sobie, że ją przeklęła, lecz zdusiła w sobie tę myśl. To nie był czas na bawienie się w przesady...

Zresztą nie ona przepędziła Aurorę. Nie jest odpowiedzialna za jej los.

Juna upewniła się, że ktoś zajmie się Erbrow, a potem udała się na mury.

Ta sama mgła, która osłoniła uciekającą Aurorę, otulała teraz cały świat, zamazując jego kontury. Jak wyjaśnił jej Przełożony Domu Królów, nawet na początku lata, tej bezdeszczowej pory, kotlina Dogonu, leżąca u podnóża Gór Ciemności, wypełniała się na jakiś czas gęstą mgłą, która zjawiała się nagle, czyniąc świat nierozpoznawalnym, i równie niespodziewanie się podnosiła, zmieciona przez wiatr wiejący z północy.

Orkowie nieudolnie starali się zniszczyć wielki most zwodzony i bramę północną. Aby to jednak zrobić, potrzebowali tarana i jakiejś kładki, która umożliwiłaby im przekroczenie rzeki, a nie mieli ani jednego, ani drugiego. Zdołali jedynie zbudować maleńkie tratwy, które pokonywały Dogon wypełnione żołnierzami, uzbrojonymi oprócz mieczy także w siekiery. Mieli oni spróbować zwalić ciężkie, drewniane bale bram. Małe tratwy płynęły pod gradem strzał, tracąc równowagę na skutek strat w za-

łodze i przewracane przez silny prąd. Nawet mityczny Srakkiolo, głupi ork z opowiadań i ballad, nie wpadłby na tak idiotyczny pomysł.

Mozolne próby trwały cały dzień. Kiedy któryś z wrogów, trafiony przez łuczników, wpadał do rzeki, barwiąc jej wody swoją krwią, wśród daligarczyków wybuchał entuzjazm, jednak orkowie **68**

natychmiast zastępowali straconego żołnierza innym i zaczęli od nowa.

Jutrznia była spokojna - nawet jeśli komuś udałoby się dostać do bramy, flaszeczki z płynem zapalającym i ogień dokonają dzieła zniszczenia.

Popołudniem zerwał się wiatr, mgła ustąpiła i wrócił zdrowy rozsądek, a orkowie zaprzestali swych prób.

Ich atak był długi, absurdalny i się nie powiódł.

Jutrznia się rozpogodziła.

Wtem od strony wschodnich murów podniosły się krzyki i wystrzeliły złowieszcze kłęby dymu.

Jutrznia zrozumiała, co się dzieje.

Atak orków był długi, skomplikowany, dobrze przemyślany i jednak się powiódł. Nie doceniła ich. Popęłniła dwa błędy: nie przyszło jej do głowy, że pomysł wroga polegający na atakowaniu od strony północnej bramy byłby naprawdę zbyt głupi. A potem, gdy oglądała orków wspinających się na śliski słup, nie wpadła na to, na potrzeby jakiej strategii owi akrobaci zostali wyszkoleni.

Pospieszyła na mury razem z żołnierzami i zdążyła jeszcze zobaczyć wrogów, jak uciekają, schodząc niczym wiewiórki po zewnętrznej ścianie muru.

Dwaj żołnierze leżeli na ziemi z poderżniętymi gardłami. Tak bardzo pochłonęło ich oglądanie pozorowanego ataku, że pozwolili orkom wspiąć się na bastiony.

Celem nie było sforsowanie murów miasta, lecz po prostu odwrócenie uwagi, dywersja w części północnej, tak aby równocześnie oddział lekko uzbrojonych wojowników akrobatów przepłynął rzekę na jednej z ocalałych łodzi, wspiął się niedostrzeżony przez nikogo na południowe mury i porwał sześcioro dzieci.

Pale sterczące niczym żądła z murów Daligar, stworzone z myślą o zniechęceniu do ataku na miasto, umożliwiały wylewanie wrzącej smoły na oblegających. Jednocześnie jednak mogły ułatwić wspinaczkę. Jutrznia znów nie doceniła bezgranicznej



głupoty swojej armii. Mozolne szkolenie w zakresie bezmyślności, trwające pokolenia, przynosiło teraz owoce: ponieważ nie rozkazała wartownikom na murach, by pozostali na swych miejscach i spoglądali na dół, ci idioci po prostu tego nie zrobili.

Z dymem poszły trzy składy tego, co zostało z zapasów żywności dla całego miasta.

To był doprawdy pech, jak skomentował zajście dowódca żołnierzy, że akurat te trzy budynki wybrano, by je podpalić. Przecież nie były połączone ani z murami, ani między sobą.

Juna pomyślała, że jeśli to pech, to okazał się zbyt duży, by miał być przypadkowy, i nasza ją myśl, że ktoś być może dał orkom plan miasta.

Grupa zrozpaczonych i płaczących matek zastąpiła jej drogę. Ktoś poinformował ją, że również Jastrin został porwany.

Do krzyków pozostałych dołączył spokojny głos Przełożonego Domu Królów, zagłuszony natychmiast przez głos Marszałka Dworu. Donieśli jej, że orkowie budują stos z drewna dla zakładników i albo miasto się podda, albo ich spalą.

Pierwsze - nie do przyjęcia, miasto zginie; drugie - niegodziwe, krzyki zakładników i swąd ich zwęglonych ciał będą, jak by to powiedzieć...

deprymujące.

- Deprymujące? - powtórzyła Juna, dzielnie walcząc z pokusą uduszenia Marszałka własnymi rękami.
- Deprymujące - potwierdził tamten, kręcąc głową. - Zarówno dla wszystkich mieszkańców, jak i dla mniejszej grupy najbliższych krewnych.
- Dla mniejszej grupy...?

Marszałek wskazał niepewnie na rozpaczające matki. Juna zastanowiła się, dlaczego Zarządca nie zabrał ze sobą tego nieznośnego dworzanina.

Jedyna odpowiedź, jaka przysła jej do głowy, była taka, że najwidoczniej również on go nie znosił.

Grupka matek przestała płakać i szykowała swoją broń. Błysnęły noże do krojenia pieczeni i małe toporki do ucinania głów domowemu ptactwu.

- Moja pani - powiedziała jedna z kobiet, niemal jej wzrostu, w ubraniu z szarej juty. Miała piękną twarz o regularnych rysach, rozświetloną ciemnymi oczami i brązowe włosy, które można było dostrzec pod chustą ze zmechaconej wełny. - Moja pani, widziałyśmy was, jak walczyacie. Widziałyśmy, jak zwyciężacie.

My także będziemy walczyć. Nasi mężowie odeszli z Zarządcą, bo ich żołnierskim obowiązkiem było wykonywać jego rozkazy, ale teraz powrócą, by walczyć za nas i nasze dzieci. Pod ich nieobecność walczyć pójdziemy my.

Juna spojrzała na nią i przytaknęła. Nigdy nie zdobyłaby się na to, aby kazać tej kobiecie zostać na miejscu i patrzeć, jak na stosie płonie jej dziecko. Nigdy nie zdobyłaby się również na to, aby patrzeć, jak tamta idzie dać się zabić. Miała w sobie dziecko, które musiała chronić, lecz w tym momencie, stojąc twarzą w twarz z inną matką, wiedziała, że nie chce, by przyszło ono na świat, gdzie przyglądano się beczynnemu innym dzieciom palącym się żywcem na stosie. Już prędzej wolałaby, żeby umarło w ciszy w jej łonie, nie poznawszy nigdy bólu przychodzenia na ten świat.

Poza tym był jeszcze Jastrin.

„Jakby był twoim własnym synem”, powiedział Yorsh.

•Ależ oczywiście, że pójdziemy. Pójdziemy wszyscy. Osiodłajcie mojego konia, zwołajcie żołnierzy.

•Pani - zaprotestował Marszałek. - To szaleństwo!

•Nie da się ukryć! - zgodziła się Juna. - Jednakże ci zdrowi na umyśle zabrali swój rozsądek ze sobą, gdy uciekali w Góry Północy, ratując wyłącznie własne kupry. Zostaliśmy tylko my, kobiety, dzieci i szaleńcy, by dyskutować z armią orków o sensie życia i śmierci. Tak czy inaczej, jeśli pójdziemy podyskutować o tym wszyscy razem, to zabawa będzie lepsza, niż gdybyśmy

mieli wybierać się grupkami, jedni na stos, żeby spłonąć żywcem, a drudzy na mury, by popatrzeć sobie, jak palą się ci pierwsi.

Wyruszyli natychmiast. Przejechali po opuszczonym moście, a krata w bramie miasta opadła ciężko za nimi.

Lada moment stos zostanie ukończony i zapłonie. Zachodnią bramę otwarto. Juna z pięcioma kawalerzystami, czterema żołnierzami, którzy dosiedli koni zabranych orkom, i resztą pieszo, pospieszyli na zewnątrz.

Do matek dołączyły inne kobiety, babcie, ciotki i wszyscy mężczyźni, jacy pozostali w mieście. Ich wojsko było zbieraniną niedobitków, uzbrojonych w to, co szczęśliwie mieli pod ręką, lub w ogóle bez broni. Ale zyskali pewną przewagę: dla orków ich wyjście stanowiło zaskoczenie. Plany zupełnie absurdalne mają tę jedną zaletę, że są nieprzewidywalne dla przeciwnika. Juna zobaczyła, jak orkowie uciekają. Całe ich morze otworzyło się przed nimi.

Rozproszenie koni orków dawało armii Daligar, jakkolwiek żalosnej, niepodważalną przewagę, bo dzięki temu wybiegowi tylko oni dysponowali kawalerią.

Ze złośliwą radością Jutrznia zdała sobie sprawę, że orkowie nie wzięli pod uwagę ani ich natychmiastowej reakcji, ani jej wściekłości.

Wojownicy uciekali przed nimi, jakby zobaczyli jakiegoś demona albo same erynie. Wydawali z siebie dziwne, ochryple i obelżywe dźwięki, osobliwe przekleństwa rzucane piskliwym głosem i wykonywali rozpaczliwe gesty, takie, jakie powtarza się często, gdy chce się coś od siebie odsunąć.

Jutrznia i pięciu kawalerzystów dotarli do stosu. Olej nie została jeszcze wylany, bo uniemożliwił to ich atak. Jeden z orków rzucił na stos pochodnię, lecz wywołał tylko skwierczenie i trochę dymu. Bez oleju płomień nie wystrzelił w górę. Ogień podłożony pod żywe ciała nie zapłonął.

Ork, który rzucił pochodnię, został zaatakowany z góry. Usłyszeli ochryply krzyk i dwa duże białoniebieskie skrzydła rozpostarły się szeroko: to Angkeel wreszcie powrócił ze swoich myśliwskich łowów.

Jastrin, zaraz po Erbrow, był drugą osobą, którą ptak kochał najbardziej na świecie. Ork krzyknął i upadł, cały we krwi, która rozlała się na jego rozdartą maskę wojenną.

Jutrznia spięła Enstriila, by wyskoczyć na stos, i zdołała dotrzeć do Jastrina. Jednym ciosem miecza Yorsha przecięła łańcuchy, którymi przywiązano chłopca do pierwszego z pali, i uwolniła go. By to uczynić, musiała schylić głowę, i był to szczęśliwy ruch, gdyż dzięki temu uniknęła strzały, która wbiła się w pal na stosie. Juna żałowała, że nie poświęciła czasu na szukanie jakiegoś hełmu i wsadzenie go sobie na głowę, teraz osłanianą jedynie przez koronę. Lada moment grad strzał zasłonił czyste niebo tego słonecznego dnia. Mgła zniknęła zupełnie przy ciepłym wietrze. Wysoko w górze mewy znad Dogonu przecinały bezkres nieba.

Juna pomyślała, że jeśli przyszłoby jej umierać, wolałaby gradobicie albo przynajmniej jakąś ulewę.

Pospieszyła ze swoim mieczem do innych dzieci. Pozostali kawalerzyści wzięli na siebie orków łuczników, dając reszcie czas na uwolnienie jeńców. Tym razem nie było ucieczki ani niezrozumiałych przekleństw -

daligarczycy zostali zaatakowani. Dwaj żołnierze odnieśli rany. Matki zorientowały się, że orkowie nie walczyli z nimi, tylko się cofali. Rzuciły się ze swoimi śmiesznymi toporkami i nożami do obierania ryb z łusek czy patroszenia kur - w stronę łuczników, dzięki czemu wojownicy Daligar również zyskali na czasie.

Nagle dźwięk rogu przeciął równinę.

Juna podniosła wzrok i ujrzała grupę kawalerzystów nadjeżdżających ze wschodu. Varil wysłało posiłki! Świat ludzi postanowił się podnieść i walczyć, by odzyskać dla swoich dzieci prawo do życia!

Słońce było wysoko na niebie, a pierwszy z kawalerzystów był bez hełmu.

Nawet jeśli Jutrznia nie rozpoznałaby wspaniałego rumaka w kolorze dymu z czarną grzywą, blask włosów nie pozostawiał wątpliwości. Aurora wracała i winni jej byli dozgonną wdzięczność za to, że wpadła na znakomity pomysł ściągnięcia pięćdziesięciu konnych żołnierzy. Nie mieli sztandarów i nawet z tej odległości można było odróżnić ich zbroje z cudem trzymających się razem metalowych płytek, cholewy nie do pary i poobijane hełmy lekkiej kawalerii, ale mimo wszystko - walczyli. W

pobliżu jednego z nich, który musiał być dowódcą, biegł pies. Pies?

- Ależ to wilk! - wykrzyknął dowódca żołnierzy, który zbliżył

się do Jutrzni, by ją chronić.

Zidentyfikowawszy najslabszy punkt oporu, czyli zachodnie skrzydło wrogiego wojska - oddziały małych orków znad bagien - grupa kawalerzystów przerwała ofensywę nieprzyjaciela i nadjeżdżała, by im pomóc. Setka wielkich orków z gór z tarczami w kształcie wilczych pysków i halabardami zdobionymi kłami spróbowała na nowo uformować szyk, lecz kawalerzyści znów go przełamali, z siłą, której nie sposób było się przeciwstawić. Zobaczyli stos i dzieci, i ich furia nie miała granic.

Okrzyk wojenny uniósł się w powietrzu i przypominał wściekły ryk lwa:

- Teraz. TERAZ. TEEEERAAAAZ!

Rozbrzmiewał za każdym razem z coraz większą siłą. Juna rozpoznała swój własny głos, zjednoczony z wołaniem wszystkich pozostałych.

Rozpoznała słaby głosik Jastrina i krzyk matek.

- Teraz. TERAZ. TEEEERAAAAZ!

Teraz powstańmy. Teraz walczy. Teraz uwolnijmy naszą ziemię. Wasz terror kończy się teraz. Teraz.

Oddział kawalerzystów ustawił się między baterią orków a Juną, dając jej czas na zebranie swoich ludzi i poprowadzenie ich w bezpieczne miejsce, za mury obronne. Wszystkie dzieci

zostały uratowane. Zaraz po nich do miasta wjechali jeden po drugim kawalerzyści, Aurora jako przedostatnia na swoim rumaku w kolorze mgły, a na końcu ten, który bez cienia wątpliwości dowodził oddziałem.

Był to bardzo wysoki wojownik, dosiadający mizernej szkapy, która jak tylko poczuła się bezpieczna, zatrzymała się tak gwałtownie, że o mały włos nie wyrzuciła kawalerzysty z siodła. Olbrzym w hełmie zaklął.

Jego wilk, zdyszany po biegu, zatrzymał się tuż przy nim.

Duży ork, jeden z rozproszonych jeźdźców, zdołał wskoczyć na most, gdy ten już się podnosił, i udało mu się przeturlać pod wielką kratą, zanim opadła z hukiem. Był to przerażający wojownik: zarówno jego hełm, jak i maskę wojenną pokrywały wilcze kły. Rzucił się w stronę Jutrzni, lecz potknął się o wilka, który natychmiast go zaatakował, dając czas dowódcy nowo przybyłych, by stawił wrogowi czoła. Mężczyzna ściął go jednym ciosem miecza zabranego jakiemuś orkowi, bez osobnej rękocyści, z uchwytem będącym przedłużeniem ostrza. Juna pomyślała, że choć istnieje niewiele rzeczy tak strasznych jak nienawiść wobec kogoś, kto właśnie ma zamiar cię zabić, to jednak w pozbawianiu przeciwnika głowy jest coś okropnego. Znowu zastanowiła się, czy orkowie mieli matkę lub ojca i czy byli kiedyś niemowlętami. Niedaleko leżały trupy kilku wrogów, którym najwidoczniej udało się wejść do środka, gdy na krótko kratka pozostała podniesiona i zostali powaleni przez łuczników broniących miasta.

Juna miała ochotę paść na kolana i podziękować niebiosom czy komukolwiek za przybycie odsiecz. Nie tylko wszyscy żyli, ale też pojawiły się pierwsze posiłki. Dowódca oddziału zdjął hełm i Juna podniosła wzrok, by spojrzeć mu w twarz. Wtedy ulga zamieniła się we wściekłość.

Rozpoznała Kapitana, człowieka stojącego na czele kawalerii Daligar.

Widziała go jeden jedyny raz, osiem lat temu, u wejścia do przełęczy Astrid, lecz to wystarczyło, by jego twarz na zawsze pozostała w jej pamięci.

Ten człowiek zabił Erbrowa i chciał zgładzić także ich, ale nie zdołał

tego zrobić, bo ostatni wspaniały lot ostatniego wspaniałego smoka, jakiego stworzył ten świat, zamknął przełęcz Astrid za plecami uciekinierów.

Z pamięci Juny znów wydobyły się wielkie zielone skrzydła, rozpostarte tuż pod księżycem, i strzały, które je powaliły. Przypomniała sobie zieloną plamę, wypełniającą jej sny i sny zrozpaczonego dziecka.

Jej nienawiść do Kapitana była mniejsza jedynie od tej, którą odczułaby, gdyby stanęła naprzeciw samego Zarządcy.

To bez wątpienia wykonawca okrutnych rozkazów tyrana.

Mężczyzna zobaczył Junę i przypomniał ją sobie albo - być może w związku z tym, że upłynęło zbyt wiele lat, by mógł pamiętać rysy jej twarzy - nie rozpoznał jej, tylko domyślił się, kim była. Zsiadł z konia i zbliżył się do niej.

Nadal trzymała w dłoni swój miecz - ostrze elfów zalśniło, gdy przyłożyła je do gardła Kapitana. Był bardzo wysoki i niezwykle silny, zdawał się rzeczywiście niezwyciężony. Z wielką satysfakcją Juna dostrzegła przerażenie w jego oczach. Dało się słyszeć groźne warknięcie wilka.

•Przytrzymaj wilka - nakazała.

•Lisentrail, przytrzymaj go - powiedział Kapitan. Z dziką radością Jutrznia znów zobaczyła strach w jego twarzy.

# K

iedy Aurora przyniosła mu straszną wiadomość, Rank-straila ciągle dręczył okropny strach. Po tym, jak stracił ostatniego z elfów, istniało ryzyko, że nie zdąży uratować jego małżonki i dzieci.

Nawet się nie domyślał, jak wielkie było niebezpieczeństwo, w którym znalazł się Yorsh. Zbyt pochopnie uznał go za niepokonanego i nie zatroszczył się o to, by go chronić. Choćby miał żyć wiele lat, do końca swych dni nie wybaczy sobie, że nie zdołał zapobiec jego śmierci.

Teraz świat rodu ludzi został pozbawiony jedyne wojownika, który był

w stanie ten świat uratować. Jedyne, zdolne przypuścić kontratak.

Niczym parszywego psa powalono tego, co potrafiłby doprowadzić ich do zwycięstwa.

Parę chwil, które spędził w jego obecności, wystarczyło Rank-strailowi, by zdecydować o złożeniu przysięgi wierności. Po tym jak Aurora powiadomiła go o śmierci ostatniego z elfów, Rankstrail postanowił, że za wszelką cenę uratuje jego małżonkę i dzieci.

Nie miał wątpliwości co do tego, że człowiekiem, który rzucił się walecznie przeciw całej armii orków, by ratować dzieci znajdujące się w niebezpieczeństwie, nie mógł być nikt inny, jak tylko żona ostatniego z elfów i spadkobierczyni najpotężniejszego króla Daligar - krucha kobieta w ciąży.



Rozpoznał nie tylko koronę i miecz, ale przede wszystkim odwagę.

Tak bardzo chciał ją uratować Junę.

Dopiero gdy Królowa Czarownica przyłożyła mu do gardła ostrze tego samego miecza, którego blask towarzyszył odsieczy Varil, Rankstrail zdał

sobie sprawę ze swojego błędu: nie pomyślał, że dla niej jest zabójcą smoka i co gorsza, sługusem Zarządcy.

Gdy czubek miecza drasnął jego gardło, Rankstrail przeraził się nie na żarty.

Ludzie, którzy pod nim służyli, nie opuścili go, bo ich wierność była absolutna. Lepsza połowa jego armii - ci, którzy urodzili się w Varil i mieli w mieście jakichś krewnych, może nawet i rodzinę - pozostali na rozkazy księcia Erika. Ci, którzy przybyli tu z nim, albo nie mieli ojczyzny, albo byli dziećmi ziem, których nazw lepiej nie wymawiać. Nie posiadali swojej historii lub ciążyła na nich przeszłość, do której lepiej się nie przyznawać. Byli przeklęci, odrzuceni. Każdy z ludzi, którzy stali za nim murem, kiedyś trafił do więzienia lub w ręce kata, z wyjątkiem karłów, uzbrojonych w siekiery i wcielonych do armii najemników po zwolnieniu z prac przymusowych w kopalni. Tych nie chciano nawet w więzieniach, bo byli zdolni zniszczyć cele.

Jedynym, co trzymało razem to stado mężczyzn, oprócz nienawiści do orków, był on.

Jeśli Królowa Czarownica go zabije, oni ją zmasakrują. Rankstrail byłby winien nie tylko śmierci smoka i Yorsha, ale także śmierci jego małżonki.

A po jej zabiciu, rozerwą na kawałki Aurorę, córkę mało wielbionego Zarządcy, przekonani, że jej prośba o pomoc w rzeczywistości stanowiła przynętę mającą zwabić ich w śmiertelną pułapkę.

Rankstrail zdołał gestem powstrzymać kogoś, kto już spieszył mu na ratunek. Lisentrail na szczęście zdążył uspokoić wilka, zanim ten sięgnął

gardła wojowniczką. Aurora zsiadła z konia i również nadbiegała, by interweniować.

- Pani - zaczął spokojnym głosem - nazywam się Rankstrail, jestem Kapitanem najemników z Daligar. Wiem, kim wy jesteście. Przysięgłem waszemu małżonkowi, że mój miecz jest na jego usługi, i teraz przynoszę go wam, by chronić najlepiej jak mogę was i wasze dzieci. Jeśli uważacie, że za śmierć ostatniego ze smoków zapłacić mam życiem, to przysięgam wam, że pozwalam wam mi je odebrać, ale jeszcze nie teraz, lecz dopiero kiedy skończę czy się obłączę.

Lisentrail zbladł. Przełknął ślinę, potem, wciąż trzymając wilka za skórę na karku, zrobił kilka kroków do przodu.

•Tak naprawdę smoka... - zaczął niepewny.

•Cisza - powiedział twardo Rankstrail.

•Poznaliście Yorsha? Poznaliście mojego małżonka? - spytała Królowa Czarownica. Nacisk jej miecza na gardło Rankstraila nieco zelżał.

•Wspólnie walczyliśmy. Razem oswobodziliśmy miasto Va-ril, otoczone przez smoków... On... Ja... Wykonywaliśmy rozkaz pojmania go -

kontynuował Kapitan. Nacisk miecza zwiększył się. Wściekły szmer, jaki podniósł się wśród bandy Rankstraila, lada moment mógł się zamienić w ryk. - Wykonywaliśmy rozkaz pojmania go i dostarczenia Zarządcy. Nie wiedzieliśmy, że Varil było oblegane, Zarządca zataił tę informację, lecz wasz małżonek wiedział, że miasto umiera, i to on poprowadził nas, by je oswobodzić. Był tym, którego ścigaliśmy, a stał

się tym, za którym podążyliśmy, naszym przywódcą... my... razem.

•Razem z wami? Zabójcą Erbrowa? - spytała Królowa z sarkazmem.

Nacisk miecza osłabł.

•My, tam wtedy, kiedy później smok umarł, uratowaliśmy was... -

wymamrotał nieśmiało Lisentrail, próbując znów włączyć się do rozmowy.

Władczyni nie była uosobieniem łagodności. Szybko zabrała miecz z gardła Rankstraila, lecz tylko po to, by przyłożyć go do gardła kaprała.

Rankstrail wreszcie odetchnął. Odwrócił się do

swojej bandy i dał znak, że nie potrzebuje wsparcia i że nie chce, by ktokolwiek ośmielił się ruszyć czy nawet pisać słówko.

•Kiedy smok umarł! - powtórzyła Królowa. - Pięknie powiedziane.

Można by odnieść wrażenie, że dostał gorączki albo kataru.

•Jestem jedynym człowiekiem odpowiedzialnym za działania mojego wojska i jedynym, który ponosi ich konsekwencje - odezwał się znów Kapitan. - Jeśli chcecie mojego życia, oddam je wam, ale później, kiedy nie będzie już orków stojących pod Dali-gar. W każdym razie, pani -

dodał Rankstrail po chwili - dopiero co uratowaliśmy wam życie.

•Jakże temu zaprzeczyć?! - odpowiedziała władczyni, na której nie zrobiło to większego wrażenia. - Uratowaliśmy mi je przed orkami, ale nikt mi nie powie, czy aby nie po to, żeby za kilka dni oddać je w ręce Zarządcy, którego, jeśli wybaczyście to nieco przykre określenie, jesteście sługą. Co więcej, zostaliście wezwani przez córkę tego samego człowieka, który kazał powiesić moich rodziców i zamordować mojego małżonka. Ponadto, dziewczę, o którym mowa, pędziło konno aż do was, przy czym nie spadł jej włos z głowy, a to wszystko na terenach, gdzie panoszy się mnóstwo orków. A na dodatek - i to dopiero prawdziwy zbieg okoliczności! - ci sami orkowie musieli właśnie otrzymać jakimś sposobem bardzo szczegółowe informacje na temat planu miasta, ponieważ trzy składy żywności zostały podpalone. Dajcie mi jakiś powód, bym miała wam ufać, Kapitanie, i to szybko.

Królowa Czarownica pozostała w bezruchu. Wilk, którego Lisentrail nadal przytrzymywał, warknął. Wreszcie Kapitanowi przyszło coś do głowy.

-Pani, wy macie jakąś setkę ludzi, ale ja mam ich pięćdziesiąt ciu, lepiej uzbrojonych i na koniach. Sam nie podniosę na was miecza, lecz moi ludzie nie darują nikomu mej egzekucji. Jeśli wymordujemy się tu nawzajem, jedni drugich, nikt nie powstrzyma orków.

- Wolałabym wiedzieć, po czyjej stronie jesteście, dopóki ja mam setkę ludzi, a wy pięćdziesięciu, zwłaszcza że banda orków obozuje tuż pod miastem.
- Wasz małżonek mi ufał. Razem oswobodziliśmy Varil.

Władczyni długo się nad tym zastanawiała, pośród ciszy przerywanej tylko przez warknięcia wilka, potem powoli opuściła miecz.

- To prawda - przypomniała sobie Juna. - Przyznaję, że to prawda. Wspomniał o was, gdy starał się przekonać Zarządcę, by walczył przeciwko orkom albo żeby przynajmniej nie przeszkadzał w tym jemu... „Ja i wasz straszny Kapitan z jego przerażającą armią”, to były jedne z wypowiedzianych przez niego słów, nim został zabity. To prawda. On wam ufał. Był gotów mieć w was sprzymierzeńca... Mówicie, by poczekać, aż oblężenie zostanie przerwane i dopiero rozważyć wszystkie za i przeciw... Wydaje mi się, że to rozsądne rozwiązanie. Jakkolwiek by było, i tak nie mam wyboru. Rozkażcie zaraz wszystkim członkom waszej armii, żeby trzymali się ode mnie z daleka i milczeli jak grób w mojej obecności. Nie ma cierpliwości wśród moich licznych zalet.

Królowa odwróciła się i odeszła. Przechodząc obok chudego chłopca, dopiero co uwolnionego, pochyliła się nad nim i upewniła się, czy nic mu nie jest.

•Zrobili ci coś, Jastrin? - spytała.

•Nie, nic mi nie zrobili, Juno, to znaczy, moja pani - odrzekł chłopiec. -

Przybyłaś na czas. Byłaś wspaniała.

•Dziękuję - odparła władczyni. Nie uśmiechnęła się jednak.

•Ej, Ju.... moja pani, wiecie, dlaczego przed wami uciekli? - zapytał

triumfalnie chłopiec.

- Nie, ale jestem pewna, że ty to wiesz.

Chłopiec uśmiechnął się zadowolony.

- To kwestia zasad, a te orków są bardzo surowe. Dla nich kobiety to istoty o wiele gorsze, w ich hierarchii stoją tak ni-

sko, że dzielą ostatnie miejsce z psami. Tymi z ulicy. Rozumiecie? Fakt, że napawaliście ich obrzydzeniem, zadziałał na waszą korzyść. Jeśli jakiś wojownik stanąłby z wami do walki, a wy byście go pokonali, ta hańba nie tylko kosztowałaby go życie, ale i spadłaby na jego ród po wieczne czasy.

Jednak nawet w razie zwycięstwa za samo zniżenie się do poziomu kobiety i walkę z nią honor orka zostaje na zawsze splamiony, a to jest dla orków naprawdę bolesnym doświadczeniem, nawet śmiertelnym.

•To dlaczego tamtej nocy stawili mi czoła?

•Bo was nie rozpoznali. Nie zauważyli, że jesteście kobietą. To tak nieprawdopodobne, by jakaś kobieta w ciąży stanęła do walki z nimi, że musieli was wziąć za mężczyznę. Macie włosy zgolone na tyso, galopowaliście na koniu, w płaszczu, było ciemno. A nawet jeśli któryś z nich dostrzegł, że jesteście kobietą, i do tego w ciąży, co dla nich jest jeszcze gorsze, ciemność chroniła go przed wzrokiem innych orków.

Teraz jednak już dobrze wam się przyjrżeli.

•Interesujące - skomentowała władczyni. - Doprawdy interesujące.

Szkoda że ich podręcznik dobrych manier, tak szczegółowy i surowy, za niestosowne uznaje stawianie czoła kobiecie w walce na miecze, ale za to nie zabrania powalenia jej gradem strzał.

•No wiesz, to znaczy, chciałem powiedzieć, wiecie: moja pani, nie można za dużo wymagać - skomentował chłopiec bardzo poważnie, po chwili namysłu. - A wiecie, jaka rzecz jest najgorsza dla orka oprócz walki z kobietą? Jeszcze gorsza niż być pokonanym? To zostać ściętym! Nawet już po śmierci. Ścięcie uniemożliwia wojownikowi, by z godnością mógł

błąkać się po królestwie zmarłych. To dlatego orkowie tak lubią nabijać głowy naszych na dzidy, w ten sposób nie tylko ich mordują, ale i niweczą ich wieczność.

•Wyjaśnij mi - poprosiła Jutrznia - czy według orków, jeśli ktoś zginie, przebijając mieczem, kalecząc lub ścinając innych, **82**

ma bezwzględne prawo pójścia do piekielnego świata, byle tylko jego głowa pozostała na karku?

•Tak, tak właśnie jest.

•A ten ich świat piekielny? Jastrin wykonał

niejasny gest.

•Mogą tam robić to, co podoba im się tutaj, ale bez ograniczeń. Jeśli tylko będą walczyć odważnie po stronie orków i nikt nie odetnie mu głowy. Ork wolałby umrzeć spalony żywcem albo w męczarniach niż we własnym łóżku, ale ze świadomością, że potem jego ciało ktoś pozbawi głowy.

•Nieprawdopodobne!

Królowa odeszła na drugą stronę placu, gdzie w pobliżu studni leżeli dwaj ranni żołnierze. Lisentrail, jak tylko upewnił się, że jest zbyt daleko, by go usłyszała, znów się odezwał:

- To była żona elfa? W takim razie to Czarownica.

Kilku mężczyzn zbliżyło się do nich, chcąc zrozumieć, co się dzieje.

Rankstrail przytaknął i przyglądając się jej, znowu pomyślał, że była urodzonym przywódcą.

- Wierzę, że tamten niczego się nie bał, przy takiej żonie. Ej, Kapitanie, jak to się stało, że zabili elfa? To chyba wcale nie jest takie proste. Sam stanął przeciw całemu wojsku.

•Wzięli jako zakładniczkę jego córkę, dziewczynkę. On sam musiał się dać im zabić, inaczej zgładziliby małą - wyjaśnił Kapitan.

•To była parszywa zagrywka, naprawdę parszywa. Kapitanie, a ty skąd to wiesz? Córka Zarządcy ci powiedziała? Ja tam wcale bym nie powiedział, że on naprawdę zginął. Udawał i tyle.

•Nie, zginął naprawdę - odparł Kapitan. - Jego ciało zostało spalone, a potem, kiedy już nie żył, tam, gdzie wyciekła jego krew, wyrosły stokrotki, tak samo jak z krwi smoka. Jej, córce Zarządcy, opowiedział

o tym ojciec.

•Z tego powodu Czarownica jest taka wściekła? Czemu złości się i na nas? Przecież to nie my go zabiliśmy. Smok to co innego, to była nasza robota, ale jej z mężem nie mamy przecież nic wspólnego.

•To dlatego, że ślepo wypełnialiśmy rozkazy obłąkanego zbrodniarza -

odparł Kapitan - i hańbę, jaką nas to okryło, już na zawsze będziemy nosić w sobie, my i nasze dzieci. Hańba jest jak krąg, raz zbudowany, już nigdy się nie rozerwie.

•Nie wygaduj bzdur, Kapitanie, my jesteśmy najemnikami. Nie żyjemy wcale tak długo, żeby je mieć, to znaczy żeby mieć dzieci, o ile w ogóle znalazłaby się jakaś kobieta, która by nas zechciała. Ej, Kapitanie -

dodał jeszcze - masz może pojęcie, co będziemy jedli i gdzie będziemy spali. Bo jak już zdechniemy, z naszej krwi nie wyrosną żadne stokrotki ani nawet byle źdźbło trawy. Dlatego warto by było jednak coś przekąsić. Cały dzień spędziliśmy w siodle, żeby zwalić się do miasta obleganego przez orków, gdzie nikt nas nie chce, i jesteśmy o pustym żołądku, a do tego, jeśli orkowie nie obdadzą nas ze skóry, to ta Czarownica każe nas powiesić... Szwagierka mojej kuzynki mawiała, że we wszystkim trzeba zawsze szukać dobrych stron...

Rankstrail wciąż przyglądał się władczyni. Była mądra, odważna i skora do szybkiego podejmowania decyzji. Niestety, potrafiła też logicznie myśleć, a logika przemawiała w tym momencie na jego niekorzyść.

Jeśli tylko ból i wściekłość nie popchną jej w stronę niesprawiedliwości, będzie mogła zostać wielką królową.

Aurora, skamieniała, uczestniczyła w wymianie zdań. Nagle mała dziewczynka o czarnych lokach, bosych stopkach i w niebieskim fartuszk przebiegła dziedziniec, by rzucić się w jej ramiona: młoda kobieta uśmiechnęła się do niej szczęśliwa i dziewczynka wybuchnęła śmiechem.

Królowa natychmiast do nich podeszła.

- Nie ważcie się dotykać mojej córki - syknęła.

Uśmiech zniknął zarówno z twarzy Aurory, jak i z twarzyczki Erbrow.

Błękitne oczy małej i zielone oczy córki Zarządcy straciły momentalnie cały swój blask i wydawało się, że stały się szare. Aurora postawiła dziewczynkę na ziemię i odwróciła się, by spojrzeć w twarz władczyni.

•Moja pani - powiedziała spokojnie - wybaczone mi, lecz nie mogę wam pozwolić, byście myśleli, że mogłabym zrobić jej krzywdę.

•Nie ośmielajcie się dotykać mojej córki, nigdy - powtórzyła Królowa, biorąc dziewczynkę na ręce.

Wśród wszystkich obecnych, żołnierzy, tłumu mieszkańców i matek z uwolnionymi dziećmi, zapadła absolutna cisza, przerywana jedynie gdakaniem kilku kur w mieście.

•Uratowałam wam życie, moja pani.

•Przed orkami - przyznała Juna. - Również dlatego, że beze mnie niemożliwe jest ocalenie miasta, a wam i waszemu ojcu najwyraźniej trudno z Daligar zrezygnować. Musicie mi wyjaśnić, jak udało się wam przejechać bezpiecznie przez ziemie opanowane przez orków i jak to się stało, że ci tam na zewnątrz dowiedzieli się, gdzie trzymaliśmy nasze jedzenie. Wyjaśnijcie bardzo spokojnie, bo ciężko mi będzie to zrozumieć.

Aurora nie spuściła wzroku i uparcie wpatrywała się swoimi zielonymi oczami w ciemne oczy władczyni.

- Moje ubranie i mój koń zlewają się z otoczeniem, w ciemności i we mgle słabo je widać, a poza tym jest pewien skrót, którym można przeciąć zakole Dogonu. Prowadzi przez krzaki jeżyn i skały, a jest niedostępny dla tych, którzy go nie znają. Tą drogą udałam się do Varil i tą drogą wszyscy razem przybyliśmy.

Orkowie nie wiedzą o tym przejściu i niepodobna ich tam spotkać. Jeśli zaś chodzi o mapę miasta, to mogła pochodzić tylko od mego ojca. Musiał pertraktować z orkami. Zdradził Varil, dając orkom mapę w zamian za pokój z Daligar, a teraz sprzedaje ją sto, ale w zamian za co - tego nie wiem. Jestem córką mego ojca, **85**

pani, jakże temu zaprzeczyć? To jednak niewystarczający powód, byście mieli mi nie ufać. Ja to ja, moja pani, nie mój ojciec.

- Krew waszego ojca płynie w waszych żyłach, jesteście jego córką. Wasze dłonie mają taki sam kształt jak dłonie człowieka, który kazał zamordować mojego małżonka, biorąc moją córkę jako zakładniczkę. Macie to samo czoło, ten sam uśmiech. Dlaczego miałabym się nie obawiać, gdy zbliżacie dłonie do mojej córki?

Dlaczego miałabym się wówczas nie spodziewać, że trzymając ją jako zakładniczkę, zamordujecie



mnie i dziecko, które w sobie noszę? W moich stronach mówi się, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jak zauważył wasz przyjaciel Kapitan, z orkami u bram miasta nie mam zbyt wielkiego wyboru, ale nie zbliżajcie się do mojej córki, nie ważcie się nawet spoglądać w jej stronę, bo was zabiję.

Aurora zbladła. Jej wzrok zagubił się w pustce.

•Pani! - włączył się Kapitan, który miał już tego wszystkiego dość. -

Dama Aurora pędziła konno całą noc, by przybyć wam na ratunek, ryzykując życiem. Kusiała los, przybywając do Varil, gdzie początkowo została wzięta za wysłannika swego ojca, którego już podejrzewano o zdradę. Kusiała też los, kiedy pędziliśmy wam z pomocą, wybawiając, pani, dzieci na tym stosie, mężczyzn i kobiety, którzy starali się uwolnić je i was od pewnej i okropnej śmierci. Lecz przede wszystkim kusiała los tej nocy, pędząc, ona, kobieta, zdana tylko na siebie i swojego konia, przez ziemie opanowane przez orków. Jeśli o mnie chodzi, uznaję swoją winę i gotów jestem odpowiedzieć za swe czyny, gdy tego zechcecie, kiedy tylko zostanie przerwane obłączenie, lecz proszę i żądam sprawiedliwości dla moich ludzi, którzy opuścili miasto, gdzie traktowani byli jak przyjaciele i oswobodziciele, aby przybyć tutaj i walczyć, a może i umrzeć za was. Jak możecie być tak okrutni?

•Ani wy, ani nikt inny nie ma prawa o nic mnie prosić, podobnie jak czegoś ode mnie żądać. Ocaliliście mnie, to prawda, **86**

ale powtarzam, beze mnie miasto jest zgubione, a ocalenie mnie oznacza tylko tyle, że po prostu nie chcecie oddać Daligar w ręce orków.

Widziałam, jak strzały przebijają ciało mego małżonka, moja córka musiała patrzeć, jak umierał. Macie czelność mienić się jego zwolennikiem! Z takimi przyjaciółmi jak wy nie są już potrzebni wrogowie. Gdybyście nie powalili smoka, który mu towarzyszył, pozostałby niezwyciężony. Skoro staliście się jego towarzyszem broni, dlaczego nie byliście z nim, by go chronić, kiedy ludzie Zarządcy go zabijali? Jak mogę być tak okrutna? Codziennie pilnie się tego uczę -

ciągnęła oschle władczyni. - Moi państwo, ostatni wojownik, poza wielką dzielnością odznaczał się także dwornymi manierami, a skończył pobity jak zapchlony kundel. Już tylko moje okrucieństwo uchroni moje dzieci od śmierci, i zapewniam was, że tego okrucieństwa nie oszczędzę nikomu.

Aurora była sina, lecz na dźwięk głosu Kapitana jej spojrzenie odzyskało blask. Uprzejmym gestem powstrzymała Rankstraila, co oznaczało, że miała właśnie zamiar sama udzielić odpowiedzi. Wciąż nie spuszczając wzroku z twarzy Królowej, lekkim skinieniem głowy przyznała jej rację.

- Macie rację, okrucieństwa mojego ojca nie da się z niczym porównać i nierozważne byłoby z waszej strony okazać mi jakąkolwiek uprzejmość, jakiegokolwiek, choćby najmniejsze oznaki tolerancji. Będę unikać wszelkiego zachowania, które mogłoby was zaniepokoić, łącznie ze zbliżaniem się do waszej córki, gdyż rozumiem wasz niepokój i pojmuję, iż moja niewinność nie wystarczy, by go złagodzić.

Pojawił się orzeł o biało-niebieskich skrzydłach. Kapitan po raz pierwszy zobaczył orła w takim kolorze. Pomruk zdziwienia uniósł się nad jego armią. Ptak zrobił kilka okrążeń na tle czystego nieba i przysiadł na ramieniu Królowej Czarownicy. Dziewczynka przytuliła go z całej siły i ukryła twarz w jego piórach.

Na murach rozbrzmiały okrzyki, powtarzane imiona, nie tak jak wtedy, gdy się kogoś woła, lecz gdy się go rozpoznaje. Favolo, Carolo, Aiolo...

jeden z żołnierzy wychylił się i krzyknął do Królowej:

•Moja pani! Przyjdźcie zobaczyć. Oni...

•Ścieli kawalerzystę, który zginął przy pierwszym ataku. Żołnierzy, którzy pełnili wartę przy ogniach sygnalizacyjnych także. Pani!

Przyjdźcie zobaczyć, co oni zrobili z ich głowami!

Lisentrail był znów w pobliżu Kapitana, razem z Trakrailem.

- Ej, Kapitanie, te pierwsze, jakie widzą, że aż tak się dziwią? -

spytał.

Z głębi placu podniosły się jęki, powtarzane w kółko „Nie”. Znów rozpoznano ofiary: Favolo, Carolo, Aiolo...

- To muszą być krewne ściętych, matki i żony - skomentował

Trakrail i krzyknął: - Nie pozwólcie im wejść na mury! Nie pozwólcie im tam wejść!

Królowa odwróciła się do Trakraila i przez chwilę mu się przyglądała, potem obróciła się w stronę grupy kobiet, najwyraźniej chcąc je zatrzymać, lecz było za późno - zdążyły już wejść na strome kamieniste schody. Juna próbowała za nimi nadążyć, lecz szła bardzo powoli). Miała córeczkę na ręku, orła na ramieniu i brzuch ciężarnej. Pospieszył za nią jakiś stary dygnitarz.

i musiała się oprzeć do muru i zbladła.

Lamenty kobiet uniosły się w powietrzu, ciche i pełne rozpacz, bez krzyku. Królowa dotarła na szczyt schodów bez tchu :, by go odzyskać.

Potem odwróciła się twarzą. Zrobiło jej się niedobrze. Z obozów orków dobiegały nieprzyzwoite, pełne gróźb okrzyki w ordynarnym, potocznym języku.

Dziewczynka zaczęła płakać. Królowa kazała zabrać stamtąd swoją córkę, oddając ją na ręce dygnitarzowi. Potem zbliżyła się do grupy kobiet i przywołała je, pocieszyła i przegnała z murów.

- Idźcie stąd! Opłakujcie ich z dala i opłakujcie, wspominając, jak wspaniałymi byli mężczyznami za życia. Pani, przypominacie sobie waszego męża w dniu, w którym was poślubił? A więc nie przyglądajcie się jego zwłokom zbezczeszczonym przez orków, to przestaną takie być. Pamiętajcie ten

moment, gdy wasz syn po raz ostatni się do was uśmiechnął? Zachowajcie go w sercu i nie myślcie o niczym innym. Oni nie chcieliby waszych spojrzeń spoczywających na ich martwych ciałach. Nie patrzcie na nich.

Kobiety zeszły na dół, jedna za drugą. Płacze ucichły.

Niestety orkowie dojrzeli dziecko. Teraz wiedzieli, że słabym punktem Królowej Daligar jest dziewczynka w niebieskim fartuszkach o czarnych lokach.

Kapitan zapragnął, by nikt nigdy nie musiał go opłakiwać.

Królowa była blada. Odwróciła się do Kapitana i do dowódcy swoich żołnierzy.

- Każcie ścinać wszystkich orków, jacy wpadną w wasze ręce -

rozkazała. - Począwszy od tych, którzy przyszli dziś dać się zabić tutaj, na placu. Macie już jednego bez głowy, pozostaje wam reszta. Zróbcie z ich wojownikami to, co oni robią z naszymi zmarłymi. Natychmiast.

Dziewczynka znów wybuchnęła rozpaczliwym płaczem i nic nie wskazywało na to, by miała się uspokoić.

•Ścinajcie wszystkich - rozkazał Kapitan - i nasadzajcie głowy na dzidy tak, jak oni to robią, wysoko w górze, żeby było je widać.

•Kapitanie, orkowie prócz głów na dzidy wsadzają również jedzenie, my go nie mamy.

•Wsadźcie tam, co chcecie, byle było kolorowo.

Wielu ludzi Rankstraila i cała grupa karłów przyjęli rozkaz z dzikim okrzykiem.

Lisentrail pozostał milczący, a Trakrail spróbował się sprzeciwić.

•Kapitanie! - szepnął. - Nigdy tego nie robiliśmy.

•A teraz zrobimy - odparł oschle Kapitan. - Skoro jedyny strach, jaki możemy wzbudzić w tych bestiach, to lęk przed upokorzeniem, czekającym ich bezgłowe ciała podczas przechadzek po królestwie zmarłych - wzbudźmy go.

# K

iedy Jutrznia oderwała się od muru i z powrotem zeszła do korytarza, było jej niedobrze.

Zobaczyła nasadzoną na jedną z dzid głowę powalonego kawalerzysty. Spojrzała w wytrzeszczone i puste oczy oraz na piegi, które po śmierci zbladły, nabierając ohydneho żółtawego koloru. Dokoła, na innych dzidach, znajdowały się głowy tych, którzy pełnili straż przy ogniach sygnalizacyjnych i - wobec karygodnego braku odpowiednich rozkazów - pozostali na posterunku i tam też zginęli. Inaczej niż poprzedniej nocy, dzidy zostały dodatkowo przystrojone jedzeniem: cebulą i kiełbasami, prawdopodobnie po to, by zakpić z głodu obłączonych lub dać wyraz własnej pogardzie dla śmierci, obojętności dla ohydy, bo nawet ta nie przeszkodziłaby orkom opychać się jedzeniem, na którym pasły się te same gzy, które obsiadały oczodoły zabitych.

Orkowie czekali na nią i gdy tylko się pojawiła, zorientowali się, że to Królowa. Jutrznia miała na głowie koronę, można więc było ją bez trudu rozpoznać, poza tym na rękę trzymała równie rozpoznawalną Erbrow.

Równie dobrze Juna mogła wykrzyknąć na cały głos, że to ona dowodzi w Daligar, a mała dziewczynka w błękitnym fartuszk to druga, zaraz po niej, najważniejsza osoba w mieście, darzona przez matkę bezgraniczną miłością.

Po groźbach i gestach, wymierzonych przez wrogów bardziej w dziewczynkę niż w nią samą, Jutrznia zrozumiała, jak maleńkie **91**

miały być kawałki, na które rozszarpaliby jej córkę, i jak dobrze by się przy tym bawili. Znów zakręciło jej się w głowie na myśl o tym, że to, co dla niej stanowi dobro najcenniejsze na świecie, dla nich jest jedynie karaluchem, którego należy unicestwić najszybciej, jak to możliwe.

Kilku ludzi Rankstraila wykonało jej rozkazy. Przechodząc przez dziedziniec, Jutrznia stanęła przed bezgłowym korpusem ostatniego z napastników, tego, któremu spojrzała w oczy, nim został zabity, i znów zrobiło jej się niedobrze. Chwiejąc się na nogach, wymierzyła kopniaka w okrągłą tarczę orka. Była ciężka i tylko lekko się obróciła. Została zrobiona z drewna, a na środku miała klamrę z żelaza, całą pokrytą intarsją. Jutrznia zdziwił ten widok. Pochyliła się, by obejrzyć skomplikowany wzór, jaki tworzyły figury geometryczne, zazębiając się jedna z drugą i tworząc z tych samych elementów coraz to inny wzór.

Dziecko w jej brzuchu kopało.

Jutrznia rozkazała dowódcy łuczników sprawować kontrolę nad wartownikami. Najmniejsza nieuwaga mogła kosztować ich klęskę miasta i musiała być karana zgodnie z najsurowszym rygorem. Obecność jakiegokolwiek wroga w odległość co najmniej dziesięciu stóp od rzeki miała być natychmiast sygnalizowana. Jeszcze przed zapadnięciem wieczoru na ostrych palach obronnych miasta zawieszono zostaną lampiony, by oświetlić mury i rzekę i uniemożliwić niespodziewany atak.

Jutrznia z całego serca pragnęła pobiec do Erbrow, nie tylko po to, by pocieszyć ją po ohydnych groźbach orków, które dziewczynka musiała usłyszeć, a prawdopodobnie też i zrozumieć. Powinna ją

była pocieszyć i przeprosić za swoją nieuprzejmość, by użyć słowa drogiego Yorshowi, wobec Aurory, która z jakichś tajemniczych powodów, zapewne ze względu na swoje podobieństwo do Yorsha, wydawała się przyciągać do siebie dziewczynkę.

Znów nie mogła zrobić tego, co chciała. Obowiązki wzywały ją gdzie indziej. Nagle wyrósł przed nią Marszałek Dworu. Miasto **92**

było nie do zdobycia, lecz groził mu głód. Zapasy wystarczą na tuzin dni.

Racjonując żywność, być może dotrwaliby do miesiąca, lecz nie byłby to przyjemny czas. Zapasy oliwy, zboża, fasoli, grochu i kaszy zostały spalone. Pozostawały tylko małe zasoby, jakie miała w domu każda gospodyni - solona wieprzowina, rodzynki, miód, mąka - ale w niewielkich ilościach. Zamieniając konie nowo przybyłych na gulasz, być może zdołają przetrzymać półtora miesiąca, lecz taki pomysł wywołałby z pewnością portrety właścicieli rumaków, którzy nie wyglądali bynajmniej na skłonnych do kompromisów i nadmiernych poświęceń.

Królowa wydała rozkaz zliczenia wszystkich, łącznie z uciekinierami, wyszczególnienia liczby dzieci jeszcze nieletnich oraz sporządzenia inwentarza gęsi, gołębi i kurczaków w mieście co do ostatniego nieopierzonego pisklęcia. Wyczerpią do ostatka wszystkie zapasy. Będą jedli motyle, nietoperze, pająki. Niech każda matka w każdej rodzinie, która posiada choć trochę miodu, nauczy się karmelizować w nim karaluchy, które - zwłaszcza duże, a akurat w Daligar te insekty są ogromne - stanowią już jakąś przekąskę. O ile dobrze sobie przypomina, lochy pękają w szwach od szcurów i jest pewna, że z nadzieją z suchych kasztanów będą prawdziwym przysmakiem. Były jeszcze i karmazyny, które dwór zapomniał ze sobą zabrać i pływały w fontannach szlacheckich pałaców, a w wielkich klatkach zostały nieznośne papugi.

Należy rozdać łuki i niech wszyscy sprawni mieszkańcy nauczą się z nich strzelać. Przydałoby się, żeby strażnicy miasta na trochę porzucili swe obowiązki, aby zapełnić spiżarki domostw mewami. Oblężenie od strony północnej zostało przełamane. Nowo przybyli, kawaleria Kapitana, będą robili małe wypadki, żeby kontrolować północny brzeg i zapobiec nowemu oblężeniu, a przy tej okazji coś upolują. Sądząc po ich twarzach, nie wyglądali na takich, którzy się gubią w lesie, albo na których dzik robi wrażenie, albo takich, co potrzebują dobrej babci, żeby znaleźć drogę powrotną do domu.

- Pani - rzekł Marszałek - najgorsze jest to, że nie mamy wody.

Ta ze studni już prawie się kończy, a ta z rzeki jest tak zanieczyszczona przez orków, że picie jej może wywołać epidemię.

Jutrzni zabrakło słów: woda stanowiła problem nie do rozwiązania. To nie przez przypadek orkowie tak bardzo starali się ją zanieczyścić.

Podniósł się głos Jastrina.

- Wodę można oczyścić - wyjaśnił. - Wodę czyści się ogniem.

Wiedział o tym, bo Yorsh mu to wytłumaczył. Pokazał mu nawet jak, rysując palcem na piasku dziwne rzeczy, których należy do tego użyć, a on rozpoznał je, kiedy przechodzili tamtędy, gdzie robiło się perfumy.

- Retorty? Aparaty destylacyjne? - spytał Marszałek Dworu.

Tak, aparaty destylacyjne, retorty, to były te nazwy.

Jutrznia podziękowała niebiosom za Jastrina, za jego pamięć, waleczność i odwagę. On także walczył tym, co miał. Jego nogi były słabe, ale duch potężny. Yorsh miał rację, warto było strzec Jastrina tak, jakby był jej własnym synem.

Spędziła resztę dnia z chłopcem i Marszałkiem Dworu. Nim zapadła całkowita ciemność, udało im się zrozumieć, jak działały przyrządy destylacyjne i retorty. Teraz powoli i za pomocą całego drewna, jakim dysponowali, mogli oczyszczać wodę z rzeki. Przy wielkiej oszczędności, odrobinie szczęścia i deszczu, przetrzymają bezpiecznie także brak wody.

Kiedy Jutrznia dotarła do swoich apartamentów, Erbrow spała już od jakiegoś czasu. Przełożony Domu Królów poinformował ją, że dziewczynka zjadła, i podał kolację - to, co określił jako „niebiańskie zające w musie z rodzynek i orzeszków piniowych serwowane z dodatkiem wykwintej szalotki”. Talerz był biały ze złotymi zdobieniami, a po bokach zostały rozłożone: mały nożyk i maleńki widelczyk ze srebra, które Jutrznia, podnosząc jedzenie rękami w kierunku ust, obejrzała z zaciekawieniem i zachodziła w głowę, do czego mogły służyć. Do tej pory nie zda-94

wała sobie sprawy z tego, jak wielki odczuwała głód, wilczy głód kobiety spodziewającej się dziecka.

„Niebiańskie zające” były bodaj najsmaczniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek jadła, i powiedziała to starszemu panu, który uśmiechnął się uszczęśliwiony.

•Skąd bierzecie nietoperze? - spytała z pełnymi ustami. - I jak wam się udaje karmelizować ich skrzydła?



•Podziemia są pełne tych stworzeń, moja pani - odparł zadowolony starszy pan. - Do karmelizowania skrzydeł używamy miodu z sokiem z cytryny - robią się przepysznie chrupkie. To ten sam przepis, który wykorzystujemy do płatków róż, proporcje są identyczne. Wiecie, moja pani, byłem zrozpaczony: nasze spiżarnie to w tej chwili pusta skorupka jajka. Dzisiejszy pożar ich nie tknął, ale nie oszczędzili ich za to uciekający dworzanie, którzy ogołocili je z wszystkiego. Na szczęście dama Aurora doradziła mi nietoperze z podziemi. Nigdy nie przyszedłby mi na myśl tak niecodzienny posiłek, a jednak to, co powiedziała, jest prawdą: mają jeszcze delikatniejszy smak niż królik czy zając.

•Dama Aurora? - spytała Jutrznia.

A co córka Zarządcy mogła wiedzieć o takich sprawach? Musiała się przecież wychowywać na samych przysmakach w kwitjącym ogrodzie jej radosnego dzieciństwa, nie będąc nigdy zmuszoną do polowania na mniej lub bardziej odpychające bestie w najbardziej dziwacznych miejscach, byle tylko nie zdechnąć z głodu.

- Tak - podjął znów starszy pan. - Powaliła nawet z łuku zwie rzęta konieczne do przyrządzenia kolacji i poradziła mi, by na moczyć je w wodzie i soli, żeby łatwiej było ściągnąć z nich skórę.

To ciekawe, że dziewczynka, która zawsze żyła w dostatku, by nie powiedzieć: w przepychu, dysponuje tak niesamowitą wiedzą.

Informacja ta bardzo zmniejszyła przyjemność, jaką sprawiła Jutrzni kolacja, a smak wszystkiego wydał jej się nagle mniej wspaniały, co jednak nie było wystarczającym powodem, dla

którego nie miałyby dokładnie obgryźć każdej kosteczki. Podczas gdy tak jadła, z łokciami na haftowanym obrusie i skrzydłami nietoperza w palcach, Przełożony Domu Królów położył obok niej krótki miecz w kształcie półksiężyca, z ciężką rękojeścią z kamienia i miedzi oraz brelokiem w kształcie kuli z nefrytu, w której odcisnięty był obraz wschodzącego słońca. Miecz wisiał na skórzanym pasku, bardzo starym i zużyтым, tak jak zniszczona i zużyta była pochwa tej dziwnej broni. Sam miecz i brelok zdołały jednak, jakikolwiek był ich wiek, przetrwać nienaruszone przez długi czas.

Jutrznia przyjrzała się tym przedmiotom i poczuła dziwną radość na myśl o posiadaniu ich, jak gdyby musiały one do niej należeć. Wzbudzały niepokonane pragnienie, aby je dotknąć, nigdy dotąd nieodczuwaną chęć trzymania ich w ręku.

Spojrzała pytająco na starszego pana.

- Należały do sir Arduina, moja pani - powiedział. - To wszystko, co nam po nim zostało. Inne części jego uzbrojenia, ogromny miecz, którym zazwyczaj walczył, wszystko jest z nim pochowane. To są jedyne jego rzeczy, jakie jeszcze posiadamy. Miło mi, że jesteście tacy szczęśliwi na ich widok. I pomyśleć, że gdyby nie dama Aurora, nie przyszłoby mi na myśl, aby iść ich poszukać i wam wręczyć.

Ostatnią rzeczą, jaką zrobiła Jutrznia, nim poszła się położyć, było wydanie rozkazu przebrania jej córki w cokolwiek, co nie będzie błękitne, oraz zakrycia jej włosów. Przełożony Domu Królów przypomniał sobie, że zachował wszystkie suknie i tuniki, które nosiła Aurora jako dziecko.

Nakrycia głowy były białe, a suknie karmazynowe. Myśl o tym, że Aurora została jej aniołem stróżem, rozzłościła Jutrznię, lecz jeśli Erbrow miała stać się mniej rozpoznawalna, matka gotowa była zaakceptować stare sukienki dziecka Zarządcy.

W końcu Królowa dotarła do łóża i wyciągnęła się pod jasną kołdrą tuż obok swojej córeczki, która obudziła się i objęła ją.

Jutrznia długo jeszcze nie mogła zasnąć, chłonąc radość dziecka i całując ciemne loki, tak samo całowała ją kiedyś jej matka, a potem także Yorsh.

Erbrow usnęła, nie wypuszczając jej z uścisku, a po jakimś czasie także Juna zamknęła oczy i zapadła w krótki, przerywany i niespokojny sen.

Wspomnienia i koszmary przeplatały się na zmianę z niejasnymi obrazami.

Dni mijały powoli.

Na początku przeważał entuzjazm. Dla miasta, które stanęło w obliczu śmierci, fakt że ocalało był tak niespodziewanym sukcesem, że radość panowała dosłownie wszędzie i byle pretekst stanowił okazję do świętowania.

Dwukrotnie cudem pokonali orków, ponosząc przy tym niewielkie straty.

Oblężenie zostało częściowo złamane i teraz miasto było nie do zdobycia.

Na ratunek przybyła im cała konna armia i entuzjazm wciąż trwał, mimo że byli to ludzie, których od orków odróżniało jedynie to, iż nie nosili masek wojennych na twarzach. Właściwie to - jak szepnął jeden z mieszkańców - z założonymi maskami wielu ludzi Rankstraila wyglądałoby zdecydowanie lepiej. Nie żeby mężczyznom tym brakowało czegokolwiek wtedy, gdy ich matki wydały ich na świat. Ich brzydota była skutkiem bitew, a przede wszystkim pracy katów, którzy zeszpecili ich nieczęste uśmiechy, sprawili, że policzki stały się asymetryczne, a spojrzenia krzywe.

Z biegiem dni przyzwyczajono się do niewiarygodnego cudu, jakim było ocalenie, ale coraz bardziej doskwierał brak jedzenia i przede wszystkim uświadomiono sobie, że choć przerwane, oblężenie nie ustąpiło i samo nie ustąpi. Rozłożeni przed południową bramą miasta, po drugiej stronie Dogonu, orkowie

jedli, spali, polowali, budowali łódki i naprawiali swoje katapul-ty, ozdabiając także ich wysięgniki i ramiona skomplikowanymi geometrycznymi żłobieniami. Urządzali parady i turnieje, i nieraz mieszkańcy Daligar podglądali wroga z ukrycia, zza otworów strzelniczych, zauroczeni nienagannymi ewolucjami, tańcem, w którym ciała wojowników mijały się z bronią i z sylwetkami ich koni, które przepędzone w głąb lasu po przejeździe Jutrzni, powoli coraz liczniej powracały do obozu.

Oblegający mieli w bród rozmaitego wyposażenia, zważywszy na liczbę ograbionych gospodarstw i zdobytej broni. Muczenie, beczenie, gęganie gęsi oraz gdakanie kur docierały znad obozowisk, wypełniając mieszkańców Daligar żalem i tęsknotą za radosnymi, minionymi już czasami, kiedy tylko nędza trapiła miasto, a i tak zawsze znalazł się gdzieś kurczak.

Oblegające wojsko ponad wszelką wątpliwość świadczyło o tym, że wolno i leniwie upływający czas był najmniejszym problemem. Bez względu na to, ile trzeba będzie czekać na upadek Daligar, orkowie cierpliwie poczekają.

Rankstrail odnalazł Rosę. On i jego ludzie umieszczeni zostali w starych stajniach, gdzie przebywały ich konie, gdy oni sami byli w więzieniu. To właśnie ona dbała o porządek, i nie tylko Kapitan ucieszył się z ponownego spotkania: jego wilk skakał i wył z radości. Rosa wyjawiała Rankstrailowi, że podczas ich pobytu w więzieniu Zarządcy wilk został

ojcem. Umieściła go w tej samej klatce, w której trzymano wilczycę miasta. Mała kobieta zaprowadziła Rankstraila za dąb, gdzie stara krata zamykała coś w rodzaju nory, z wilczycą i jednym małym wilczkiem w środku - pięknym jasnobrązowym szczeniakiem.

Rankstrail wybuchnął śmiechem, a jego wilk nadal zawodził. Kapitan wziął to za dobry znak. Starsza kobieta poleciła mu uważać na matkę: bestia nigdy nie została okiełznana ani udomowiona, była dzika, niebezpieczna i nieprzystępna. Kapitan

obiecał, że będzie o tym pamiętał. Wesoły i skory do zabawy szczeniak podszedł, by polizać mu dłoń przez kratę.

Kapitan i jego ludzie każdego ranka wyjeżdżali południową bramą, ścigani strzałami z kusz orków z przeciwnego brzegu. Aby się przed nimi uchronić, otrzymali ciężkie tarcze regularnego wojska, które pozostały w zbrojowniach miasta. Kawalerzyści rozdzielali się pośród zarośli i kasztanowców, z których wracali z kilkoma królikami i paroma przepiórkami, czasem z dzikiem. Te ich wypady nie należały bynajmniej do najprzyjemniejszych: od pierwszego dnia spotykali małe bandy orków, którzy przekraczali rzekę na swoich łodziach, błyskawicznie zbudowanych. To właśnie te bandy udaremniały nawet marzenie o ucieczce, do tej pory żywe i gorące, które jednak teraz należało porzucić.

Ani w grupkach, ani razem nie mogli opuścić Daligar, które stało się jednocześnie schronieniem i pułapką, i dotrzeć do Alyil i Gór Północnych.

Tkwili w mieście, zbyt liczni, by uciekać, i zbyt słabo uzbrojeni, by walczyć.

Choć groziło im widmo głodu, Rankstrailowi mimo wszystko udawało się wyżywić swój zastęp, tak by nie zostały wyczerpane szczupłe rezerwy żywnościowe miasta. Patrowanie brzegu rzeki umożliwiało mu ponadto trzymanie koni w miejscu, gdzie rosła trawa, w mieście nie było bowiem siana. Nadto jego wilk biegał sobie, nie terroryzując ludności Daligar.

Mądra bestia nie kręciła się tam, gdzie kobiety uprawiały rachityczne bakłazany, a dzieci grały w klasy, narysowawszy na bruku kamieniami w różnych kolorach dom orka, z którego należało uciec.

Ludzie Rankstraila byli różnego pochodzenia i wszyscy obdarzeni krewkim charakterem. A odkąd Kapitan stoczył walkę u boku ostatniego z elfów, zmienił sposób, w jaki z nimi rozmawiał.

Elf nie kłamał. Nie kłamał ani nie przesadził.

Rankstrail zmienił język, a jego ludzie też się zmienili.

W świecie twardych głosów, urywanych zdań, obelg i powtarzanych ciągle sprośności bogactwo jego słownictwa i szacunek ioo

okazywany żołnierzom, książętom albo królom, stanowił skarb, który przynosił wspaniałe skutki. Zmniejszyła się liczba bijatyk. Komentarze na temat cudzych rodziców, kiedy każdy, mówiąc na temat narodzin tego drugiego, wyrzucał z siebie całą pogardę, jaką słyszał wcześniej skierowaną pod adresem własnej matki - złagodniały, stały się mniej zaciekle i okrutne. Nie znikła tylko nieustająca żołnierska paplanina, pełna nieprawdopodobnych i wymyślnych obelg, która miała właściwie swój subtelny urok.

Ponieważ również rozkazy na piśmie musiały być zrozumiałe dla jego wojska, Kapitan wypełnił swoim ludziom długie godziny patroli, wymagając od nich, by nauczyli się czytać. Postąpił tak samo

jak w Wysokiej Skale, lecz ludzie, którzy byli z nim wtedy, z wyjątkiem Lisentraila, Trakraila i Nirdly'ego, pozostali teraz w Varil.

Skoro przyszło im tkwić w Daligar, każdego nauczył podpisywać się swoim imieniem. Litery były kanciaste, koślawe i niepewne, wydłubywane sztyletami przez ogromne dłonie, które w okamgnieniu wypatroszyłyby muła. Wielu wyrzyło je na kamieniach lub na korze i Kapitan zorientował

się, że dzień w dzień jego ludzie wracali w te miejsca, by przeczytać swe imiona tam, gdzie je zapisali - ślad pozostawiony po sobie na tym świecie.

Wokół obozowych ognisk, gdzie gotowało się to, co upolowali, mężczyźni zaczęli opowiadać swoje historie. Coś takiego zdarzyło się pierwszy raz.

Kapitan nie potrafił odgadnąć, czy stało się tak wskutek zagrażającej im śmierci, czy też pozostawienie imienia na tym świecie wzmogło chęć podzielenia się własnym życiorysem. Były to ponure historie, a opowiadający przekazywali je niemal bez emocji, z wyjątkiem chwil, gdy mówili o swoich samotnych matkach, żyjących gdzieś hen w pobliżu Pogranicza Ziemi Znanych.

Starcia między ludźmi Rankstraila a bandami orków zwiększyły liczbę głów zarówno na stokach Daligar, jak i tych wokół ognisk nieprzyjaciela.

Kiedy któryś z jego ludzi ginął, a jego

IOI

głowa kończyła na jednej z dzid orków, Kapitan, przyglądając się Daligar sprzed południowej bramy, szukał miejsca, gdzie żołnierz zapisał swoje imię, i przebiegał dłonią po literach, by go zapamiętać. Inni również zaczęli to robić. Niektórzy dodawali ornamenty albo jakieś słowa upamiętniającego zabitego. Były to proste uwagi, takie jak „dzielny człowiek" albo „szkoda, że nie żyjesz", wyryte w kamieniu lub na drzewie.

Na szczęście orkowie nie mogli transportować koni na swoich łódkach wielkości orzecha, co wciąż dawało znaczną przewagę ludziom.

W obrębie miasta także powstały straty. Orkowie mieli około pół tuzina wielkich kusz. Trzeba było aż dwóch żołnierzy, by je obsługiwać, i choć nie mierzono, strzały docierały aż na mury, gdzie żołnierze wspinali się, by trzymać wartę i chronić miasto przed ewentualnym atakiem wojowników akrobatów. Nawet warta na murach obronnych, wymagająca częstego wychylania się, stała się zajęciem ryzykownym i niebezpiecznym. Strzały z wielkich kusz spadały na miasto: nadlatywały nagle, chaotycznie, i choć wszyscy starali się jak najmniej chodzić po ulicach, a jeśli już, to jedynie kruzgankami albo pod osłoną się tarcz, kilka osób zostało trafionych.

Na wewnętrznych dziedzińcach Aurora uczyła posługiwania się łukiem wszystkich, którzy mogli z niego skorzystać. Kiedy ktoś miał dobre oko, strzały trafiały w duże tarcze ze słomy. Córka Zarządcy, gdy nie była na dziedzińcach ze swoim łukiem, werbowała kobiety z miasta, by zorganizować w pałacu lazarety, gdzie ranni, którzy nie mieli rodziny, mogliby być leczeni. Pomysł, by kobiety miały

nie tylko przebywać blisko najemników, ale i dotykać ich, na początku uznano za niestosowny, lecz potem na niego przystano. Najmniej entuzjazmu wykazali mężowie z rodu karłów, którzy woleli, by pozostawiono ich w spokoju, z brudnymi bandażami, więc Trakrail, leczący ich przezutymi ziołami, nie zajmował

się ich myciem i nie przeszkadzało mu, że

102

leżą w towarzystwie koni. Arkry, mąż z rodu karłów, najstarszy z najemników, został draśnięty w podbrzusze. Oddano go w ręce Księżniczki Daligar, która spróbowała zmusić go do położenia się i powstrzymania się przynajmniej na jeden dzień od jedzenia czerstwego chleba z czosnkiem. Karzeł jednak uciekł aż do stajni, gdzie siedział sobie cicho przez kilka dni, dopóki Rosa nie odkryła go między korytami i nie postanowiła zająć się jego raną.

Po dwóch miesiącach oblężenia cały entuzjazm gdzieś znikł, a wesołość zupełnie ucichła.

Powoli, dzień po dniu, miasto milkło. Zejście w otchłań ciszy rozpoczęło się, gdy ustało gruchanie turkawek i gołębi, do tej pory trzymany w licznych gołębnikach: ptactwo skończyło się wraz z ostatnimi ziemniakami, przechowywanymi w spiżarkach. Świst kosów i ćwierkanie wróbli znikły jeszcze przed kurzym gdakaniem - kury zostawiono na koniec, z powodu jajek. Kiedy nie dało się słyszeć i miauczenia kotów, spojrzenia ludzi zgasły i stały się puste. Jak tylko ucichło szczekanie psów, pociemniały, utraciwszy swoją niewinność. Ciszę przerywały jedynie rzenie koni i krzyk mew, które latały gdzieś pod chmurami, gdzie nie wiał

wiatr, poza zasięgiem strzały z łuku i kuszy, a także kamienia z procy.

Wielki głód i rozpacz pochłonęły wszystko. Niczym gęsta mgła spowiły Daligar od jego fundamentów, skąd zniknęły szczury, aż po dachówki i rynny, gdzie gnieździły się jaskółki.

Letnie słońce prażyło bezlitośnie i spędziło z nieba nawet najmniejsze chmurki. Wody już bardzo brakowało.

Przedostatnim dźwiękiem jaki ucichł, był śmiech dzieci. Kiedy miasto zaczęło umierać, umilkł także ich płacz. Skończyły się cykady, które opiekano nad żarem. I tylko bębny orków warczały w nocy, nieprzerwanie, aż do świtu, przypominając, że nigdzie nie napisano, że wstanie kolejny dzień.

Zaczęła narastać głucha nienawiść wobec ludzi Kapitana, jeżdżących na swoich koniach - z których każdy dałby mnóstwo

103

dobrego mięsa, świeżego i bez robaków - i zajadali się przepiórkami i bażantami pośród uroczej przyrody, gdzie w strumykach płynęła woda.

Pewnego ranka, już upalnego, choć słońce dopiero co wstało, Rosa powiedziała Kapitanowi, że wzgląd na pamięć Arduina, zwłaszcza w tak smutnym czasie, chronił wilczycę przed wygłodniałymi



spojrzeniami, lecz istnieje ryzyko, iż wilczek źle skończy: na przykład w potrawce z jedną z ostatnich cebul, które zostały w mieście.

Z szacunku dla swego starego towarzysza, który tyle razy uratował mu życie, a teraz został ojcem, Rankstrail obiecał znaleźć małej bestii jakieś bezpieczne schronienie.

Z nieba lał się istny żar. Wśród zarośli, nad którymi unosiły się chmury komarów, stała śmierdząca woda. Przed południem or-kowie zaatakowali.

Był to nadzwyczaj liczny i zaprawiony w boju oddział, niektórzy wrogowie dosiadali koni.

•Ej, Kapitanie - krzyknął do niego Lisentrail, gdy szukali jakiejś osłony, by móc kontratakować - te przekłete bestie oprócz katapult musiały odbudować most. Konie się przecież nie zmieszczą na ich łodziach.

•Właśnie - powiedział ktoś inny - zrobili to bardziej na południu, w gęstwinie, tam, gdzie nie widać.

•Kapitanie - powiadomił go jeden z karłów - oni mają ludzi.

•Tak, widziałem insygnia, to ci z kawalerii Daligar. Są przywiązani do koni orków.

•Czemu orkowie ich jeszcze nie zabili?

•Szykują się, by zrobić to dzisiejszej nocy.

•Kapitanie, jeśli nie uda nam się ich uwolnić, to lepiej ich zabijmy, nim zapadnie noc.

•A więc spróbujemy ich uwolnić, Nirdly, nie podoba mi się zabijanie towarzyszy broni, nawet gdyby mieli nam za złe, że ośmielamy nazywać się ich towarzyszami. Lisentrail, przejdź przez zarośla i zaskocz orków od tyłu. Weź ze sobą mężów

104

z rodu karłów oprócz Nirdly'ego. Trakrail, ty jesteś najlepszym łucznikiem, zostań tu z ludźmi. Nirdly, ty chodź ze mną i zrobimy małą dywersję.

•Co zrobimy, Kapitanie?

•Uciekniemy, robiąc przy tym trochę hałasu. Nie na tyle, by widać było, że specjalnie. Orkowie, chcąc nas ścigać, zostawią więźniów z kilkoma strażnikami, a Lisentrail ich odbije. Kiedy będą odsłonięci na polanie, dosięgną ich strzały Trakraila i innych. Ktoś ma jakieś pytania?

•Ja, Kapitanie. Jeśli schwytamy jakiegoś konia orków, możemy go potem zjeść? - spytał Nirdly. - Chciałbym mieć pełny żołądek choć raz, zanim przyjdzie mi zdechnąć.

Choć Rankstrail stracił przy tym paru swoich, udało mu się jednak uwolnić kilku uzbrojonych ludzi z regularnego wojska, których orkowie uwięzili i ciągnęli przywiązanych do koni. Jak ujawnili im ci

nieszczęśnicy, byli grupą żołnierzy, którzy starali się wrócić z Alyil, miasta sokoła, do Daligar, gdzie były ich rodziny. Aż do Gór Północy dotarła bowiem wiadomość, że w Daligar walczyła Królowa Czarownica, spadkobierczyni Arduina, i że miasto jeszcze stawia opór.

W drodze powrotnej, tego samego popołudnia, Rankstrail postanowił poprosić o audiencję u Królowej.

Zostawił wilka Lisentrailowi i poszedł. W jednym z przejść pod łukami miasta natknął się na matkę z niesfornym chłopcem.

Chłopak był naprawdę nieznośny: rzucił się na ziemię, splunął na własną matkę i nawet próbował ją kopać. Ona go uspokajała i nawet nie zauważyła nadjeżdżających najemników.

-Wiesz, co spotyka niedobre dzieci? Jak nie przestaniesz - syk nęła - zawołam Kapitana najemników i zje cię żywcem.

- Ej, ludu Daligar! - wtrącił się Lisentrail, oburzony, i rzekł

z przekąsem: - W obliczu setek orków czystej krwi obozujących dwa kroki stąd, nie macie nic innego do roboty, jak tylko wyga-105

dywać głupstwa do waszych dzieci, których nie potraficie dobrze wychować.

Kapitan ograniczył się tylko do wzruszenia ramionami. Matka i syn zamilkli i uciekli.

W pobliżu stajni zatrzymała go Rosa. W świetle zachodzącego słońca białe kosmyki, które wymknęły się spod jej czepka, zdawały się błyszczeć.

Stara strażniczka stajni miała wilczka na rękach, w ostatniej chwili ocalonego jakimś cudem od trafienia do gulaszu. Nie miała pewności, czy taki cud powtórzy się jeszcze. Nie wiedząc, co z nim począć, Rankstrail wziął małą bestię ze sobą. Przybywszy przed pałac Zarządcy, który teraz wszyscy z powrotem nazywali pałacem królów, minął strażników i drugą bramę, tę wychodzącą na ulicę. Znalazł się w tym samym ogrodzie, gdzie dziesięć lat temu spotkał Aurorę. Glicynie przekwitwały, były suche. W

resztkach błota dogorywały ostatnie żaby, w oczekiwaniu, aż z kuchni nadejdzie ktoś, kto położy kres ich męce. Okazała srebrna huśtawka kołysała się leniwie nad zaniedbaną trawą. Rankstrail przywiązał

szczeniaka do pnia jednej z glicynii, a ten, powalony zmęczeniem, natychmiast zasnął.

Kapitan wyszedł z cienia i przeszedł przez ogród tonący w świetle zachodzącego słońca. Dopiero wtedy zorientował się, że nie jest sam. Na ziemi, niedaleko stawu, siedziała córeczka Królowej Czarownicy, ubrana w szatę w karmazynowym kolorze, pobrudzoną błotem, i w czepeczek zrobiony z misternych krzyżujących się ze sobą koronek, który dziewczynkę najwidoczniej denerwował, bo cały czas starała się rączką usunąć go z szyi. Rankstrail pomyślał, że to już reguła: w tym ogrodzie zawsze

musiała przebywać kolejna księżniczka Daligar, zawsze ubrana w karmazynowe szaty i obowiązkowo w czymś wyszukany i niewygodnym na głowie. Kapitan ucieszył się, że dali małej inne ubranie, by była mniej rozpoznawalna, lecz nie łudził się za bardzo, że to pomoże. Or-kowie wiedzieli już, że Królowa miała swoją słabość, i stanowczo byli mniej głupi, niż mówiły legendy. Wysoko w górze, na gałęzi **106**

dębu, drzemał orzeł i to również uspokoiło Kapitana - jeden osobisty strażnik więcej przy dziewczynce.

Mała siedziała na ziemi z swoją lalką i łódką w dłoniach. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Kapitan uśmiechnął się i dziewczynka zaczerwieniła się aż po same uszy. Jej błękitne oczy zaśniły niczym gwiazdy.

Rankstrail wzruszył się, stał właśnie przed córką ostatniego z elfów. W

jej żyłach płynęła krew jedyne księcia, jakiego on zaakceptował jako swego dowódcę i za którym poszedłby aż do nieba lub piekła.

- Masz oczy swojego ojca - powiedział nagle szeptem.

Natychmiast przeklął w duchu. Spośród wszystkich zdań, jakimi można się zwrócić do dziewczynki, która musiała stać i patrzeć na swego ojca, gdy ten umierał, Kapitan wybrał to zdecydowanie najbardziej idiotyczne. W jej oczach pojawiła się łza, potem jeszcze jedna i kolejna.

Łzy powoli połączyły się i zamieniły w rozpaczliwy szloch. Kapitan przeklął jeszcze okropniej: tak jakby mało było jego przewinień! Nie dość, że nie zdołał uchronić Yorsha, to teraz jeszcze spowodował płacz jego córeczki. Próbując za wszelką cenę ją pocieszyć, wziął małą na ręce i przytulił mocno do siebie. Płacz wcale nie brzmiał, jakby miał ucichnąć, wręcz przeciwnie, wybuchnął ze zdwojoną siłą.

Nawet myśl o tym, że Królowa Czarownica kazałaby go obedrzeć żywcem ze skóry, jeśli przyłapałaby go, jak dotyka jej córki zalanej łzami, prawdopodobnie mniej go niepokoiła niż dziecięca rozpacz i myśl o tym, że to on ją wywołał. Orzeł się obudził i powolnym lotem sfrunął na niższą gałąź drzewa, by być bliżej małej. Jego dziób znajdował się na wysokości oczu Kapitana, który modlił się, by ten nie zechciał odpłacić mu z nawiązką za rozpaczliwy płacz Erbrow. Szloch przybrał na sile. Gdy ustawał na chwilę, dało się rozpoznać sylaby słów „mój tata”.

- Mnie też go brakuje, wiesz? - szepnął Rankstrail. - Spotkałem go tylko jeden jedyny raz, lecz ciągle czuję, jak mi go brak.

107

Gdyby on tutaj był, wygralibyśmy wojnę. Opuścił cię, by ratować moje miasto wiesz? Gdyby nie on, zginęliby wszyscy, nawet dzieci. Pozostałyby tylko popiół i ruiny. Opuścił cię, żeby nas ratować. Choć widziałem go tylko ten jeden raz, zdążył mi o tobie powiedzieć, o tym, jak bardzo cię kochał... „Moja ukochana córka”, powiedział...

Pomysł był taki, że jeśli zdoła mówić spokojnie, uda mu się ją pocieszyć.

Nie pomyślał jednak, jak strasznie ciężko będzie mu wspominać Yorsha.

Wydał go na samotną śmierć. Z elfem świat byłby uratowany, a z winy Rankstraila Zarządca bez trudu zaprzepścił ocalenie ludzkości. Kapitan przytulił mocno małą i zupełnie zawstydzony, nie zdołał powstrzymać płaczu. Dziewczynka zauważyła to i jej szloch przybrał jeszcze na sile.

Rankstrail zapragnął zapaść się pod ziemię: nie udało mu się jej uspokoić.

Mało tego - jej żal jeszcze wzrósł. Nie potrafił zrobić nic innego jak tylko trzymać ją w ramionach, przeklinając się w duchu, a czas mijał i zbliżała się pora wieczorna.

Podczas gdy słońce zachodziło za Góry Ciemności, szloch powoli cichł, lecz dziewczynka nie przestała płakać. Nadal łkała z rączkami na szyi Kapitana i twarzą w wtuloną w kołnierz jego kurtki, który teraz był cały zasmarkany i mokry.

Rankstrail pomyślał, że najwyraźniej jego przeznaczeniem było pocieszanie księżniczek Daligar, ubranych w karmazyny, i pozwalanie im na wydmuchiwanie nosa w jego poszarpane ubranie. Zalała go fala czułości wobec dziewczynki. Oddałby wszystko, co posiadał, byle tylko móc ją pocieszyć. Niestety, wszystkim, co posiadał, był Kleszcz, miecz zabrany jednemu z orków i rozpadająca się na kawałki zbroja, którą co jakiś czas naprawiał.

Ośmielił się pogłaskać dziewczynkę po włosach, z jego rodzeństwem to zawsze działało. Ogromne i szorstkie dłonie zaplątały się w koronkach czepka, który pękł w szwach. Włosy uciekły na wszystkie strony i Kapitan oddałby cokolwiek, byle loki wróciły do czepka, a łzy już nie płynęły po policzkach dziewczynki. Lecz

108

mała ze złością wyrwała mu czepkę z ręki i rzuciła go na ziemię. Złapała brzeg swojej karmazynowej szaty w rączki i pociągnęła, starając się go rozerwać.

•Sio! Bzydkie! - krzyknęła, potem znów otoczyła rączkami szyję Kapitana i zaczęła od nowa płakać.

•To brzydkie, oczywiście, mnie też się nie podoba ten kolor -potwierdził

Kapitan. - To nie jest odpowiedni kolor dla ubrań małej dziewczynki.

Przypomina kre...

Na szczęście zdołał ugryźć się w język.

Wychował Fiammę i Borstrila. Wiedział, jak bardzo przerażające mogą być dla małych dzieci rzeczy, które dorosłemu mężczyźnie wydają się bez znaczenia.

Dla córki Królowej Czarownicy - świadka śmierci własnego ojca -

okropnym musiał być przymus noszenia ubrań, które kojarzyły się z krwią.

W płaczu dziewczynki można było rozpoznać słowa „tata” i „dom”.

Kapitan znów zaczął opowiadać i mówił długo. Wyjaśnił, jak to Yorsh ocalił świat, a potem wytłumaczył, że nie mogli pozwolić jej chodzić w niebieskim fartuszk, bo to sprowadziłoby na nią niebezpieczeństwo.

Orkowie wiedzieli, że to było jej ubranko. Mama i inni zabrali jej go nie dlatego, że jej nie kochali, i nie dlatego kazali jej nosić na sobie ten kolor, który jest taki brzydki, ale jednak nie jest jak krew... Tak, właśnie, nie jest jak krew, co więcej, ten kolor pochodził od pewnej ryby - on wie o tym, bo jego mama mu to wyjaśniła - i dlatego jest tak bardzo cenny. Pochodzi znad morza, tak jak ona, ona też urodziła się nad morzem, prawda? Jej dom jest nad morzem i to nie dlatego nie zabierają jej do domu, że przestali ją kochać. Na drodze stoją im orkowie.

Powoli płacz ucichł. Zapadał wieczór. Wreszcie dziewczynka podniosła wzrok na Kapitana, który osuszył jej twarz swoim rękawem. Nie wiedział, co innego zrobić. Była za mała, by ją nauczyć strzelać z łuku.

109

- Chcesz pieska? - spytał wreszcie Kapitan. - Pięknego szcze-niaczka, z którym mogłabyś się bawić. Chcesz takiego? Wtedy nie będziesz już sama. Poza tym jeśli zjawi się jakiś ork chcący cię skrzywdzić, piesek go ugryzie.

Dziewczynka spojrzała na niego. Promyk zaciekawienia rozjaśnił jej spojrzenie, niczym samotny świetlik zagubiony pośród strasznego mroku nocy.

- Pawdiwy? - spytała szeptem, marszcząc czoło.

Kapitan zastanowił się, co u licha mogło oznaczać „pawdiwy”, i nic nie przyszło mu do głowy.

Stropił się nieco i oznajmił dziewczynce, że nie rozumie. Mała wskazała najpierw siebie samą, potem laleczkę z drewna, potem znów siebie samą.

•Pawdiwy? - zapytała ponownie.

•Prawdziwy, oczywiście, prawdziwy piesek, wcale nie żadna drewniana zabawka.

•Hau? - dopytywała się dziewczynka, nie do końca przekonana.

•Nie, nie taki, co szczeka, ten piesek wyje. Ale to też dobrze, a nawet lepiej, wiesz? Pieski, które wyją, są lepsze od takich, co szczekają: nie budzą cię w nocy, no, może tylko czasem, gdy księżyc jest w pełni. A jak zjawia się jakiś ork, pieski, które wyją, robią mu większą krzywdę niż te, co szczekają. Ja też mam jednego, wiesz, mój piesek to tatuś tego małego. Tego przyniosłem specjalnie dla ciebie - skłamał na koniec Kapitan.

Przeszedł przez ogród i dotarł do jego najbardziej zacienionej części.

Wilczek obudził się, spojrzał na dziewczynkę, przechylając główkę.

Dziewczynka spojrzała na szczeniaka. Kapitan przykląkł na ziemi na jednym kolanie. Dziewczynka pochyliła się nisko, szczeniak położył łapkę na brzegu jej sukienki i dwa małe noski spotkały się ze sobą. Dziewczynka zakryła dłońmi usta, które wreszcie lekko się uśmiechały: nadeszło pocieszenie.

iedząc na swoim tronie z kamienia, najwyżej położo nym punkcie Daligar, skąd można było objąć spojrzeniem południową część równiny, Królowa Czarownica patrzyła na Wzgórza Nowego Księżyca, wznoszące się na horyzoncie.

Kapitan poinformował ją, że jeden z mostów został odbudowany i że wróg znów szczelnie otoczył Daligar. Miasto było na skraju wyczerpania.

Musieli podjąć jakąś decyzję jeszcze tej nocy. Jedną z możliwości stanowiło przypuszczenie natychmiastowego ataku, zanim północny brzeg znajdzie się całkowicie w rękach orków. Z każdym mijającym dniem kolejni wrogowie odzyskiwali spłoszone konie i mieli już ponad jedną trzecią kawalerii. Gdyby Daligar dysponowało jakąś setką pieszych i trzydziestoma kawalerzystami więcej, byłby możliwy szybki wypad aż do samego serca wrogiego obozowiska, by zdobyć krowy, owce i zapasy czystej wody. Ta nabrana z Dogonu, przechowywana w wielkich beczkach załadowanych na wozy i łatwa do transportu zaspokoiłaby z pewnością potrzeby Daligar.

- Myślę, że specjalnie stawiają beczki tam, gdzie możemy je zobaczyć, podobne jak zagrody z kozami. Mają drażnić nasze pragnienie i głód. To byłby piękny sukces, gdyby udało nam się zrabować zarówno wodę, jak i zwierzęta. I pozwoliłoby odetchnąć miastu na jeden albo i dwa miesiące.

•Nie mamy ani piechurów, ani kawalerzystów - odparła Królowa. - Są jakieś inne możliwości?

•Zjeść konie i modlić się, by śmierć z pragnienia nadeszła szybciej niż orkowie. Albo ruszymy natychmiast, moja pani, albo już nigdy nie zaatakujemy. Północny brzeg znajduje się w rękach wroga i nie będziemy mogli robić żadnych wypadów. Koniec z sianem dla koni i polowaniem. Konie zdechną z głodu, więc lepiej je już zjeść, zanim za bardzo schudną. Albo, moja pani, możemy zaatakować z tym, co mamy.

Jednak w takim stanie szanse na to, że nam się uda, są minimalne. A jak damy się już pozabijać, miasto zostanie splądrowane.

•Najlepszym wyjściem wydaje się zjedzenie koni, przynajmniej zdechniemy zadowoleni i o pełnym żołądku. Nie jadłam nigdy końskiego mięsa, ale przypuszczam, że jest lepsze niż świerszcze w miodzie, którymi teraz się żywimy.

•Ja również tego nie wiem - stwierdził niskim głosem Marszałek Dworu z głębi sali, gdzie stał w cieniu sztywny i uroczyście wyprostowany. -

Nigdy przedtem nie jadaliśmy ani koni, ani świerszczy w tym pałacu.

Porywczą Królowa nawet go nie zwymyślała, najwyraźniej jej siły były już na skraju wyczerpania.

Kapitan milczał długo, potem się pożegnał. Nim opuścił salę, odwrócił się jeszcze do Królowej.

•Pozwoliłem sobie podarować waszej córce wilcze szczenię -powiedział z wahaniem. - Może się przydać, gdyby została zaatakowana...

•Dobrze zrobiliście - przerwała mu niespodziewanie władczyni. -

Wątpię, by wilcze szczenię mogło odpędzić orków, lecz by odpędzić samotność, wystarczy. Moglibyśmy go nazwać Wierny - dodała zamyślona, z cieniem uśmiechu na twarzy. -Tak jak psa, którego miałam jako dziecko.

- Piękne imię dla wilka - skomentował sarkastycznie Marszałek Dworu. - Wilk i orzeł to z całą pewnością najlepsi towarzysze za-112

baw poleceni przez wszystkie podręczniki dobrego wychowania, by zabawiać porządną panienkę... Były takie czasy - zakończył, wzdychając -

gdy mieliśmy pewność, że nie musimy się wstydzić tego, jak nasi władcy posługują się łyżką przy stole.



Władczyni wzięła głęboki oddech. Lekki uśmiech pojawił się na jej twarzy - nieomylny znak, że furia Królowej miała wybuchnąć.

- Właściwie na czym opiera się wasza pewność, że tego wieczoru pozwolę wejść księżycowi, nie postarawszy się wpierw, by wa sza głowa trafiła na jeden z pali na murach? - spytała z lodowatą uprzejmością.

Marszałek nie wyglądał ani trochę na poruszonego. Zwlekał chwilę, namyślając się, podczas gdy jego dłoń gładkała spiczasty podbródek i falującą brodę.

•Zasadniczo na trzech różnych obserwacjach, moja pani. Każda z nich stanowi już wystarczający powód, a wszystkie razem jeszcze bardziej się umacniają. Po pierwsze Zarządca zabrał ze sobą wszystkich piętnastu katów miasta, bez których usług jest mu najwidoczniej zarówno ciężko żyć, jak i rządzić, i Da-ligar jest niestety pozbawione obecnie jakiegokolwiek oprawcy. Musielibyście, pani, sami wykonać to polecenie, co byłoby nadzwyczaj męczące, a pozwolę sobie przypomnieć wam, iż w waszym stanie powinniście unikać jakiegokolwiek wysiłku. Po drugie ludność miasta jeszcze bardziej podupadłaby na duchu, widząc, że ułatwiamy zadanie orkom, sami dbając o to, by się nawzajem pozabijać. I wreszcie ostatni, aczkolwiek nie mniej ważny powód: jestem jedynym człowiekiem, który zna kroniki miasta z ostatnich lat, a ponadto położenie zbrojowni oraz tuneli, co w tej właśnie chwili jest wam absolutnie niezbędne.

•Dziękuję - stwierdziła oschle Juna. - Trzeba, byście mi to nieustannie powtarzali, żebym przypadkiem o tym nie zapomniała.

113

- Nie martwcie się, moja pani, i nie trwońcie się, nie zawaham się sam wam o tym przypominać, i to kilka razy dziennie, jeśli sobie życzycie.

W tym momencie jeden z kawalerzystów, dopiero co uwolnionych z rąk orków na północnym brzegu i wcielonych do nowo powstałej armii Daligar, stanął, rozwścieczony, przed obliczem władczyni. Oświadczył, iż jest bezpośrednim potomkiem w trzecim pokoleniu czwartego króla o imieniu Baldosvino i uważa za hańbę nie do przyjęcia, iż nie znajduje się pod dowództwem kogoś, kto byłby mu równy. Był to silny i dość ładny chłopiec, z bujnymi blond włosami, opadającymi na ramiona.

•Pani - zaczął, biorąc najwidoczniej za oznakę uległości lekki uśmiech na twarzy władczyni, pojawiający się za każdym razem, gdy jej cierpliwość była wystawiona na próbę - żądam stanowiska godnego mojego pochodzenia. Odmawiam podporządkowania się rozkazom najemnika. Proszę, byście znaleźli, i to natychmiast, odpowiednie zatrudnienie dla mego miecza.

•Mówią mi, że wolne jest stanowisko kata - odparła z miejsca władczyni.

- Jeśli nie odpowiada wam wykonywanie rozkazów Kapitana Rankstraila, który jeśli dobrze zrozumiałam, właśnie uratował wam życie - możecie wybierać: albo będziecie katem, albo sami zostanieie ścięci. Jak tylko postanowicie, ogłoście to nam, a natychmiast wydamy decyzję. Dopóki to nie nastąpi, byłabym wam wdzięczna, gdybyście zeszli z moich oczu i nie naprzykrzali się.

Kapitan wydał swojemu nowemu żołnierzowi, potomkowi Bal-dosvina Czwartego w trzecim pokoleniu, rozkaz pełnienia przez drugą połowę nocy warty na wschodnich murach, po czym oddalił się. Przeszedł przez wewnętrzny dziedziniec, dawne tereny zbrojowni, gdzie znajdowali się wszyscy uciekinierzy.

Usłyszał lament nędznych ocalałych, pochodzących z niższych i wschodnich równin: od Rozłupanej Góry po Daligar.

Nie było więcej łez.

114

Skończyły się razem z suszonymi kasztanami. Rozpacz wyrażała się już tylko w przygnębieniu. Ludzie nie mieli siły płakać i z trudem oddychali.

Mężczyźni i kobiety przywoływali, zawodząc, imiona swoich nieżyjących bliskich, tych zamordowanych na Pograniczu podczas masowego exodusu i tych zmarłych w mękach na wygnaniu.

Potem, bardziej stłumionym i przygnębnym głosem, zaczęli opowiadać o kozach, królikach, gęsiach, a także kurczakach wymordowanych przez najeźdźców. Żal i ubolewanie rozpościerały się bardziej niż skrzydła erynii nad wspomnieniami i tęsknotą za tym, co zostało utracone. Mniej zwierząt znaczyło: mniej jedzenia, i skazywało na rychłą głodową śmierć ich dzieci, które za jakiś czas, zimą, i tak miały zapaść na gruźlicę, nawet jeśli teraz ktoś zdołałby je jakimś cudem uratować przed orkami.

Rankstrail długo tego słuchał, aż w końcu nie wytrzymał. Wspiął się na kamienne schody, które prowadziły do komnat Królowej. Przeszedł pod imponującymi altanami z pnących się rozkwitłych glicynii i pomyślał, że gdyby zamiast nich zasadzono tam fasolę, teraz miałby co rozdać ludziom.

Zapadła noc i Królowa Czarownica znajdowała się wewnątrz, obok Małej Sali Nowego Tronu. Siedziała przy dużym, okrągłym stole ze starego dębu, przy którym powinno się było odbyć Wielkie Zgromadzenie Wielkich Dostojników, gdyby nie to, że wielcy dostojnicy odjechali i urządzają sobie swoje Wielkie Zgromadzenie gdzieś w Górach Północy.

Ciężki stół został zrobiony z desek szerokich na ponad dwie dłonie i połączonych solidnymi srebrnymi nitami.

U boku Królowej stali Marszałek Dworu oraz Przełożony Domu Królów, wszyscy troje patrzyli nieobecny wzrokiem, niczym ktoś, kto nie ma nic innego do roboty, jak tylko oczekiwać, aż czas upłynie, dni się skończą i będzie można umrzeć.

- Moja pani - odezwał się Rankstrail - uciekinierzy z południowych równin są zrozpaczeni i głodni.

"5

Królowa nie odpowiedziała ani nie poruszyła się. Jej spojrzenie pozostało nieobecne.

- Wybaczcie, moja pani - kontynuował Kapitan - macie jakieś złoto?

Juna podniosła głowę i spojrzała na niego zdumiona.

•Zarządca zadbał o to, by zabrano skarby hrabstwa do Alyil - odparł

zamiast niej Marszałek. - Zostawił tylko trzy skrzynie srebra, na które zabrakło miejsca na wozach.

•Moglibyśmy rozdać je uciekinierom - zaproponował Rank-strail. - I innym także. Majstrom, sługom, praczkom, stolarzom. Wszystkim.

•Srebra się nie je, Kapitanie, a w mieście, które jest oblężone, nie ma nic, co można by kupić. Nikt przecież nic nie sprzedaje.

•Kupimy nadzieję.

Spojrzenie Królowej zmieniło się i ożywiło. Zaczynała rozumieć.

- Jeśli rozdamy srebro, będzie to znaczyło, że jutro przerwiemy oblężenie. Prędzej czy później będzie co kupić i srebro posłuży jako zapłata - wyjaśnił Rankstrail. Mówił powoli, szukając od powiednich słów. Dobrze pamiętał doświadczenie wieloletniej nędzy. - Nadzieja to jedyna rzecz, jaka może oszukać głód. Na dzieję można nakarmić ludzi niemal tak samo jak fasolą.

Królowa Czarownica długo mu się przyglądała.

- To prawda! - przypomniała sobie. - Nadzieja napełnia nie mał tak samo jak kasza z robakami. Nie tak bardzo jak jajka, ale bardziej niż jeżyny. Zapomniałam o tym.

Skinęła lekko głową na potwierdzenie i delikatnie się uśmiechnęła.

Siedziała długo, milcząca i zamyślona, aż wreszcie przemówiła:

- Rozdamy srebro, Kapitanie. I rozdamy również ziemię: nie będzie już należała do hrabstwa, ale do tego, kto okupił ją swym potem i krwią. Każdy otrzyma na własność pola, które uprawiał, tak jak to było w Astrid i Erbrow, i będzie je mógł pozostawić

swojemu potomstwu. Jeśli jutro rozpoczniemy walkę, jeśli przełamiemy oblężenie, oni nie będą już nigdy sługami, których można kupić lub sprzedać razem z wołami. Jeśli nie uda się nam pokonać wroga, zginiemy wszyscy, ale nikt nie odejdzie z tego świata jak ostatni nędzarz - wszyscy umrzemy jako wolni ludzie. Wyślijcie herolda, by powiadomił lud miasta, że również warsztaty, rzeźnie czy kamienne balie, w których robi się pranie, nie należą już do hrabstwa, lecz do tych, którzy tam pracują.

•A zatem walczymy? Nie zabijemy koni?

•Tego jeszcze nie wiem. Powiedziałam „jeśli”.

Rankstrail wezwał do pomocy Przełożonego Domu Królów, by policzyć monety z dwóch spośród trzech kufrów i ustalić, ile srebra powinno przypaść na głowę.

Osobiście rozdał srebrne monety razem z kawałkiem pergaminu, przygotowanym przez Marszałka Dworu, z podpisem i pieczęcią Królowej Czarownicy, widniejącymi pod oświadczeniem przyznającym każdej rodzinie na własność ziemię, którą do tej pory uprawiała.

Niedługo potem wrócił do Sali Wielkiego Zgromadzenia.

- Mamy wojowników do przypuszczenia ataku, moja pani -poinformował ją z radością.

- Naprawdę? A gdzie ich znaleźliście? - spytała Królowa Czarownica, cała zdumiona.

- Na dziedzińcu.

- Ale czy na dziedzińcu nie znajdowali się uciekinierzy?

- To są już wojownicy: każdy, kto jest w stanie nosić broń. Wcześniej byli niewolnikami, teraz stali się wolnymi ludźmi i właścicielami ziemi. Ta, na której obozują właśnie orkowie, jest teraz ich własnością. To do nich należą główki kapusty, które zjadają orkowie, i ich są jabłonie, które ścina wróg, by mieć czym palić w obozowych ogniskach. Ci ludzie chcą iść walczyć

117

i pójdą walczyć. Jeśli my ich nie poprowadzimy tej nocy, jutro ruszą sami.

Królowa Czarownica namyślała się długo, nim odpowiedziała.

- Poprowadzimy ich jutro o świcie - odparła wreszcie. - Może nie wszystko jeszcze stracone. Jeśli łucznicy będą nas osłaniać, nawet bez koni zdołamy zrobić wypad aż do zarośli, próbując przełamać oblężenie. Wystarczy nam dotrzeć do żywności. Nowy most orków może być za zaroślami, to jedyne miejsce, którego stąd nie widać. Mamy jeszcze kilka buteleczek z płynem zapalaającym. Musimy się postarać oczyścić północny brzeg. Oni trochę się złęką, a my będziemy mieć co jeść. I zyskamy kilka dni.

Wytrzymajmy jeszcze tylko trochę. Prędzej czy później nadejdą posiłki. Ktoś przybędzie, by z nami walczyć ramię w ramię. Kawalerzyści, których uwolniliście, przybyli, by do nas dołączyć.

Inni pójdą w ich ślady.

Entuzjazm Królowej ostudził Marszałek.

- I w co chcecie ich uzbroić, tych waszych, jak ich nazwaliście,

„wojowników”? Królewskie zbrojownie są puste. Wyślecie ich na orków z kosami i procami?

Jutrznia i Kapitan wymienili szybkie spojrzenia, a potem krzyknęli jednym głosem:

•Miecze królów!

•Miecze królów? - oburzył się Marszałek. - Chcecie dać jakimś obdartusom miecze naszych królów?

Królowa Czarownica nawet się nie rozzłościła. Powiedziała łagodnie, że dawni królowie poczują się z pewnością zaszczytzeni, jeśli ich miecze przydadzą się do czegoś więcej niż tylko podpierania ich dłoni w rękawicach. Prawie z uprzejmością wyjaśniła, iż dawni władcy na pewno będą zadowoleni, wiedząc, że broni użył ich lud, by ratować swe dzieci, a także swe kurczaki, po tym, jak dostojnicy i rycerze uciekli, ratując własne zadki i całe złoto hrabstwa. Dodała, niemal słodko, że następnym razem, gdy Marszałek wymówi w jej obecności słowo „obdartusy”, jego głowa

zawisnie na najwyższej z baszt zamiast karmazynowych sztandarów, które spalili podczas ich pierwszego wypadu przeciw orkom. Zawiesi ją tam sama, osobiście, i tym sposobem okropny problem braku kata zostanie rozwiązany.

Aby oddzielić miecze od figur, należało użyć młotka i dłuta. Okazało się to żmudną pracą. Pomagało im wielu mieszkańców, choć nie byli wprawieni w takiej robocie i nie posiadali odpowiednich narzędzi. Gdy oddzielili już kilka mieczy, nadszedł Przełożony Domu Królów i powiadomił o przybyciu delegacji.

Rankstrail, Królowa Czarownica i Marszałek, cali pokryci marmurowym pyłem, niczym drzewa śniegiem w zimie, podeszli do przybyłych, starając się oczyścić i zachować pozory dostojeństwa i schludności.

Delegacja składała się z dwudziestu mężczyzn, wszystkich w za-awansowanym wieku, niektórych z białymi włosami i głębokimi zmarszczkami. Wszyscy mieli na sobie znoszone i wyblakłe tuniki, których stare, zniszczone złote hafty świadczyły, że niegdyś były to uroczyste stroje. Niektórzy mężczyźni ciągnęli ze sobą worki różnych rozmiarów.

- Panowie? - zwróciła się do nich Królowa Czarownica.

Po mieście z całą pewnością krążyły plotki na temat charakteru porywczej władczyni, więc mężczyźni zachowywali się bardzo powściągliwie.

Najstarszy z całej grupy, mały człowiek o lśniących błękitnych oczach i krótkiej, rzadkiej brodzie, ubrany w ciemnoczerwoną tunikę, wystąpił do przodu.

•Moja pani, jesteśmy zwierzchnikami cechów z miasta. Przyszliśmy spytać... my... słyszeliśmy... krąży pogłoska...

•Wszyscy mieszkańcy miasta stają się panami własnego losu -

potwierdziła Królowa. - Wasze warsztaty, podobnie jak domy, w których mieszkacie, od dzisiaj należą do was.

Starzec uśmiechnął się.

- Moja pani, przyszedliśmy walczyć. Tym razem nie wyjdziecie z miasta sami. My jesteśmy waszym ludem i pójdziemy, by wal-119

czyć razem z wami, za nas, za naszą ziemię, nasze dzieci i nasze warsztaty, i jeśli będzie to konieczne, jesteśmy gotowi zginąć.

Przynieśliśmy broń.

•Broń? Macie broń?

•Ależ oczywiście, moja pani - odparł starzec z uśmiechem. Jeden z mężczyzn w ciemnoczerwonej tunice otworzył jeden worek: noże i krótkie siekiery każdego rodzaju rozsypały się na posadzce.

- Cech rzeźników - wyjaśnił starzec.

Pozostali kolejno również otworzyli swoje worki.

- Rzemieślnicy z cechu kotlarzy - nie ma już ani jednej pa telni w całym mieście i nie będzie można usmażyć ani jedne go omletu - napełnili patelnie stopionym ołowiem i wzmocnili uchwyty oraz dodali ostrza ze skalpeli konowałów na czubkach.

I teraz mają dość groźne maczugi. Cech stolarzy przerobił stoły na tarcze. Cech murarzy popracuje nad uwolnieniem mieczy, moja pani. To oni przekształcają stoły w tarcze. Przygotowali też wapno niegaszone: jeśli ktoś zbliży się do naszych murów, to sprawimy, że zatęskni za wrzącym olejem, którego chwilowo nie mamy. Cech garbarzy ma małe noże i toporki. Z pomocą stolarzy wydłużyli uchwyty i teraz są to halabardy. I wreszcie, moja pani, farbiarze, krawcy oraz wszystkie kobiety z miasta.

Ci ostatni mieli na sobie jasnobłękitne tuniki. Ich worki były duże, ale lekkie. Otworzyli je i na podłodze rozwinęły się płachty materiału we wszystkich rozmiarach. Były białe, z dwoma splecionymi kwiatami w środkowej części: lilią i kwiatem glicynii, w kolorze purpurowoczerwonym.

- Nasza flaga. Nie możemy walczyć i zginąć, nie mając na co patrzeć. Lud potrzebuje flagi, a my ją mamy. Karmazynowe sztandary miasta zostały spalone, ale bynajmniej ich nie za łujemy. Były symbolem tych, którzy odeszli, pozostawiając nas samych. Teraz napełniliśmy patelnie stopionym ołowiem, żeby ratować siebie i nasze dzieci.

120

- Zrobiliśmy sztandary z waszej flagi: czerwone kwiaty na białym tle. Szal pobrudzony krwią, który mieliście pierwszej nocy, gdy walczyliście za miasto; krew mężczyzn i kobiet, przelana w walce o wolność, i biel przypominająca o resztkach ludzkiej niewinności. Plamy z waszej krwi utworzyły kształt lilii i kwiatu glicynii. Widzicie? Wasz szal jest tutaj, przyszedliśmy go zwrócić, obrębiony złotem, by stał się oficjalną flagą miasta. Zrobiliśmy ich trzysta sześć, po jednej fladze na każdy pał,

który wznosi się nad murami. W czasach Arduina były tam latarnie, teraz zawisną flagi. Zamienimy miasto jeżozwierza w miasto sztandarów.

Wszyscy dowiedzą się, że walczymy. I że zginiemy jako wolni ludzie, bijąc się za naszą ziemię i za nasz honor.

Starzec pokłonił się nisko. Królowa Czarownica uśmiechnęła się.

•Kiedy to wszystko zrobiliście? - spytała.

•Każdego dnia po trochu, moja pani, każdego dnia po trochu. Zaczęliśmy tej samej nocy, gdy poszliście dla nas walczyć. Nie czekaliśmy nawet świtu.

•Czy mogę poznać wasze imię, panie? - zapytała uprzejmie Królowa.

Starzec podskoczył lekko, gdy Juna wypowiedziała słowo „panie”.

Spojrzał na nią zmieszany, potem uniósł wysoko głowę i wyprostował plecy.

•Ellaboro, moja pani.

•Dobrze. - Królowa zwróciła się do Marszałka: - Odnotujcie wielmożnego pana Ellaboro, obrońcę miasta, jako właściciela swego warsztatu, potem zróbcie to samo z pozostałymi panami, tymi, którzy są tutaj, i tymi na dziedzińcu. Dajcie każdemu z nich po jednym mieczu.

Kiedy to już będzie załatwione, pozostanie nam jeszcze kilka godzin do ataku, by się przygotować. Stolarze niech będą uprzejmi przerobić deski ze stołu Wielkiego Zgromadzenia, który należał do Zarządcy, na lekkie tarcze dla łuczników. Tym sposobem ten mebel również się na coś przyda. Kiedy miasto zostanie wyzwolone, decyzje będziemy podejmować

tam, gdzie wszyscy ci, którzy mają coś do powiedzenia, będą mogli zabrać głos, czyli na głównym placu Daligar, a nie zamknięci w sali, wokół jakiegoś stołu.

Wszyscy przytaknęli i ukłonili się. Królowa pożegnała ich i oddaliła się z Rankstraiem. Obydwoje biali od pyłu wyglądali niczym dwa worki mąki.

•Kapitanie, mamy wojsko - powiedziała, odzyskując znów odwagę. - Nie wszystko stracone.

•Na to wygląda - odparł Rankstrail zamyślony. - Brakuje nam tylko grupy, choćby i małej, doświadczonych kawalerzystów, by utrzymać skrzydła szyku. Gdybyśmy mieli jeszcze pięćdziesięciu zbrojnych, może nawet by nam się powiodło.

•Zostało mi pół skrzyni srebra, Kapitanie. Chciałabym abyście rozdali je wśród swoich ludzi. Wynagrodzicie ich, biorąc pod uwagę zasługi i odniesione rany. Co do was, to przeniesiecie się do jakiegokolwiek rezydencji, która została opuszczona, i przejmiecie oficjalnie dowództwo nad

wojskiem w mieście. Wasi ludzie zajmą koszary tych, którzy uciekli, i będą sypiać w czystych legowiskach żołnierskich. Nie mam czym nakarmić naszych wojaków, ale przynajmniej będą spać jak ludzie. A teraz, panie, skoro zostało nam jeszcze parę godzin snu przed świtem, życzę wam dobrej nocy.

**10**



# R

Rankstrail rozdał srebro swoim ludziom. Rozdzielone między wszystkich, stanowiło więcej niż dwuletni żołd.

Była to pamiętna chwila.

I tak niczego nie dało się za to kupić, i nikt nie był pewien, czy dożyje momentu, w którym będzie mógł coś nabyć, lecz ludzie poczuli się nawet jeśli nie jak królowie, to przynajmniej lepiej niż mięso armatnie czy wyrzutki.

Rankstrail uznał brakujące części ciała Lisentraila za rany wojenne, wypłacając mu żołd, i to złagodziło nieco nastawienie kaprala do Królowej Czarownicy.

•Ej, Kapitanie - powiedział mu - szkoda, że do lekkiej piechoty nie przyjmujemy kobiet. Jako halabardnik nauczyciel nasza czcigodna władczyni z pewnością by się sprawdziła. Ty akurat szkolenie ominąłeś!

Opowiadałem ci już, jak mojego pierwszego dnia w terenie halabardnik kazał mi stać pół dnia w błocie, w towarzystwie pijawek, dlatego że wlokłem się na końcu?

•Słyszałem to jakieś sześć razy - upomniał go Rankstrail. -Kapralu Lisentraile, macie może coś do jedzenia?

•Mam jeszcze pół kija suszonych fig. Jeśli dam wam połowę, mój Kapitanie, prawda, że zwolnicie mnie z nocnej warty? - zaproponował.

Kij suszonych fig był długim rusztem, na którym nadziano dwadzieścia owoców.

123

- Nie. - Rankstrail uśmiechnął się lekko. - Ale siądę sobie obok ciebie i będę słuchał, jak mi znowu opowiadasz o pijawkach. Może jest jakiś fragment tej historii, który zdarzyło mi się puścić mimo uszu.

Kapral dał mu jedną figę i reszty kolacji Rankstrail musiał szukać u kogoś, kogo nie wystawił tej nocy na wartę.

Młodszy żołnierze złapali kilka szczurów.

Rankstrail zdołał wytropić i upolować ostatniego ptaka w Dali-gar, któremu jakimś cudem udało się do tej pory uchronić przed głodnymi mieszkańcami.

Podczas gdy przygotowywali różną, w powietrzu poczuli nieoczekiwanie woń świeżego chleba, bez wątplenia jeden z najbardziej odurzających zapachów, jakie kiedykolwiek występowały w świecie ludzi. Lisentraile przybył z koszem pełnym małych, płaskich bochenków. Za nim podążały kolejne

grupki żołnierzy z nakryciami. Były to, o dziwo, czyste nakrycia, starannie wykonane z kawałeczków różnych zszytych tkanin, zaskakujących bogatą kolorystyką.

•Kupiliście to wszystko? - spytał Rankstrail. Powstał, modląc się w duchu, by odpowiedzieli mu twierdząco. Tak wielkiej kradzieży nie mógłby puścić płazem.

•Nie, Kapitanie - odparł Kapral. - Podarowali nam to. W ramach podzięki.

Odpowiedź była co najmniej nieprawdopodobna, ale dwaj żołnierze z nakryciami potwierdzili ją. Kobiety z miasta przybyły, by wręczyć im dar.

Chleb zrobiony został z ostatnich, bezcennych woreczków mąki ze spiżarni całego Daligar, a na serwety każda gospodyni poświęciła kawał

własnej spódnicy. Przewodziła im mała kobietka z ogniście czerwonym warkoczem i w szerokiej zielonej spódnicy. Według Lisentraila, czuła ona miętę do Kapitana, bo kapral już nieraz widział, jak z daleka patrzyła w ich stronę. Wskazał Rankstrailowi skrawek ciemnozielonego aksamitu, który pasował do jej spódnicy, ale nawet wtedy Kapitan 124

nie pojął, o kim mowa, bo sam nigdy nie zwrócił na tę kobietę uwagi.

- Tym sposobem mamy co jeść i czym się przykryć w zimną noc - stwierdził wesoło Lisentrail.

-Jest lato - odparł szorstko Rankstrail, spoglądając na mały trójkącik ciemnego aksamitu wyszywanego srebrem, jakby zagubiony pośród kawałków płócien i bawełny.

Jego ludzie także poszukali trójkącików pośród nakryć, usta mieli pełne świeżego chleba i pieczonego mięsa ze szczura. Rozpoznali ciemnoczerwony kształt, pochodzący od matki jednego z dzieci ocalonych ze stosu; błękitny z haftowanymi różyczkami od ślicznej dziewczyny, która zawsze nabierała wody ze studni. Rozpoznano także spłowiały czarny kawałek pewnej żebraczki oraz skórzany trójkąt z sukni Rosy.

To była dziwna chwila, z której przestali już być mięsem armatnim, wyrzutkami, skazańcami, podle jedzącymi i przeklinającymi niepogodę.

W bochenkach zostały umieszczone maleńkie dary: ziarna sezamu i słonecznika, rodzynki, orzechy, orzeszki piniowe, oliwki, liście mięty lub rozmarynu, kawałeczki dziwnego miękkiego i słodkiego dREWienka, a jeden z młodszych mężczyzn, którego matka była kucharką, zidentyfikował je jako cynamon.

•Gdzie oni to wszystko znaleźli, po całym miesiącu oblężenia?

•Trzymali to na sam koniec. Na ostatni posiłek, ostatnią kolację. Coś w tym stylu.

•I dali nam?

•I dali nam.

•Ej, Kapitanie - powiedział wesoło Lisentrail - wiesz, że teraz, gdy ciężka kawaleria zwała razem z Zarządcą, żeby bronić go przed kozami w Alyil, tylko my zostaliśmy na straży miasta!

•To prawda - potwierdził ktoś inny. - Jeśli jutro podczas natarcia popełnimy błąd, zdechniemy co do ostatniego, a tu nikt nie przeżyje, ale jeśli zwyciężymy...

125

Zdanie zawisło niedopowiedziane. Wielu ludzi patrzyło na brakujące palce u rąk, na nagolemniki nie do pary, sztukowane. Jeśli jutro zdołają zwyciężyć, może te rzeczy nie będą już takie ważne.

•Panowie, nie róbcie sobie nadziei, to nasz ostatni posiłek i tyle - szepnął

Zeelail, najmłodszy z żołnierzy, pochodzący z Zewnętrznego Kręgu, piękny chłopak pomimo szram na twarzy, wciąż jeszcze z kompletem palców. - Tych tam, na zewnątrz, jest trzy razy więcej. Jutro nie wrócimy. Jutro nikt już nie wróci.

•W Varil było czterech na jednego - stwierdził Roxtoil, ślepy na jedno oko, bardzo wysoki blondyn z Bagien Północy.

•Tam mieliśmy elfa po naszej stronie. Tu nie ma nikogo, kto by odpędzał

od nas strzały i przyspieszył nasze konie. Jesteśmy my i oni, świeci na nas to samo słońce, które świeci na nich. Ich jest trzy razy tyle co nas.

•Nasz Kapitan nigdy nie przegrał. Jutro nam się uda, a potem odnajdziemy te kobiety, które nam przysłały kawałki swoich spódnic -

powiedział Trakrail.

Głosy przycichły, tak by Kapitan niczego nie usłyszał.

•Trzech na jednego. To są orkowie.

•Na wschodzie też byli orkowie. To my zawsze zwyciężaliśmy -

powiedział Daverkail, olbrzymi żołnierz.

•Ale na końcu odjechaliśmy, to trochę tak, jakbyśmy uciekli - odezwał

się Nirdly.

•To był odwrót, a nie ucieczka... - upierał się Workail, jeszcze potężniejszy, ustępujący jedynie Daverkailowi.

•Tam, gdzie wcześniej byliśmy my, teraz są orkowie. Według ciebie dlaczego tak jest?

•Nie dajcie się wziąć żywcem. Widzieliście, co robią jeńcom...

•Jak można się samemu zabić?

•Umawiasz się z kimś innym: ty zabijasz jego, a on ciebie.

•A jak tamten już jest martwy, to jak mnie zabije?

126

•Stajecie obaj blisko, twarzami do siebie. Trzymacie miecz obiema rękami ostrzem do przodu i każdy spada w tym samym czasie na ciało drugiego.

•Cóż, tutaj nie mamy elfa, ale jest jego żona, z pewnością ona też potrafi coś zrobić. Królowa Czarownica. To dziedziczka Arduina, tak?

Wygląda na żebraczkę, ale jest Królową.

•Tak, to Królowa Czarownica. Trzyma orła, który śpi jej na ramieniu.

Żadnemu z dowódców orków orzeł nie sypia na ramieniu. To jest chyba jakiś znak, nie?

-Jutro pójdziemy walczyć i nikt nie wróci, nie róbcie sobie nadziei. A nawet jak wrócimy, to nic się nie zmieni, już zawsze będziemy lekką kawalerią. Dzisiaj przysłali nam chleb i kawałki sukien, ale tylko po to, żebyśmy się ucieszyli. Jeśli ich dary zmobilizują nas do walki, to może zdechniemy, zwyciężając, a oni się uratują. Ale gdy zdechniemy pokonani, oni skończą tak samo jak i my. Przynajmniej się postarali. Jedyne, co im robi różnicę, to tylko fakt, czy zwyciężymy, czy przegramy, ale to, czy zdechniemy, czy nie, robi różnicę tylko nam.

•Cicho bądź. Jeszcze usłyszysz nas Kapitan.

•Jest za daleko.

•A figa, że za daleko. On słyszy tam, gdzie inni nic nie słyszą, jeszcze tego nie wiesz?

•Tak, to prawda. I widzi też tam, gdzie inni nie widzą.

•Widzi w ciemności.

•Czuje tam, gdzie inni nie czują.

•Kapitan nigdy nie przegrywa.

Rankstrail wstał. Tajne obrady ucichły. Zaczekał spokojnie, dając wszystkim czas, by skończyli przełykać ostatnie kawałki chleba i obrócili się do niego. Zlustrował ich wzrokiem.

- Jutro zwyciężymy - powiedział powoli, spokojnie i rzeczowo.

- Zwyciężymy i koniec. Rozerwiemy orków na strzepy. Przeła miemy oblężenie. Dostarczymy miastu mąkę, soloną wieprzo winę i oliwę, bo jutro dobierzemy się do ich żywności. Jutro 127

wieczorem staniecie na środku dziedzińca Cytadeli i każdej kobiecie, która przyjdzie i was poprosi, napełnicie fartuch jedzeniem i podziękujecie za dzisiejszą ucztę. Jutro zwyciężymy. Nie jesteśmy lekką kawalerią, jesteśmy kawalerią, i koniec.

Kapitan zamilkł i znów spojrzał im w oczy, każdemu z osobna.

- Zwyciężycie, bo skądkolwiek pochodzicie, ta ziemia, za którą walczycie, jest wasza, a wasze dzieci będą się na niej bawić. Pośród tych wszystkich, które ocalicie, znajdzie się kobieta, co będzie szczęśliwa, mogąc być z wami na zawsze. Bo ten lud, za który się bijecie, stał się teraz waszym i walczy razem z wami. Nie wyjdziemy z miasta sami. Wyjdą razem z nami mężczyźni Daligar, a kobiety pozostaną na murach z lukami, bo nauczyły się strzelać, i z miskami niegaszonego wapna, które właśnie przygotowują. Jutro będziemy walczyć wszyscy razem i razem zwyciężymy.

Rankstrail rozdał serwety. Ta ze skrawkiem materiału od dziewczyny przy studni musiała zostać wylosowana, bo wielu chciało ją zdobyć. Tę z kawałkiem ciemnozielonego aksamitu oddał Lisentrailowi, a potem został

z nim i towarzyszył mu podczas nocnej wartę. W pewnym momencie daleko od nich kobieta z rudym warkoczem i ciemnozieloną spódnicą zatrzymała się, by na nich spojrzeć. Rankstrail nie zauważył jej i dopiero Lisentrail mu ją wskazał, lecz Kapitan nie wykazał ani odrobiny zainteresowania.

Kiedy miasto było jeszcze pogrążone we śnie, zjawiła się pewna dziwaczna postać, w długiej tunice w wyblakłym czarnym kolorze.

Rankstrail przyjrzał się jej i rozpoznał lichwiarza, tego, który pożyczył mu pięć monet na zakup Kleszcza. Kapitanowi udawało się co jakiś czas coś mu wysyłać, lecz nigdy nie spłacił całego długu, a przy odsetkach, które podwajały całą sumę co osiem miesięcy, ostatecznie był mu winien jeszcze pięć monet. I teraz wreszcie je posiadał. Wszystkie pięć.

Mężczyzna podszedł bliżej

128

i Kapitan się uśmiechnął, włożył rękę do swojej torby i poczuł pod palcami swoje monety. Nacieszył opuszki palców ich dotykiem. Były jego wolnością na całe życie: już nigdy nie będzie musiał obawiać się kata.

Niepokój, który towarzyszył mu za każdym razem, gdy myślał o tych pięciu monetach, miał się skończyć na zawsze. Na zawsze. Kapitan wyjął

monety i powoli włożył je mężczyźnie do ręki, napawając się tą chwilą, odciskając ją w swojej pamięci, bo moment, w którym kończy się koszmar wiszącego nad tobą długu u lichwiarza, to święto i należy zapamiętać je do końca życia. Lichwiarz popatrzył na pieniądze. Wpatrywał się w nie długo z czułością i tklivością, głaszcząc każdą monetę, jakby także chciał

zachować wspomnienie na swoich opuszkach, lecz potem dzielnie wcisnął

je z powrotem kapitanowi do ręki. Nie przyszedł, by odebrać dług, rezygnował z niego na zawsze. Sfinansowanie konia, który prowadził

wojnę przeciw oblężeniu Daligar, wydało mu się warte pięciu monet, właśnie tak. Przyszedł tylko oddać sztylet, w razie gdyby miał się przydać...

jutro... przeciw orkom... On także był jednym z mieszkańców, którzy nazajutrz mieli walczyć. Wolał, by dowodził nimi Kapitan wyposażony w każdą dostępną broń.

- Ej, Kapitanie - odezwał się Lisentrail, kiedy mężczyzna już się oddalił. -

Wiesz, co mawiała szwagierka mojej kuzynki? Że wszyscy chcą od ciebie pieniędzy zawsze wtedy, gdy ich nie masz...

O świcie z północnych murów, tych, które wychodziły na wolny brzeg Dogonu, nadeszła niespodziewana wiadomość. Nadciągały posiłki.

II

# J

utrnia wstała z łóżka. Pierwsze światła świtu rozświetlały niebo. Teraz nawet wczesnym rankiem dokuczały jej spuchnięte kostki i ból w krzyżu.

Przypomniała sobie, że ma poprowadzić armię do walki, i z trudem usiadła z powrotem na wielkim łóżku, blisko Erbrow, która spała spokojnie.

Królowa wsparła głowę na dłoniach. Za nic w świecie nie zdoła poprowadzić szarży. Ale przecież inni nie podążyliby za najemnikiem, poszliby tylko za nią.

Musiała iść.

Zawołał ją uszczęśliwiony Jastrin.

- Przybywają posiłki! - krzyknął. - Wjechali północną bramą! Są na dziedzińcu Cytadeli!

Juna zamknęła na moment oczy. Może jakieś przeznaczenie jednak istniało i było po ich stronie. Spod powiek ujrzała jedynie zamglone cienie. Może żaden los nie został jeszcze nigdzie zapisany i tylko od nich zależał wynik tej partii. Otworzyła z powrotem oczy i uśmiechnęła się.

Rozegrają ją jak trzeba. Wstała i doprowadziła się do ładu, zabierając na plecy krótki miecz Arduina i długi Yorsha. Włożyła na głowę koronę z bluszczem, narzuciła na plecy błękitno-złoty płaszcz i zapięła go na szyi, i wreszcie podążyła za Jastrinem na wewnętrzny dziedziniec.

Z murów spojrzała szczęśliwa na nowo przybyłych, czyli setkę wojowników, w większości na koniach. Nadeszli od północnej 130

strony, już wyzwolonej, niemal bez przeszkód. Juna zamyśliła się, jakim cudem znad obozowisk orków nie nadleciała żadna strzała ani nie dobiegł

żaden okrzyk.

Przybysze mieli na sobie lekkie zbroje ze skóry i żelaza. Byli wśród nich również żołnierze piechoty, bez hełmów, w których nie sposób zresztą wytrzymać w słońcu. Stanowili drugie, po lekkiej kawalerii z Varil, wsparcie, jakie nadeszło ze świata ludzi, i zostali powitani okrzykami radości, które od wielu dni po raz pierwszy rozbrzmiały w mieście.

Entuzjazm był wielki. Opuszczono most zwodzony, podniesiono kratę i wpuszczono ich, by dowiedzieć się dokładnie, jaka była ich tożsamość i misja. Przybysze wypełnili cały główny dziedziniec cytadeli.

Pośród ogólnego zamieszania ten, który wyglądał na przywódcę grupy, zabrał głos i bez zbędnych ceregieli wyjaśnił:

•...nie przybyliśmy na ratunek, umiłowany ludu Daligar, lecz po to, by pojmać ją, Czarownicę,

kobietę, która żyła z elfem. Mamy oddać ją orkom, a tym samym przypieczętować nowy pokój. Ja, sir Argniolo, zostałem tu przysłany przez Zarządcę, by was uspokoić i obronić...

- Oto, czemu orkowie ich nie zaatakowali! - stwierdził Tra-krail, obdarzony szybkim i bystrym umysłem. - To ich sojusznicy. Zarządca musiał wejść w układ.

- A czy najpierw nie czmychnął przed orkami co sił w nogach? - spytał

go ktoś inny.

- To prawda, on nie walczył, lecz my tak. Królowa Czarownica walczy.

Dzięki niej i nam Zarządca może się układać, znów ma co zaoferować w zamian. W zamian za miasto. Albo za pół miasta.

- Za pół miasta, czyli że niby podzielą je na dwie części?

- Nie, Zarządca będzie nadal sprawował władzę, ale nie sam, tak jak wcześniej. Będzie miał nad sobą orków.

Człowiek Zarządcy znów krzyknął:

131

- Ludu Daligar, wierni poddani kroczący teraz drogą nienawiści! Panuje obecnie zawieszenie broni z tym, który bezmyślnie wciąż nazywany jest wrogiem, i to ona, Czarownica, jest warunkiem owego rozejmu, ugody, fundamentem przyszłego pokoju.

To ona stanowi przyczynę wszystkich nieszczęść i nadal sieje niezgodę... Otrzymaliśmy absolutną gwarancję, że w zamian za nią, Czarownicę, żonę znenawidzonego elfa, tego, który poprowadził wojsko przeciwko Varil, oblężenie się zakończy.

Donośny głos Nirdly'ego doleciał z murów:

- Przeciwko Varil? Jak to: przeciwko? Myśmy Varil ocalili. To orkowie podkładali tam ogień.

- Wojna została zakończona - podjął znów Argniolo, nie bacząc na to, że mu przerwano. - Mądrość Zarządcy znów zwyciężyła.

- Varil stało w płomieniach - powtórzył Nirdly.

Tym razem dowódca delegacji, w ciężkiej szacie z czerwono--złotego brokatu, stracił swój wyniosły spokój.

- Nie rozmawiam z karłowatymi! Jak śmiesz się do mnie zwracać? To tym stało się Daligar, istnym ryszotkiem, gdzie najgorzej z karłowatych przemawia do kawalerzysty? To takie szumy winy powołałiście, by dowodziły w waszym rodzinnym mieście?



Jutrznia nie potrzebowała ani chwili, by rozpoznać przywódcę delegacji: Argniolo, prawa ręka Zarządcy, człowiek, który ją porwał, i morderca Yorsha. Ten, który wypuścił śmiertelną strzałę, co przeszła serce jej męża, na zawsze gasząc jego oddech.

W swojej bezgranicznej tępacie jej poddani nie zdążyli jeszcze pojąć, że nim otworzy się bramy i wpuści do miasta uzbrojonych ludzi, wskazane byłoby zasięgnąć informacji na temat ich tożsamości oraz zamiarów, a także poprosić o instrukcje swoich przełożonych.

Ale przecież jej rozkazy były takie, by nie wpuszczać orków, a ci tutaj nie byli orkami. I znów mieszkańcy po prostu tępo wykonali rozkaz.

132

Do wielkiego tchórzostwa dołączyła zatem opieszałość: przybysze byli wszak uzbrojonymi ludźmi i zdjęliby z pleców tutejszego ludu zarówno ciężar zadania, jakim była walka, jak i ten o wiele straszniejszy - myślenie.

Królowej Czarownicy pozostawało już tylko mieć nadzieję, że w piekle przewidziano osobny krąg dla głupców i że nie jest on zbyt odległy od tego dla tchórzy, żeby jej poddani mogli dreptać sobie od jednego do drugiego, bez większych niedogodności.

Argniolo przerwał. Dojrzał zaskoczonego Rankstraila. Kapitan przybył

go powitać, biorąc ich za odsiecz, i teraz obaj znajdowali się parę kroków od siebie.

Argniolo zmierzył go wzrokiem, pełen niedowierzania i wściek-

•A ty co tu robisz? - spytał, porzucając nagle swój napuszony ton.

•Wypoczywam. Czasem urządzam sobie taką majówkę. Albo jakieś polowanie - odparł Kapitan spokojnie wzruszając ramionami i wykonując nieokreślony gest.

•Mieli tu być tylko cywile i Czarownica.

•A tymczasem jestem i ja. Wiecie, miejsce jest piękne: góry niedaleko, komarów niewiele... Moi ludzie też zdecydowali się mi towarzyszyć, tak, żeby przypadkiem nie odwyknąć od wspólnego spędzania czasu.

Argniolo przełknął ślinę. Potrzebował dłuższej chwili, by odpowiedzieć, musiał improwizować w sytuacji znacznie trudniejszej, niż przewidywał.

•Rankstrail - odezwał się łagodnie, ścisząc głos, by tylko tamten mógł

go usłyszeć - Nie wiem, ilu... powiedzmy ludzi... masz ze sobą, ale niemożliwe, by było ich więcej niż pięćdziesięciu, tych, którzy tworzą waszą, jak by ją tu nazwać, armię? Twoich... powiedzmy, wojowników.

•Ach - przytaknął Rankstrail głośno - powiedzmy już raz na zawsze i żeby dobrze zabrzmiało: wojowników.

133

•Chodziło mi o to - zaczął znów Argniolo, rozwścieczony - że moich ludzi jest ponad dwa razy więcej niż twoich. Mam ze sobą wojsko, nie delegację, właśnie po to, żeby ostudzić niepotrzebne emocje.

•Moi ludzie za to potrafią walczyć.

•Masz już armię orków obozujących przed północną bramą, nie możesz sobie pozwolić na osłabienie swoich oddziałów, walcząc z nami, tutaj, wewnątrz Cytadeli. Nie masz wyboru, musisz oddać Czarownicę bez sprzeciwu. Co więcej, i jeśli o to chodzi, masz moje słowo: - ton jego głosu znów stał się uroczysty - twoje winy zostaną ci darowane i będziesz mógł znów wrócić na łono naszego społeczeństwa. Orkom chodzi tylko o Czarownicę, potem odejdą. To ty jesteś dowódcą Daligar, więc podejmij decyzję, dla dobra miasta.

Rankstrail musiał kazać sobie powtórzyć wszystko od początku, by mieć pewność, że dobrze rozumiał.

•Naprawdę? - spytał w końcu, zaciekawiony. - Zostanie mi wybaczone, że poprowadziłem moich ludzi, by wyzwolić moje konające miasto i uratować moje rodzeństwo, które miało lada moment zostać spalone żywcem? Jestem pewien, że nie zasługuję na tak wielką łaskę, doprawdy, jestem o tym całkowicie przekonany. Myślę, że istnieje niewiele rzeczy na świecie, co do których miałbym tak niewzruszoną pewność. A przy okazji - ostatni król elfów był tym, który poprowadził sławną szarżę, a ja z kolei wtargnąłem do miasta, wyzwalaając je. Czy następną osobą, którą w zamian za coś oddacie orkom, będę właśnie ja? A co zrobicie z wojownikami? Sprzedacie ich jednego po drugim w zamian za pokój, który nie jest niczym innym, jak tylko jedną wielką farsą?

•Napaści orków to odpowiedź na waszą wojnę - wrzasnął Argniolo.

- Orkowie grabią naszą ziemię jak wilki. Daligar dopiero co przełamało ich oblężenie, płacąc za to krwią i łzami, i wciąż jesz-134

cze zмага się z armią wroga obozującą przed północną bramą. Kiedy przybyliśmy, Varil stało w płomieniach. Ostatni z elfów uratował je. To wy go zabiliście?! Ja przysięgłem mu bezwzględna wierność. Jak sądzicie, jeśli powalę jego mordercę, zdołam zmniejszyć moją winę za to, że nie umiałem go ochronić? Zastęp Argniola zafalował groźnie.

•Lada moment - przerwał mu jadowicie Argniolo - Sryassink, dowódca wojska orków, stawi się u północnej bramy, aby zabrać Czarownicę, jak uzgodnił to z Zarządcą, a ja mu ją oddam. Sryassink i ja zawarliśmy pakt, który położy kres waśniom między ludźmi a orkami. Historia zapamięta nas jako Siewców Pokoju. Dzięki nam i Zarządcy, który poparł pakt, ani krew, ani łzy nie zostaną już wylane, i nie będziemy musieli nawet wyciągać mieczy.

•Jeśli ktokolwiek myśli o wydaniu kobiety, w dodatku oczekującej dziecka, w ręce orków, będzie musiał zabić mnie, a to nie takie proste.

Tę, którą wy nazywacie Czarownicą, my tu nazywamy Królową. Może rację mamy wszyscy: na tronie Daligar zasiada Królowa Czarownica, jej moc żywi się wściekłością i nienawiścią, i ona nas ocali. Wiecie, gdy jakieś miasto zostaje pozostawione samo sobie, oblegane przez orków, niewiele wystarczy, by je zadowolić. Mianuje się królem pierwszą lepszą osobę, dzięki której uda się przeżyć kolejny dzień. Czy według was i waszego Zarządcy orkowie zatrzymają się po nasadzeniu głowy Królowej i tego, co zastałoby z dziecka, które w sobie nosi, na najwyższą ze swoich dzid? Ja twierdzę, że przypuszczą atak na miasto i zdobędą je, bo Daligar zostanie pozbawione nie tylko władcy i dowódcy, lecz także utraci honor oraz wiarę...

•Żyjesz jedynie dlatego, że miesiąc temu Zarządca postanowił cię oszczędzić. Darował ci życie i przywrócił dowództwo - syknął Argniolo.

•Popęłnił największy błąd swojego życia. Pożałuje tego - odparł z mocą Rankstrail.

135

Nie zdołał kontynuować przemowy. Wokół niego podniósł się pomruk, dobiegający od strony delegacji cechów i uciekinierów ze wschodnich ziem.

Gdyby nie Królowa Czarownica, wszyscy już dawno leżeliby martwi w mieście zrównanym z ziemią.

•Mój mąż stał na straży przy ogniach! - krzyknęła kobieta z dzieckiem na rękę. - Wykonał rozkaz. Zaalarmował, że nadciągali orkowie, tak jak powinien był zrobić, i pozostał na swoim miejscu, tak jak należało. Jego głowa jest tam, na zewnątrz. To jego syn, żyje, bo miesiąc temu Czarownica spaliła most i kata-pulty orków.

•Ona walczyła z nami i dla nas.

•Pojechała uratować nasze dzieci. Najemnicy jej pomogli. A wy gdzie byliście? Nasi dowódcy, nasi żołnierze, wszyscy uciekli w bezpieczne miejsce.

Młody wieśniak, który wywijał mieczem Gesualda Trzeciego zwanego Śmiałym, ze srebrną rękojeścią, zapewnił, że teraz wszyscy pójdą zniszczyć orków, a potem zabiją każdego, kto wysunie jakieś roszczenia w stosunku do nich albo ziemi, którą uprawiali, czy sprzeciwi się dowódcom mającym prowadzić kontratak.

Dwie z kobiet, których dzieci zostały porwane przez wojowników akrobatów i uwolnione przez Junę, rozpoznały swoich mężów wśród ludzi Argniola. Rzuciły się do nich, wściekłe, pytając, czy wiadomo im, że przyszli zabrać kobietę, która ryzykowała własne życie dla ich dzieci, podczas gdy oni, ich ojcowie, beztrąsko zażywali świeżego górskiego powietrza, w towarzystwie Zarządcy i jego dworu.

- Następnym razem, gdy wy i Zarządca będziecie uciekać - po wiedział jeden z żołnierzy - zabierzcie

również moją żonę i moje dzieci. Wtedy może wykonam wasze rozkazy.

Jutrznia pomyślała, że chyba przyjdzie jej zmienić zdanie na temat swoich poddanych. Ich myślenie pozostawało wprawdzie 136

nadal bez zmian, lecz jeśli chodzi o odwagę, coś zaczynało się powoli zmieniać.

Dotarła już na koniec długich i wąskich kamiennych schodów, które wiodły na dziedziniec z balkonu królów. Niespodziewanie wyłoniła się z cienia i Argniolo potrzebował nieco czasu, by ją rozpoznać. Widział ją raz w życiu i nie spodziewał się ujrzeć jej w koronie, w płaszczu z aksamitu i złota.

Kiedy wreszcie zorientował się, kogo ma przed sobą, zdał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa.

Jutrznia zmierzyła go wzrokiem.

Znów przypomniała sobie umierającego Yorsha, ujrzała jego twarz wykrzywioną w bólu, pierś przeszytą strzałami, krew i ostatnią strzałę z kuszy, wypuszczoną przez Argniola i trafiającą jej męża w serce.

Znów usłyszała jego głos.

Ujrzała go, jak upada pośród krwi, na błotnistą ziemię.

Poczuła w sobie swoje dziecko, kiedy się poruszyło, i jej furia wybuchła ze zdwojoną siłą.

Mężczyzna, którego miała przed sobą, ze spokojem podpisał na nie wyrok śmierci.

Oddech tego mężczyzny jeszcze przed wieczorem zgaśnie.

Argniolo położył dłoń na mieczu. Zdążył wyciągnąć go i zamachnąć się na Junę.

Miasto wybuchnęło nienawiścią.

Żołnierze, stojąc w bezruchu, przyglądali się dowódcy, który podnosił

rękę na kobietę noszącą dziecko w swym łonie.

Juna nauczyła się walczyć od Yorsha: zawsze patrz w twarz przeciwnikowi, bo to niedostrzegalne ruchy oczu wskazują, gdzie padnie następny cios. Odparowała uderzenie mieczem elfów i jej lewa ręka natychmiast chwyciła miecz Arduina, krótki i poręczny. Gdy ścisnęła chropowatą rękojeść z żelaza i kamienia, zrozumiała, jakie było jego przeznaczenie: dziwne ostrze w kształcie półksiężyca, niezmiernie ciężkie, wypukłe i grube na kciuk po

i37

jednej stronie, a zarazem bardzo zaostrzone i wklęsłe po drugiej - służyło do ścinania. Gdyby

wypukła strona nie była dostatecznie gruba, broń nie miałyby odpowiedniego ciężaru, a jeśli by nie została znakomicie naostrzona, nie cięłyby z taką łatwością. Ar-duin, Władca Światła, musiał

słynać z odwagi, lecz nie z litości.

Dłuższym ze swych mieczy Juna zmusiła Argniola, by obniżył swój własny. Potem drugim mieczem go ścięła.

Potrzebne do tego było silne ramię, takie właśnie jak jej. Wściekłość pomnaża siłę, strach ją niszczy. Podczas gdy krew Argniola tryskała na jej płaszcz, Jutrznia wycelowała długi elficki miecz w gardło oficjała Zarządcy, mężczyzny w średnim wieku, łysego, z nosem w kształcie dziobu, podobnego do jastrzębia, który wpatrywał się w nią nie tylko przerażony, ale i osłupiały. Ransktrail i jego ludzie wyciągnęli miecze.

Wysoko na murach kobiety i mężczyźni wyćwiczeni przez Aurorę napięli łuki. Ścięcie Argniola przez tę, która zaraz miała być więźniem, sparali-

żowała wszystkich nowo przybyłych.

- Spóźniliście się! - krzyknęła Królowa. - Czas układów minął. Kto mordował, okaleczał i palił, temu nie będzie to przebaczone. Nie oddamy mu nikogo z naszych, licząc na to, że w ten sposób łaskawie złagodnieje i przestanie mordować i palić. Tych, którzy zniszczyli nasze domy i pozbawili życia naszą ludność, rozszarpiemy na kawałki, zanim spalą inne domy i zamordują inne istoty. Odplacimy ciosem za cios i pokażemy wszystkim łajdakom po obu stronach Pogranicza Ziemi Znanych, że czasy, gdy można było bezkarnie zabijać dzieci rodu ludzi, minęły i nigdy już nie wrócą. Ja jestem dowódcą miasta, jestem dziedziczką Arduina. Jestem Królową. I ja wam mówię, że w tym mieście czasy tchórzów i zdrajców się skończyły.

W tym momencie na murach pojawiła się Aurora i gdy ujrzała zabitego Argniola, zbladła. Przerazenie wypełniło jej oczy. Przez chwilę o mało nie zwymiotowała, lecz zdołała się otrząsnąć.

138

- Moja pani - odezwała się z szacunkiem do Juny, mocnym, lekko drżącym głosem, który rozbrzmiał czysto na dziedzińcu znad murów - dowódca pierwszej dywizji orków, o imieniu Sryassink, oświadcza, że przybył, by rozmawiać z człowiekiem, który nosi imię Argniolo.

Królowa przytaknęła. Poddańczy respekt, z jakim Aurora, córka Zarządcy i jego jedyna dziedziczka, zwróciła się do niej, wstrząsnął łysym wojownikiem i wszystkimi pozostałymi. Juna musiała szybko podjąć decyzję. Bądź co bądź, armia Argniola liczyła około setki dobrze uzbrojonych żołnierzy.

•Macie jakieś imię? - spytała mężczyznę, którego miała na ostrzu swego miecza.

•Anrico - padła odpowiedź.

•Kapitanie Rankstrail - rozkazała Jutrznia - każcie zaprowadzić Anrica i jego ludzi do zbrojowni. Rozdajcie po jednym hełmie na głowę, będą oni stanowić skrzydła waszego ataku. Jak ktoś nie

będzie walczył, przebije się go mieczem. Chcę zobaczyć jego głowę na palu jeszcze przed wieczorem. Kto będzie walczył jak należy, zostanie godnie potraktowany i przyznane mu będzie obywatelstwo.

•Pani! - ośmielił się odezwać mężczyzna, któremu gniew dodał odwagi. -

Moja rodzina to jedna z tych, które założyły Daligar. Byłem jego obywatelem na długo, zanim się narodziłem, zanim wy przyszliscie na świat. To nie wam decydować o przyznaniu lub odmówieniu mi tego prawa.

Jutrznia zrozumiała, że popełniła błąd: nie mogła i nie powinna była walczyć, mając u swego boku kogoś, kto nie wierzył ani w nią, ani w miasto, zmuszony do walki jedynie strachem na myśl o śmierci. Anrico jej się spodobał.

Wzięła głęboki wdech, zrobiła krok w tył i zwróciła się do wszystkich nowo przybyłych.

- Dzisiaj założymy to miasto od nowa - powiedziała z prze konaniem. - Kto dziś nie stanie do walki, zostanie z niego 139

wyrzucony. Nie ma znaczenia, czego dokonali wasi przodkowie: ważne jest to, co wy zrobicie dzisiaj. Los i przyszłość każdego spoczywa w jego własnych rękach. Dzisiaj przekonamy się, czy wszyscy razem zginiemy, czy też wyrwiemy się z mocy orków i morderców. Dziś staniemy do walki: mężczyźni, kobiety i dzieci, arystokraci, biedota, kawalerzyści, byli skazańcy i mężowie z rodu karłów. Dzisiaj wszystko to, co było, zostaje przekreślone. Dla nas wszystkich świat albo się odrodzi, albo skończy, innej możliwości nie ma. Wolno wam jeszcze odejść. Nie chcę niezdecydowanych, niepewnych ani bojaźliwych w moich szeregach. Kto pragnie odejść, kto nie chce walczyć razem z nami, jego wybór zostanie uszanowany. Kaźcie opuścić most przy północnej bramie. Żadnych gestów ani żadnych krzyków pod adresem tych, którzy zechcą wrócić w góry.

Wynocha z pola walki!

Mały most zwodzony na północnej ścianie został obniżony, a następnie podniesiony, jednak żaden z nowo przybyłych nawet się nie poruszył.

Królowa Czarownica spojrzała na wszystkich żołnierzy Zarządcy i kącik ust po jednej stronie jej twarzy uniósł się powoli lekkim uśmiechu. Nad miastem rozległ się triumfalny okrzyk.

•Jesteście na rozkazy Kapitana Rankstraila - powiedziała.

•Moja pani, kapitan Rankstrail to najemnik, my jesteśmy kawalerzystami - zaprotestował Anrico.

•Tak było jeszcze chwilę temu, ale stare porządki minęły na zawsze.

Obiecuję wam, że jeśli dzisiaj którykolwiek z was wykaże się większą odwagą od Kapitana, to obejmie przywództwo w mieście, ale do tej pracy jesteście na jego rozkazy. Odwaga Kapitana jest wielka i walka pod jego dowództwem to prawdziwy zaszczyt.

•Niech i tak będzie, moja pani - odparł Anrico - Jutrznio, dziedziczko Arduina.

•Podnieś tę głowę - powiedziała Juna, wskazując ją biednemu Jastrinowi. Chłopak zszedł za Królową po schodach i wpatrywał

140

się w głowę Argniola ze strachem. - Już - syknęła surowo. Nie mogła się schylić, bo nie było to godne Królowej, a poza tym przeszkadzał jej brzuch.

Aurora zbladła jeszcze bardziej, lecz pozostała niewzruszona.

-Ju... to znaczy, moja pani - odezwał się nieśmiało biedny Jastrin.

Królowa spojrzała na niego twardo. Z oczami pełnymi łez chłopiec chwycił głowę Argniola za zakrwawione włosy i podał ją Junie.

Z głową w dłoni Jutrznia przeszła obok Aurory. Ta poszarzała na twarzy całkowicie, lecz jej niewzruszone oblicze nie zdradzało żadnych emocji.

Córka Zarządcy podążyła za Królową.

Na murach panowała okropna cisza. Jutrznia miała Aurorę i swoich łuczników po lewej stronie, podczas gdy Rankstrail i Li-sentrail stanęli przy jej prawym boku. Na przeciwległym brzegu południowego Dogonu szeregi i szwadrony orków wraz z dowódcami znajdowały się przed większym ze zwodzonych mostów.

Ork o imieniu Sryassink okazał się niskim wojownikiem z rzadką, siwą brodą i wybrakowanym uzębieniem. Stał na czele ogromnego oddziału kuszników i był zaprzeczeniem reguły, zgodnie z którą na dowódców wybierano najpotężniejszych orków.

- Gdzie człowiek, co nosi imię Argniolo! - krzyknął rozwścieczony. - Obiecał nam Czarownicę i teraz to on musi z nami mówić.

Jutrznia pokazała głowę. Trzymała ją długo w górze, potem upuściła.

- Argniolo nie ma już za wiele do powiedzenia - stwierdziła z pogardą. - Oto, jaki koniec spotyka w Daligar zdrajców. Ja będę mówić zamiast niego.

Na murach wszyscy, łącznie z Jastrinem, zamarli. Ork był coraz bardziej rozwścieczony. Głowa człowieka, z którym zawarty został układ, teraz wystawiona ku przestrodze, cała

we krwi, ośmieszyła go przed armią. Nieprzyzwoite wybuchy śmiechu dobiegły z szeregów najeźdźców. To Sryassink prowadził pertraktacje, prawdopodobnie przechwalając się swoimi zdolnościami jako negocjator.

-Ja nie mówię do kobiety - ryknął Sryassink, podczas gdy pierwszy szereg kuszników stanął tuż za jego plecami. - Ty, kobieta z dzieckiem w środku, ze wszystkich stworzeń jesteś najbardziej plugawa. Brudniejsza niż wieprz i pies. Gdy mówię do ciebie, tracę mój honor. Jeśli kobieta z dzieckiem w środku patrzy, jak ork po śmierci jest chowany do ziemi, to nawet ork, co zginął w walce, traci honor.

Sryassink splunął. Jutrznię ogarnęła nienawiść, która dodała jej jednak sił. Jednocześnie wezbrało w niej okrucieństwo. Dziecko, które w sobie nosiła, zobaczy światło dnia i jeśli to miało oznaczać ścięcie wszystkich tych, którzy chcieli temu zapobiec, jej ręka jest gotowa. Zaciśnęła dłoń na rękojeści krótkiego krzywego miecza. Przemówiła straszonym głosem.

- Wcale nie pozwoliłam ci do mnie mówić! Masz tylko wysłuchać tego, co ja ci mam do powiedzenia, a potem zdechnąć albo odejść. Wracajcie natychmiast na wasze plugawe, opustoszałe i nędzne ziemie, które was wypłuły na ten świat. Jak już nauczycie się je uprawiać, popiół zamieni się w glebę, a wy staniecie się ludem tej ziemi. Dopóki to nie nastąpi, będziecie tylko stadem podłych grabieżców, wartym mniej niż ziemia, po której stąpacie, i wolno będzie was niszczyć, a potem liczyć zabitych i być z tego dumnym. Rozkazuję ci natychmiast odejść i zabrać swoją horde albo inaczej w całej dolinie Dogonu wasza krew zamieni naszą ziemię w błoto i nakarmi robaki, które posłużą nam do łowienia pstrągów, i wtedy otrzymacie pochówek, na jaki zasługujecie.

Ork zachwiał się, jakby został trafiony strzałą. Znad jego hordy uniósł

się groźny pomruk. Jutrznia zrozumiała, że pozbawiła go honoru. Jej słowa podkopały autorytet dowódcy, a może nawet i jego władzę.

142

•Kim ty jesteś, kobieto, że śmiesz do mnie, dowódcy, mówić jak do sługi?! Zniszczę ciebie i miasto. Wytniemy wszystkich w pień, a po tym jak wyrzniemy mężczyzn i kobiety, zamordujemy dzieci w łonach matek! - krzyknął głosem ochrypłym z wściekłości.

•To nieprawda, że mówię do ciebie jak do mych sług, moi słudzy to porządni ludzie i nigdy nie odezwałabym się do nich bez należytego szacunku i czci - odparła Królowa. Pomruk nad szeregami orków nabrał

posępniejszego tonu.

•Poderżnę gardło tobie i bękartowi, którego w sobie nosisz! -zagroził

dowódca orków.



•Ja jestem władcą Daligar, dowódcą i władcą miasta. Jestem dziedziczką Arduina. Jego krew płynie w moich żyłach. Ten, którego w sobie noszę, jest ślubnym synem, który łączy w sobie krew ostatniego króla elfów i krew potomków Arduina. Moje dzieci dokończą rozpoczęte dzisiaj dzieło wytrzebienia orków, którzy ośmielą się przelewać krew ludzkich dzieci.

Imię Arduina zabrzmiało ponurym echem pośród zastępów wroga.

Dowódca orków zbladł.

-Nie boję się - odparł. - Nawet orków Mong-hahul nigdy się nie boimy.

Popęłnił błąd. Jutrznia zrozumiała w lot. Ork również, lecz było już za późno. Przecząc temu, jakoby miał teraz odczuwać strach, przyznał, że nieobce mu to uczucie. Jego honor został splamiony.

Juna zastanowiła się, kim w ogóle byli orkowie Mong-hahul i co mieli wspólnego z tematem rozmowy. Prawdopodobnie to postaci mitologiczne, jakiś rodzaj potworów lub demonów. Rozumowanie orków najwidoczniej biegło innym torem niż jej własne, ale na pewno nie był to odpowiedni moment ani na uzupełnianie wiedzy z zakresu geografii lub historii, ani na zasięganie informacji. Juna wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Ależ ja nie chcę cię wystraszyć! - powiedziała łagodnie, nie mał uspokajająco. - Chcę tylko jak najszybciej oddzielić twoją i43

głowę od szyi, a potem położyć się z powrotem spać, bo wiesz, odkąd jestem w ciąży, puchną mi stopy od stania i muszę dużo wypoczywać.

Morze orków znów wydało z siebie pomruk, który zaraz przerodził się w ryk. Znad jednej z halabard pomknęła strzała, lecz nie była przeznaczona dla Jutrzni. Dowódca orków został trafiony w gardło. Pozwolił kobiecie w ciąży, by mu groziła, a ta jeszcze pozbawiła go honoru, mówiąc do niego o kobiecych sprawach. Juna pohańbiła nie tylko jego, ale wszystkich. Ork przez moment wpatrywał się w Królową, potem jego usta wypełniły się krwią, oddech zamienił w długie rżenie i w końcu wojownik upadł na ziemię.

•Jednego mniej - mruknął Rankstrail.

•Jednego mniej - powtórzył jak echo Lisentrail. - Ich wojowników jest trzy razy więcej, ale w gębie to my jesteśmy silniejsi. Ej, Kapitanie, wiesz, czemu ten elf był niepokonany i nikogo się nie bał? W

porównaniu z taką żoną orkowie wydawali mu się pewnie potulni jak baranki.

Młoda Królowa w ciąży była wielkim dowódcą, choć troszeczkę porywczym, to trzeba przyznać. Ale jej przodek, jak mówiono, także nie grzeszył cierpliwością wobec swoich wrogów.

utrznia wróciła do swoich komnat, by po raz ostatni przytulić córkę. Myśl o tym, że ma dosięść konia, wydała jej się niemożliwa. Kapitan podążał

za nią, tłumacząc koncepcję ataku i dwóch

manewrów: jego zastępca i nowo przybyli pogalopują na wschód, jak gdyby chcieli dotrzeć do skrótów na Varil... Jego głos stawał się coraz mniej wyraźny. Juna poczuła kopnięcie. Ból na moment odebrał jej oddech,

potem minął, a ona znów zaczerpnęła tchu. Była niemal biała.

Rankstrail spojrział na nią zaniepokojony.

•Dziecko! - szepnął. - Ma się urodzić?

•Nie, jeszcze nie, jeszcze za wcześnie. Jeśli urodzi się teraz, będzie za małe!

•Pani - odrzekł spokojnie Rankstrail - udajcie się do waszych komnat. Ja do nich wrócę. Poprowadzę dla was tę wojnę. Wygram ją dla was.

Przysięgłem walczyć i zginąć za waszego małżonka, ale zrobię to dla was i dla waszych dzieci. Zawdzięczam waszemu małżonkowi wyzwolenie mojego miasta, moich ludzi i... tak... mnie samego. Jeśli przyjdzie mi ściąć wszystkich orków, nawet tych z Gór Ciemności, by wasz syn mógł się narodzić, klnę się, że to uczynię. Teraz już idźcie.

•Nie - odparła Jutrznia - to ja muszę poprowadzić atak. Mnie i tylko mnie chroni przepowiednia...

145

- Przepowiednia? Jaką przepowiednia? Ach, tak, zrozumiałem, opowiadali mi coś o tym osiem lat temu: wy i wasz małżonek przyśniliście się sir Arduinowi czy coś takiego. A zatem jeśli on o was śnił, to dlatego, że wasze przeznaczenie musi się wypełnić.

Ale ja przecież wcale nie mam poprowadzić wojny przeciwko orkom, pani, tylko iść odebrać im zapasy żywności. Chociaż nie zostałem przewidziany w żadnej przepowiedni, choć krew żadnego bohatera sprzed stuleci nie płynie w mych żyłach i choć mam wojsko, do którego opisanie nie zniżyłby się żaden wędrowny śpiewak, to przecież do zapasów żywności mogę się przedostać.

Pani, do miejsc składowania pożywienia jakoś uda nam się do trzeciej, nawet bez was. Walczę tym, co mam.

Jutrzni zaparło dech w piersi, i to nie tylko z powodu kolejnego kopnięcia.

•Dlaczego tak powiedzieliście? „Walczę tym, co mam”? Kapitan wzruszył ramionami.

•Nie wiem, brzmi dobrze.

•I walczyście tylko po to, by zwyciężyć?

- Pani - odparł Kapitan zdziwiony - myślę, że jedynie kompletny kretyn walczyłby po to, żeby przegrać. - Lekko się uśmiechnął. - Nie martwcie się, bądźcie spokojni. Ja pójdę zdobyć dla was zapasy żywności.

Rankstrail odwrócił się i oddalił. Juna odprowadziła go wzrokiem aż do momentu, gdy tamten zaczął się wspinać po stromych schodach, które doprowadzą go na bastiony. Potem kolejne kopnięcie odebrało jej oddech.

- Kapitanie! - krzyknęła, jak tylko odzyskała siły. Rankstrail odwrócił się. - Mój koń... Jedźcie na czele szarży na moim koniu.

Weźcie Enstriila.

Kapitan przytaknął. Spoglądał na nią jeszcze przez chwilę, zanim obrócił

się i zniknął. Juna musiała się oprzeć, by nie upaść.

146

Kiedy urodziła się Erbrow, Yorsh stał przy niej, podtrzymywał jej plecy i obejmował ją. Bóle były delikatne, niczym fale spokojnego morza dobijające do czystej plaży. Przychodziły i odchodziły, pozostawiając jej czas na oddech i na słuchanie głosu Yorsha, który ją uspokajał, a potem płacz ich córeczki dołączył do dźwięków letniej nocy i głośnego, potężnego szumu morza. Było coś w głosie męża, a może w jego dłoniach, co roztopiało ból, rozpuszczało go i łagodziło.

Teraz nic nie powstrzymywało kopnięć, które przybierały na sile. Juna poczuła strach i tęsknotę.

Była sama.

Yorsh został zabity.

Jej dziecko miało się urodzić przed czasem, w mieście obleżonym przez orków, opuszczonym przez ludzi którego broniła zaledwie garstka nędzarzy, a dowodził nimi jakiś wyrzutek i córka człowieka znienawidzonego przez Junę najbardziej ze wszystkich.

Coś musnęło jej dłoń, wciąż zaciśniętą na krótkim mieczu Arduina. To była Erbrow, która miała oczy swojego ojca i imię ostatniego ze smoków.

Dziewczynka ujęła jej wilgotne palce w swe chłodne maleńkie dłonie.

Najwyraźniej ten gest uspokoił Junę, bo kolejne kopnięcia wydały się już mniej dotkliwe.

Odzyskała odwagę, jej oddech znów stał się silny i regularny.

Pochyliła się, by przycisnąć do siebie córeczkę, a potem dzielnie ją odesłała, każąc iść się pobawić na dziedzińcu, i skuliła się na swoim łóżku. Czekwała, aż jej dziecko się narodzi. Czuła ogromne pragnienie, ale dzban był pusty, a ona nie miała siły, by zejść do fontanny na dziedzińcu.

Usłyszała jednak kroki na schodach. Zdołała się podnieść. Ujrzała Parzię, matkę, której syna ocaliła.

- Moja pani - zapyta ją tamta, oburzona - dlaczego nikogo nie wezwaliście? Dlaczego nie posłaliście po mnie? Wystarczyło powiedzieć Przełożonemu Domu Królów! Nie możecie być teraz

147

sami... Ja tu jestem... Wiecie, to mój zawód, jestem akuszerką... na szczęście Kapitan kazał mnie poszukać... wiecie, ten, który przypomina niedźwiedzia...

Jutrznia rozpogodziła się. Jak zwykle najprostsze rozwiązanie, jakim było wezwanie pomocy, po prostu nie przyszła jej do głowy. Musiała sobie uprzytomnić, że głęboko zakorzeniona zasada, by polegać tylko na sobie, mogła spowodować nieszczęście.

Akuszerka kazała jej wypić napar z rumianku z miodem, który natychmiast przywrócił jej siły. Może zresztą Juna odzyskała je dlatego, że nie była już sama. Rumianek i miód. Stwierdziła, że musi sobie o tym przypomnieć, gdy Erbrow będzie miała swoje pierwsze dziecko, i długo bawiła się tą uspokajającą myślą. Erbrow podrośnie i urodzi dziecko, a ona jako matka będzie służyć poradami. Nie polegą z Erbrow podczas oblężenia Daligar. Miasto też nie padnie.

Uda jej się. Między nią a orkami jest Kapitan.

Z dziedzińca dobiegł lekki hałas: ktoś bawił się z jej córeczką. Jakaś kobieta recytowała jej wierszyk i mała zanosila się śmiechem.

- To wasze drugie dziecko, prawda? - odezwała się Parzia. -

Piękna ta wasza córeczka, naprawdę śliczna... Poród trochę przedwczesny, prawda? Szarża na orków nie jest akurat najbar dziej wskazana w takim stanie... Już po wieki będziemy wam wdzięczni za to, coście zrobili, moja pani. Zobaczycie, bogowie wam to wynagrodzą wspaniałym synem. Teraz powinniście się pomodlić, moja pani, żeby zyskać ich przychyłność...

Jutrznia nigdy nie odnosiła wrażenia, by zainteresowanie bogów losami ludzi, a już zwłaszcza jej własnymi, było na tyle duże, aby należało zanosić jakieś specjalne modły, lecz powstrzymała się od komentarza na ten temat.

- ...mężczyźni uciekli i zostały same kobiety, by walczyć...

Parzia najwidoczniej uważała rozmowę, a raczej nieprzerwany monolog, za istotną część swej pracy.

148

- Teraz jednak mężczyźni tu są... On, Kapitan, co wygląda jak niedźwiedź... on sobie poradzi,

prawda? Nawet bez was... Ale te raz nie powinniście się martwić... Szwagierka mojej siostry też miała dziecko przed czasem i żebyście widzieli, jaki z niego wy rósł chojrak, aż miło popatrzeć! Jak się urodzi trochę wcześniej, tylko na tym zyskacie, zobaczycie... i kuzynka mojej sąsiadki, i siostra mojego szwagra, jak się nad tym zastanawiam... Wy się nie martwcie, bo tu wszystko idzie jak trzeba... Moja pani! Na zewnątrz też wszystko idzie jak trzeba. Prawda? - spytała nagle, podczas gdy jej głos stawał się coraz słabszy i coraz bardziej nie pewny. - Kapitan sobie poradzi, prawda, nawet bez was? Ten, co wygląda jak niedźwiedź... Mówią, że on nigdy nie przegrywa.

To ten sam, który wyzwolił Varil, prawda?

Czując kopnięcia i pijąc rumianek z miodem, Jutrznia zupełnie zapomniała o bitwie. Jeśli Rankstrailowi nie uda się zwyciężyć, lepiej już, żeby jej dziecko się nie narodziło, bo i po co.

- Ależ co wy robicie? Nie możecie wstać... musicie leżeć wy ciągnięci... to tak się rodzą dzieci... Moja pani... co robicie? Nie możecie!

Jutrznia wstała, bo znów miała siłę. Na stojąco czuła się lepiej. Kiedy urodziła się Erbrow, Yorsh zapewnił ją, że ponieważ natura i wszechświat zawsze działają sensownie, ta pozycja, która dla niej była wygodniejsza, z pewnością ułatwiała bieg rzeczy. Poza tym Juna z trudem wytrzymywała leżenie na plecach, ponieważ odbierało jej siły i pozbawiało ją oddechu.

Cała aż się lepiała od potu. Ścigana przez protesty akuszerki, wyszła ze swej komnaty na ciepłe powietrze, na zewnątrz, gdzie ciszę mącił tylko lekki wietrzyk, i zbliżyła się do murów.

Poniżej, na równinie Daligar, szalała bitwa.

Kapitan Rankstrail po raz kolejny przełamał szeregi wroga i z wysoka Juna ujrzała jego nędzną kawalerię i jeszcze bardziej godną pożałowania piechotę, uzbrojoną w stare, lśniące złotymi zdobieniami miecze. Wilk biegał między orkami, płosząc ich konie.

# K

apitan pędził na czele swych ludzi, po raz pierwszy w życiu dosiadał konia, który niósł go bez sprzeciwu -nie tak jak jego zawzięty i leniwy Kleszcz.

Pędził na Enstriilu i choć dzięki świetnemu rumakowi wszystko zdawało się proste, nie czuł się dobrze. Koń nie należał bowiem do niego, lecz do ostatniego z elfickich wojowników, któremu on pozwolił umrzeć w samotności, mimo że wcześniej przysiągł mu wierność. Nawet jeśli zdołałby o tym zapomnieć, zwierzę i tak będzie mu to przypominało. Choć zasadniczo jeździł tylko na Kleszczu, to jednak jego znajomość koni była na tyle dobra, by wiedział, że kawalerzysta zawsze musi być na swój sposób akceptowany przez wierzchowca, podobnie jak pan przez swojego psa. Nawet zawzięty upór Kleszcza był lepszy od nieprzeniknionej obojętności Enstriila. Koń wykonywał jego polecenia, lecz nie kochał go i znosił jego ciężar tak, jak znosi się trud i nudę.

Kapitana pocieszyła tylko myśl, że dosiadając Enstriila, zwiększał swoje szanse na zdobycie żywności dla miasta, w którym żyły dzieci księcia elfów.

Zastanowił się, czy nowy spadkobierca już się narodził. Myśl ta pocieszyła go i wziął ją za dobry znak. Pomimo głupoty, która skazała na śmierć ostatniego z elfów, może jeszcze ocalić świat ludzi.

152

Rankstrail ujrzał kuropatwy i bażanty podrywające się do lotu i uśmiechnął się. Orkowie nigdy nie radzili sobie ani z łukami, ani z kuszami, mieli je i używali ich, ale najbardziej lubili halabardy, maczugi i zabójcze miecze, ostre aż do rękojeści.

To dobry znak, że aż tyle dzikiej zwierzyny uchowało się przed halabardami orków i ich kuszami w ciągu długiego oblężenia, zwłaszcza w tym miejscu, między zaroślami a dąbrową, gdzie teraz jeden lub nawet dwa oddziały orków podkradały się na czworakach, by wziąć ich z zaskoczenia.

Pułapka była gotowa, a właściwie to nawet dwie pułapki: ta, którą orkowie, jak im się zdawało, przygotowali dla niego, i ta, w którą mieli właśnie sami wpaść.

Czekał już na nich Lisentrail, karły i wszyscy inni, łącznie z rzeźnikami, kowalami i cyrulikami z miasta. Ukryli się na polanie, gdzie wszystkich wojowników osłaniały skały, a orkowie nie mieli szans się skryć.

Kapitan spojrział na dym unoszący się od zachodniej strony, znad obozowisk orków. Nowe katapulty zostały podpalone razem z mostem -

udało się tego dokonać Anricowi i regularnemu wojsku. Równocześnie usłyszał okrzyki zwycięstwa ludzi. Słowo „Daligar”, skandowane jakby w pieśni, rozbrzmiewało długo w powietrzu i był to pierwszy dźwięk od więcej niż jednego księżycy, który zagłuszył hipnotyczne dudnienie bębnow orków. Miasto znów było nie do zdobycia. Teraz wystarczyło tylko dotrzeć do zapasów żywności, a z atakującym ich głodem, tym najbardziej zabójczym z wszystkich wrogów, uda im się zawrzeć rozejm.

Choć zmienianie kart historii z pewnością nie należało do takich jak on, ludzi znikąd, to jednak dotarcie do zapasów żywnościowych wroga mogło być punktem zwrotnym. Miasto będzie mieć pod dostatkiem wody, ziemniaków i solonej wieprzowiny, a Królowa Czarownica otrzyma do dyspozycji tyle czasu, ile będzie jej potrzeba.

i53

Jutrznia zdoła przełamać oblężenie i odeprzeć wroga aż za pola ryżowe.

Najważniejsze było zajęcie skalistych Wzgórz Nowego Księżyca, którejdy przebiegała krótsza droga łącząca miasto jezo-zwierza z miastem czapli.

Wzgórze nad równiną Varil kończyły się tak urwiście, że zdobycie ich było właściwie niemożliwe.

Królowej Czarownicy uda się tego dokonać w sposób, którego on nie potrafił sobie nawet wyobrazić. To wystarczający dowód - o ile kiedykolwiek był potrzebny - że to nie jemu pisane jest dopełnić tego dzieła.

Jego myśli powróciły do kwestii żywności.

Teraz musiał zrobić jedno: ściągnąć na siebie uwagę orków przekonanych, że zwabili go w pułapkę. Lisentrail będzie go osłaniał z góry, dając mu czas, by mógł do niego dołączyć na skalistych polanach i w lesie, a potem on mu się zrewanżuje: Rankstrail i jego ludzie będą go osłaniać, a Lisentrail dotrze do żywności, wozów z wodą, kurczaków, cieląt, wołów, a potem pod dodatkową eskortą Anrica, który lada moment nadejdzie od strony rzeki, dostarczy wszystko do miasta.

Tak jak zostało przewidziane, grad strzał nadleciał nagle od strony lasu.

Tak jak zostało przewidziane, udało im się nie ponieść żadnych strat, bo tarcze wystarczyły, by ich ochronić. Tak jak zostało przewidziane, orkowie wyszli na nieosłoniętą przestrzeń, a wtedy - wbrew swym rachubom -

Rankstrail zorientował się, że ma ich wszystkich na karku.

Wyłaniali się z każdej strony, w szyku, zdyscyplinowani, gotowi dać się zabić, byle tylko dosięgnąć swoim mieczem jego gardła. On i tylko on był

celem ich ataku. Na miejsce każdego, którego udawało mu się powalić, zjawiali się kolejni dwaj: wrogowie gotowi zginać i stracić zapasy, byle tylko go zniszczyć.

Ponosząc wielkie straty - na ziemi leżało mnóstwo ciał w kałużach krwi, a pod wojennymi maskami nie tliło się już życie - orkowie zdołali odciąć Rankstraila od jego ludzi. W pobliżu pozostał tylko wilk. Orkowie pewnie liczyli na to, że bez Kapi-154

tana ludzie, którymi on dowodzi, rozpierzchną się we wszystkie strony.

Jego miecz, zabrany jednemu z orków przy bramach Varil, złamał się o ostrze siekiery, raniąc go w

prawą rękę. Miecz był wprawdzie dobrze wyważony, lecz z lichego stopu. Przedostatnia klinga Kapitana też się złamała, była dla niego zbyt lekka, choć z kolei wykonano ją z metalu.

Jeszcze wcześniejszy z jego mieczy lekko zardzewiał. Kapitan pomyślał, że przynajmniej jego ciągłe problemy związane z brakiem porządnej broni wreszcie się skończą w ten upalny dzień. Nie wierzył już, że przeżyje.

Natłok myśli zawładnął jego umysłem podczas gwałtownej, rozpaczliwej walki. Najwyraźniej nie docenił wroga. Ze wszystkich stron otaczali go orkowie, a on, by ich odeprzeć, miał tylko swój złamany miecz, który podtrzymywał zranioną ręką, oraz kły wiernego wilka, a ten długo już nie pociągnie. Wielka gałąź, którą odparowywał ciosy siekiery, skracała się w okamgnieniu. Gdyby zobaczył taką scenę, odgrywaną przez akrobatów na festynie, uznałby ją za niezmiernie zabawną...

Róg Arnica rozbrzmiał trzy razy, w krótkich odstępach.

Udało im się.

Anrico i Lisentrail dotarli do wody i żywności i wieźli je właśnie do miasta.

Gigantyczne kusze zostały skradzione orkom i umieszczone na wozach z wodą - też miały trafić do miasta. Nie mając więcej wytrzymałych długich lin, splecionych ze ścięgien wołu, orkowie nie będą mogli zbudować kolejnych kusz i teraz to im przyjdzie czołgać się na czworakach, pod osłoną tarcz.

Daligar zostało uratowane.

A on właśnie ginął.

Od zawsze traktował jako oczywiste, że nie pożyje długo, i pomyślał

przelotnie, czy jego ludzie wyryją gdzieś jego imię, na korze drzewa albo na jakimś kamieniu.

Chmura strzał powaliła orków, którzy go otaczali.

i55

Nagle Rankstrail znalazł się wśród łuczników dowodzonych przez Aurorę. Orkowie musieli się wycofać. Zniknęli w lesie, skąd jednak zdołali wystrzelić, miotając też groźby i obelgi, jeszcze kilka strzał.

Rankstrail nauczył się rozróżniać i rozumieć niektóre słowa ich mrocznego języka. Dosłyszał nieprzyzwoite, szydercze okrzyki, pełne nienawiści i gróźb, i zrozumiał, że od tej pory ich celem nie będzie już on, lecz Aurora.

Z przerażeniem poczuł, że jedna ze strzał miała trafić właśnie ją, i znowu wiedział to, zanim jeszcze kusza wystrzeliła. Chwycił Aurorę za ramię i pchnął ją na ziemię, upadając razem z nią. Strzała przeleciała tuż nad nimi i wbiła się w pień klonu, obok miejsca, w którym jeszcze chwilę temu znajdowała się głowa dziewczyny. Nadleciały kolejne strzały, lecz Kapitan zdołał stanąć i odeprzeć



je swoją tarczę. Żołnierze znów zaatakowali i orkowie rozbiegli się we wszystkie strony.

Rankstrail czuł jeszcze zapach Aurory i dotyk jej włosów pod swoją dłonią, a potem jego wzruszenie ustąpiło pod wpływem czegoś okropnego, co zalało wszystko niczym czarna lawa. Dusza Kapitana nie skrywała obawy, że mógłby skrzywdzić Aurorę, ale coś o wiele bardziej przerażającego. To był strach zakorzeniony głęboko w jego wnętrzu.

Rankstrail nie zniósłby widoku swoich dłoni na ciele tej dziewczyny.

Gwałtownie odsunął się od Aurory, jak oparzony. Zrobił krok w tył. Nie pomógł jej nawet wstać i kiedy musiała poprosić go o pomoc, bo noga ugrzęzła jej pośród korzeni krzaku jeżyn i sama nie mogła sobie poradzić, bardzo postarał się o to, by chwycić ją za ramię wysoko ponad łokciem, gdzie na kaftanie z czarno-srebrnego aksamitu bez kołnierzyka znajdowała się komża z metalowych i skórzanych klamer.

Jak tylko powstała, krzyknął, by natychmiast wracała do miasta i nie ośmielała się więcej z niego ruszać, i spytał ją, jakim cudem przyszła jej do głowy idiotyczna myśl, by wpadać nagle w sam środek pola bitwy.

156

Aurora, niewzruszona i jak zawsze uprzejma, zapytała go grzecznie, czy mógłby głośniejsze do niej mówić, gdyż ogłusza ją hałas bitwy.

Ten sarkazm był jak kubeł zimnej wody. Rankstrail natychmiast się uspokoił.

•W wojsku istnieje osobliwy zwyczaj wypełniania rozkazów, pani -

poinformował ją chłodno.

•Doprawdy? - powiedziała Aurora pełnym zainteresowania głosem. -

Czyich rozkazów? Tych wszystkich, którzy chodzą w zbroi? Jeśli należy się ograniczać do rozkazów przełożonych, to przypominam wam, że nie jesteście ani moim dowódcą, ani moim królem. Mam zamiar wypełniać rozkazy tylko tego, kogo wybrałam na swojego dowódcę lub władcę, a dokładniej mówiąc. Królowej Daligar, która to właśnie nakazała mi być teraz tutaj. Niewykluczone, że mogłabym rozważyć także ewentualność wypełniania rozkazów mego małżonka, jeśli któregoś dnia będę go mieć. Zapewne to was trochę pocieszy, ale sprzeciwiłam się nawet rozkazom własnego ojca, który, jeśli mnie pamięć nie myli, zdążył i wam parę ich wydać.

Rankstrail niemal się zatoczył. Fakt, że Aurora naprawdę to powiedziała, czynił tę wypowiedź o wiele bardziej upokarzającą niż najgorsza obelga.

•Pani - odparł Rankstrail coraz bardziej spokojnie i lodowato - dopiero co uratowałem wam życie.

•A ja uratowałam wasze - odparła Aurora podobnym tonem.

•No właśnie, pani, moje życie, może i wartościowe, ale z całą pewnością nie najważniejsze. Przybywając tu, aby wyświadczyć mi niewątpliwą przysługę ocalenia mnie, zostawiliście bezbronne miasto, gdzie znajdują się Królowa i jej dzieci. Zapewniam was, a wiem to, bo walczę z orkami od lat, że nie są głupi i posiadają ogromne umiejętności w zakresie strategicznego działania. To dobrzy pływacy i bez wątpienia potrafią pokonać rzekę pod powierzchnią wody, niewidziani przez nikogo.

i57

Tym razem to Aurora zbladła i zachwiała się, jakby została trafiona.

Rankstraił od razu rozkazał żołnierzom Księżniczki i kilku swoim ludziom, którzy właśnie nadbiegli, by natychmiast wracali do miasta.

**M**

# E

rbrow przycupnęła na ziemi, ukryta za ciężką kotarą w okropnym ciemnoczerwonym kolorze, jak wszystko wokół. Siedziała cicho i nieruchomo, by nikt jej stamtąd nie wyprosił. Trzymała na rękach swojego szczeniaka, który zasnął, i właśnie ze względu na niego się chowała.

Parzia już raz przyłapała wilczka na siusianiu na ozdobne marmurowe posadzki i zagroziła, że przywiąże go do drzewa w ogrodzie, jeśli Erbrow go nie zabierze.

Mama znajdowała się niedaleko, zaraz za drzwiami, które były teraz otwarte, żeby świeże powietrze przepływało przez pogrążone w półmroku komnaty, podczas gdy słońce na zewnątrz paliło tarasy i ogrody. Głośny płacz pierwszego braciszka rozbrzmiał w komnatach.

- Są dwaj, moja pani - powiedziała wreszcie akuszerka. - Jest jeszcze drugi.

Erbrow nie miała wątpliwości: drewniany konik był dla braciszka, który urodził się jako pierwszy, tego, którego serce biło zawsze głośno i mocno i którego płacz, donośny i jakby stanowczy, niósł się echem po wielkich komnatach. Bączek - dla drugiego.

- Ten nie jest tak krzepki jak poprzedni i o wiele mniejszy -

odezwała się zmartwiona akuszerka. Nie było słychać żadnego płaczu.

i59

Serce młodszego braciszka biło coraz ciszej i szybciej. Erbrow poczuła dziwny ból, choć nie potrafiła go nazwać, przypominał uczucie, gdy wpadła do wody, zanim jeszcze zrozumiała, że musi myśleć o tym, że jest rybką. Albo to, kiedy erylne wstrzymały jej oddech.

Dotarł do niej głos akuszerki każącej przynieść dwa wiadra, jedno z ciepłą i jedno z zimną wodą, i usłyszała wiele osób, które gdzieś biegły.

- Ależ co wy robicie? - spytała mama. - Tak go utopicie! Dla czego wkładacie go do zimnej i ciepłej wody? On umrze! Umarł, prawda? Urodził się już martwy? Nie płacze, bo jest martwy, czy tak?

Maleńki braciszek odczuwał strach, ten szczególny rodzaj strachu, który czuje się, gdy nie można oddychać. To okropny lęk i może go doświadczyć tylko bardzo małe dzieciątko, a nawet coś jeszcze mniejszego

- rozgwiadza wyrzucona na brzeg albo pisklę mewy, kiedy wpadnie do wody.

Wreszcie słaby płacz rozbrzmiał pod sklepieniami starych komnat.

•Widzieliście, pani? Kiedy dopiero co narodzone dziecko nie płacze, to jeśli włoży się je do ciepłej, a potem do zimnej wody, czasem zaczyna oddychać... Widzieliście, pani? Bogowie byli wspaniałomyślni. Wy uratowaliście moje dziecko, a ja wasze... Kapitan zwycięży i wszyscy

zostaniemy ocaleni.

•Maleńki, mój maleńki - odezwał się głos jej mamy. - Moja mała myszka, moje pisklątko. Mały koteczek. Tak bardzo się bałam, że ty także zagubiłeś się w królestwie śmierci. Może i tam byłeś, może spotkałeś swojego tatę, i to on cię odesłał z powrotem. To ty będziesz nosił jego imię. Ty będziesz nazywał się jak twój ojciec, Yorsh.

•A ten drugi, pani, starszy?

•Arduin - powiedziała mama po chwili namysłu. - On będzie nazywał się Arduin.

160

Erbrow spontanicznie zaczęła się śmiać. Była zadowolona. Bą-czek spodoba się Yorshowi, a konik Arduinowi. Imiona, które zostały dla nich wybrane, też spodobają się zabawkom. Teraz podobała im się mama, zapach mamy. Poczwała radość Yorsha z oddechu, który wypełniał jego płuca, i smak mleka na językach braciszków. Rozbudziło to jej wspomnienia, bo i ona kiedyś go próbowała.

Pozostawał jeszcze problem dwóch kolejnych zabawek: lalki i małej łódki. Erbrow podobała się i jedna, i druga, czuła, że należały do niej w jakiś szczególny sposób. Jeśli jednak je zatrzyma, stworzy to pewną niesprawiedliwość: będzie miała dwie zabawki, a braciszki tylko po jednej.

Erbrow podeszła do drzwi i ukradkiem zerknęła do środka. Zobaczyła mamę i opierające się o nią główki braciszków. Wszyscy znajdowali się pod kołdrą, która wyglądała jak biała chmura, i niesprawiedliwe było to, że Erbrow nie może do nich dołączyć. Tam, pod spodem, wszystko musiało być miękkie i przyjemnie chłodne, podczas gdy tutaj, na zewnątrz, dzień stawał się upalny i męczący. Dziewczynka poczuła coś dziwnego, coś, czego jeszcze nigdy nie doświadczyła - nowy, nieznan rodzaj niepokoju - ona też chciałaby się tam znaleźć, a tymczasem stała się mniej ważna od braciszków. Nie spodobało jej się to i uciekła.

Wybiegła na zewnątrz, na taras, i usiadła pod kwitnącymi gli-cyniami, za balustradą, w której przeplatały się kolumny z kamienia i marmuru. Nagle dziwny chłód wypełnił świat. Był inny niż nienawiść podłego człowieka, która była mała i płytka. To coś większego i straszniejszego. Dziewczynka ścisnęła mocniej swojego szczeniaka i podniosła wzrok. Poprzez szare kolumny oplecione bluszczem w ogrodzie z huśtawką ujrzała orków. Byli prawie nadzy: mieli tylko spodnie i maski wojenne, a na ich ciałach lśniła jeszcze woda z rzeki. Pojawiło się ich więcej, niż Erbrow potrafiłaby zliczyć. Na szczęście oni jeszcze jej nie dostrzegli. Może więc zdoła uciec.

Wstała i zaczęła biec wzdłuż

161

tarasu. Po chwili zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, lecz było już za późno - należało poruszać się powoli i ostrożnie. Jej zniechęcona i okropna sukienka musiała rzucać się w oczy wśród zieleni i fioletu tarasu i ogrodu, niczym karmazyn, który z fontanny jakimś cudem przywędrował

do morza, gdzie ryby są szare i ich barwa stapia się z błękitnym połyskiem fal. Erbrow wpadła na

Parzie, kobietę, która pomogła mamie urodzić braciszków, i poczuła, że zdoła się uratować.

- Okkowie - krzyknęła Erbrow z całych sił. - Okkowie! - po wtórzyła, wskazując na ogród w dole, pod tarasem.

Czarne oczy Parzii długo błędziły po ogrodzie, pomiędzy cieniami glicynii a leniwie kołyszącą się huśtawką. Wielkie motyle i małe chmury muszek błyszcząły w słońcu lata.

•Okkowie po mnie - szepnęła jeszcze raz dziewczynka, wskazując paluszkami na swoją pierś.

•Orkowie po ciebie? - spytała kobieta.

Erbrow przytaknęła z ulgą, Parzia zrozumiała! Teraz coś zrobi. Kobieta pochyliła się i wzięła ją na rękę, a potem pocałowała w nosek.

•Każdemu się to przytrafia, każdemu chłopcu i każdej dziewczynce zdarza się być zazdrosnym, kiedy rodzi się nowy braciszek, a wam urodzili się dwaj! Zawrzyjmy pakt, ja i wy: ja nie powiem waszej mamie, że próbowaliście zwrócić na siebie uwagę, zachowując się jak głuptasek, a wy obiecacie mi, że już nigdy więcej tego nie zrobicie. I wymyślcie inną historyjkę. Na murach co krok rozstawieni są obrońcy i choć to zwykli mieszkańcy miasta, żaden ork nie zdoła się przedostać.

Teraz muszę już iść - powiedziała kobieta, stawiając ją z powrotem na ziemi i kierując się, przejęta czymś innym, w stronę wewnętrznych komnat, gdzie znajdowały się szafy i schody prowadzące do kuchni.

•Okkowie - spróbowała jeszcze raz Erbrow ciekawym głosem. Wśród swego ubogiego słownictwa szukała odpowiednich słów, starając się wyjaśnić Parzii, że gdy się pojawiła, orkowie po pro-162

stu schowali się między glicyniami i kwitnącym czarnym bzu. Czuli ich nienawiść tak samo wyraźnie, jak dostrzegła wcześniej ich ciała. -

Okkowie - powtórzyła z uporem. Parzia nawet się nie odwróciła.

Erbrow biegła przez wielkie komnaty, mijając jedną po drugiej, aż dotarła do wielkiego pokoju, gdzie pod przykryciem, które przypominało chmurę, spali jej mama i braciszki. Choć widziała rodzeństwo po raz pierwszy Erbrow rozpoznała ich od razu: Arduin, silny i pogodny, oraz Yorsh, który ledwo przyszedł na świat, a już zdążył poznać mroki śmierci. Spali.

Wszyscy. Mama pomiędzy braciszkami. Najpierw w Erbrow pojawiła się ogromna chęć, by samej także znaleźć się w tej chmurze, a zaraz potem poczuła straszne oburzenie, że nie zostało przewidziane dla niej miejsce.

Na domiar złego poza chmurą byli jeszcze orkowie. Erbrow spróbowała zawołać swoją mamę, lecz Juna spała tak głębokim snem, że się nie obudziła. Braciszki musieli wykorzystać wszystkie swoje wojownicze umiejętności w walce z eryniami, bo teraz wyglądali raczej na delikatnych i nie sprawiali wrażenia takich, co mogliby wiele zdziałać przeciw orkom.

Erbrow pomyślała, by schować się za kotarą, która wcześniej uchroniła ją od wszystkich tych, co chcieli ją stamtąd wygonić, ale to także nie był

dobry pomysł: szukając jej, orkowie znaleźliby chmurę oraz braciszków i mamę.

Nie musiała spoglądać w stronę ogrodu, by wiedzieć, że orków nie ma już pośród glicynii. Musieli być przy balustradzie: Erbrow czuła coraz bliższą nienawiść. Obróciła się i zaczęła biec ile sił w nogach. Chciała uciec, by odciągnąć ich siekiery i kły, które pokrywały im twarze, jak najdalej od chmury.

Biegła z sercem walącym tak mocno, że aż bolało. Dotarła do komnaty, gdzie skulony nad starym stołem siedział Jastrin pośród swoich pergaminów, tych, które właśnie czytał, oraz tych, które miał zapisać.

Chłopiec podniósł głowę, by na nią spojrzeć,

163

i w jego oczach pojawiło się przerażenie. Nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, oddychając cicho, Jastrin zanurkował pod niski stół.

Erbrow zrozumiała, że tuż za plecami ma orków, lecz nie oglądała się, by nie tracić czasu, bardzo cennego i zbyt krótkiego, i nie spowodować, że strach sparaliżuje jej i tak za krótkie jak na taką ucieczkę nóżki oraz pozbawi ją resztek tchu. Zeszła ostrożnie po schodach, trzymając się sznura z jedwabiu w kolorze karmazynowym, który biegł wzdłuż stopni, i wyszła do ogrodu. Angkeel wreszcie się zjawił. Miał w szponach żywą jeszcze mewę, którą wypuścił, a ta, choć przerażona i ranna, zdołała utrzymać się w powietrzu. Orzeł był nad głową Erbrow, która nie zatrzymała się ani na moment. Za jej plecami straszny krzyk rozdarł ciepłe powietrze letniego popołudnia; równocześnie z równiny dobiegały odgłosy bitwy. Po wrzasku dał się słyszeć odgłos, który wydają na wpół nadzy, ale uzbrojeni żołnierze, zderzając się ze sobą. Nie oglądając się za siebie, Erbrow nadal biegła. Na ten mrozący krew w żyłach okrzyk również zmęczenie jej mamy musiało ustąpić, i jej sen został przerwany.

- Wara od mojej córki, wara, wy, hieny, psy! - usłyszała straszny głos mamy. - Biegnij, Erbrow, biegnij dalej! - krzyknęła do niej. - Ja ich zatrzymam. Ty biegnij. Nie oglądaj się za siebie!

Erbrow posłusznie wykonała polecenie, ciężko już dysząc. Teraz nie miała już za plecami nikogo. Angkeel ich zatrzymał, dając jej mamie czas, by zdążyła się pojawić. Teraz mama była sama jedna przeciw orkom.

Nie, nie sama. Był tam Angkeel. Sądząc po jękach orków, orzeł musiał

być dobrym wojownikiem. Erbrow wciąż biegła przez ogród. Chciała zapłakać, ale wiedziała, że mama zabroniła.

- Jesteśmy, pani! - krzyknęły dwa głosy. - Już biegniemy. Ura tujemy was zaraz.

Erbrow dotarła do Wielkiej Bramy, która zamykała ogród. Zatrzymała się. Jeśli nie zaczerpnęłaby tchu, jej serce pękłoby jak skorupka jajka, które spadnie na ziemię. Oparłszy się o bramę, ze 164

swoim szczeniakiem w ramionach, który teraz wydawał się jej tak ciężki, jakby został zrobiony z kamienia, dziewczynka odwróciła się. Jej mama była wysoko na schodach, ubrana tylko w tunikę, którą wkładała do spania, i z mieczem taty w ręku. I tym razem na ostrzu była krew i Erbrow znów zadała sobie pytanie, czy metal będzie się jeszcze nadawał do pieczenia omletów, jeśli kiedykolwiek zdołają wrócić do ich domu, na plażę. Na tunice mamy też były ślady krwi. Erbrow ogarnął jakiś nieznany dotąd strach, nie tylko na samą myśl o tym, że orkowie ją złapią. Bała się, że jej mama także odleci na skrzydłach smoka. Na pomoc Junie przybyli jedynie dwaj starszuszki, którzy mieszkali w pałacu i mieli wprawdzie miecze, lecz nawet z bronią żaden z nich nie wyglądał na wielkiego wojownika. Jeden z orków za plecami mamy zamachnął się na nią swoją siekierą i sympatyczny starszuszki, ten mały, który karmelizował dla niej karaluchy i świerszcze w miodzie, stanął pomiędzy nim a mamą. Zdołał

odeprzeć cios, lecz jego miecz złamał się i on sam nie mógł już się bronić, gdy ork obrócił się ku niemu. Erbrow zobaczyła, jak upada, a jego szata, zawsze trochę poplamiona oliwą i miodem, pokryła się również krwią.

Drugi starszuszki, długi i zasuszony, który zawsze się kłócił z mamą, także stanął między nią a orkami ze swoim mieczem, i to umożliwiło mamie wyłączenie się na chwilę z walki. Teraz mogła podbiec do Erbrow.

Mama nie objęła jej, choć dziewczynka bardzo tego potrzebowała, i nawet się nad nią nie pochyliła. Odsunęła ciężki rygiel i z wysiłkiem tak wielkim, że aż jęknęła, uchyliła ogromną bramę.

- Uciekaj stąd, kochanie, natychmiast! - powiedziała jej, dysząc.

Erbrow wyszła z zacienionego ogrodu na oślepiające światło ulicy.

Jej mama z łoskotem zamknęła za nią ogromne drzwi i zarygłowała je.

Dziewczynka oczami wyobraźni ujrzała dłoń mamy, tę, która nie dzierżyła zakrwawionego miecza, podczas gdy za-165

mykała zasuwę potężnej bramy i w ten sposób oddzieliła je od siebie.

- Biegnij! - krzyknęła do niej Juna zza wielkich drzwi. - Uciekaj, uciekaj daleko stąd!

Erbrow rozplakała się, lecz posłuchała. Poszukała oczami kogoś, kogo mogłaby wezwać na pomoc, ale na ulicy była tylko ona i jej maleńki cień, skulony przy stopach w świetle stojącego w zenicie słońca. Zaczęła biec w dół ulicy, bo gdzieś przecież pobiec musiała, a w dół było łatwiej niż pod górę.

Dobiegła aż do zakrętu, gdzie ulica otwierała się na mury, i podniosła wzrok. Most zwodzony został opuszczony i dwaj kawalerzyści wjeżdżali właśnie galopem do miasta. Rozpoznała Aurorę, na koniu w kolorze dymu, i mężczyznę, który podarował jej szczeniaka, jadącego na rumaku, który należał

kiedyś do jej taty. Za nimi podążali inni kawalerzyści i coś, co przypominało psa. Żołnierze wjechali do miasta i do uszu dziewczynki dotarł hałas kopyt na bruku, który stawał się coraz głośniejszy, upewniając ją, że jednak przybywali, nawet jeśli balkony, tarasy i gołębniki zasłaniały ich przed jej wzrokiem. Dwaj ostatni orko-wie, którzy uciekli z ogrodu, wspinał się po gałęziach glicynii, wpadli na ulicę w jakimś tańcu, pełnym lekkości i siły, niczym dwa koty. Ich maski wojenne, zrobione z piór i kłów, przywodziły na myśl bestie, które można ujrzeć, kiedy sny stają się brzydkie.

Erbrow pobiegła w dół ulicy, lecz orkowie ją dogonili. Za jej plecami znów rozbrzmiał ochryply krzyk Angkeela, a ona miała czas, by uciec.

Końskie kopyta były już blisko, lecz wciąż jeszcze nie mogła ich dostrzec.

Obejrzała się. Jeden z orków usiłował odpędzić Angkeela, lecz drugi był

wolny i rzucił się za nią. Erbrow upadła, jej kolana się otarły, a ona przycisnęła do siebie szczeniaka, który zaskomlał. Przyszło jej na myśl to, co powiedział człowiek, który jej go podarował, nazywany przez wszystkich Kapitanem: jeśli jakiś ork przyjdzie ją porwać, jej piesek go **166**

pogryzie. Erbrow zdołała uklęknąć i wysunęła w kierunku orka swojego szczeniaka, który warknął walecznie.

Ork zaśmiał się pod maską.

Wreszcie Aurora i Kapitan na swoich koniach wyłonili się z cienia prześwitów pomiędzy domami, ale znajdowali się daleko.

Ork uderzył szczeniaka wolną ręką, która nie trzymała siekiery. Malec uderzył o mur, a następnie spadł z rozpaczliwym wyciem. Erbrow runęła na ziemię. Usłyszała warknięcie w ciemności: znalazła się w pobliżu kraty zamykającej coś w rodzaju jamy.

- Rosa! - krzyknął Kapitan. - Uwolnij wilczycę! Uwolnij ją teraz! Rosa, teraz!

Nagle pojawiła się mała pani, drobna jak dziecko. Miała w ręku siekiere i jednym ciosem zerwała ciężki rygiel od klatki. Niczym błyskawica matka szczeniaka rzuciła się, by wyrównać rachunek z tym, kto skrzywdził jej potomka. Ale ork był silny i uzbrojony po zęby. Aurora dopadła do Erbrow. Tak gwałtownie zatrzymała swego konia w kolorze dymu i mgły, że ten stanął dęba. Stała na ziemi, wzięła dziewczynkę na ręce, potem wskoczyła na siodło i odjechała w kierunku pałacu. Erbrow, która obróciła się, by zobaczyć, co się dzieje, usłyszała głos małej pani, o wiele niższy i donośniejszy, niż można by się spodziewać, który przedarł się przez warczenie, krzyki i ochryply pisk orła.

•Mówiłam ci, Kapitanie, że to dzika i niepokorna bestia.

•Mówiłem ci, że będę o tym pamiętał - odparł tamten i ręką, która nie krwawiła, odebrał od starszej pani siekiere, by pospieszyć na ratunek szczeniakowi i orzełkowi.

Na koniec wyłonił się z cienia, już niemal bez tchu, także wilk, który musiał być tatą pieska Erbrow, i



także on, z wywieszonym jęzorem, ruszył, by pomścić skrzywdzonego synka.

Aurora wjechała wielką bramą do pałacu. Na koniu przemierzyła komnaty. Jastrin nadal był pod stołem z głową ukrytą w dłoniach. Koń wybiegł na taras i znowu stanął dęba. Aurora wyciągnęła miecz, prosty i bez ozdób, bez bluszczu na rękojeści

167

i bez żłobień, i nienadający się do smażenia omletów. Uniosła miecz, lecz nie było już z kim walczyć - jej mama o to zadbała. Juna kazała zrobić straszną rzecz i powiedziała też coś okropnego, ale w końcu wzięła Erbrow na ręce i zaniósła do komnaty, by poznała braciszków, i trzymała ją w ramionach cały czas, dopóki chłopcy się nie obudzili. To było naprawdę wspaniałe. A potem mama zaśpiewała.

15

# J

utrznia zamknęła bramę za swoją córką i odwróciła się, by stawić czoła orkom. Wysoko w górze, na tarasie, staremu Marszałkowi Dworu udawało się powstrzymać jednego z napastników za pomocą bezbłędnych ruchów znakomitego szermierza. Pozostałych, jednego po drugim, Jutrznia powaliła mieczem królów elfów, który lśnił w jej rękach. Angkeel uciekł z tej zawieruchy, wzbijając się w powietrze i znikając po drugiej stronie muru, całego w kwiatach glicynii. Ruszył w ślad za Erbrow, by jej bronić, i Jutrznia pobłogosławiła mu z całego serca. Na tarasie pojawiła się także Parzia, uzbrojona w olbrzymią patelnię, i walecznie zdzieliła nią jednego z orków, dając Królowej czas na zaczerpnięcie tchu i powrót do walki z wrogiem. W momencie, w którym ork upadł, Marszałek Dworu zdołał

zabić swojego przeciwnika dzięki mistrzowskiemu wypadowi, wyglądającemu jak figura w tańcu. Zabrzmiał stukot końskich kopyt i pojawiła się Aurora, z mieczem w dłoni i Erbrow w objęciach. Jutrznia podziękowała jej, spiesząc, by wziąć na ręce swoją córeczkę. Przycisnęła Erbrow z całych sił, ale te nagle opuściły ją zupełnie i poczuła, że lada moment upadnie. Wsparła się o Aurorę i również za to jej podziękowała.

Córka Zarządcy oznajmiła, że Kapitan przewidział atak, i to jemu Erbrow zawdzięczała swoje ocalenie. Rankstrail walczył jeszcze z dwoma ostatnimi orkami, wspierany przez orła i wilka.

169

W tym momencie zjawił się majestatyczny Angkeel i przysiadł na huśtawce ze srebra, która zakołysała się łagodnie.

- Myślę, że to dobry znak - stwierdziła Aurora. - Kapitan nie potrzebuje już pomocy.

Uwagę władczyni przyciągnął jęk.

Przełożony Domu Królów był jeszcze żywy, ale niewiele dzieliło go od śmierci.

Usiłował coś powiedzieć.

Jutrznia z powrotem oddała Erbrow Aurorze, która się uśmiechnęła, a potem poszła i uklękła przy starszym mężczyźnie. To samo uczynił

Marszałek Dworu.

- Dziękuję - powiedziała Juna. - Wasza odwaga uratowała mi życie. - Miała łzy w oczach.

Śmiertelnie ranny z trudem łapał oddech, lecz był jeszcze w stanie mówić.

•Moja pani - szepnął mężczyzna - zapewne zastanawiacie się, jak to możliwe, że potrafię posługiwać się bronią; ja, który miałem za zadanie jedynie doglądać królewskich kuchni i tego, by na sufitach ani w kątach nie było pajęczyn...

•Ależ oczywiście - skłamała Jutrznia. - Zastanawiałam się nad tym. Ani przez moment nie przestałam się zastanawiać.

Wydając ostatnie tchnienie, mężczyzna zdołał uśmiechnąć się, pełen zadowolenia.

•Dlatego że, wiecie, moja pani... mój ród był rodem wojowników, lecz my, moja pani, straciliśmy honor. Jesteśmy pośród tych, którzy uciekli przed orkami, gdy Daligar upadło i sir Ar-duin musiał je odbić. Od tamtej chwili straciliśmy prawo noszenia broni.

•Rozumiem - odparła Jutrznia.

Odkąd przejęła dowództwo nad miastem, widziała już wielu, którzy ginęli przeszyci strzałą orków, i wiedziała, że nigdy żadnego z zabitych nie zapomni. Było wśród nich sporo młodych mężczyzn. Wielu miało dzieci, które od tej pory same musiały

170

przemierzać miasto, podczas gdy wcześniej robiły to, trzymając za ręce swoich ojców. Kiedy dojrzała konia bez jeźdźca podążającego za armią Kapitana, po którymś z jego wypadów, zawsze potrafiła przypomnieć sobie twarz kawalerzysty - za każdym razem sądziła, że zdołała uczynić swe serce na tyle twardym, by nie cierpieć z tego powodu, i za każdym razem na nowo odkrywała, że to niemożliwe. Śmierć Przełożonego Domu Królów zadała jej jednak ból innego rodzaju.

Starszy pan, zamieniający w wyszukane dania najniezwyklejsze stworzenia w królestwie, który starał się zamienić najdziwniejsze rzeczy w zabawki dla Erbrow, był kimś między przyjacielem a dziadkiem, którego ani ona, ani jej córka nigdy nie miały.

•Teraz honor waszego rodu został odzyskany - dodała Jutrznia. -Ja zaświadczę o waszej odwadze...

•Wiecie, moja pani - powiedział jeszcze staruszek - teraz, gdy znów jestem tego godzien, zdałem sobie sprawę, że bardziej niż mój honor wojownika liczył się dla mnie zaszczyt przygotowywania wam jedzenia... nakryty stół... garnek... pieczeń... to największy zaszczyt świata... Wiecie, pani, ja nigdy nie miałem dzieci... to było tak, jakbyście wy... jakby wasza córeczka...

Nie zdołał dokończyć zdania.

•Uratowaliście mi życie - powiedziała jeszcze Jutrznia. Starszy pan umarł. Jutrznia zamknęła mu oczy.

•Smok - powiedziała Erbrow, cicho, łagodnie. - Tata, smok.

•Pani, wybaczcie - prosiła Parzia. - Dziewczynka ostrzegła mnie przed orkami... a ja jej nie uwierzyłam...

•Wszyscy popełniamy błędy - odparła Jutrznia półgłosem, kiwając głową. - Wczoraj kazałabym was przebić mieczem. Teraz zaczynam rozumieć, że każdy czasem się myli. To na mój rozkaz Cytadela i samo miasto pozostały bezbronne. Oskarżyłam i obraziłam dwóch żołnierzy najbardziej ze

wszystkich gotowych walczyć za mnie i za moje dzieci, i krzyżując, lżąc i wydając złe rozkazy, pozwoliłam sobie nawet zostawić własne dzieci prawie

171

bez ochrony. Wszyscy, ode mnie począwszy, musimy być bardziej uważni i lepsi... musimy nauczyć się słuchać tego, co mówią nam inni, kiedy nas ostrzegają, nawet jeśli zawsze wydaje nam się, że to my jesteśmy jedynymi, którzy są w stanie coś zrozumieć.

Jutrznia wstała. Stała twarzą w twarz z Marszałkiem Dworu, który z kolei starał się, z dumnym zakłopotaniem, powstrzymać łzy.

- Wy także uratowaliście mi życie - przyznała zmieszana - ryzykując wasze.

Marszałek natychmiast otrząsnął się ze wzruszenia i spojrzał na nią pogardliwie, zaskoczony jej zdziwieniem. Uniósł brwi, a jego twarz wyrażała coś między arogancją a zadowoleniem, czego Jutrznia nienawidziła z całego serca.

- Pani - spytał - z jakich powodów niepodważalny fakt, iż uznaję was za absolutnie niegodnych sprawowanego urzędu, każał wam myśleć, iż nie będę gotów za was zginąć?

Było to zaskakujące pytanie. Jutrznia spróbowała odnaleźć w nim jakąś konsekwentną logikę i odkryła, iż rzeczywiście, jeśli się dobrze zastanowić, to w tym wszystkim kryła się jakaś racja.

•Pani - dodał Marszałek, wzruszając lekko ramionami, i wtedy zaśniły złote wykończenia jego szerokich rękawów z brokatu i aksamitu -

uznanie was za króla zaniedbującego wszelkie maniery, którego uprzejmość dorównuje uprzejmości borsuka skrzyżowanego z wiewiórką górską, to bawienie się w eufemizmy, lecz mimo to jesteście królem. Kto obejmuje dowództwo w wojnie przeciwko orkom, jest królem, a za królów się walczy i umiera.

•Dlaczego nie wyjechaliście z resztą dworu? - spytała wreszcie Jutrznia.

•Orkowie stali u bram, pani! - odparł Marszałek jeszcze bardziej zgorzony. - Ktoś musiał zostać w pałacu, kiedy znaleźliśmy się na skraju wojny! Nie żebym pozostał, aby bronić miasta, nigdy nie uważałem, bym mógł temu podołać. Po prostu

172

zostałem, by z nim umrzeć. Nie chciałem, by Daligar umarło w samotności. To miasto, które często i na długo traciło swą godność, ale żadnego miasta nie można pozostawić samego, bez nikogo, kto przyjąłby wroga w pałacu królów. Jutrznia przytaknęła.

•Myślę, że was nie doceniłam - powiedziała wreszcie.

•Czy to znaczy, że nauczycie się używać sztuców?

•Nie, ale może nie zabronię wam nauczyć tej sztuki moje dzieci.

Starszy pan uklonił się.

I wówczas przybył Kapitan, zdyszany, pokryty błotem i krwią. Miał

ranną jedną dłoń, w drugiej trzymał zakrwawioną siekierę. Za nim pojawił

się jego wilk, który ledwo dowlókł się do tego, co zostało z małego jeziora, spróbował się napić wody i padł w jezioro.

- Temu trzeba się przyjrzeć dwa razy, żeby odróżnić go od orków, z którymi walczył - szeptęła Parzia.

- Czasem nawet i trzy - potwierdził Marszałek, także szeptem.

Kapitan oparł się o mur i zaczerpnął tchu. Wysłuchał Jutrznii, która mu dziękowała i przepraszała za...

- Wszyscy popełniamy błędy - mruknął zażenowany, nie dając jej dokończyć zdania. Nie uśmiechnął się nawet.

Podszedł do Aurory, by oddać Erbrow szczeniaka, i natychmiast się cofnął.

Juna spytała o ranę na dłoni. Kapitan przeszedł do zacienionej części tarasu, zapewne by schronić się przed upałem. Błoto na jego zbroi jakby znikło, podczas gdy srebro, którym wyszywana była narzutka Aurory, i złoto zdobiące szaty Marszałka lśniły w blasku letniego słońca.

Kapitan wsparł się o mur i wyjaśnił, jak miecz złamał mu się w walce, a był to miecz orka, jeden z tych, w których ostrze biegło aż do rękojeści -

łamiąc się, klinga go zraniła. Musiał wytłumaczyć, że walczył mieczem orka, ciężkim, lecz wykonanym ze

173

słabego stopu, ponieważ jego poprzedni, zbyt lekki, rozleciał się na kawałki podczas bitwy o Varil, a ten, który posłużył mu, by uwolnić Varil, zastępował inny, roztrzaskany niegdyś w Górach Południa. Teraz nie pamiętał już dokładnie gdzie. Marszałek oznajmił, że został jeszcze jeden miecz królów, ten Karola VI, o ile się nie myli. Podczas gdy Kapitan z trudem łapał oddech, Marszałek poszedł po broń i po chwili z namaszczeniem wręczył ją Rankstrailowi. Był to miecz tak szczelnie pokryty zawijasami i szlachetnymi kamieniami na rękojeści, że aż niewygodnie było go chwycić. Ale przynajmniej wyglądał na naprawdę twardy.

Odzyskawszy nieco siły, Kapitan oznajmił, że miasto znów jest bezpieczne, a most i katapulty zostały spalone. Zapasy żywności zdobyto.

Jeśli władczyni wyrazi zgodę, on rozkaże dostarczyć połowę łupu do podziemi pałacu i tam je

zgrupować, a drugą połowę - za pozwoleniem Królowej - najemnik Lisentrail i jego żołnierze rozdadzą ludności na głównym placu.

Jutrznia przytaknęła. I powtórzyła zamyślona:

- Wszyscy popełniamy błędy.

Potem spytała, czy ktoś wie, którędy orkowie wdarli się do miasta. Mury były przecież jednak strzeżone, mimo że nie przez żołnierzy, tylko przez zwykłych mieszkańców.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Pani - odezwał się Marszałek - parę godzin temu urodziliście dwoje dzieci. Czy nie powinniście się położyć?

Parzia z entuzjazmem zareagowała na te słowa. Podobnie wszyscy inni.

Rzeczywiście. Jutrznia zdała sobie sprawę, że nie utrzyma się już zbyt długo na nogach. Wydała rozkaz dekapitacji zabitych orków i wystawienia ich głów na murach, by ten, kto ich nasłał, wiedział, jak skończyli ci, którzy chcieli porwać jej córkę.

Potem wzięła małą na ręce i zaniósła do braciszków. Odmówiła przyjęcia pomocy ze strony Parzii. Chciała zostać sama ze swo-174

imi dziećmi, zwłaszcza teraz, po tym, jak wstrząsnął nią strach na myśl, że może je stracić.

Podeszła do Jastrina, który nadal siedział skulony pod stołem, cały we łzach. Chłopiec szlochał zarówno ze strachu, jak i wstydu. Jutrznia ryzykowała własne życie, by go uratować, a on nie odwdzieczył jej się tym samym. Królowa roześmiała się i podziękowała niebiosom za to, że chociaż on nie wziął udziału w całym tym zamieszaniu i że nie musiała się o niego martwić. Lecz to wcale go nie pocieszyło.

Królowa dotarła do swojej wielkiej komnaty z grubymi ścianami, gdzie dzień zaglądał do chłodnego wnętrza. Grupka muszek brzęczała w plamie światła, wewnątrz jasnego promienia słonecznego.

Jutrznia posadziła Erbrow na łóżku tuż obok braciszków.

- Podobają ci się? - spytała.

Dziewczynka przytaknęła.

Juna zdjęła tunikę, całą w błocie i krwi, i zamieniła ją na czystą, którą Przełożony Domu Królów dopiero co kazał dla niej uszyć, i wodząc palcami po haftowanym płótnie, pomyślała o nim ciepło. Ściągnęła z Erbrow jej sukienkę w karmazynowym kolorze, nieprawdopodobnie brudną, i ubrała ją w ukochany błękitny fartuszek z kieszeniami na zabawki. Erbrow uśmiechnęła się, cała szczęśliwa. W końcu Jutrznia położyła się i trzymając swoją córeczkę w ramionach, tuliła ją, całowała, pieściła już przez cały czas, bo przerażenie na myśl o tym, że mogła ją stracić, było tak samo wielkie jak

radość, że tak się nie stało.

Kiedy zrobiło się chłodniej i zapadł wieczór Jutrznia wstała, nadal przytulając Erbrow, i poszła na najwyższy taras w pałacu, który nie wychodził na ogród, ale górował nad Daligar. Usiadła na dużej kamiennej ławie i tam została.

Kominy, nieużywane od wielu dni, powoli się przebudzały.

Maleńkie obłoczki dymu, delikatne niczym puch, wzbijały się w górę, jeden za drugim, i niosły cichą wieść o smażonej ce-i75

buli, zapach jarzynowych, wspaniałych pieczeniach, w których do szczurów, żab i gołębi dołączyły kurczaki oraz kawałki wieprzowiny.

Maleńkie smużki zaczęły gonić się między dachami i chmurami, by zniknąć w jednej większej, delikatnej chmurce ponad miastem, które przełamało oblężenie i nie odczuwało już głodu, podobnie jak strachu.

Już więcej nie powrócą te dwa widma. Nigdy więcej.

Jutrznia przysięgła to sobie. Póki jej życia stanie, będzie bronić Daligar i jego ludu, ochraniać jego odwagę i jego strach, i jego nędzny spryt, i prostacką głupotę, jego mądrą przebiegłość i błyskotliwą bystrość, dzięki tym ludziom udawało się wciąż pozostać przy życiu, mimo nieprzerwanych klęsk i cierpień, spadających na miasto. Wiedziała, że nienawiść uczyniła ją twardszą, strach - podlejszą, rozpacz osuszyła być może na zawsze źródło jej łagodności i uprzejmości, i co gorsza, zaczęła ją zawodzić sprawiedliwość. Ale za to Królowa potrafiła walczyć i prowadzić ludzi na wojnie. Nauczy się to robić również w czasie pokoju.

Z jednego z okien dobiegał śpiew kobiety. Jutrznia rozpoznała dawno zapomnianą kołysankę, którą śpiewała jej matka. To była taka śmieszna historia. Piosenka opowiadała o trzmielu, który stara się przekonać samiczkę świetlika, by posłużyła mu jako lampion. Juna pomyślała, że może piosenka spodoba się Erbrow.

Spróbowała ją zanucić. Fałszowała, lecz Erbrow i tak spojrzał na nią uśmiechnięta i zachwycona. Klasnęła z radości.

Juna nigdy nic nie śpiewała swojej córeczce, wiedziała, że nie jest w tym dobra, a poza tym jedynymi piosenkami, jakie знаła w całości, były te na cześć Zarządcy, których nauczyła się jeszcze w Domu dla Sierot.

To Yorsh zawsze śpiewał dla Erbrow swoim wspaniałym głosem i miał

niekończący się repertuar elfickich pieśni o wietrze i gwiazdach. Nie mogąc sobie przypomnieć reszty zwrotki, Juna

przerwała. Erbrow zmartwiła się, że to już koniec. Odkąd umarł tata, nikt dla niej nic nie śpiewał.

Juna rzuciła znów kołysankę. Wsluchując się w głos dobiegający zza okna, odtworzyła całą historię: trzmiel spotyka samiczkę świetlika i prosi ją, by służyła mu za lampion, ale ta nie chce, więc on, by ją przekonać, mówi jej, że jest śliczna i że będzie przynosił jej nektar ze wszystkich kwiatów migdałowca z całej okolicy. Samiczka, która jest bardzo głupiutka, daje się nabrać, bo nie wie, że tak naprawdę w lecie, kiedy świetliki i ich samiczki pojawiają się na łąkach, migdałowce od dawna nie kwitną. Erbrow śmiała się jak szalona. Dołączyła do głosu Juny, wesoło fałszując, a potem zasnęła.

Jutrznia pozostała na tarasie, ze śpiącym dzieckiem na ręku.

Oblężenie zostało przełamane, miasto nie cierpi już głodu.

Orkowie, wprawdzie na jeden dzień, ale jednak zostali zwyciężeni.

Dwoje żywych i zdrowych dzieci dołączyło do Erbrow, by ród mógł trwać.

Przypomniała sobie piosenkę o trzmielu.

Dolatujący zapach oznajmił, że w kuchniach pałacowych znów upieczono nietoperza, choć może tym razem był to jednak królik.

Przełożony Domu Królów już nie czuwał nad gotowaniem i Jutrznia pozwoliła, by ogarnęły ją żal i tęsknota. Pozwoliła sobie także na drzemkę, lecz obudził ją płacz noworodka, więc zerwała się, by iść do swoich dzieci.



Następnego ranka świt wstał otulony mgłą i zapowiadał deszcz. Niebo zasłaniały wielkie, ciemne chmury. Aurora szła na skraj balkonu, gdzie zaczynały się kamienne schody prowadzące na dziedziniec. Na dole, obok fontanny, stali Rankstrail i Lisentrail. W górze, na tarasie, przy ścianie porośniętej bluszczem, Erbrow i jej szczeniak bawili się w najlepsze, hałaśliwi i niepomni tego, co działo się na świecie. Dziewczynka, ze swoimi mało jeszcze sprawnymi ruchami, wyglądała tak samo nieporadnie i wdzięcznie jak mały wilczek.

Aurora także zaczęła się bawić ze szczeniakiem, głaszcząc go, obracając, odganiając dla zabawy, by potem znów go zgarnąć z ziemi, gdy przybiegał z powrotem. Wilczek, obdarzony maleńkimi, ostrymi pazurami i kłami, pozostawił na nadgarstku Aurory lekkie zadrapanie, które zaczęło krwawić.

Erbrow zmarszczyła czoło.

- Be - powiedziała, wskazując na spadającą kropelkę krwi.

Aurora patrzyła na dziewczynkę. Erbrow miała takie samo spojrzenie jak jej ojciec.

Córka Zarządcy widziała Yorsha jeden raz w życiu, gdy przebiegał przez jej ogród, ścigany przez połowę żołnierzy hrabstwa. Ona również знаła przepowiednię i nie miała nawet cienia wątpliwości, że tym, którego ujrzała, był ostatni i najpotężniejszy z elfów. Ogarnął ją wówczas strach na myśl o tym, że mógłby się w niej zakochać.

178

To było możliwe i jeśliby do tego doszło, stałoby się coś nieod-wracalnego, bo elfy zakochują się w bardzo młodym wieku i jest to miłość na zawsze.

Ale stanowiłoby to także prawdziwą katastrofę, ponieważ nie-odwzajemniona miłość, choćby była najczystsza spośród bolączek duszy, na swój sposób również niszczy - odebrałaby całą siłę ostatniemu dziedzicowi elfickiego rodu. Serce Aurory należało już wtedy do innego, zachowała się zatem w sposób zarówno nedorzeczny, jak i godny pogardy, doprowadzając do płaczu córkę jednej z dam do towarzystwa, dziewczynkę mniejszą od niej i będącą zarazem jedyną istotą, jaka przychodziła czasem i przerywała jej samotność. W chwili spotkania z Yorshem Aurora obawiała się, że to ona jest wybranką wskazaną przez przepowiednię. W rzeczywistości ostatni elf spotkał już wcześniej dziedziczkę Arduina, której był przeznaczony. Tak jak wszystkie elfy, zakochał

się bardzo młodo i na zawsze.

- Nie be - powiedziała dziewczynka, przykładając czubek wska zującego palca do zadrapania.

Aurora zobaczyła, jak jej rana się goi. Co więcej, doświadczyła także dziwnego uczucia, gdy dziewczynka jej dotykała. Nie tylko została uleczona, ale jak gdyby jej umysł zrozumiał, którą drogą należy podążać.

Znów spojrziała w błękitne oczy Erbrow, wzięła ją na ręce i wstała.

Trzymanie na rękach córki ostatniego z elfickich bohaterów wzruszyło ją.

To było tak, jakby znów ujrzała swoją matkę. Jakby jej ród, teraz już unicestwiony, miał szansę się odrodzić.

- Wiecie, moja matka należała do tego samego rodu co wasz ojciec - szepnęła.

Dziewczynka roześmiała się.

Aurora z radością poczuła na sobie ciepło Erbrow: dotyk jej ciemnych loków na swojej twarzy. U ich stóp szczeniak, pozostawiony nagle sam sobie, uczeplił się brzegu szaty Aurory, ciągnąc ją, a potem puścił się w pogoń za świetlikiem.

179

Erbrow znajdowała się dokładnie na wysokości głębokiej niszy, w której stał kandelabr z grubą świecą. Patrzyła na nią cała szczęśliwa i rozejrzała się dokoła, by się upewnić, że jej mamy nie ma obok, a potem położyła paluszek na knocie, z którego wystrzelił wesoły płomyczek. Musiało sprawiać jej to wiele radości i przyjemności, bo wesoło się roześmiała. I znów, przejęta, rozejrzała się i przesunęła rączką nad płomieniem, który zgasł.

- Nie be - powiedziała stanowczo, rozkładając ramiona i mar szcząc czoło.

Aurora zrozumiała, że dziewczynka bez żadnych trudności mogła zapalać i gasić świeczkę, nie wyrządzając przy tym żadnej krzywdy ani sobie, ani innym, lecz tak jak każda matka, Jutrznia musiała z pewnością zabronić jej zabaw z ogniem.

Aurora wyciągnęła rękę, by dotknąć knota, i sama sprawiła, że pojawił

się płomień, który zaraz zgasła. Wystarczyło dotknąć Erbrow, by się tego nauczyć. Poczula najpierw chłód, potem ciepło i gdzieś za czołem lekkie łaskotanie. Bardzo zabawne i przyjemne. W wypadku dużych płomieni wysiłek musiał się jednak stawać znacznie większy, a potem zamieniać w cierpienie, lecz jeśli chodzi o mały płomyczek, było to... zdecydowanie...

coś w rodzaju łaskotek. Erbrow roześmiała się. Aurora raz jeszcze przytuliła ją mocno do siebie, potem pochyliła się, by postawić dziewczynkę na ziemi. U stóp szczeniaka leżał ranny świetlik, z prawie oderwanym odnożem. Aurora wzięła go na dłoń i trzymając owada, poczuła, jak odnoże się goi i maleńkie serduszko znów zaczyna bić.

Krzyknęła.

- To wcale nie jest śmieszne! - powiedziała, błędąc z wysiłku.

Erbrow pokiwała głową z powagą.

Światlik znów był cały. Aurora wypuściła go. Wstała i uroczyście pożegnała Erbrow, wykonując głęboki ukłon, odwzajemniony równie teatralnie przez dziewczynkę, a następnie zeszła schodami na dziedziniec.

180

- To dziecko ma moc ostatniego z elfów, w jego żyłach płynie krew Arduina i nosi imię ostatniego ze smoków - powiedziała wzruszona do Rankstraila i Lisentraila, wskazując Erbrow.

Lisentrail siedział na ziemi, oparty o studnię, rozkoszując się wieczornym powietrzem i tym, że wciąż jeszcze nie zginął. Załedwie kilka chwil wcześniej nie uwierzyłby w to.

- Tak - mruknął bez żadnego entuzjazmu ani wzruszenia. -Jeś li w tej mieszance jest także charakter jej matki, to złożcie ode mnie gratulacje temu, kto ją poślubi, bo będzie musiał mieć iście straceńczą odwagę.

Rankstrail podsumował to jakimś niezrozumiałym mruknięciem.

Próbował w fontannie oczyścić sobie zranioną dłoń. Nie krwawiła już, ale była brudna od ziemi, a brzegi rany spuchły i zaczerwieniły się.

- Pozwólcie, że ja się tym zajmę, mój panie - powiedziała Au rora, zbliżywszy się do niego.

Rankstrail aż podskoczył. Odczuwał ogromne zakłopotanie, słysząc, jak Aurora zwraca się do niego „mój panie”. Co więcej, zważywszy na to, że nie był ani jej dowódcą, ani królem, uznał to za co najmniej prześmiewcze z jej strony. Chętnie pozbyłby się wszystkich owych pompatycznych i pustych dowodów szacunku.

- Dziękuję, moja pani - zaczął wyniośle i zaczepnie - to nie jest konieczne. Od lat już sam leczę swoje rany i choć wam w tym nie dorównuję, jednak jak dotąd udało mi się jakoś przeżyć...

Nie zdążył dokończyć. Aurora zbliżyła się do niego i ujęła jego zranioną dłoń.

- Proszę was - powiedziała, przyglądając się jej uważnie. - Są dżę, że jestem dobrą uzdrowicielką, a przynajmniej mam taką nadzieję - dodała, lekko się uśmiechając.

Rankstrail podskoczył jak poparzony. Z wysiłkiem powstrzymał się od wykonania zbyt gwałtownego ruchu, odsuwając ramię.

182

Nie chciał być leczony. Nie chciał być dotykany. Nie chciał nawet być jej dowódcą czy królem. Wszystko, czego pragnął, to żeby trzymała się z dala od orków, od wszystkich. Wszystko, czego pragnął, to by trzymała się z dala od pól bitewnych i by jego samego zostawiła w spokoju.

Rozżłoszczony i zawstydzony, spojrział na swoją wielką i ciemną dłoń, zamkniętą w miękkich, bladych dłoniach Aurory, i bardzo zapragnął

uwolnić się z tego uścisku.

Ona zdawała sobie z tego sprawę.

- Zapewniam was, że prawie skończyłam - obiecała.

Obmyła ranę z ziemi i owinęła dłoń Kapitana białym, lnianym szalikiem, który nosiła na szyi. Nie miała pod ręką żadnego innego czystego materiału.

- Jestem pewna, że ból już minął - powiedziała. Znów ośmieliła się lekko uśmiechnąć, choć nagle wydała się bardzo zmęczona.

Aurora rzadko się uśmiechała, lecz gdy już to robiła, jej oczy przybierały intensywny zielony kolor, niemal lśniły.

Ból zniknął, co nie zmniejszyło bynajmniej wściekłości Rank-straila.

-Wcześniej wcale nie był taki straszny - mruknął dumnie, pio runując Lisentraila wzrokiem, zanim temu przyszyłoby do głowy palnąć jakieś głupstwo.

Lisentrail nie odezwał się ani słowem i Aurora wreszcie się oddaliła.

Rankstrail rozmasował sobie owiniętą dłoń. Znow był w stanie utrzymać miecz.

Grupka rozkrzyczanych dzieci wpadła na dziedziniec z kawałkami drewna udającymi miecze i łuki. Sześć dziewczynek podzieliło się równo na te, które udawały Królową Czarownicą, i te, które odgrywały damę Aurorę.

Wszystkich pięciu chłopców było Rankstraiem.

Problem polegał na tym, że nie tylko nikt nie chciał odgrywać orka, ale i nikt nie chciał być innym wojownikiem niż Kapitan.

183

Jedna z dziewczynek, która okrzyknęła się Królową Czarownicą, weszła na kamień i obwieściła:

-Jestem tylko kruchą kobietą, ale będę walczyć jak dzik.

Pozostali wiwatowali.

- A to akurat musiało nas ominąć, powiedziała to pewnie, jesz cze zanim przybyliśmy - stwierdził Lisentrail. - Całe szczęście, że mnie przy tym nie było, bo wcale nie gwarantuję, że zacho wałbym powagę.

Rankstrail odburknął coś odpowiedzi.

Kiedy dzieci zauważyły dwóch mężczyzn na dziedzińcu, rozpierzchły się we wszystkie strony, chichocząc.

Najbardziej śmiały z chłopców pozostał na miejscu i odważył się podejść bliżej do studni.

•Pozwolicie, mój panie, że ośmielę się was niepokoić. Wybaczcie.

Chciałem tylko wiedzieć, jeśli to wam zbyt nie przeszkadza, jakie imię nosi wasz koń, mój panie, wybaczcie... za pozwoleniem... jeśli to wam nie przeszkadza - spytał Rankstraila jednym tchem, czerwieniąc się po same uszy.

•Nazywa się Kleszcz -r odburknął Kapitan.

•W starożytnym języku to znaczy coś wspaniałego, prawda? -spytał

chłopczyk.

Ransktrail spuścił wzrok. Chłopiec wpatrywał się w niego pełen uwielbienia. Niemal drżał ze wzruszenia, mogąc z nim rozmawiać. Był

mały i chudy, miał ciemne włosy, które odpadały mu na twarz.

Odpowiedział mu Lisentrail.

•Oczywiście - odparł łagodnie - to znaczy właśnie „wspaniały” w starodawnym języku. Wiesz, w tym języku, który był jeszcze przed elfami.

•Języku pierwszej dynastii runicznej? - upewnił się chłopiec.

•Tak - odparł Lisentrail. Potem wzruszył ramionami na piorunujące spojrzenie Kapitana.

184

•Wiecie, panie, to do kronik - oznajmił chłopiec.

•Jakich kronik?

•Kronik miasta, panie. Moja rodzina to rodzina skrybów. Mój ojciec był

skrybą, jego ojciec także, ojciec jego ojca również, i ja też nim zostanę.

Mój dziadek musiał uciekać ze stopami okaleczonymi przez kata, ale teraz jest Królowa Czarownica i więcej tak się nie stanie. Wiecie, panie

- kontynuował, czerwieniąc się, tym razem z dumy - ja potrafię pisać.

To właśnie my spisujemy to, co się wydarzyło, żeby wszyscy o tym wiedzieli. To ja będę pisał o Kapitanie Rankstrailu w lśniącej zbroi i na wspaniałym koniu, by wiedziały o nim przyszłe pokolenia w następnych stuleciach. Napiszę i o was, panie, i o tym, jak szarżowaliście przeciw katapultom orków. W następnych stuleciach przyszłe pokolenia poznają naszą historię i dzięki niej nabiorą odwagi, gdy i im przyjdzie trwać w oblężeniu lub ponieść porażkę.

•Poruszające! - odparł Lisentrail, kręcąc głową. - Ja jestem Li-sentrail.

Mój koń nazywa się Zlotogon, jeśli cię to interesuje. I na mnie również lśniła zbroja.

Chłopiec oddalił się biegiem, uszczęśliwiony. Wciąż jeszcze biegł, gdy dogonił go głos Kapitana:

-To twój dziadek nauczył mnie pisać.

Chłopiec odwrócił się i spojrzał na niego, niczym rażony piorunem.

Wytrzeszczył oczy i zasłonił usta dłońmi.

-To twój dziadek nauczył mnie pisać - powtórzył Rankstrail. -

Jesteś do niego podobny. Szalony Skryba. Nigdy nie poznałem jego imienia.

•Primo, mój panie, nazywał się Primo, tak jak ja.

•Piękne imię - stwierdził Kapitan. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

Kiedy pomyślał, że mógł powtórzyć chłopcu słowa jego dziadka o tym, że skryba i kawalerzysta, ten, który opisuje niesprawiedliwość, i ten, który z nią walczy, to dwa najszlachetniejsze zajęcia, tamten już odbiegł.

185

•Czy twój koń nie nazywał się przypadkiem Szczurzogon czy jakoś tak?

- spytał Lisentraila, byle tylko coś powiedzieć i powstrzymać gulę wzruszenia, która uwiązła mu w gardle.

•Za sto lat i tak nie będą o tym wiedzieć. Muszę się szybko nauczyć czytać, bo inaczej ominie mnie sposobność poznania kronik i nigdy się nie dowiem, jak bardzo lśniliśmy na tamtej równinie. Może powinniśmy mu byli też powiedzieć, czyimi jesteśmy synami, wtedy mógłby napisać: Lisentraile, syn Giartraila czy Partraila, czy kogoś jeszcze innego. Ale za sto lat i tak nie będą wiedzieć, że nazywali mnie Lisentraile po wielu ojcach.

•Podaliśmy już imiona koni. Wystarczy tych przechwałek.

•To wcale nie były przechwałki.

•Złotogon i Kleszcz Wspaniały. A gdzie niby mieliśmy te lśniące zbroje?

•Wewnątrz, Kapitanie, mieliśmy je wewnątrz. Ściegna, które trzymają razem nasze zbroje, są jak u orków, ale krew na nich jest nasza, i to ona lśni w słońcu. I każdy koń, który niesie swojego jeźdźcę do zwycięstwa, jest wspaniały. Kto wie, kim tak naprawdę był Arduin? - spytał jeszcze Lisentraile, który gdy tylko na niebie zaczynały jaśnieć pierwsze gwiazdy i latały jeszcze ostatnie jaskółki, które zdołały uciec przed okrucieństwem orków i nędznymi rożnami ludzi, w duchu zadowolony, że wciąż jeszcze żyje, zamieniał się w prawdziwego filozofa. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Może i był nędznikiem takim jak my, w zbroi, którą trzymają w jednym kawałku ścięgna wołu, a w kronikach, chcąc poprawić swój wizerunek, stał się jaśnie wielmożnym królem, co to niby świecił jak robaczek świętojański. Ej, Kapitanie, zwróciłeś uwagę, że w całym mieście nie ma ani jednej figury Arduina? On też musiał być obdartusem z lekkiej kawalerii, i to dlatego brak jego posągu. Nie wiemy nawet, jak wyglądał.

Ransktrail wzruszył ramionami. Niewiele rzeczy mogło go obchodzić mniej niż to, jak naprawdę wyglądał sir Arduin. Milczał długo, siedząc przy studni.

Lisentrail wyjął z torby pół bochenka, które pozostało mu z chleba rozdane przez kobiety w wieczór przed bitwą. Miał też ząbek czosnku i soli. Po bratersku podzielił się nimi z Kapitanem.

- Gdybyśmy mieli jeszcze trochę oliwy, byłoby lepsze, ale tak też...

Rankstrail przytaknął. Jedli powoli, by trwało to jak najdłużej.

Choć nie odczuwał już żadnego bólu, długo opierał zranioną dłoń na zdrowej, dokładając wszelkich starań, by bandaż z lnu się nie pobrudził.

Nigdy nawet mu się nie śniło, że będzie kiedykolwiek o coś takiego dbał.

Tyle już było bandaży i ran, które odniósł.

Zapadł wieczór.

Zrobiło się chłodniej.

Rankstrail skierował się w stronę komnat władczyni, by spytać o dalsze rozkazy dla swoich ludzi.



utrznia siedziała na balustradzie Balkonu Królów, naprzeciwko wielkiego tronu z kamienia w kącie, który stanowił właściwie osobną komnatę. Noc była tylko rześka, lecz zmęczenie sprawiało, że Jutrznia odczuwała ją jako zimną. Płaszcz chronił ją i otulał niczym ciepłe gniazdko. Parzia czuwała nad snem jej dzieci.

Przybył Rankstrail i ukłoniwszy się, spytał, co ma zrobić z lekką kawalerią. Teraz, kiedy nie toczyła się już tak rozpaczliwa bitwa, można by pozwolić ludziom założyć rodzinę. Przynależność do kawalerii powinna stać się godnym i szanowanym zajęciem, nie-mającym nic wspólnego z nędzą czy hańbą. Trzeba wprowadzić w czyn powyższe ustalenia, a potem, nie tracąc zbyt wiele czasu, znaleźć jakiś sposób, by odepchnąć orków aż za wzgórze. Juna przytaknęła, pomysł był rozsądny. Co więcej, słowo

„rozsądny” było, jak dodała, dobre, by ów pomysł skomentować.

- Święta racja, Kapitanie. - Uśmiechnęła się. - Natychmiast każę odwołać stare i złe rozporządzenie zabraniające najemnikom małżeństw, co więcej, samo słowo „najemnik” zostanie wykluczone z użycia. „Żołnierz” bardziej mi się podoba.

Nadejście Aurory przerwało rozmowę.

Przybyła, powitała ich i nie bacząc na to, o czym rozmawiali, sama udzieliła sobie głosu i zaczęła mówić z przejęciem kogoś, kto wcześniej przygotował się do trudnej przemowy.

188

- To był tron Arduina - powiedziała, wskazując tron z kamienia, górujący nad komnatą.

Jutrznia przytaknęła z wyważoną i ugrzecznioną obojętnością, nie odrywając wzroku od horyzontu, gdzie ostatni śnieg na szczytach gór lśnił

w świetle półksiężyca pośród jasnej nocy. Starła się nie być nieuprzejmą, lecz nie chciała także okazać ani trochę zainteresowania w obawie, by tamta nie zaczęła jej przypadkiem opisywać wszystkich domowych sprzętów.

- To nie jest tron z rzeźbionego drewna i złota albo coś w tym stylu, został wykonany z kamienia - ciągnęła z wielkim uporem Aurora.

Jutrznia znów przytaknęła. Być może okazała zbyt grzeczność, a niedostateczną obojętność.

- To duży tron - kontynuowała tamta.

Tak jak Jastrin, Aurora też była nieugięta. Znalazłszy już temat do rozmowy, nie miała zamiaru porzucić swej ofiary. Jutrznia znów przytaknęła, tym razem mniej uprzejmie.

- Arduin także był bardzo duży. I przywykł do siedzenia na kamieniu - perorowała Aurora.

Jutrznia dodała parę centymetrów wysokości i parę funtów wagi do swojego wyobrażenia Arduina, Króla Czarownika, odzianego w cudowną białą szatę, z lśniącem kijem w dłoni.

Aurora nie dawała za wygraną. W porównaniu z nią Jastrin był amatorem.

Jutrznia przeniosła wzrok z widnokrzęgu na jej twarz, przez chwilę przytakiwała, kiwając głową, potem znów zatrzymała wzrok na górach, uważając rozmowę za zakończoną.

Aurora ruszyła w stronę galerii, gdzie pradawni królowie z kamienia stali w nierównym szeregu, niczym wieże.

- To Karol Rozjemca - powiedziała, wskazując pierwszego, potem przeszła do drugiego, niejakiego Bertranda, jego wnuka, zwanego także Krótkim, bo panował tylko dwa miesiące, ale to i tak lepiej niż Karol III, piąty w rzędzie, zwany też Króciutkim, 189

bo jego rządy trwały tylko sześć dni, z powodu śmiertelnego upadku z konia, co mogło być skutkiem jakiegoś spisku.

Jutrznia zastanowiła się, co złego zrobiła... Może w poprzednim życiu? Z

dreszczem przerażenia rzuciła okiem na niekończący się rząd władców z kamienia. Jeśli Aurora ma zamiar opisywać życie, śmierć i cuda całego tego towarzystwa, potrwa to dłużej niż do świtu. Wątpliwość ta podsunęła Jutrzni myśl o spisku: może Aurora postanowiła się jej pozbyć, zanudzając ją na śmierć. Na szczęście przy Karolu III Aurora się zatrzymała.

Wskazała na szereg królów.

•Pośród tych królów nigdy nie było Arduina - powiedziała. -Są tu wszyscy, nawet ci, którzy panowali przez kilka dni i nie pozostawili po sobie nic prócz pamięci ich imienia, a brakuje Arduina, wybawcy, Arduina Sprawiedliwego, Władcy Światła, jedyne prawdziwego króla po upadku elfów!

•Nie może być! - wykrzyknęła Jutrznia.

Miała wrażenie, że granice jej uprzejmości zostały już dawno przekroczone. Rzuciła okiem na Rankstraila, który z kolei wpatrywał się w Aurorę, ani na chwilę nie odrywając oczu od jej twarzy i ledwie ośmielając się oddychać.

- Nie ma rzeźby Arduina - ciągnęła Aurora. - Nie ma żadnych jego wyobrażeń. On nie chciał, by... nie chciał... by kłamstwa, a...

nie można było odtworzyć jego wizerunku.

Ransktrail wyglądał jak z kamienia, tak zupełnie zastygł w bezruchu.

- Może był nieśmiały - zauważyła Jutrznia, zirytowana tą roz mową, żywiąc nikłą nadzieję na jej zakończenie. - Córka młyna rza w wiosce Astrid umierała ze wstydu, jeśli tylko ktoś się do niej odezwał. Arduinowi musiało przeszkadzać, że miałby zostać wyrzeźbiony albo coś w tym rodzaju; był trochę nieśmiały. A na wet nie: był skromny i — jak to się mówi? Powściągliwy! Tak, skromny i powściągliwy.

190

Nastąpiła długa cisza. Jutrznia poweselała. Może rozmowa się skończyła.

Teraz będzie mogła położyć się spać. Zamknąć oczy i zasnąć.

- Nie, nie. Chodzi o to, że... On nie był... nie należał do rasy ludzkiej. Nie ludzkiej w dosłownym znaczeniu tego słowa... - do dała Aurora jednym tchem, niemal krzycząc.

Jutrznia natychmiast otrząsnęła się ze zmęczenia. Otworzyła szeroko usta. Serce podskoczyło jej do gardła.

- Naprawdę? - krzyknęła w uniesieniu. - Wiedziałam o tym -

powiedziała triumfalnie. - Zawsze o tym wiedziałam! - powtó rzyła, skacząc na równe nogi. - Arduin też był półelfem. Tak jak moi synowie. Jak moje dzieci! Zawsze o tym wiedziałam!

Entuzjazm zmienił ją nie do poznania.

Ransktrail tak znieruchomiał, jakby został zabalsamowany. Jutrznia zastanowiła się, czy przypadkiem nie nabawił się jakiejś choroby. Potem zbliżyła się do kamiennej balustrady i uszczęśliwiona wciągnęła do płuc zimne nocne powietrze. Kiedy odwróciła się znów do Aurory i Ransktraila, uśmiech rozjaśniał jej spojrzenie. To był pierwszy uśmiech, jaki od niepamiętnego czasu gościł na jej twarzy.

Aurora pozostała milcząca, potem znów zaczęła powoli mówić cichym głosem.

•Arduin nie był półelfem - wyjaśniła niemal szeptem.

•Ależ sami dopiero co powiedzieliście, że nie był do końca człowiekiem!

- odpowiedziała królowa, rozzłoszczona. Nie znosiła jej sposobu mówienia i jednocześnie niemówienia; tego ciągłego urywania wyjaśnień w połowie, które - jej zdaniem - miały na celu jedynie robienie z niej, Jutrzni, jakiejś kre-tyнки.

•Powiedziałam, że nie był do końca człowiekiem, ale nie był też półelfem - wytłumaczyła z trudem Aurora.

•No to czyja w takim razie krew w nim płynęła? Kury?

- Arduin był jednym z nich - odparła Księżniczka. - Był orkiem Mong-hahul. To dlatego udało mu się rozpedzić ich na wszystkie strony świata, rozszarpać dosłownie na kawałki. - Au rora zrobiła pauzę. - On wiedział, jak ich pokonać. Wiedział, jak uderzyć. Tak jak wszyscy orkowie, nigdy niczego się nie bał.

Bólu prawie nie odczuwał. Śmierć była mu obojętna. Nawet przywódca wszystkich demonów we własnej osobie, wynurzywszy się z najgłębszych otchłani piekła, nie zdołałby zrobić na nim wrażenia. Nigdy nie został pokonany przez nic ani przez nikogo. Największy przywódca, jakiego miał kiedykolwiek świat ludzi po królestwach elfickich. Samotnik, straceniec, wizjoner i niezwyknięty. Jego furia nie znała granic i mogła być dzika.

Kiedy orkowie Targh-hail wymordowali całe rodziny mieszkańców wzgórz i o mało co nie sforsowali murów miasta, Arduin nie oszczędził ani jednego z nich. Na koniec kontraktów równin stąd aż do Gór Ciemności była cała usłana halabardami z nadzianymi na nie ściętymi głowami. Przez miesiące nie tylko sępy, ale i mewy biesiadowały na tym, co pozostało z twarzy Targh-hail. To dlatego te ptaki przeniosły się wzdłuż Dogonu aż do Daligar. Wcześniej żyły jedynie nad morzem. Całymi miesiącami w Daligar pojawiały się tylko sępy i mewy, bo na równinie zajętej przez nadziane na włócznie ucięte głowy wrogów niczego nie można było uprawiać. Ale nikt nie ośmielił się ich tknąć, bo Arduin nie wydał rozkazu. Nigdy go nie wydał.

Aurora zamilkła. Jutrznia nie potrafiła nawet wydobyć z siebie głosu albo może raczej brakowało jej słów. Poczula, że się dusi, potem przez moment miała wrażenie, że krew zastygła jej w żyłach zawrzała. Na szczęście Rankstrail, otrząsnąwszy się ze zdumienia, zdołał ją podtrzymać i pomógł jej bezpiecznie usiąść, z dala od balustrady, na piedestale Karola III, tego, który panował krócej niż tydzień.

- To kłamstwo - powiedziała wreszcie Jutrznia. - Ani w moich żyłach, ani w żyłach moich dzieci nie płynie krew orka. To 192

śmieszne i do tego głupie. - Wstała spokojna i rzekła z pogardą: -

Widziałam Arduina - powiedziała. - Widziałam jego odbicie w moim mieczu i gdyby nie jego odwaga, nigdy nie udałoby mi się przerwać obłączenia. To jego umysł mnie poprowadził. Arduin nosił ten płaszcz, tych nici ze srebra i pereł nie można pomylić. Miał koronę ze złota i bluszczu na głowie.

- Właśnie, moja pani. Korona Arduina była z żelaza, z jednym jedynym pasemkiem złota upamiętniającym jego małżonkę.

Pomyślcie! Arduin nie mógłby nosić korony ostatniego króla elfów, skoro wy i wasz małżonek zabraliście ją ledwie parę lat temu. Ten płaszcz nie należał do Arduina, kazał go dla siebie zrobić mój ojciec rok temu i zużyto na to taką ilość złota, jakiej wystarczyłoby, żeby wykarmić całe hrabstwo i uzbroić wielką armię, która mogłaby obronić ziemie rodu ludzi przed orkami, żyjącymi aż po same granice Ziemi Nieznanych. Arduin sprawa wiedliwy nigdy nie rozkazałby sobie zrobić takiego

płaszcz. To, co widzieliście oczami swojego umysłu w chwili zagrożenia, było, moja pani, obrazem waszego Potomka, kiedy zasiądzie na tronie.

Jeden z waszych synów na imię ma Arduin, to przyszedł król Daligar. Wasze spojrzenie, tak jak i wzrok Arduina, waszego przodka, uchyla zasłonę przyszłości, nie przeszłości.

Nastąpiła długa cisza. Aurora i Jutrznia stały naprzeciw siebie: nieruchome zielone oczy jednej wpatrzone w czarne oczy drugiej. Po chwili dał się słyszeć głos Rankstraila.

- Ale właściwie jak to się stało, że uczynili królem orka Mong-

-hahul?

Na moment Jutrznia się ożywiła, Aurora odpowiedziała natychmiast.

- Arduin został wybrany jednomyślnie. Był generałem zwycięzcy. Kiedy tu przybył, miasto okupowali orkowie. Przemoc, jakiej się dopuszczali, była niesłychana i nie do opowiedzenia. Połowa 193

mieszkańców nie żyła, a druga pragnęła do nich dołączyć. Ardu-in objął

dowództwo nad tym, co zostało z wojska, i poprowadził kontratak. Odbił

miasto z rąk orków, wyciął w pień całą ich armię, przepędzając wroga aż poza Ziemie Znane, i dzięki temu granice stały się bezpieczne i pewne.

- Ale jak mogło dojść do tego, że jakiś ork Mong-hahul skoń czył jako dowódca naszego wojska lub tego, co po nim zostało, by poprowadzić na jego czele kontratak? - drażył Rankstrail.

Aurora szukała właściwych słów, niemal zawstydzona.

•Kroniki z tamtej epoki mówią, że został powołany, by tak rzec, a może

„zwerbowany" to właściwsze słowo, przez córkę króla...

•A jej skąd przyszło do głowy, tej całej córce króla? Skąd niby wzięła tego orka, znalazła go pod łóżkiem podczas pełni w środku lata? Córka którego króla to w ogóle była? Jakiegoś Bolka Kretyna czy nie wiadomo jakiego innego durnia? I któż byłby tym tępakiem, któremu przyszło do głowy nazwać orka Mong-hahul panem czy Władcą Światła? Czymże tak olśnił ten świat, płomieniami rozpalanych stosów?

- wybuchnęła Jutrznia.

Aurora sprawiała wrażenie coraz mniej pewnej siebie i coraz bardziej zakłopotanej, ale nie odpuściła i spróbowała podjąć swoją historię. -

Pozwólcie, że przedstawię wam życie Arduina od początku do końca.

Myszę, że ja jedna je znam. Moja matka nauczyła mnie elfickiego i z pomocą Przełożonego Domu Królów studiowałam także inne pradawne języki. Arduin, zanim umarł, kazał wyryć przepowiednię na murze ponad krużgankami i własnoręcznie spisał swoją historię. W piśmie posługiwał się tylko językiem elfów. Treść tego rękopisu została ukryta w innym manuskrypcie, w co drugiej linijce, trzeba było go rozszyfrować jak zagadkę. Nie wiem, czy to Arduin osobiście go ukrył, by nie został zniszczony, czy też dokonali tego jego następcy, którzy w ten sposób pogodzili pokusę ukrycia przynależności władcy do rodu orków z pragnieniem zachowania jego pamięci. Księżniczka miała na imię Nefryte i była ostatnią córką króla, najmłodszą spośród dwudziestorga dziewięciorga braci i siostr. Król miał dzieci z czterema żonami, które to, jedna po drugiej, uczyniły go wdowcem, oraz z sześcioma konkubinami, gdy nie był żonaty. Jej ojciec to Dardrail rV, zwany Okrutnym ze względu na bestialstwo, z jakim władał swymi ziemiami, surowość, z jaką rządził

swoją rodziną, i okrucieństwo, jakim wykazał się wobec orków.

195

Choć orkowie ginęli masowo, prędzej czy później pojawiali się następni.

Mimo że broniono granic, wznoszono baszty, kopano fosy, stawiano na straży uzbrojonych ludzi co pięćdziesiąt kroków, zawsze ktoś się zagapił

lub przysnął, i okazywało się nagle, że gospodarstwa płoną. Dardrail Okrutny wydał rozkaz zaatakowania ziem orków i wytępienia ich, łącznie z dziećmi. Przeciwwstawiła się temu jednak księżniczka, i to skutecznie. Le-genda mówi, że niczym błyskawica wpadła na swoim koniu na pole bitwy i dobywszy miecza, stanęła między dzieckiem orków, już oszpeconym przez ogień, a żołnierzami jej ojca. Krzyknęła, że nie zabija się dzieci, nigdy; że już lepiej zginąć, nawet jeśli oznacza to koniec całego rodu. Jeśli jedynym sposobem na pokonanie orków jest stać się orkami, to lepsza już śmierć i porażka. Zdaje się, że nie była jakimś doskonałym wojownikiem, ale żaden z żołnierzy nie zaatakowałby córki króla. Nikt nie ośmieliłby się ryzykować przelewu szlachetnej krwi. Księżniczka uwolniła dziecko i ocaliła je przez żołnierzami. Dała mu swego konia, by malec mógł dotrzeć do domu, i zawiesiła mu na szyi swoje insygnia królewskie, kulę z nefrytu, z wrytym w niej wschodzącym słońcem, by żaden żołnierz nie ośmielił

się go zatrzymać. Tym chłopcem był Arduin. W pewnym sensie księżniczka uratowała więc wszystkie dzieci orków.

To dziwne, wystarczy, by jedna osoba przeciwstawiła się okrucieństwu, a wszyscy, łącznie z tymi, którzy je akceptowali, i z tym, kto kazał je szerzyć, zdali sobie sprawę, że ono istnieje. Nefryte była najukochańszą córką króla i nie tylko nie została ukarana, ale po tym incydencie rozkaz zgładzenia

dzieci orków odwołano. To dobra decyzja, gdyż wielu żołnierzy dezercerowało, aby nie wykonywać tego rozkazu. Gdy umarł Dardrail Okrutny, następcą został jego syn, Balruino zwany Młodym, który zasiadł

na tronie, ponieważ był synem Dardraila. Poza tym nie znaleziono nikogo innego. Dopóki na świecie panował spokój, Balruino sprawował swą władzę ani źle, ani dobrze, lecz gdy tylko na ho-196

ryzencie zaczęło się od tysięcy orków, przybyłych z zachodnich równin, jedynymi pomysłami, jakie przyszły królowi do głowy, było podniesienie mostu zwodzonego Daligar, by miasto mogło choć jeszcze przez chwilę pozostać bezpieczne, a potem ucieczka, nim oblężenie się zacznie. Trzeba jednak przyznać, że Balruino, w przeciwieństwie do swojego ojca, przynajmniej zostawił w Daligar wojsko. Podczas gdy jego żołnierze ginęli, a głowy zabitych generałów zdobiły katapulty orków, razem z tym, co zostało z ich wnętrzości, on schronił się w Alyil, jednej ze skalnych twierdz w Górach Północy, nie do zdobycia, gdzie teraz przebywa zresztą mój ojciec z dworem i niemal całym naszym wojskiem. Dopiero w Górach Północy Balruino zorientował się, że brakowało Nefryte, jego najmłodszej siostry, jedynej, która nie miała jeszcze małżonka. Księżniczka została, by bronić dzieci z Domów dla Sierot. Domy te istniały już wtedy, choć z pewnością były bardziej... porządne niż za rządów swojego ojca. Orkowie nie potrzebowali żadnego rozkazu, by mordować dzieci, i wcale nie było im to straszne. Pola stały w ogniu. Księżniczka zebrała wszystkie sieroty razem i zaczęła je prowadzić w stronę bezpieczniejszych gór, gdy nagle otoczyła ich cała banda orków. Nefryte wyciągnęła swój miecz, który i tak nie zdałby się na nic, bo nawet nie umiała się nim posługiwać, gdy nagle jeden z napastników stanął między nią a pozostałymi. Ork ten miał na szyi wisiołek z nefrytu. Spojrzał na nią i powiedział: „Nie zabija się dzieci, nigdy”. Źle władał językiem ludzi, ale można go było zrozumieć. Potem odwrócił się, by ją osłonić, zerwał z twarzy swoją okropną maskę wojenną i stawiał czoła pozostałym orkom, zabijając ich wszystkich. W ciągu kolejnych kilku dni przejął dowództwo, zebrał rozproszonych żołnierzy, nauczył walczyć cywilów, uzbroił mieszkańców w tasaki, poprowadził

kontratak i wyzwolił Daligar. Po tym, jak zdobył miasto, wyposażył je w pale, które wychodzą ukośnie z murów, a przy każdym z nich palił się ogień, który służył do tego, by rozgrzewać smołę i wylewać ją na oblega-197

jące wojsko. Miasto zaczęło przypominać wyglądem jeżozwierza i stało się nie do zdobycia. Ognie widoczne były w ciemności, przywracając odwagę tym, którzy ją stracili. Jedno z miast ludzi odzyskało wolność i walczyło. Prędzej czy później miały do niego dołączyć pozostałe miasta...

•To dlatego nazwano go Władcą Światła? - spytał Kapitan.

•Tak, oczywiście, ale sądzę, że jest jeszcze inny powód, bardziej subtelny, ukryty, choć nie mniej ważny. To był prawdziwy promień nadziei, że ork podjął walkę, aby ocalić dzieci, zamiast je zabić.

Znaczyło to, że każdy wybór jest możliwy, że przeznaczenie nie istnieje. A nadzieja nigdy nie jest płonna. Miało to też znaczyć, że przynależność do rodu orków to wybór, nie przeznaczenie. Mój ojciec także jest orkiem, na swój sposób, choć jego dłonie są delikatne i gładkie, a broda nieskazitelna niczym jedwab. Arduin postanowił nim nie być i nie był. Jego imię, jak sądzę, brzmiało pierwotnie Arduink. W

najstarszych kronikach tak zostało zapisane.

- Ale dlaczego niezwyknięty wojownik? Bo był orkiem? Przecież pozostali też byli orkami, jak jeden mąż...

- Orkowie to niekochane, znieawidzone dzieci, rodzące się tylko po to, by zostać wojownikami, używane jako maczugi albo głązy przeciwko znieawidzonemu światu. W świecie orków matka to jedynie środek wykorzystywany przez wojownika, by spłodzić kolejnego wojownika albo najlepiej od razu wielu. Nie ma w nich czułości. Nie ma litości.

Każdemu orkowi największą radość sprawia przemieszczanie się razem z pozostałymi. Wszyscy razem walczą, wszyscy razem jedzą, wszyscy razem się upijają. Widzieliście defilady orków? Robią wielkie wrażenie.

Ani jeden nie poruszy nawet palcem, by nie wypaść z rytmu. To idealni żołnierze dla każdego najgłupszego dowódcy. Nie potrafią myśleć, bo myśl rodzi się tylko w tym, kto ma wiarę w życie, a ten, kto nigdy nie był kochany, nie ma jej. Odcięci od pozostałych, orkowie się gubią. Bez rozkazów stają w miejscu. Wojny wygrywa

198

się litością i myśleniem. Kto nie ma ani jednego, ani drugiego, ten musi je przegrać, nawet jeśli czasem wygra pierwszą potyczkę. Jeśli jednak ork jako dziecko doświadczy litości, przestaje być elementem wojska i staje się niezwykniętym wojownikiem. Nadal nie odczuwa strachu, ale wyostrza się jego zdolność widzenia przyszłości, którą może zobaczyć z wielkim wyprzedzeniem, nawet o całe wieki. Nigdy nie okaże litości wrogom, których zwalcza. Będzie bił się o sprawiedliwość i nie zatrzyma się, dopóki nie odniesie zwycięstwa. Orkowie zostali stworzeni razem z ludźmi i elfami. Stworzył ich ten sam duch wszechświata i każdemu z nich przeznaczył dar. Elfom przekazana została wielka moc, zarówno duchowa, jak i fizyczna. Także dary dla rodu orków były równie potężne: obdarzeni zostali brakiem odczuwania strachu, siłą, umiejętnością znoszenia bólu i -

rzadziej - zdolnością przewidywania tego, co istnieje tylko w przyszłości.

Później jednak wmieszało się w tego wszystkiego zło i orkowie zostali usidleni przez głupich bogów. Ból ich zesześcił, rozgoryczenie nędzą ich zepsuło. Stali się niegodziwymi, żądnymi krwi, nikkczemnymi stworzeniami, które zalały świat swoim okrucieństwem. Skrywają twarze pod wojennymi maskami, które przyczepiają do skóry. To zmusza ich do tego, by nigdy nie zmieniali wyrazu twarzy i dodatkowo ogranicza ich myślenie. Lecz na początku dziejów orkowie byli tak potężni jak same elfy. W pradawnym języku słowa „elf i „ork" wymawiano inaczej, ale miały one tę samą pisownię.

- A czy ludziom też coś zostało przekazane w darze? Oprócz wszy? -

spytała Juna.



•W pewnym sensie to był właśnie dar - odparła Aurora, pozwalając sobie na lekki uśmiech.

•Wszy?

•Widzicie, moja pani - kontynuowała Aurora - według tych, którzy spisali historię początku świata, jedynym darem, jaki otrzymali ludzie, był brak darów. Ludzie nie mają władzy nad

199

materią, a nad sferą duchową - bardzo niewielką, nigdy nie mogliby dosiąść smoka, ból sprawia im większe cierpienie niż orkom, a chłód większe niż elfom. Przyzwyczajeni do swej małości, ciągle z kolanami uginającymi się pod ciężarem niezrozumiałego i niemożliwego do ogarnięcia świata, ludzie musieli dopiero nauczyć się odwagi; nie samobójczej i krwawej brawury orków, lecz prawdziwej pewności siebie, tej, która pozwala stanąć z powrotem na nogi. Cokolwiek się stało albo dopiero się stanie, jakimś sposobem człowiek zawsze podnosi się i próbuje znowu żyć. Jedyna droga, jaką podążać będzie ród ludzi, to droga opanowywania materii dzikiej wiedzy. Może prędzej lub później ludzie także będą potrafili rozpaść ogień gestem dłoni, pokonać ból albo stworzyć skrzydła, które poniosą ich niczym ptaki czy smoki. Darem, który posiadli ludzie, jest siła, by nigdy się nie poddawać i zawsze próbować od nowa. Istnieje pewna opowieść o początku świata. Mówi ona o zaczarowanym ogrodzie z drzewem, którego owoców nie wolno było jeść, zostało to zabronione. Wielka matka elfów nawet nie spojrzała w ich stronę, wielka matka orków długo wodziła po nich wzrokiem i palcami, wdychając ich woń. Natomiast matka ludzi ugryzła jeden z nich i poznała smak owoców. Dlatego jej potomstwo zostało przeklęte i skazane na brak jakiegokolwiek daru w swych zmaganiach ze śmiercią i bólem.

•Fascynujące - skomentowała Jutrznia chłodno.

•Wiecie - ciągnęła dalej Aurora - istnieje ciekawa, odmienna interpretacja tego mitu. Bezwzględne posłuszeństwo elfów zostało nagrodzone nieśmiertelnością, która koniec końców zgubiła je.

Częściowe posłuszeństwo orków dało im odporność na wszelki fizyczny ból, co zamieniło ich odwagę w okrucieństwo. Właściwym wyborem była ludzka ciekawość, wyzwanie, jakie człowiek rzucił światu: nie być posłusznym nikomu i wybrać poznanie. To tego właśnie oczekiwał duch wszechświata. Nie sądzicie, że to ekscytujące?

200

- Ekscytacja zapiera mi dech w piersiach - zapewniła ją Jutrznia. - Ale czy możemy powrócić do historii Arduina, jeśli nie macie nic przeciwko temu?

Jutrznia pomyślała, że duch wszechświata ma poczucie humoru. Było bowiem parę rzeczy, które chciała mu wyjaśnić, jeśli kiedykolwiek dane będzie jej go spotkać.

•Księżniczka Nefryte, która miała kilka lat więcej od Arduina, zgodziła się zostać jego żoną - podjęła znowu Aurora.

•Wyszła za niego z własnej woli czy była to cena, jaką zgodziła się zapłacić za to, żeby wojownik

walczył po jej stronie? - spytał Kapitan.

•Ja... nie wiem. Nie... nie wspomina o tym żadna część manuskryptu.

Może to prawda, skoro nie ma o tym mowy... ale sędzę, że... że ona go chciała za męża - odparła Aurora niepewnie.

•Czy możemy wrócić do naszej rozmowy, jeśli to nie jest dla was zbyt duży problem? - spytała Jutrznia z niemiłym uczuciem, że jest jedyną osobą z odrobiną zdrowego rozsądku.

Aurora pośpieszyła z zakończeniem. Ród ludzi bardzo kochał Arduina, ale również bardzo się go wstydził. I to było powodem, dla którego ludzki świat pograżył się w tchórzostwie i barbarzyństwie, okrywając się hańbą po tym, jak postanowił przegnać i prześladować znieprawione elfy, którym, choć były wielkimi królami, nie przebaczone porażek w walkach przeciw orkom, oraz po tym, jak powstydzili się sir Arduina i jego krwi.

•Dlaczego królestwa elfickie upadły? - spytał Kapitan. - Jak to możliwe?

Elfy musiały mieć niesamowitą moc.

•Bo zdolność odczuwania bólu innych stała się tak wielka, że zgubiła cały ród - tym razem to Jutrznia udzieliła odpowiedzi na jego pytanie. -

To wyjaśnił mi mój małżonek. W czasach pokoju byli dobrymi królami, choć różnymi od ludzi, często niezrozumiałymi dla nikogo, za bardzo zajęci śledzeniem ruchów planet albo nauką gry na lutni. Kiedy pojawili się orkowie, elfom nie udało się ich pokonać. Mój małżonek musiał

zabić

człowieka, wiecie, kiedy przybył wybawić mnie z łap Zarządcy. Od tamtej chwili nie było ani jednego dnia, którego nie spędziłby, nie wracając myślami do tamtego zabitego mężczyzny. Kiedy nadciągnęli orkowie, elficcy królowie nie byli w stanie walczyć, bo każdy zadany cios czuli tak, jakby godził w ich własne ciało, i to mylnie wzięto za przyzwolenie dla zbrodni orków. Ranni wrogowie byli zazwyczaj dobijani i często, gdy ktoś chciał się za coś zemścić, wyżywał swą frustrację na nich. Myślę, że rzeczy, za które chciano się mścić, było wiele. Natomiast elficcy królowie domagali się, by brano jeńców. Jednak kto stracił żonę i dzieci, nie był

skłonny dostarczać jedzenia i czystej wody oprawcom, toteż rozkaz królów wzięto również za przejaw przyzwolenia na zbrodnię.

Królowa zamilkła na parę chwil, potem zwróciła się do Aurory i zapytała:

- A zatem jak mówiliście...?

Aurora podjęła znów swoją opowieść.

- Syn Arduina został królem, lecz nie mógł znaleźć sobie żony, umarł bezpotomnie. Był synem orka, a nikt nie chce krwi orka w swoich żyłach. Stary król zwycięzca chciał, by jego córki ukryły się wśród społeczności Daligar, jako kobiety z ludu, by nie musiały być skazane na samotność. Księżniczka Nefryte zmarła niedługo po narodzinach ostatniej córeczki, trafiona ostatnią strzałą wypuszczoną przez ostatniego łucznika z ostatniego uciekającego oddziału orków. Wściekłość Arduina była straszna.

Król, któremu nieobca sprawiedliwość, ale już nie litość, oczyścił

ziemię ludzi, wzmocnił granice i uczynił tereny Pogranicza bezpiecznymi. On miał pozostać jedynym orkiem, jaki chodził po Ziemiach Ludzi, ostatnim z nich. Po śmierci Nefryte i po swoim zwycięstwie Arduin, zrozpaczony i samotny, abdykował i zaszł

się w bibliotekach. Ktoś nauczył go pisma, pradawnych języków, a także elfickiego. Jego syn został wybrany jednogłośnie królem i nazwany Mądrym, i wtedy Arduin doznał kolejnego ciosu, wi-202

dząc, jak odchodzi on, jeszcze za młodu, zabrany przez dziwną gorączkę, której nikt nie potrafił uleczyć; być może pojawiła się ona w wyniku otrucia...

- A więc ja miałabym być dziedziczką jednej z córek Arduina? - przerwała Jutrznia. - Zwyciężyłam, bo mam krew orka w żyłach, nie mówiąc już o krwi króla, który przeszedł do historii jako jak go tam zwali... Okrutny?

Zapadła cisza. Aurora zdawała się szukać odpowiednich słów i zbierać myśli.

- Moja pani - odezwała się wreszcie - nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że w waszych żyłach płynie krew Arduina, władcy sprawiedliwego, i Nefryte. Ale zwyciężyliście, bo jesteście

sobą. Macie w sobie krew Arduina, oczywiście, ale nie wy jedyni. Ani wasi rodzice, ani przodkowie nie byli jedynakami mi i z pewnością macie niezliczonych kuzynów, którzy dzielą z wami wspólne korzenie. Nikt z nich nie poprowadził nas do zwycięstwa, to wy tego dokonaliście. Nauczyliście się zasad strażnicy, chodząc na polowania z waszym ojcem, gdy byliście mali.

Miłość waszej matki dała wam wiarę, wasz małżonek obdarzył

was zdolnością zagrzewania serc, wasze dzieci i konieczność ich chronienia sprawiły, że macie taką odwagę i bezwzględność, że nic was nie może powstrzymać.

Zielone oczy Aurory nie patrzyły już na Jutrznie i zagubiły się na moment w nieprzeniknionej twarzy Kapitana Rankstraila. Wreszcie jej spojrzenie powędrowało daleko w stronę szczytów Gór Ciemności, gdzieś ponad horyzont.

- Nie jesteśmy krwią, którą w sobie mamy - kontynuowała Aurora. - Tak było kiedyś. Święci rodzili święte dzieci, potępienci potępione. Od króla po zdrajcę, poprzez bohaterów i demony, wszyscy rodzili się z przypisaną im już, haniebną lub chwalebnią, drogą, jaką mieli podążać, i wystarczyło, że nią szli. Gdy ktoś utracił honor, to już na zawsze. Hańba stawała się potępieniem, które trwało jeszcze po śmierci i kładło się cieniem na całym

rodzie. Była kręgiem ze stali i ognia, z którego nie sposób się wydostać.

Dobro i zło oddzielała żarząca się granica. Honorom była walka z orkami i demonami, wyplutymi na ziemię prosto z piekła, z tymi do cna, bezdyskusyjnie. Ten świat już zniknął, tak jak i zniknęły elfy, smoki i erynie. My to my. My to wybór, którego dokonujemy, a nie krew płynąca w naszych żyłach. Każdy z nas będzie musiał wytyczyć sobie własną ścieżkę pośród jeżyn, nigdy nie mając całkowitej pewności, gdzie leży dobro, i poszukując go bez ustanku, czasem myśląc się i zaczynając od nowa. Każdy z nas będzie musiał się opowiedzieć za honorem lub hańbą -

drogi prowadzące do światłości zagubią się pośród pyłu i błota, przez które czasem trzeba się czołgać, by odnaleźć właściwą ścieżkę. Wszyscy będziemy musieli powstawać po upadku, bo bohaterowie, którzy nigdy nie upadają, zniknęli jeden po drugim w królestwie śmierci i pozostaliśmy tylko my. Z każdym zachodem słońca dokonamy rachunku sumienia i jeśli honor przeważa nad hańbą, odwaga nad tchórzostwem, będziemy wiedzieć, że był to dobry dzień. Wy, pani, nie wiecie, czym jest widmo wstydu z powodu krwi, która płynie w żyłach. Wasi rodzice zostali zabici i słowo „niesprawiedliwość” jest zbyt delikatne, by określić nim powieszenie, lecz zginęli, kochając się i trzymając za ręce. Wy jesteście z nich dumni, tak samo jak wasz małżonek. Nie wiem, czy w ogóle udało mu się poznać tych, którzy wydali go na świat, lecz z pewnością nigdy nie przestał być z nich dumny. Ból po stracie czcigodnego rodzica jest czysty, niezbrukany wstydem. Ja nie mam tyle szczęścia co wy. Przez całe moje życie zawsze byłam rozdarta. W pewnym sensie jestem córką orka. Mój ojciec gotów był bez wahania zabić was, gdy byliście dzieckiem, i waszą córkę, zaledwie dwuletnią. A jak mówiła Nefryte: kto dobrowolnie zabija dziecko, zasługuje na miano orka. Kiedy już przepędzimy wszystkich orków z naszej ziemi, będziemy musieli pamiętać, że jest jeszcze jeden, ostatni, ukryty w Alyil, w górach. Znam wszystkie zbrodnie mojego ojca, a mimo to gdzieś w

kamarku mojej pamięci pozostał uśmiech, z jakim szukał mnie, gdy byłam dzieckiem. Musicie

wiedzieć, że długo sądziłam, iż moim jedynym przeznaczeniem jest samotność, bo moje potomstwo miałoby w sobie krew potwora, ale teraz nie jestem tego tak pewna. Jedno popołudnie spędzone z waszą córką odkryło więcej rzeczy na temat mojej duszy, niż mogłam podejrzewać. Myślę, że każdego z nas tworzą czyny, których dokonuje, a nie krew płynąca w jego żyłach; i to samo dotyczy sir Arduina. Dotyczy...

mnie. Każdego. Być może ludzka dusza zawsze zachowuje w sobie małą cząstkę, która pozostaje nietknięta, bez względu na to, co dany człowiek robi, i to właśnie ta cząstka, nieskazitelna, płynie w żyłach jego dzieci. Nawet jeśli okrutnie hańbiące są czyny tego, kto nas począł, mamy prawo nie wstydzić się za nas samych, którzy jesteśmy jego dziećmi.

Aurora przerwała. Jej spojrzenie błędziło ponad murami, nie gdzieś na horyzoncie, ale blisko, po czaszkach orków zawieszonych na basztach. Jej twarz straciła swój blask, gdy na nie spoglądała, oczy zszarzały niczym morze, kiedy w zimie horyzont i słońce chowają się za wielkimi deszczowymi chmurami.

- Nasza walka musi być prowadzona na dwóch frontach: trzeba stawić czoła orkom, całym im hordom, wiedząc, że potem nadejdą kolejne, i nie wolno nam nigdy zatracić naszej duszy, bo gdy zapomnimy o litości, staniemy się tacy jak oni.

- Zabiję każdego, kto będzie chciał skrzywdzić moje dzieci - powiedziała Jutrznia ze spokojem. - Jego głowa skończy na jednej z halabard ponad rowami ze ściekami, nad moczarami.

- Nie, nawet głowa tego, kto będzie chciał zabić wasze dzieci, nie może skończyć na halabardach na skraju bagien. Wy nie wiecie. Wybaczcie mi, moja pani, ale wy nie rozumiecie. Jest coś strasznego w ścinaniu drugiej osoby, całe jej człowieczeństwo zostaje...

- I właśnie dlatego to robimy - przerwała jej Jutrznia. - Or-kowie nie boją się śmierci. Jedyne, co robi na nich wrażenie, to 205

wizja błakania się po piekle bez końca, z pustką ponad karkiem, podczas gdy inni wojownicy będą się skręcać ze śmiechu.

- Orkowie są przerażeni śmiercią, tak jak wszyscy ci, którzy krzyczą, że ją kochają i że w każdej chwili z przyjemnością po świecą własne życie, byle tylko zniszczyć czyjeś. Zadając ją i szu kając jej, oni ją kontrolują. To, czego nie mogą znieść, to po prostu oczekiwanie, gdy nie wie się, kiedy ona nadejdzie. A prze cież wszyscy, którzy nie są ani samobójcami, ani zabójcami, cze kają na śmierć ze spokojem. Kiedy ginie ork, a także gdy jego trup zostanie ścięty, cały ból świata eksploduje niczym wielka otchłań. Jak możecie tego nie czuć! Jak mogliście się do tej pory nie zorientować, że wasza córeczka spaceruje ze wzrokiem wbi tym w ziemię, by nie widzieć... tego.

Aurora wskazała ucięte głowy, które można było dostrzec nawet w ciemności.

- Erbrow nie spogląda na orków, bo się ich boi, oni ją wystraszyli...

- Wasza córka nie patrzy w tamtą stronę, bo czuje ból ich śmierci i przerażenie z powodu ściętych

głów. Nie pozwólcie, by wasze i pozostałe dzieci w Daligar dorastały w miejscu, gdzie na chlebie i miodzie z podwieczorku będą siadały muchy, które dopiero co zakończyły ucztę w oczodołach jakiegoś czerepu. Moja pani, wybaczcie

- kontynuowała Aurora, drżąc - ale wasz małżonek nigdy by na to nie pozwolił. Dla niego brak współczucia byłby cierpieniem, niczym otwarta rana. Musimy pomagać rannym, nawet orkom. Jeńcy muszą przeżyć.

•Gdzie? - spytała Jutrznia.

•W podziemiach!

•Jak? Pozbawiając zapasów jedzenia i wody oblegane miasto, by ich wyżywić? Pozbawiając żołnierzy nasze i tak przeredzone wojsko, po to, by ich pilnować?

Aurora zbladła. Zdawało się, że wstrząsa nią lekki dreszcz. Jutrznia zaczęła wszystko rozumieć. Rankstrail ją uprzedził.

206

•Wy jesteście... - zaczął Rankstrail. - To znaczy...

•Oczywiście, mój panie, jestem tym, co zwie się półelfem. Moja matka należała do rodu elfów.

•Ale czy wasz ojciec nie nienawidził elfów? Nie spędził połowy życia na niszczeniu ich?

Jutrznia osłupiała. Poczula rozgoryczenie. Rozmowa znów stawała się szalona, niezrozumiała i nielogiczna. Nie chciała, a zwłaszcza nie przyjmowała do wiadomości, nie dopuszczała do siebie faktu, że Aurora i Yorsh mogliby mieć ze sobą coś wspólnego. To wszystko wyglądało głupio i absurdalnie. Wszystko było... nieprzyzwoite... ona, która miała w sobie krew orka, i Aurora, z każdą chwilą coraz bardziej podobna do Yorsha...

Musiały istnieć różne powody, w samej rozmowie i w sposobie, w jaki była ona prowadzona, by to Jutrznia wyszła po prostu na kretynkę.

- A zatem - zakończyła - okazuje się, że ja mam trochę krwi orka, wy jesteście półelfem. Brakuje tylko kury.

Aurora długo się namyślała, nim odpowiedziała.

- Sądzę, że mój ojciec nie jest zdrowy na umyśle - powiedziała powoli.

Usiadła na podeście czyjegoś posągu, może Eryka Łysego.

- On nienawidzi elfów - podjęła znowu - ale jednocześnie jest nimi zafascynowany. Myślę, że nienawidzi ich dlatego, że nie jest mu dane być takim jak elfy. Zmusił moją matkę, by go poślubiła, składając jej obietnicę, której nie dotrzymał, że ocali jej lud... a potem... kiedy ona próbowała

zorganizować ucieczkę... -

Tym razem Aurora zawiesiła głos. - Nie wszystkie elfy wyginęły, moja pani. Jak niestety odkrył mój ojciec, cierpienie zabija moce elfickie. „Wystarczy zabić jednego, by wszyscy jego krewni po szli jak owce na ubój”, mawiał, śmiejąc się. Elfy odczuwają ból tego, kogo zabijają, jak swój własny i to czyni je bezbronniymi.

Cierpienie z powodu pogardy i nienawiści tych, którzy je prze-207

śladowali, unicestwiły moce elfów. Pozostały same. Umarły, ale nie wszystkie. Wiele z nich ukryło się między ludźmi, przyjęte i dopuszczone blisko domowych kominków, ocalone przed barbarzyństwem, schowane w kuchniach i łąkach zboża. Nie tylko wasi rodzice zaopiekowali się elfem, nie tylko wy zmieszaliście własną krew z ich krwią. Świat jest pełen półelfów. Tego, kto ma choć kroplę elfickiej krwi w swoich żyłach, można rozpoznać po włosach: jakkolwiek mają kolor, dziwnie lśnią w promieniach słonecznych, padających ukośnie o wschodzie lub o zachodzie słońca. Dziewczynki łatwiej dziedziczą moc i kiedy ujawni się, nazywa się je czarownicami. Często mają wyjątkowe zdolności jako uzdrowicielki. Chłopcy o wiele rzadziej dziedziczą magiczne moce i są pod tym względem o wiele słabsi. Lepsze oko w celowaniu, lepsze zrozumienie tego wszystkiego, co zostaje wypowiedziane, i większe zamiłowanie do książek. To, o czym nie wie mój ojciec, to fakt, że półelfy nigdy nie tracą swej mocy, nawet doświadczywszy ogromnego cierpienia.

Nie tylko z okrucieństwa kazał on waszej córce być obecnej przy śmierci ojca, a mnie przy... - Aurora znów urwała. - Uczynił tak, by pozbawić nas naszej broni, ale półelfy mają odwagę ludzi, odwagę, by nigdy nie pozostać bezbronniymi. Tak jak ludzie, my się nie poddajemy, aż do samego końca. -

Jesteście czarownicą? - spytał Kapitan.

•Tak by mnie nazwali, gdyby się dowiedzieli.

•A dzieci orków jak się odróżnia? - chciał wiedzieć Rank-strail.

Aurora przerwała. Pozostała milcząca i zrobiła niezrozumiały gest, potem nagle odwróciła się i odeszła.

Księżyc zniknął.

Ciemność stała się gęstsza, rozpraszał ją tylko ogień ostatniej pochodni, która wciąż świeciła.

208

W oddali dało się słyszeć głos sowy i rozpaczliwy pisk jakiegoś stworzenia, które zostało schwyte.

Jutrznia cała osłupiała, pozostała w ciszy.

Wszystko to, co powiedziała Aurora, kłębiło się w jej umyśle.

Była zbyt zmęczona. Jutro o tym pomyśli. I następnego dnia. I kolejnego.

Teraz jej zmęczenie dotarło do niej. Jedyne, co stawiało mu jeszcze opór, było współczucie dla Aurory. Straszny musiał być jej wstyd za własnego ojca.

- To wszystko nieprawda - powiedziała do siebie z furią. - Jakiś absurd.

Arduin nie był orkiem. Ani ja, ani moje dzieci nie mamy w sobie krwi orka. To muszą być tylko plotki i Aurora w nie uwierzyła, bo... w jakimś sensie... potrzebuje w nie wierzyć. Musi być cierpieniem nie do opisanego mieć tak podłego ojca, wiedzieć, że jej własne dzieci będą miały w sobie jego krew, wstydzic się kształtu własnych dłoni, bo ktoś o dłoniach w tym samym kształcie popełnił okropne zbrodnie.

Jutrznia spojrzała na Rankstraila i gwałtownie przerwała.

Kapitan z Varil był nieruchomy jak posągi za jego plecami, oblicze miał

nieprzeniknione. Królowa długo jeszcze mu się przyglądała, tak jakby zobaczyła go po raz pierwszy, i pożegnała się skinieniem głowy.

Udała się do swoich komnat. Erbrow i jej braciszki spali jak aniołki.

Odprawiła Parzę i sprawdziła, patrząc przez okno, czy służąca bezpiecznie dotarła do domu. Zanim się położyła, zastawiła drzwi wszystkim, co tylko znalazła, i zasnęła niespokojnym snem, obejmując swoje dzieci. Miecze Yorsha i Arduina leżały pod poduszką.



# K

iedy Ebrow nie bawiła się ze swoim wilczkiem albo nie była z mamą, przyglądała się braciszkom. Prawie zawsze spali, zagubieni pośród swoich snów, w których *różne* zapachy ich świata przenikały się ze smakiem mleka. Nawet ich sny się różniły: Arduin śnił o światłach, Yorsh o półcie-niach. Kiedy Parzia ją oddalała, Ebrow słuchała Jastrina. Czyli siedziała w komnacie, gdzie chłopiec nieustannie coś mówił.

Jastrin w kółko wyjaśniał, jak ważna jest wiedza, a szczególnie znajomość historii ludzi. Kolejną po Yorshu osobą podsycającą w chłopcu pragnienie wiedzy była Aurora. Ona wiedziała wszystko, wszystko przeczytała, przez całe lata siedziała zamknięta w bibliotekach hrabstwa. Teraz, gdy nie uczyła strzelać z łuku każdego, kto tylko chciał się tego nauczyć, albo nie pielęgnowała rannych w lazarecie, siedziała pochylona nad stołem Jastrina i rozmawiała z nim. Ostatni dar sprawiła mu wczoraj: zwój pergaminów owinięty pajęczynami gęstymi jak aksamit, znaleziony na samym dnie jednej ze skrzyń, którego nikt, nawet ona, nie miał jeszcze czasu przeczytać. Jastrin będzie pierwszy.

Zarówno Yorsh, jak i Aurora utrzymywali, że ten, kto zna przeszłość, może przewidzieć przyszłość. Nie mówili o cudownym darze sir Arduina albo Królowej Czarownicy, którzy widzieli przez mgłę czasu. Mówili o innej wiedzy, mniejszej i bardziej ścisłej, na którą składały się nauki, twierdzenia, porównania i intuicje,

210

i choć nie dawały one pewności, to jednak pozwalały orientować się w nieprzewidywalnych dziejach świata. Już pięć lat wcześniej Aurora zdołała przewidzieć, że orkowie szykują się do decydującego ataku. Zauważyła, że ich napaści na Pograniczu ustały co najmniej na kilka lat, po to by potem wybuchnąć z wielką siłą, dokładnie tak jak to działo się w ubiegłych stuleciach. Najpierw zbierali i zbroili oddziały - trwał wówczas senny spokój, który sprawiał wrażenie, jakby wojna ustała - a potem zaczynali szkolić swe wojska. Na końcu następował atak. Także Aurora wysunęła teorię, iż najpierw należy odzyskać Wzgórze Nowego Księżyca, bo kiedy już w ich rękach znajdzie się droga łącząca Daligar z Varil, połowa wojny będzie wygrana... Sir Arduin także wygrał, przejmując kontrolę nad tym miejscem. Wystarczyło przeczytać zapiski z tamtego stulecia...

Ebrow trochę słuchała, trochę się bawiła, rozwijając i zwijając pergaminy, trochę przysypiała, by obudziwszy się, odkryć, że niepowstrzymany i niepokonany głos Jastrina wcale nie ucichł.

Dwa dni po narodzinach jej braciszków, gdy leciutki wiaterek rozpraszał

upał, Jastrin zamilkł. Na tę niespodziewaną ciszę Ebrow, która właśnie drzemała, aż podskoczyła. Jastrin miał wytrzeszczone oczy i dłonie całe w pajęczynach.

- Ebrow - wyrzucił z siebie - jest przejście. Zaraz pod wodą, od południowej strony rzeki. Orkowie płyną pod wodą, a potem przechodzą przez tunel i stamtąd wynurzają się w małej studni, tej niżej. Nie tej, z której czerpiemy wodę, ale tej drugiej, tam, gdzie jest stara woda, gdzie polujemy na żaby! Tunel został zrobiony dawno temu, by dało się wychodzić podczas oblężenia, a potem o nim

zapomniano. My już nie widzieliśmy o jego istnieniu, ale oni tak.

Coraz bardziej podekscytowany, a właściwie przerażony, Jastrin wytłumaczył Erbrow, że kiedy miasto wpadło w ręce orków, sir Arduin odbił je, bo księżniczka Nefryte pamiętała o przejściu. Orkowie musieli więc znać historię. Oni także z pewnością mie-211

li jakąś książkę, jakiś pergamin, albo też funkcjonowała u nich tradycja bardów. Ktoś opowiada historię komuś innemu, a ten potem znów ją opowiada jeszcze raz i dalej, i tak w kółko, z pokolenie na pokolenie, przekazywane są dzieje. Wiedza orków na temat strategii zachowała się, podczas gdy ludzie zaprzepaścili własny dorobek, i dopiero teraz, przez czysty przypadek i tylko dzięki uprzejmości Aurory, która znalazła mu do lektury coś nieczytanego przez nikogo, odzyskali dla siebie przeszłość.

Przemowa była trudna, ale Erbrow i tak zrozumiała: orkowie, którzy przybyli, by ją porwać, przechodzili tamtędy, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Choćby nie wiadomo ilu żołnierzy strzegło stoków murów, choćby nie wiadomo ile par oczu obserwowało rzekę, wrogowie w każdej chwili mogli powrócić.

Jastrin wstał i wziął ją za rękę.

- Chodź - powiedział jej przerażony, lecz zdecydowany - teraz pójdziemy poszukać twojej mamy i powiemy jej, co odkryłem. Ona cię obroni. Tym razem cię nie zostawię. Tym razem będę walczył o ciebie tak, jak twoja mama walczyła o mnie i o innych. Wybiła godzina bohaterów - szepnął tak drżącym głosem, że ledwie można było go zrozumieć.

Erbrow przytaknęła, a potem poczuła chłód. Ujrzała zgrozę i przestach na twarzy Jastrina i rozumiała, że zwlekali zbyt długo. Nagle wyrósł

przed nią ociekający wodą ork. Nadciągali kolejni. Tym razem nie było ani Angkeela, ani jej szczeniaka. Została sama. Ork chwycił ją. Erbrow poczuła niedobry uścisk i postanowiła zamknąć oczy, by już nic nie widzieć.

Nienawiść była tak silna, że Erbrow wydawało się, iż wpadła do lodowatej wody. Usłyszała dźwięk dzwonu, dwa uderzenia, a potem jeszcze cztery, po których dał się słyszeć krzyk Jastrina. Dano sygnał: orkowie w obrębie murów, porwane dziecko. Wciąż z zamkniętymi oczami Erbrow ujrzała smoka z przeplatającymi się ze sobą spiralami sierści i łusek, tworzących różne wzory, i zobaczyła Jastrina znów obejmującego jej tatę. Zrozumiała, że jej towarzysz został zabity,

212

orkowie zezłościли się, bo dał sygnał dzwonem. Nienawiść orka była straszna, niemal tak samo jak uścisk jego niedobrej ręki, która wbijała się w jej ciało między brzuchem a klatką piersiową. Erbrow pomyślała, że mogłaby odejść, zatrzymać swoje serce i nic już nie czuć. Dołączyłaby do swojego taty i Jastrina na miękkim, ciepłym i silnym grzbiecie smoka.

Tata poprowadziłby ją, aby zobaczyła, co jest po drugiej stronie wiatru, zabrałby ją, aby policzyć

gwiazdy, tam, gdzie nie można już odczuwać strachu ani bólu. Ale potem pomyślała, że jej tata nie zatrzymał swojego serca. Przypomniała sobie, jak straszna była klinga ze stali, która je przebiła, a tata nie uniknął bólu zadanego przez kolejną strzałę, choć mógł

to zrobić. Erbrow zrozumiała, że w zatrzymaniu własnego serca było coś niewłaściwego, trochę tak jak w dłubaniu w nosie. To jedna z tych rzeczy, których po prostu się nie robi i koniec. Ona też tego nie robi. Jastrin zgiął, by zadzwonić i pozwolić jej żyć. Cokolwiek się stanie, ona nie zatrzyma swojego serca.

Wiedziała, że zabierają ją w jakieś ciasne i zimne miejsce, które ciągnęło się w nieskończoność, a potem poczuła kolejny chłód, który nie był

nienawiścią, lecz prawdziwą zimną wodą: znaleźli się w rzece. Erbrow wyobrażała sobie, że jest rybą i woda nie dostała się w niej do miejsca, którym się oddycha. Później została wciągnięta na konia, na którym trzęsa się we wszystkie strony, ale to nie trwało długo.

Uścisk, który ją trzymał, nagle się rozluźnił. Erbrow upadła. Poczowała zawrót głowy i jako że nie była przez nic podtrzymywana, zacisnęła mocno oczy, czekając na ból towarzyszący uderzeniu o ziemię, lecz nic takiego nie nastąpiło. Chwyciło ją i przytrzymało inne ramię; ramię, które kończyło się dłonią bez palców, ale za to nie niedobrą.

- Ej, Kapitanie - krzyknął jakiś głos. - Ja mam dziewczynkę. Jednego orka mniej...

Potem nastąpiła kolejna zmiana rąk.

213

- Ty ją weź, ja pojedę w stronę miasta. Oni myślą, że to ja mam małą. Ściągnę ich na siebie - usłyszała jeszcze.

Inny głos - człowieka, który podarował jej szczeniaka, przemówił ze spokojem:

- Nie bój się, maleńka. Jestem tu. Nie bój się. Zobaczysz, po radzimy sobie.

Erbrow wreszcie otworzyła oczy. Była na rękach mężczyzny od pieska i to oznaczało coś dobrego. Podobał się jej zapach tego mężczyzny i uczucie ciepła, gdy znalazła się w jego ramionach. Wciąż jeszcze trzęsa się od nienawiści i z powodu wody w fosie. Dobrze jej było na ramieniu człowieka od pieska. Erbrow zorientowała się, że otoczyli ich orkowie uzbrojeni po zęby, przede wszystkim w łuki.

Oczywiście nie wystraszyła się. Gdy spojrzała w oczy swojego taty, który umierał, nauczyła się robić wszystko to, co potrafił, choć potem tego nie wykorzystywała.

Jej tata nie zatrzymał sam swojego serca, ale ona poczuła jego myśl i jakby przyjęła ją, choć myśl ta nie przeszła w czyn. Tak samo Erbrow poczuła i nauczyła się zmieniać lot strzał. Jej tata nie zrobił tego, żeby niedobry człowiek, który trzymał ostrze na jej gardle, nie skrzywdził jej, ale pomyślał o tym, a myśl dotarła do Erbrow tak, jak przyleciał do niej ból z powodu strzały, która przeszła ramię

jej taty. Człowiek w hełmie z pióropuszcami nigdy się nie dowie, że to jej tata, ostatkiem swoich sił, poprowadził wprost do swojego serca strzałę, która go zabiła. Nie chciał

zostać uratowany, gdyż ryzyko, że ona zostałaby zabita, jeśli on nie zginie, było zbyt wielkie. Jej tata zorientował się, że ona próbowała go uratować; że nawet mając ostrze na gardle, usiłowała zmienić tor strzały. Tata zapłakał ze wzruszenia.

Teraz jednak nie było dziecka z ostrzem na gardle. Żadna strzała jej nie trafi. Żadna strzała nie dosięgnie człowieka nazywanego Kapitanem, który był dobry i jej się podobał. Żadna strzała nie

214

trafi nikogo z jego ludzi, tych smutnych mężczyzn przypominających wyglądem orków.

Nad ich głowami zjawił się również Angkeel i spoglądając na wielkie, białe i błękitne skrzydła orzełka, Erbrow poczuła przyjemną lekkość. Koń Kapitana popędził niczym wiatr, a nawet szybciej jeszcze, i tak samo pognały konie ludzi, którzy jechali za nim. Również tata jej szczeniaka, który zawsze biegł za Kapitanem z wywieszonym językiem, bo końskie nogi były o wiele dłuższe niż jego, tego dnia pomknął jak strzała.

Erbrow oparła się wygodniej plecami o zbroję Kapitana, który przyciskał

ją mocno do siebie, starając się chronić ją, jak tylko mógł, od strzał. Ale one i tak nie miały ich dosięgnąć.

Wyciągnęła swoją lalkę z kieszeni fartuszka i musnęła palcami stare, wytarte drewno. Podniósł się wiatr, by przegonić duchotę i chmury. Liście drzew lśniły w letnim słońcu, pośród zapachu ciepłej ziemi i trawy. Maki błyszcząły, przezroczyste w letnim świetle. Janowiec kwitł i wielkie plamy żółtych kwiatów rozpościerały się na wzgórzach, pełne motyli i pszczoł.

To będzie piękna przejażdżka.

Potem Erbrow poczuła ból: było tam całe mnóstwo bólu i wiele strachu.

Były naprawdę okropne, docierały z daleka, stamtąd, gdzie rosły krzaki jeżyn na ostrych skałach, gdzie do woni ciepłej ziemi i trawy miał dołączyć zapach krwi, i w tym momencie Erbrow ucieszyła się, że jest z Kapitanem

- on będzie wiedział, co robić.

Ona musiała tylko doprowadzić go tam, gdzie był potrzebny.

21

**R** ankstrail miał serce w gardle.

Na szczęście ktoś zdołał uderzyć w dzwon. Lekka kawaleria dopiero co wyjechała i most zwodzony

nie został jeszcze podniesiony. Na dźwięk dzwonu Kapitan zawrócił i przemierzył miasto, ryzykując stratowaniem straganów, na których sprzedawano słodycze i placki z jabłkiem. Stragany znów pojawiły się po tym, jak najemnicy zdobyli zapasy orków.

Południowy most zwodzony, wielki i powolny, opadł, skrzypiąc, i znaleźli się na zewnątrz, w samą porę, by zobaczyć, jak półnaczy i ociekający wodą wojownicy przekazują dziewczynkę grupie orków kawa-lerzystów.

Przebywszy na skróty krzaki jeżyn, Lisentrail zdołał jako pierwszy dotrzeć do wrogów i odbiwszy dziewczynkę, podał ją Kapitanowi.

- Ty ją weź, ja pojedę w stronę miasta. Oni myślą, że to ja mam małą.

Ściągnę ich na siebie - powiedział mu.

Kapitan przytaknął.

Tyle że tym razem dosiadał Kleszcza Wspaniałego.

Zatęsknił do wyniosłego posłuszeństwa i wielkiej chyżości En-striila.

Orkowie odzyskali część swoich koni i dla Kapitana liczyła się każda sekund. Manewr zastosowany przez Lisentraila okazał się skuteczny.

Przekonani, że to on ma małego zakładnika orkowie podążyli za nim całym oddziałem odrodzonej kawalerii.

*zi6*

Kapitan jednak nie mógł wjechać z powrotem do miasta. Między nim a mostem zwodzonym znajdowała się kawaleria orków rozproszona przez Lisentraila i jego jeźdźców. Dosiadali oni silnych koni, szybszych od tych, które jego ludzie mieli do dyspozycji, o Kleszczu nawet nie wspominając; ryzyko było więc zbyt duże.

Rankstrailowi nie pozostało nic innego jak rzucić się galopem na wschód, w stronę Wzgórz Nowego Księżycy.

Pojawił się orzełek dziewczynki.

Kapitan przez wzgląd na uszy małej z trudem oparł się pokusie ordynarnego przeklęcia.

Jego jedyna nadzieja na to, że nie zostanie dostrzeżony i nie będzie ścigany, właśnie została zniweczona przez piskliwe krzyki orła. Całe wrogie wojsko wiedziało już, że to on ma dziewczynkę. Nawet jeśli byliby ślepi, rozkojarzeni albo z głową w wiadrze, do tego pełnym wody, okrzyki radości głupiego ptaka stanowiły jasny sygnał.

Kapitan znów powstrzymał się, by nie zakląć.

Wszystkim, co miał, była połowa jego armii, bo drugą zabrał Lisentrail, by uwiarygodnić swoje oszustwo oraz nie pozostawić bez ochrony mostu zwodzonego, który przyda się, gdy będą wracać. Co wcale nie musiało nastąpić.

Został otoczony przez orków i czarna chmura strzał zasłoniła niebo.

Żadna go nie trafiła.

Wszystkie chybiły celu.

Kleszcz pędził, tak samo jak konie jego ludzi. Nawet wilk dotrzymywał im kroku.

Powtarzał się ten sam cud, do którego doszło w Varil.

-Jesteś zaczarowana, maleńka? - spytał Kapitan. I sam sobie odpowiedział: - Jesteś córką elfa. Jesteś czarownicą, małą czarownicą.

Słuchaj, musimy wrócić do domu. Dom. Musimy wrócić do twojej mamy, bo jak nie, to się wystraszy. Do mamy. Mama,

217

rozumiesz? Zrozumiałaś, malutka? Jeśli nie, to mama się zdenerwuje.

Teraz zawrócimy konia i wrócimy do mamy. Maleńka, zatrzymaj konia, jak nie, to nie będziemy mogli zwrócić i mama się zezłości...

Kleszcz, szybki jak wiatr, niepowstrzymany niczym wybuch wściekłości, nadal pędził w stronę Wzgórz Nowego Księżyca. Jego kopyta odbijały się od wysuszonej ziemi, wzniesając małe chmury kurzu, które rozpraszają się na wietrze. Spotkali na swej drodze baterie orków, a te rozstępowały się przed nimi w popłochu. Wrogowie zmykali na wszystkie strony w lęku i trwodze, a ich szeregi załamały się.

Orzeł przed nimi, wilk za nimi, strzały, które nie mogły ich trafić, szybkość ich rumaków pędzących niczym konie samych bogów, o ile ci dosiadali koni, wprawiały w przerażenie orków. Pierzchali, niczym dzieci na widok rozwścieczonego byka. Wielu spadało z urwiska, inni uciekali w dół, trzymając się skał i krzaków. Rankstrail zdał sobie sprawę, że właśnie wyzwala Wzgórze Nowego Księżyca, gdy przepędza orków niżej, w okolicę, gdzie stoki stają się strome i urwiste. Raz wyzwolone, staną się nie do przebycia dla tego, kto atakując, wspinałby się z dołu; będą stanowić coś w rodzaju naturalnego bastionu broniącego drogi między Daligar a Varil.

•Teraz! - ryknęli jego ludzie za nim.

•Nie! - krzyknął Kapitan. - Teraz nie.

Nie z Erbrow na jego koniu. Nie z dzieckiem ostatniego z elfów. Nie obronił jej ojca, ale nie dopuści do tego, by stracić i ją. Musiał zawrócić konia i ruszyć do domu, ale jego głos był niesłyszalny, zagłuszony rykiem wojska.

- Teraz! - krzyknęli.

Rogi Varil odpowiedziały.

Kapitan dojrzał grupę zbrojnych otoczonych przez orków i rozpoznał

zbroje i biało-złote sztandary, księcia Erika i tych, 218

kórzy byli jego żołnierzami, zanim pozostawił ich w Varil jako regularne wojsko.

Miasto czapli także próbowało kontratakować, co polegało na przywróceniu łączności, lecz jego żołnierze byli rozproszeni i zanosilo się na ich klęskę. Przerażonym i w rozsypce zagrażały już siekiery orków.

Kapitan zdążył ich wesprzeć. Aż do tej pory nie użył jeszcze miecza ze skomplikowaną rękojeścią, srebrną z reliefami, bo oddziały orków uciekły przed ich szarżą, nie stając nawet do walki. Teraz, kiedy pędzili, by wesprzeć księcia Erika i jego ludzi, Kapitan i jego armia znaleźli się w bezpośrednim starciu. Wyrósł przed nim ork w masce w kształcie lisiego pyska i jego topór spadł na Rankstraila. Kapitan zdołał odeprzeć cios mieczem Karola Jakiegoś Tam, zrobionym ze złota i srebra, z pewnością ani Wojownika, ani Zwycięzcy, bo nikt nie poszedłby na wojnę z takim mieczem, a jeśli nawet, to natychmiast padłby w boju. Kapitan ani nie zdziwił się, ani nie przeklął, gdy jego miecz się złamał, i zdołał powalić orka, trafiając go w ramię i w pierś tym, co zostało z klingi, oraz sztyletem, który trzymał w lewej dłoni, a jednocześnie jego wilk atakował

nogi wroga, zmuszając go do upadku.

Po swojej prawej stronie, na południu, jak tylko drzewa się przeredziły, Kapitan ujrzał białe sztandary z lilią i glicynią w kolorze ognistej czerwieni. Królowa Czarownica na czele kawalerzystów Anrica przybyła odbić swoją córkę. Obecność orzełka stanowiła sygnał, że Erbrow była z Kapitanem, bezpieczna, i to Jutrznia odpierała każdego, kto mógłby zaatakować z flanki.

Kapitan nie chciał widzieć Królowej Czarownicy na polu bitwy, nawet w roli zwycięzcy.

Nie chciał widzieć ani jej, ani żadnej kobiety na świecie, która oczekiwała dziecka albo nie, nawet jeśli jako bohaterka stałaby na czele szarży wyzwolającej ich ziemię. Kobiety mogą nosić 219

dzieci w swym łonie i to sprawia, że nie tylko ich ciało, ale również dusza stają się zbyt święte, by niewiasty przebywały poza osłoną murów obronnych. Uśmiech, który powita istotę przychodzącą na świat, nie powinien być tym samym, który żegnał dobijanego wroga. Kapitan po raz kolejny przeklął swoje czasy, które zmuszały kobiety do rozlewu krwi.

Krwi, którą inne kobiety stworzyły w swym łonie.

Przysiągł sobie, że przepędzi orków z powrotem na ich ziemię, wszystkich co do jednego, żeby nikt, nawet mężczyzna, a zwłaszcza kobieta, nie musiał już się pochyłać, by dobić konającego przeciwnika, mając ten sam zadowolony wyraz twarzy, z którym potem pochyli się nad swoimi dziećmi.

Ujrzał także coś, czego ani trochę nie chciał zobaczyć, rozpoznał bowiem konia w kolorze mgły i jasne włosy Aurory, i znów z całej duszy zapragnął

ujrzeć jej ciało, jej krew i jej jasne włosy tam, gdzie nie orków. Na szczęście Królowa Czarownica umieściła córkę Zarządcy w środkowej części szyku, gdzie ta, przynajmniej częściowo, była osłonięta.

Należało przyznać, że atak był idealnym posunięciem. Nawet gdyby Rankstrail i jego ludzie długo obmyślali plan, nie wypracowaliby tak absolutnego porządku, idealnego jak w dziele stolarza artysty.

Książę Erik przybył, aby po raz kolejny podziękować za uratowanie życia jemu i jego ludziom. Kapitan powiedział mu, by patrolował

południowy skraj, urwisko, które wznosiło się ponad równiną, gdzie zepchnęli orków - po jednym patrolu co tysiąc kroków, wszystkie komunikujące się za pomocą ogni sygnalizacyjnych. Książę przytaknął.

Kapitan zorientował się, że Królowa Czarownica wydała rozkazy ludziom Anrica.

Zwyciężyli.

Oblężenie Daligar się skończyło.

Rozpędzili wrogów.

Oswobodzili Wzgórza Nowego Księżyca.

220

Teraz nie chodziło już o walkę o przeżycie, miesiąc za miesiącem. Teraz mogli zwyciężyć. Ostatecznie. Mogli myśleć o tym, by przepędzić orków z ich ziemi, co do ostatniego, a wtedy jedynym zmartwieniem będą mszyce i główki kapusty zjadane przez krety.

- Wszystko w porządku, maleńka? - spytał Kapitan.

Erbrow przytaknęła.

Nie było już żadnego niebezpieczeństwa.

Kapitan zsiadł z konia i pomógł zejść dziewczynce.

Książę Erik ukląkł przed nim, co wprawiło go niemal w takie samo zakłopotanie, jakie odczuwał,



gdy Aurora zwracała się do niego „mój panie”. Młody arystokrata wojownik jeszcze raz długo dziękował mu za ocalenie, tym razem już definitywne, życia jego i jego ludzi. I za wyzwolenie Wzgórza Nowego Księżyca, powtórzył wzruszony książę.

Kapitan mruknął coś w odpowiedzi.

Potem książę Erik zapewnił go, że jego rodzina w Varil cieszy się dobrym zdrowiem i że ich mały dom został odbudowany, i wreszcie się oddalił.

Kapitan pozostał z Trakrailem i Nirdlym. Obu wydał rozkaz dobitcia rannych orków i ścięcia ich, potem schylił się, by wziąć Erbrow i odejść stamtąd, by jak najszybciej odwieźć ją do Dali-gar. Ale nie zdążył, krzyk Erbrow wypełnił ciepły poranek.

Dziewczynka pobiegła w stronę jednego z rannych orków, z maską w kształcie lisiego pyska, i stanęła między nim a ludźmi Kapitana. Wilk warknął, potem skulił się i uspokoił.

•Nie be, stacy be! - krzyknęła na całe gardło.

•Co ona u licha powiedziała? - spytał Nirdly.

- Nie chce, żebyśmy ich zabili - odparł Trakrail, który był zde cydowanie najinteligentniejszy spośród żołnierzy Rankstraila.

Kapitan zbladł. Nie wydał rozkazu dyskretnie, nie pomyślał o tym.

Dziewczynka to przecież półelf. Teraz było już za późno.

- Wasza Łaskawość - powiedział pojednawczo karzeł - odsuń cie się stąd. Wcale nie zrobię mu krzywdy. Muszę go tylko zabić.

221

Dziewczynka ani drgnęła. Zapadła cisza, ciężka cisza w letni dzień, przerywana przez trzmiele i grające cykady.

- Słuchaj, małeńka - spróbował znowu - odejdz stąd, to nie bezpieczne.

Dziewczynka zbliżyła się do orka. Jeszcze parę kroków i znajdzie się w zasięgu jego ramienia i topora. Rozplakała się i zaproponowała Kapitanowi swoją drewnianą łódeczkę. Jej łódeczka w zamian za orka.

•Nie, poczekaj, to niemożliwe... Zabijemy ich, nie zadając im bólu... Oni też tego oczekują. Tak właśnie się postępuje. Przecież nie możemy ich zostawić, żeby się wykrwawili... to byłoby jeszcze gorsze... Ohydne.

•To także nasze przeznaczenie, wiesz, mała? - dodał Nirdly. -Prędzej czy później wszyscy tak skończymy. Nas też to czeka. Jak chcesz, znajdziemy kogoś porządnego, kto załatwi sprawę jednym

precyzyjnym ciosem...

Dziewczynka przestąpiła jeszcze pół kroku w stronę orka.

- Nie! - krzyknął Rankstrail. - Zatrzymaj się. Nie możemy im pomóc. Nie możemy ciągnąć za sobą rannych orków. Jak mielibyśmy to zrobić? Oddając im nasze konie? To absurd, ro zumiesz? To byłoby głupie. My też tak skończymy. To nasze przeznaczenie. Kiedy to nam przyjdzie zostać schwytanymi żywcem, jedyna nadzieja w tym, że ktoś wykona czystą robotę, precyzyjny cios i...

Dziewczynka jeszcze bardziej zbliżyła się do orka. Jej błękitne oczy lśniły tak samo jak oczy jej ojca na równinie Varil. Przestała płakać. Teraz jej spojrzenie było władcze.

- Zrobię, co chcesz. Przysięgam. Na mój honor. Nie każę ich ścinać. Ani nawet zabić. Przysięgam. Na mój honor. Stój. Cofnij się.

Kapitan pomyślał, że ma szczęście, iż tylko dwóch z jego naj-wierniejszych ludzi było przy tym obecnych.

222

Dziewczynka przyjrzała mu się, jakby chcąc go przejrzeć na wylot.

-Wykapana matka - bąknął Trakrail.

-Jak powiedziałby kapral Lisentrail, gdyby tu był, straceńczą odwagę będzie musiał mieć ten, co się z nią ożeni - dodał Nirdly.

-Na mój honor, maleńka - zakończył rozwścieczony Kapitan.

- Na mój honor, i choć jestem najemnikiem, nikomu nigdy nie przyszło do głowy w niego wątpić.

Erbrow patrzyła na niego swoimi poważnymi elfickimi oczami.

•Mała - odezwał się karzeł - zważ na to, że honor najemników to nie temat do żartów.

•Prawda - potwierdził Trakrail. - Królowie i kawalerzyści mogą sobie składać fałszywe przysięgi, ale opryszki i najemnicy z honoru nie żartują, choćby dlatego, że poza nim nic innego nie mają.

•Już my o tym wiemy. Wiemy jak to jest być opryszkiem i jak to jest być najemnikiem. Teraz roi się od orków i jesteśmy najemnikami, ale wcale nie zawsze....

Kapitan obejrzał się, żeby zgromić ich wzrokiem, by w końcu zechcieli trzymać język za zębami.

Ranny ork zobaczył wreszcie dziewczynkę i spróbował się obrócić w jej stronę.

-Zrobię, co chcesz. Przysięgam na mój honor. Odejdź jednak stamtąd - powiedział Kapitan.

Erbrow stała nieruchomo. Ork zaczął się czołgać w jej stronę.

- Papu - powiedziała wskazując rannego orka.
- Chce, żebyśmy im zapewnili strawę - przetłumaczył Trakrail.
- Nie gadaj głupot - odparł Kapitan. Miał już dosyć. - Nie mogę marnotrawić wody i jedzenia dla jeńców. Nie ma tego wszystkiego nawet dla nas. A więc to byłaby zbrodnia! Masz

223

pojęcie, jak trudno będzie moim ludziom trzymać jeńców? Nie mogę kazać hodować kurczaków, żeby wyżywić orków.

Dziewczynka zrobiła jeszcze pół kroku w stronę orka, który już znajdował się do niej przodem.

- Zrobię, to czego chcesz - syknął Kapitan - na mój honor. Przysięgam, będzie czysta woda i coś do jedzenia.
- Jest jeszcze gorsza niż jej matka - skomentował karzeł.
- To prawda, jej matka przynajmniej musiała się nauczyć mówić, zanim wzięła nas na posterunek. Tej się to udało ze znajomością połowy alfabetu.

Kapitan ryknął do całej swojej bandy, by rozbroić rannych orków i zawieźć ich do Daligar, gdzie będą trzymani jako jeńcy w chatach, które zbudowali, żeby oblegać miasto. Następnie żołnierze Kapitana dostarczą im czystą wodę i coś do jedzenia.

Zdezorientowanie, jakie zapanowało, było znaczne. Żołnierze manifestowali je tak siarczystymi komentarzami, że Rankstrail przypomniał wszystkim, że to on jest Kapitanem lekkiej kawalerii i nie powtarza swoich rozkazów, gdy odkryje, że ktoś wpadł na pomysł ich ignorowania.

Wreszcie Rankstrailowi udało się zbliżyć do dziewczynki i wziąć ją z powrotem na ręce.

-Teraz już przysięgłem. Co za głupota, ale przysięgłem - za pewnił ją Kapitan, siny ze złości i strachu.

Dziewczynka skinęła głową i wciąż nie przestając mu się przyglądać, wręczyła Rankstrailowi łódeczkę z kolorowego drewna.

Kapitan spojrzał na nią poirytowany. Wtedy Erbrow wsunęła rączkę do kieszeni fartuszka, wyciągnęła z niej lalczkę, pogłaskała ją, wzdychając, a potem wręczyła mu także ją.

-Dziękuję, nie trzeba - odparł Kapitan, próbując nie przyjąć zabawek. Był zresztą zadowolony, że nikt oprócz jego najwier niejszych ludzi nie widział całego zdarzenia. - Bez obrazy, ale nie wiem, co z nimi zrobić.

Erbrow uparcie wcisnęła mu je z powrotem do ręki.

224

- Ty tata - powiedziała stanowczo. - Doby tata.
- Sądzę, że chce powiedzieć, że mogą się nimi bawić wasze dzieci, te, które uważają was za ojca. Dobrego ojca - przetłumaczył Trakrail.
- Nie jestem ojcem. Nie mam dzieci, nie ma nikogo, kto by się nimi bawił. Nie potrzebuję ich. Ty je zatrzymaj.
- Ty tata potem - nalegała dziewczynka.
- To na porę, gdy zostaniecie ojcem.
- Nie mam zamiaru nigdy mieć dzieci, żadnych dzieci - wybuchnął

Kapitan, jedną ręką odpychając zabawki, podczas gdy drugą dawał znać Trakrailowi, żeby dał sobie spokój z dalszym tłumaczeniem.

Dziewczynka spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem. Po raz pierwszy Kapitan widział ją, jak się śmiała.

- Ty tata potem - powtórzyła wesoło Erbrow, znów wkładając mu zabawki z powrotem w dłoń.

Poirytowany Kapitan, najszybciej jak tylko było to możliwe, wrzucił je do swojej torby. Wolał, by rozmowa się nie przeciągała. Odkąd nauczył

ich pisać, jego żołnierze nabrali wprawdzie pewnej ogłady, ale mimo wszystko wojsko to nie zaakceptowałoby przyjmowania rozkazów od dowódcy z drewnianą lalką i łódeczką.

- Ej, Wasza Łaskawość - spytał Nirdly, wskazując orka na zie mi. - Możemy go rozbroić? Bo ta siekiera bynajmniej nie służy do rąbania drewna.

Dziewczynka namyślała się przez chwilę, może po to, by mieć pewność, że zrozumiała sens pytania, a potem przytaknęła.

Trakrail, uśmiechając się promiennie, przytrzymał miecz na gardle orka, dając Nirdly'emu możliwość bezpiecznego robrojenia go.

- Jest ranny w klatkę piersiową, ale oddycha. Ramię samo się zagoi. Nie minie miesiąc, a ten tu znów będzie na nogach -

stwierdził Kapitan półgłosem.

225

Ork odwrócił się do niego. Zza wojennej maski jego spojrzenie spotkało spojrzenie Rankstraila, który wytrzymał je. Kapitan pomyślał, że choć od lat walczy z orkami, pierwszy raz patrzy jednemu z nich w oczy.

Wreszcie udało mu się ruszyć w stronę Daligar. Pośród spontanicznych okrzyków radości pluton Królowej Czarownicy wyjechał mu naprzeciw i wtedy Kapitan uwolnił się od dziewczynki, która trafiła w ramiona swojej matki.

Anrico przybył mu się pokłonić.

•Mój panie - powiedział wzruszony - wy, dowódca armii ludzi, odepchnęliście orków, wy... Ja zawsze uważałem będę za zaszczyt móc wam służyć, zawsze dumny będę z tego, że nadal jestem na wasze rozkazy...

•Dziewczynka... - odparł Rankstrail zakłopotany, próbując wyjaśnić, co zaszło.

•To prawda! - przerwał mu Anrico, coraz bardziej wzruszony i niemal roześmiany. - Poprowadziliście szarżę, choć jednocześnie musieliście chronić dziewczynkę...

Kapitan zrezygnował z tłumaczeń. Aurora i łucznicy także pokłonili mu się, a on odpowiedział niewyraźnym i zakłopotanym półuśmiechem. I w końcu wrócili galopem do Daligar.

Przynajmniej uwolnił się od małej.

Rankstrail i jego ludzie powlekli się przed siebie, odprowadzani wzrokiem przez wilka, który z trudem łapał oddech.

Kleszcz Wspaniały zatrzymał się, by poskubać trawę. Potem patrzył na motyle i gzy w letnim słońcu. Za chwilę znów zajadał w najlepsze.

Mimo że obowiązek wykonywania rozkazów był w armii Rankstraila bezwzględny, nigdy nie została zakazana możliwość ich komentowania.

Podczas całej długiej drogi do Daligar Kapitan miał mnóstwo okazji, by się rumienić ze wstydu. A jego ludzie nie szczędzili mu wyszukanych żartów, wyrażanych w ich rubasnej mowie, na temat ich nowej funkcji jako mamek rannych

226

orków, i dopytywali się, dowcipkując uprzejmie, czy Kapitan przewiduje dla nich inne obowiązki, jak choćby pielęgnowanie kwiatów, rozwieszanie prania czy przynoszenie zabawek grzecznym dzieciom.

Fakt, iż on sam całkowicie się zgadzał ze swymi ludźmi, sprawiał, że wszystko ciążyło mu jeszcze bardziej.

# D

otarłszy do Daligar, Kapitan spytał o Lisentraila i głos uwiązał mu w gardle, ponieważ twarze najemników nie pozostawiały cienia wątpliwości.

Kapral i pozostali ranni żołnierze byli w mieście.

Ci, których można było przenieść, znajdowali się już w lazaretach.

Najciężej rannych położono w pobliżu studni, zaraz za mostem zwodzonym.

Byli tam Daverkail i Workail, dwie prawdziwe góry, więksi od samego Kapitana, ci, których zawsze miał z obu stron podczas odwrotu, kiedy przełamywali oblężenie. Był też Rouil, bardzo prosty człowiek, ten, któremu wszystko należało tłumaczyć przynajmniej dwa razy. Biedak nigdy nie zdołał się nauczyć nic więcej oprócz litery A, i to ją wycinał w korze i na kamieniach.

Był Zeelail, najmłodszy, ten przystojny, z zawiązaną wokół ramienia opaską z błękitnego materiału z wyhaftowanymi różyczkami, a także Rossolo pochodzący z Wysokiej Strażnicy; jego rodzina zginęła, wymordowana przez Czarnych Grabieżców, i zostało mu po niej kilka pól i piękne stado owiec. Został najemnikiem nie dlatego, że musiał, ale by walczyć pod Kapitanem.

Śmiertelne rany odniósł także Arkry, mąż z rodu karłów, tak stary, że żył

już w czasach, gdy jego lud nie został jeszcze podbity i zniewolony.

228

Leżał i Roxtoil, bardzo wysoki blondyn z Bagien Północy. Czarna przepaska, która zawsze zakrywała mu brakujące oko, zastąpiona została białym materiałem z fartucha jednej z dziewczyn, która pomagała Aurorze w opiece nad rannymi.

Przykrywały ich płaszcze przesiąknięte krwią.

Daverkail, Workail, Roxtoil, Rossolo, Arkry i Zeelail nie żyli już, kiedy się nad nimi pochylił. Rouil zdążył go jeszcze pozdrowić.

Lisentrail nadal żył. Jego klatka piersiowa wciąż się unosiła i opadała, gdy oddychał z wielkim trudem, coraz to słabiej.

Kapral zdołał otworzyć oczy i spojrzeć na Kapitana.

•Ej, Kapitanie, nie mów Czarownicy o tym, że to ja zabiłem smoka, bo jeszcze da moje kości psom na pożarcie. Kapitanie, nie pozwól jej rzucić moich kości psom - szepnęła.

•Nie - odparł Kapitan. - Nie.

Odwrócił się zrozpaczony. Trakrail był tuż przy nim, wyciągał wiadro wody ze studni. Może da się coś jeszcze coś zrobić.

- Idźcie poszukać damy Aurory! - krzyknął Rankstrail.

Ktoś musiał pójść po nią już wcześniej, bo córka Zarządcy przybiegła szybko. Od drugiej strony placu nadbiegała Parzia, trzymając Erbrow za rękę, by powitać powracających zwycięzców, lecz uśmiech zamarł na jej twarzy, gdy zobaczyła ciała leżące przy studni, i zatrzymała się. Aurora przebiegła przez plac i pochyliła się nad Lisentrailem.

- Ratuj go - powiedział jej Rankstrail. - Zrób wszystko, co w twojej mocy. Proszę cię. Proszę was, pani.

Aurora odchyliła płaszcz, który przykrywał kaprala. Na klatce piersiowej była wielka rana, którą ktoś już spróbował zatamować opatrunkiem.

Zarówno dziewczyna, jak i Trakrail włożyli dłonie tam, gdzie leciała krew.

Przez moment popatrzyli na siebie. Erbrow wyszarpnęła się z rąk Parzii i podbiegła do nich.

Parzia pospieszyła, by zabrać ją z powrotem.

- Nie tutaj, maleńka, to nie jest miejsce dla ciebie - powiedziała ła do niej, próbując ją zabrać, ale Aurora ją powstrzymała.

229

•Biegnijcie, najszybciej jak tylko możecie, do lazaretu - rozkazała. -

Przynieście mi czyste bandaże, perfumy, igłę, nic, liście arniki, wyciąg z jeżówki, kwiaty oczaru i rumianku. Biegnijcie. Zostawcie tutaj dziewczynkę, ja się nią zajmę. Zrobicie to szybciej bez niej. Biegnijcie!

•Pani, dziewczynka tutaj? - zaprotestowała kobieta.

- Biegnijcie! - powtórzyła Aurora.

Parzia posłuchała.

•Mam trochę liści arniki, by położyć na ranę - powiedział Trakrail, wyjmując je ze swojej torby i wkładając do ust.

•Przykładacie przezute rośliny do rany? - spytała Aurora zaskoczona.

•Lepiej działają - odparł Trakrail zdziwiony.

•Wybaczcie - wtrącił się Kapitan - ale choć to nie pierwsi zmarli, jakich to dziecko widzi, czy nie

powinno się jednak go zabrać stąd?

- Teraz nie ma czasu - ucięła Aurora.
- Ja mogę to zrobić - zaproponował Kapitan.
- Nie, nie możecie, musimy zdjąć ten brudny bandaż i obmyć ranę.

Opluczcie dłonie w wiadrze, a potem przyłóżcie je tu, gdzie jest piana.

On razem z krwią traci też powietrze z oddechu. To dlatego rany klatki piersiowej są śmiertelne. Musicie trzymać przyciśnięte ręce, bo to konieczne, by nie tracił ani krwi, ani oddechu, rozumiecie? Wasz kapral teraz znów oddycha, może uda się nam go uratować.

- Moja pani, a dziewczynka?! - sprzeciwił się Kapitan.
- Mała nie czuje się aż tak źle, poczeka, dopóki nie skończymy.
- Ależ oczywiście, że cierpi, spójrzcie!
- Zabierzemy ją stąd, jak tylko będziemy mogli! - znów ucięła kwestię. -

Teraz trzymajcie.

Erbrow przycupnęła obok Aurory, między ramieniem a korpusem młodej kobiety, która dzięki temu - choć pracując obiema 230

rękami - była w stanie ją obejmować. Dziewczynka ujęła w dłonie jedną z okaleczonych i brudnych rąk Kaprała i kuciała tak sobie, coraz bledsza, z oczami coraz bardziej rozszerzonymi i podkrążonymi.

Między Kapitana a niebo wcisnął się jakiś cień. Rankstrail podniósł oczy.

Mała kobietka w wielkiej spódnicy z zielonego aksamitu, zapłakana i pełna bólu i przerażenia, wpatrywała się w konającego Lisentraila z dłońmi na ustach, by zdusić krzyk albo jęk. Uklękła, a raczej opadła bezwładnie na kolana, i wybuchła rozpaczliwym szlochem tuż przy głowie Kapitana. Wcisnęła się w ostatnie wolne miejsce w kręgu ratowników otaczających ranego. Poglaskała delikatnie twarz Lisentraila, potem ujęła jego zdrową dłoń i poglaskała miejsca, gdzie zamiast palców pozostały blizny po obcęgach kata. Przez cały czas to kapral był obiektem uczuć tej kobiety! Spoglądała na niego z daleka, a on, który pragnąłby jej miłości bardziej niż czegokolwiek na świecie, nawet nie ośmielił się o tym po-myśleć.

Pojawił się czyjś cień. To wróciła Parzia. Na polecenie Aurory, po tym jak wyciągnęła z czegoś na kształt kufla igły zakrzywione tak jak te, których używają szewcy, z nawleczonymi grubymi, szorstkimi niciami, umoczyła je w perfumach.

- Czy to ścięgna wołu? - spytał Trakrail, wskazując nici. - A czemu moczyć je w perfumach?



•Len i jelito owcy. Są bardziej miękkie i można na nich wiązać lepsze supły. Zszyję rannego jelitem owcy wewnątrz, a lnem na zewnątrz.

Każę je zanurzyć w perfumach, bo kiedy nici są tak przygotowane, rany będą się mniej jątrzyć i być może nie pojawi się gorączka.

•Wybaczcie, pani, ale to strata czasu - odparł Trakrail. - I szycie na dwa razy to też strata czasu. Większą igłą zrobicie wszystko jak należy. Jeśli chcecie, ja to uczynię - zaproponował.

231

•Zszycie mięśnia z mięśniem i skóry ze skórą za pomocą czystej igły to wcale nie strata czasu, bo chory łatwiej wraca do zdrowia - odparła Aurora urażonym głosem. - I nie życzę sobie, byście wy to robili.

Potrzymajcie mi tylko nić. Dziękuję.

•Pani, pospieszcie się albo będzie za późno. On prawie nie oddycha.

23

# E

erbrow trzymała dłoń kaprala. To było straszne. Te blizny! Te wszystkie wspomnienia, które krążyły w duszy kaprala, kotłowały się niczym rój os.

Dzień, kiedy or-kowie zabili mu braciszka. Jego matka, którą wszyscy wyśmiewali, bo nie miała męża. On jako najemnik. Wszystkie te chwile, kiedy odczuwał głód, gdy kradł, by go nie odczuwać, by jego towarzysze coś jedli. Niczym uderzenia dzwonu pogrzebowego rytmicznie powracały wspomnienia chwil, gdy oddawano go w ręce kata. Potem na to wszystko nałożył się jeszcze szczególnie ból, straszny, kiedy brak oddechu, taki jak u pisklęcia mewy, które wpadło do wody, czy rozgwiezdy wyrzuconej na brzeg przez falę. Był tak silny, że aż zagłuszał ból nóg, w które jakiś ork uderzył ogromną maczugą.

Erbrow zamknęła oczy, by nie widzieć krwi.

Świat stał się zielony, wypełniły go przeplatające się ze sobą złocone arabeski z sierści i łusek.

Erbrow znów ujrzała uśmiech swojego taty.

Musieli pozwolić kapralowi odejść. Kiedy przejdzie na tamten świat, jego straszne wspomnienia zostaną ukojone. Jej tata i smok już o to zadbają. Nie wiedziała, jak to powiedzieć Aurorze i Trakraiowi.

Zrozumieją to sami. Może już o tym wiedzą. Oddech kaprala stawał się coraz słabszy.

233

Mała kobieta z grubym rudym warkoczem i w ciemnozielonej spódnicy, klęcząca między Erbrow a Trakrailem, zaczęła szlochać. Nie chciała pozwolić mu odejść, ale oddech już prawie zgasł, jakby cały uciekał z rany, a ból podobny do cierpień rozgwiezdy morskiej wyrzuconej na plażę stawał się coraz bardziej nieznośny.

Ale łzy kobiety z czerwonymi włosami też trudno było wytrzymać.

Już tyle łez wylano w tym miejscu.

Jej tata się uśmiechnął. Smok uniósł się w locie.

Dłonie Erbrow oderwały się od siebie. Jedna z nich zanurzyła się kieszeni fartuszka. Była tam jeszcze mała piłka ze szmatek, którą podarował jej Pestek, kiedy erynie zakryły sobą świat, pozbawiając go całego światła. Erbrow poczuła pod palcami szorstkie byle jak połączone kawałki materiału. Znów nabrała odwagi.

Jej siła urosła i była większa niż ból kaprala. W głowie Erbrow pojawiła się niespodziewanie wizja: dzieci, które biegały pośród kurczaków i gęsi w jakimś dziwnym miejscu pełnym kałuż, ze spalonym drzewem wiśni, które kwitło całym mnóstwem białych kwiatów. Mała dłoń Erbrow

ścisnęła szmacianą piłkę i nagle jakby całe światło z plaży i wioski, które nosiły jej imię, przybyło jej na ratunek. Musiała szybko zamknąć ranę, z której uciekał oddech. Aurora właśnie ją zaszywała i nie było już rozdarcia, tylko długi rząd małych szczelin. Erbrow miała obok siebie Aurorę i Trakraila, oni także starali się zamknąć ów rząd małych szczelin. Może im się uda.

## L

Lisentrail wypluł zakrzepłą krew i pianę. Kobieta w zielonej spódnicy przestała płakać. ' - Żyje? - spytała ostrożnie. - Przeżyje? Pani ty moja, żyje?

Aurora nie odpowiedziała, bardzo blada, zlana potem i zbyt pochłonięta zszywaniem rany.

•Ej, najemniku, żywy on czy martwy? - spytała znów kobieta.

•Żywy to on za bardzo nie jest - odparł spokojnie Trakrail. -Ale martwy też jeszcze nie.

Aurora ciągle szyła, warstwa po warstwie.

-Jeśli włożymy do rany trochę wilczej jagody, nie dostanie gorączki.

Mam parę kwiatów, zaraz je przeżuję - powiedział Trakrail.

- Skoro nici są czyste, mało prawdopodobne, że dostanie go rączki - odparła Aurora. - Wolałabym wkropić tam kilka kropel mocnego wyciągu z jeżówki przy ostatnim szwie i nie życzę so bie, by cokolwiek było przeżuwane.

Lisentrail znów odkaslnął. Jego oddech stał się mocniejszy i bardziej regularny.

Jak tylko skończyła szyć, Aurora ściągnęła płachtę, która przykrywała nogi Lisentraila. Jęknęła cicho.

- Co jest, pani moja złociutka? Umiera? - spytała kobieta.

235

•Nogi są strzaskane - odparł Trakrail, który był już potwornie zmęczony.

•Ma zbyt poważne złamania - wyjaśniła Aurora, coraz bledsza, niemal szepcząc.

•I to znaczy, że umiera?

•Może nie, ale nawet jeśli przeżyje, nie będzie mógł chodzić. Ani jeździć konno.

•Ale przeżyje?

•Prawdopodobnie przeżyje, lecz nogi są nie do uratowania.

•Pani moja złociutka, nieważne, nawet jak więcej nie będzie chodził, ty mi go ratuj. Nieważne, nawet taki mężczyzna to mężczyzna, mimo że tylko siedzi. Złociutka, nieważne, ty go ratuj. On nie pochodzi, trudno, będą chodzić nasze dzieci. Mężczyźni nie mogą dogodzić nawet jak nie chodzi. Jak ty mi go uratujesz, ja sobie go wezmę za męża i będą chodzić nasze dzieci. Złociutka, nie pozwól, żeby on mi

tu umarł. Już ja potem zadbam, żeby go zadowolić. Nieważne, że nie będzie już jeździł na koniu. Może to i lepiej, nie będzie już mógł być żołnierzem i ja sobie go zatrzymam.

Kapral Lisentrail znów kaszlnął i otworzył oczy, które przez parę chwil błędziły nieprzytomnie wokoło.

- Kapitanie - odezwała się Aurora - obawiam się, że nie do ceniam efektu, jaki może wyrzeć na małej księżniczce całe to przedstawienie, wygląda na bardzo zmęczoną i drży. Potrzebuję pomocy Parzii przy bandażowaniu złamań. Proszę was, odpro wadźcie ją do jej matki.

Rankstrail przytaknął. Pochylił się nad Aurorą, wziął Erbrow, którą ogarnęło takie zmęczenie, że niemal nie była w stanie utrzymać głowy prosto, i podniósł się.

- Już cię stąd zabieram, malutka - szepnął do niej.

Erbrow nie zdołała odpowiedzieć, ale pokręciła głową i rozpostarła dłonie.

Kapitan zrozumiał, że chce, by się zatrzymał. Wska-236

zała pozostałe ciała ułożone dokoła studni. Teraz, gdy jego niepokój o kaprała zmniejszył się, Rankstrail usłyszał płacz kobiet.

Spojrzenie małej księżniczki było przenikliwe i poważne. Nie płakała, patrzyła tylko na zabitych. Powtórnie dała Kapitanowi znak, by zaczekał.

Zrozumiał - przecież wszyscy ci ludzie na jego rozkaz zginęli, by ją ratować.

Teraz należało uczcić pamięć poległych; to był ich obowiązek ich obojga, zostać i nie ukrywać się przed spojrzeniami ani umarłych, ani żywych.

Arkry, mąż z rodu karłów, Rossolo, Zeelail, Rouil, Roxto-il, Daverkail i Workail już nigdy nie staną na nogi. Tuż przy Zeelailu klęczała dziewczyna w błękitnej spódnicy w różyczki, poplamionej krwią i błotem.

Położyła głowę na jego piersi i płakała łzami, których tamten miał nie usłyszeć. Przy Rouilu była żebraczka, w skromnej spódnicy w wyblakłym czarnym kolorze, która wydawała z siebie ledwie dosłyszalne kwilenie.

Obok Ros-sola szlochała młoda kobieta. Musiała być wdową, bo miała ze sobą dziewczynkę może kilkuletnią, a u boku Roxtoila znajdowała się jego młoda uzdrowicielka, w fartuchu całym we krwi, przywodzącym na myśl dawne barwy Daligar. Kobieta ściągnęła go i przykryła nim ciało. W

pobliżu Arkry'ego stała Rosa z niewzruszonym obliczem. Nie wydała z siebie żadnego jęku, nie uroniła ani jednej łzy. Kapitan pomyślał, że ledwo nadarzyła się okazja, by ta kobieta wreszcie przestała być samotna -

wszystko przypadło. Znów za jedyną towarzyszkę, która będzie mogła ją pocieszyć, pozostanie tylko wilczyca w klatce. Rankstrail pochował już wielu swoich ludzi, ale oni byli najemnikami i żadnego z nich nigdy nie pożegnał płacz kobiety. Ze wszystkich absurdalnych i okrutnych praw Zarządcy to, które zabraniało najemnikom zawierania małżeństw, było bodaj jedynym sensownym, choć też okropnym. Bolesne zawrodozenie zdawało się bowiem nie do zniesienia.

237

Wokół zmarłych zebrał się mały tłum. Rodziny z miasta zabierały zwłoki, by przenieść je na cmentarz. Kapitan wiedział, że każda rodzina miała coś w rodzaju maleńkiego kwadratowego poletka, gdzie składała swoich zmarłych, pod małymi kwitnącymi krzaczkami. Najemnicy mieli spocząć w części przeznaczony dla bliskich tych kobiet, które nie zdążyły stać się ich żonami, przyjęci i pochowani przez te rodziny, do których nie dane im było dołączyć.

Rankstrail po raz drugi od śmierci swojej matki poczuł ochotę, by się rozplakać albo może raczej zwymiotować - nie bardzo mógł się w tym rozeznaczyć. Oczy jego ludzi, zawieszony w pustce, zachodziły mgłą. Kapitan pomyślał o tych wszystkich rzeczach, które powinien był swym żołnierzom przekazać, a nigdy ich nie powiedział, bo *zawsze* odkładał to na następny dzień, niejako *przyjmując*, że ów dzień nadejdzie. Jeden za drugim, Rossolo, Zeelail, Rouil i Ro-xotoil zostali zabrani i odprowadzeni wśród płaczu zebranych.

Na ziemi, leżący we własnej krwi, wciąż leżeli Arkry, mąż z rodu karłów, Daverkail i Workail.

- Tych nie chce nikt, Kapitanie - powiedziała Rosa rzeczko wo. - Tych nie chce naprawdę nikt. Dla tych, co nie mają rodzi ny w Daligar, jest jeden wspólny dół. Jak mi przyślesz kilku ludzi do pomocy, to ich tam zaniesiemy.

Kapitan zawahał się, a potem powiedział:

- Sprawimy im godny pochówek. Nigdy im nawet nie podziękowałem.

Rozpaczliwie zapragnął cofnąć czas i zwrócić się do nich. Przez całe swoje życie, gdziekolwiek walczył ramie w ramie ze swymi żołnierzami, zawsze śmiało parł naprzód, ponieważ wiedział, że oni osłaniali go z tyłu.

A teraz wszystko to się już skończyło. Pozostały po nich jedynie imiona wyryte na jakimś kamieniu.

- Juz nie be, tata smok - szepnęła Erbrow, ale bez Trakraila, który by przetłumaczył, Kapitan nie zrozumiał jej słów.

238

Rankstrail poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Oddalił się. Jeśli bogowie w ogóle istnieją, miał nadzieję, że - dla ich własnego dobra - nigdy żadnego z nich nie spotkać, bo choć miałby spędzić całą wieczność w piekle, powiedziałaby im, co o nich myśli. Potem przypomniał sobie o Lisentrailu, który jednak oddychał, i nie ośmielił się już więcej bluźnić.

Dziewczynka drżała w jego ramionach.

- To ty, prawda? - spytał ją cicho Kapitan, idąc pośród pozdrawiających go przechodniów, którzy rozstępowali się przed nim. - Ty i tamtych dwoje, prawda? Dwie czarownice i syn czarownicy, to z tej przyczyny Lisentrail żyje? I dlatego jesteście tacy zmęczeni, prawda? Tamci dwoje też opadli z sił. Lisentrail był już jedną nogą w grobie, nie chodzi tylko o to, że pozszywali go specjalnie i napchali mu do środka liści? To jakiś urok.

Uzdrowiacie ludzi, dotykając ich, a potem jesteście zmęczeni. To dlatego Aurora i Trakrail są w tym tacy dobrzy: nie tylko wiedzą, co mają robić, tak jak zwykły znachor, ale w dodatku są zaczarowani. Musiałaś go dotknąć, tak? Aurora nie chciała, żebym cię zabrał, nawet kosztem... kosztem twojego wielkiego zmęczenia. Dziękuję, maleńka. To dobry człowiek, Lisentrail, to on odebrał cię orkom. Dobry człowiek, porządny. Trakrail prawie nie może utrzymać się na nogach po tym jak wyleczył ranę, a on jest przecież dorosły. Dla ciebie to musi być jeszcze cięższe. Ty jesteś maleńka.

Maleńka, odważna i wspaniała. Tamtych dwoje gadało o jakichś war-stwach, żeby wszystkich zmylić i odwrócić uwagę. Może i mówili serio, najważniejsze jednak, że nikt nie zwrócił uwagi na ciebie. Nikt się nie zorientował, że potrafisz robić... cóż, to, co potrafisz robić. Nie mów o tym nikomu, że tak jest. Trzymaj to w sekrecie, bo gdy kiedyś nie uda ci się kogoś uratować, powiedzą, że to twoja wina, i cię znienawidzą.

Erbrow pozostała nieruchoma i cicha, zwinięta w kłębek i wsparta o Kapitana, który otoczył ją ramieniem tak, jakby miał ją osłonić od zimna.

Potem przytulił ją i pocałował we włosy.

239

Erbrow przestała drzeć.

•Mama - powiedziała wciąż jeszcze cieniutkim, ale już wyraźnym głosem.

•Oczywiście - zapewnił ją Kapitan. - Teraz zabiorę cię do twojej mamy.

Królowa była na zewnętrznym dziedzińcu, kucąca na najniższym stopniu schodów, trzymając głowę między rękami. Chłopiec, który chodził bardzo powoli i mówił bardzo dużo, Jastrin, leżał na ziemi, nieopodal władczyni, na środku wielkiego sukna wyszywanego złotymi haftami, które wyścielało Małą Salę Nowego Tronu.

Na Kapitanie sprawił wrażenie upadłego motyla.

Królowa podniosła głowę i spojrzała na Rankstraila z wielkim smutkiem, bardziej rozpaczliwym niż gdyby płakała. Popatrzyła na dziewczynkę.

- Nie - powiedziała - nie tutaj. Nie chcę, żeby to zobaczyła.

Kazałam ją oddalić. Zabierzcie stąd Erbrow.

Po raz pierwszy Rankstraila ogarnęła czułość na jej widok. Szacunek, jakim ją darzył, był tak ogromny, że nie opuścił go nawet wtedy, gdy z całego serca Kapitan pałał do niej nienawiścią. Uznawał jej autorytet.

Gotów był umrzeć, wykonując jej rozkazy i chroniąc ją. Ale do tej pory nigdy w stosunku do niej nie odniósł się z czułością.

- Moja pani! - sprzeciwił się łagodnie, podając dziewczynkę.

Erbrow rzuciła się ku mamie i opasała jej szyję rękami. - Wy baczcie mi. Wasza córka chce być z wami. Pragnie wraz z wami przeżyć tę chwilę. Nie zabraniajcie jej tego.

Królowa przyglądała się Kapitanowi przez moment, potem przytuliła swoją córkę z całych sił.

Po chwili wybuchnęła płaczem.

Erbrow, obejmując mocno jej szyję, zapłakała wraz z nią.

-Jastrin uderzył w dzwon i orkowie mu tego nie darowali. Zdołał dotrzeć do dzwonu, ale potem nie udało mu się uciec.

240

Jego nogi nie były... szybkie, tak jak innych. Miałam na niego uważać, jakby był jednym z moich dzieci! - powiedziała. Głos jej drżał.

•Zrobiliście to, moja pani - odparł Rankstrail. - Karmiliście go, walczyliście o jego życie, pocieszaliście go w rozpacz i nauczyliście go odwagi. To właśnie robi się z dziećmi.

•Powinnam go była ustrzec przed śmiercią.

•Nie, moja pani. Nie możecie uchronić nikogo przed wyborami, jakich dokonuje. Nikogo. Nawet waszych dzieci. Gdyby on nie zaczął bić w dzwon na czas, stracilibyśmy waszą córkę, a prawdopodobnie i was.

Pogrzebalibyśmy szansę na przerwanie oblężenia. Przegralibyśmy miasto. Kiedy zniszczyliby was, zgładziwszy waszą córkę, reszta byłaby tylko kwestią czasu. Jastrin dokonał wyboru. Takie było jego prawo. Teraz, moja pani, zarządzcie to, co zarządzilibyście, gdyby zabite przez or-ków zostało dziecko, które wy urodziliście. Rozkażcie otworzyć Kryptę Królów i każcie pochować tam Jastrina ze wszystkimi honorami, należnymi księciu, w którego żyłach płynie królewska krew, synowi jednego z władców Daligar.

Królowa długo wpatrywała się w Kapitana, a potem przytaknęła.

- Oczywiście, tak uczynię - powiedziała łagodnie. - Będzie on ucieleśnieniem wszystkich sierot. Każdy, kto nie wie, przez kogo został wydany na świat, marzy o tym, by jego ród był rodem królów. Każdy porzucony nosi w sobie marzenie albo też po dejrzenie, że jest księciem lub dzieckiem



jednego z bogów, który opuścił swój świat i zstąpił do naszego.

Rankstrail wciąż stał nieruchomo naprzeciw niej i nic nie wskazywało, by miał odejść.

- Jest coś, o czym chcecie ze mną mówić? - spytała Królowa.

- Tak, moja pani. Arkry, Rossolo, Zeelail, Rouil, Roxotoil, Daverkail i Workail zostali zabici, biorąc udział w akcji, która umożliwia uwolnienie waszej córki. Trzej z nich oczekują na 241

przeniesienie do wspólnego dołu, bo żadna z rodzin w Daligar nie poczuwa się, by gościć ich na swoim miejscu pogrzebowym. Może ich pamiętacie: Arkry należał do rodu karłów, tych, których zważy karłowatymi.

Był najstarszym z nich, jedynym żyjącym przedstawicielem swego ludu, który pamiętał czasy, gdy ród karłów traktowano z godnością i szacunkiem, a zatem możemy uznać go za ich króla. Dwaj pozostali, Daverkail i Workail, byli ogromni, okropnie szpetni od blizn, mieli wyjątkowo groźne twarze. Obydwóm brakowało palców i zębów, gdyż powyrywał je im kat. W wojsku najemników są kary za kradzieże.

Pochodzili z terenów graniczących z Ziemią Nieznaną i nie wiedzieli, jakie jest imię mężczyzny, który ich spłodził, a dzieci bez ojca, jak wasz małżonek sam mi wyjaśnił jeszcze na równinie Varil, są dziećmi samej natury albo bogów.

•Nie znając ich ojców, nie możemy wykluczyć, że należeli do królewskiego rodu - stwierdziła władczyni z lekkim uśmiechem, powoli malującym się na jej twarzy, której wciąż jednak nie opuścił smutek. -

Albo i boskiego.

•W rzeczy samej, nie możemy - podjął znów Rankstrail. -Przyszedłem prosić was o zgodę na pochowanie najemników Arkry'ego, Daverkaila i Workaila z lekkiej piechoty, obecnie stanowiącej kawalerię, w Krypcie Królów. - Rankstrail zamilkł.

Królowa potrzebowała chwili, by odpowiedzieć.

- To będzie prawdziwy zaszczyt dla tego miasta - stwierdziła z powagą. - Poszukajcie Marszałka Dworu i powiedzcie mu, by zajął się ceremonią pogrzebową. Odbędzie się jutro rano, po chowaniu wszystkich naraz i z należnymi honorami. Wcześniej potnijcie sukno, chcę, by każdy poległy otrzymał kawałek jako śmiertelny całun.

Rankstrail potrząsnął głową.

•Nie mam miecza, moja pani - odparł, rozkładając ręce.

•Ten też się złamał?

•Owszem, moja pani.

Władczyni nie powiedziała ani słowa. Wstała i nadal trzymając dziewczynkę na ręku, wyciągnęła swój miecz, długi i mocny, z bluszczem na rękojeści, i odcięła z sukna, które Rankstrail przytrzymał naciągnięte, mały kawałek dla Jastrina. Resztę wręczyła Kapitanowi.

- Tata - powiedziała Erbrow, na powrót wesoła.

Jej matka nachyliła się nad nią i długo się jej przyglądała.

Tymczasem zebrał się wokół nich mały tłum - mieszkańcy Daligar przybyli, aby opłakiwać Jastrina, chłopca, który wszczął alarm i dlatego zginął. Wielu żegnało ze łzami swoich zabitych. Inni płakali po śmierci najemników.

Królowa wpatrywała się jeszcze długo w swoją córkę, która po raz kolejny powtórzyła dwie sylaby, potem wyprostowała się i zwróciła do Kapitana oraz do tłumu.

- Bracia - powiedziała donośnym głosem - i siostry, ludu Da ligar. Dziś opłakujemy naszych zabitych. Opłakujemy tych, którzy tu nie ma i nigdy już nie będzie. Opłakujemy dziś nasz smutek z powodu tego, że będziemy musieli żyć bez nich, ale nie smucimy się ich śmiercią, bo oni są teraz po drugiej stronie wiatru, gdzie nie istnieje cierpienie, nawet to towarzyszące tęsknocie. Ci, którzy nas opuścili, nie pozostają sami w królestwie śmierci, bo przyjęli ich tam i pocieszyli wszyscy nasi przodkowie, i w chwili, gdy nam przyjdzie przejść na drugą stronę wiatru, ujrzemy ich oczekujących nas na bezkresnych łąkach, pod ogromnym niebem, gdzie gwiazdy lśnią nawet w słońcu.

Nie popadajmy w rozpacz, kiedy ich wspominamy. Będziemy ich czcić i każdego roku, w rocznicę ich śmierci, przyniesiemy światła w miejsca, które były świadkiem ich cierpienia, i zapłaćmy, wszyscy razem, nad ich nieobecnością, bo utrata pamięci o innych jest najgorszą ze wszystkich hańb. Ludu Daligar, jestem tylko kruchą kobietą, ale mam serce króla. Walczyłam z wami i dla was. Ludu Daligar, jestem tylko królem, ale mam serce matki i ktokolwiek kiedykolwiek ośmieli się podnieść rękę na moje

dzieci lub na mój lud, napotka mój miecz i moją furję. Za każdym razem, gdy mój lud i moje dzieci pogrążą się w płaczu, moje serce zapłacze wraz z nimi. Zawsze będę walczyć za moje dzieci i za Daligar, gdy będzie to konieczne, i nie ulękę się niczego, by oddech moich dzieci i mojego ludu nie zgasł.

Kapitan słuchał w milczeniu: Królowa Czarownica była wielkim przywódcą, to należało przyznać. Urodzonym przywódcą. Ale właściwie nie do końca: stawała się dowódcą stopniowo, dzień po dniu. Ucząc się odwagi, litości, sprawiedliwości, okrucieństwa, barbarzyństwa, intuicji i wyciągając naukę z popełnionych błędów, pojmowała jak przewodzić ludowi, kochać go, bronić w niebezpieczeństwie, dodawać mu odwagi w rozpacz i pocieszać go w bólu z powodu śmierci. Wielki król. Jeden z tych, o których pokolenia zachowują pamięć, by kiedyś móc zdobyć się na odwagę, kiedy powrócą mroczne czasy.

Ktoś przestał zawodzić, ktoś inny zaczął. Królowa skłoniła się nisko przed swoim płaczącym ze

wzruszenia ludem, skinieniem głowy pożegnała Kapitana, a potem odwróciła się i pobięła schodami w górę, wciąż ze swoją córeczką na ręku.

**\*5**

# U

roczystości pogrzebowe się odbyły. Świat znów stawał się normalny. Kupcy na nowo zaczęli się pracować.

Powrócili kuglarze.

Nawet rzezimieszki przypomniały o swoim istnieniu.

Kury grzebały w ziemi na ulicach, a stragany z podpłomykami były już na każdym rogu.

Piękne słońce kończącego się lata prażyło niemiłosiernie.

Rankstrail w stajniach doglądał koni. Odkąd miasto było wolne i otwarte, całe zastępy handlarzy zjawiały się, prosząc o ochronę i oferując w zamian złoto i swoją pracę.

Konie, które jeden z nich przybył sprzedać, zostały umieszczone w stajniach pałacu królów i za parę dni miały wyruszyć do Varil.

Było tam pół tuzina gniadych ogierów, dwie klacze, jedna z nich w ciąży, i wielki, wspaniały wierzchowiec, czarny niczym skrzydła kruka, młody i dopiero co ujeżdżony.

Kleszcz Wspaniały został umieszczony w głębi i rzucał się w oczy niczym plama rdzy na lśniącym mieczu. Rankstrail zastanowił się, czy kiedyś będzie posiadał konia godnego tego imienia, tak by móc umieścić swego obecnego rumaka w najwłaściwszym miejscu, czyli w kotle, z paroma cebulami i dużą ilością grochu. Zbliżył się do karego konia, to był

prawdziwy wierzchowiec, go-

245

dzień przywódcy albo króla. Kapitan ostrożnie położył dłoń na pysku zwierzęcia, które się nie spłoszyło, a potem powoli pogłaskał konia.

Wzruszył ramionami. Na to, by wrzucić swoją szkapę do kotła, i tak nigdy się nie zdobędzie. Nigdy też nie będzie miał takiej sumy, która pozwoli mu na zakup tego wierzchowca. Obie myśli prowadziły do jednego wniosku: zatrzyma Kleszcza. Koniec końców poprowadził na nim atak na orków.

Jakiś hałas wyrwał go z rozmyślań. Nagle znalazł się twarzą w twarz z Marszałkiem Dworu. Starszy pan przyszedł mu oznajmić, iż obie damy Daligar oczekują go na murach. Rankstrail w duchu zapragnął zapaść się pod ziemię: obie damy! Tak trudno znieść każdą z osobna. A teraz, gdy musiał stanąć przed obydwoma naraz, wcale nie było mu do śmiechu.

Marszałek miał na sobie karmazynowo-złotą tunikę, a jego siwe włosy opadały na stulę z małych płytek złota i kwadratów z białego jedwabiu.

Wyglądało to jak strój na specjalne okazje, a więc coś takiego musiało właśnie się szykować.

Gdyby mógł wybierać, Kapitan wolałby towarzystwo orków. Ale nie mógł, i dlatego udał się z Marszałkiem na spotkanie dam.

Spojrzał na swoje brudne dłonie, zbroję ze skóry i metalowych klamer, która dawno temu nabrała ziemistego koloru, oraz cholewy. Błoto sięgało po kolana, i raczej bez przekonania pomyślał, że okaże się tym jednym, który nie ma odpowiedniego stroju na zmianę.

Dołączył do pozostałych na murach. Znajdowali się na najbardziej wysuniętym na wschód i najwyższym miejscu fortyfikacji, tym, gdzie najwcześniej docierało światło dzienne.

Jutrznia i Aurora stały obok siebie, dołączył do nich Marszałek.

Rankstrailowi nie udało się zobaczyć oblicza Królowej Czarownicy, która była bodaj jedyną osobą wiedzącą, co się dzieje. Wszyscy inni mieli tylko nieco zdezorientowane twarze. Tłum zebrał się w błyskawicznym tempie.

246

Trzech żołnierzy usuwało ziemię z tego, co zawsze wydawało się małym tarasem, a tymczasem było tak naprawdę przykryciem wielkiego sarkofagu, o wymiarach co najmniej dziesięć na pięć stóp. Wykonano go z gładkiego kamienia, bez żadnych zdobień. Wykuto na nim imię dużymi literami, głębokimi i bez ozdób, elfickim pismem drugiej dynastii runicznej, które Rankstrail znał bardzo słabo.

Było to krótkie imię, z pierwszą literą A, drugą R, jak Rankstrail, piątą I, która nawet w elfickim jest najłatwiejsza ze wszystkich. To musiał być on.

ARDUIN

Królowa Czarownica odnalazła grób Arduina i kazała go ponownie otworzyć.

Sarkofag był niezmiernie ciężki. Do trzech żołnierzy dołączyło jeszcze pół tuzina następnych, uzbrojonych w piki, którzy próbowali użyć ich jako dźwigni. Niektóre się złamały. Jeden z żołnierzy zdołał wreszcie podważyć wieko, włożywszy pikę w szczelinę między płytą a podstawą, i sarkofag został otwarty. W kamieniu znajdowały się wycięte długie pionowe otwory, identyczne jak te, z których wypuszczają strzały łucznicy, w ciągnącym się pierścieniu murów, tak by Arduin mógł jednocześnie znajdować się w ziemi i być od niej oddzielony. To było jakby połączenie pochówku ludzi, którzy po śmierci pozostają oddzieleni od ziemi, i pochówku orków, którzy do niej powracają, niczym od niej nieoddzieleni.

Ziemia przez lata podmyła sarkofag, pełna kamyków i zgniłych liści, teraz miała zapach wilgoci i mchu podczas jesiennych dni, kiedy chodzi się na grzyby. Między sarkofagiem a tym, co zostało z pradawnego króla, znalazły schronienie ślimaki, pomrowy, kilka dżdżownic i rodzina kretomyszy, które spłoszone, rozpierzchły się na wszystkie strony.

Król był ogromny, mierzył co najmniej siedem stóp wzrostu. Jego głowę zdobiła korona zrobiona z metalowych płytek, połączonych cienką blaszką z surowego złota. Na sobie miał zbroję

248

z klamer na przemian z żelaza i skóry, sięgającą mu aż do kolan, na których znajdowały się metalowe nagolenniki. Obok leżała długa tarcza z kawałków żelaza w kształcie zachodzących na siebie kłów. W dłoniach trzymał miecz długi na co najmniej cztery stopy, z rękojeścią szerokości dwudziestu kciuków, zrobioną z metalu i kamienia, by dodatkowo wzmocnić siłę ciosu, i nadającą się do oburęcznego trzymania. Pasma z surowego złota lśniło na rękojeści i pierwszej części ostrza.

Nie było żadnych ozdób, klejnotów ani zawijasów. Tylko kamień i stal. I paseczek złota dla upamiętnienia tęsknoty i bólu.

Aurora była nieprzenikniona i stała bez ruchu.

Królowa Czarownica zwróciła się do Marszałka i kazała mu wydać polecenie wykonania posągu Arduina, by umieścić go na początku galerii.

Wysoki na siedem stóp i z poparzonym prawym policzkiem.

•A jeśli chodzi o wygląd, moja pani? Nie znamy rysów jego twarzy -

zapytał Marszałek.

•Sądząc po typie zbroi i broni, nie wydaje mi się, żeby miał

przypominać elfa - odparła oschle.

Potem ruszyła i zbliżyła się do sarkofagu. Uklękła. Wyciągnęła dłoń i przebiegła nią po koronie i po tym, co pozostało z twarzy, gładząc ją długo i powoli. Z oddali dobiegały śmiechy dzieci i gdakanie kur. Z

wyraźnym wysiłkiem, choć przecież była to silna kobieta, Królowa Czarownica wyjęła miecz z rąk wojownika i wstała. Oczyszczyła go z ziemi i kurzu, wycierając klingę brzegiem płaszcza. Stał była nienaruszona i zaśniewała Królowa przemówiła powoli, akcentując mocno pojedyncze słowa i robiąc pauzy po każdym zdaniu.

- Chwała Arduinowi - powiedziała. - Jego korona króla towa rzyszy mu w królestwie zmarłych. Zabieramy jego broń, bo nie bezpieczeństwo nadal nam grozi. Dopóki będzie otoczony przez wroga, świat ludzi musi walczyć. Oddech Arduina jest w wietrze, pośród nas, a jego miecz trzymamy w naszych dłoniach. Będzie-249

my go w nich dzierżyć, wspomnimy naszego niezwykłego króla i zrozumiemy, że nikt nigdy nie zdoła nas zniszczyć.

Jutrznia uniosła miecz nad swoją głowę. Był bardzo ciężki. Stał nie nosiła śladów żłobkowania, co

mogliby zmniejszyć ciężar i wytrzymałość miecza.

- Możecie z powrotem zamknąć sarkofag - nakazała Królowa.

Oparła ostrze miecza na ziemi.

Trzymanie go, nawet przez chwilę, zrosiło twarz Jutrzni potem.

- Moja pani! - sprzeciwił się Marszałek. - Ten miecz jest za ciężki jak dla was!

Królowa spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Wszystko jest możliwe na tym świecie, nawet to, że ten jeden jedyny raz się z wami zgadzam - odparła Jutrznia. - Miecz sir Arduina jest za ciężki dla mnie. Nie ja będę go nosić. To Varil stanowi najbardziej wysunięte na wschód miejsce, pierwszą linię obrony.

Jutrznia z trudem odwróciła się do Rankstraila. Oparła klingę na ziemi, między sobą a Kapitanem, i podała mu w dłonie rękojeść.

- Kapitanie - powiedziała - następnym razem, gdy będziecie chronić świat ludzi i moje dzieci, wolę, byście mieli w dłoniach coś, co się nie złamie.

Spojrzeli sobie w oczy. Jutrznia stała się z powrotem szorstka.

- Zabiliście smoka, to był mój przyjaciel, brat mojego małżonka, ktoś wspaniały. Jednakże uratowaliście moje dzieci. Jeśli ktoś regoś dnia wasz róg się odezwie, przybędę, by dla was walczyć, i to samo uczynią moi potomkowie. Jeśli z kolei odezwie się mój róg, wiem, że się zjawicie.

Rankstrail długo patrzył jej w oczy, potem ukląkł. Po raz pierwszy w swoim życiu padał przed kimś na kolana, a nie poprosił nawet swojego ojca o błogosławieństwo, gdy po raz pierwszy opuszczał Varil. Byłby gotów uklęknąć przed Yorshem, lecz

250

przeznaczenie i okrucieństwo jego zabójców nie pozwoliły mu tego zrobić. Teraz padł na kolana przed matką jego dzieci, Królową Czarownicą Daligar, dzielną, srogą, zrozpaczoną i samotną, a czasem okrutną, tak jak wielki król przed nią. Nie podnosząc się, Rankstrail zacisnął obie dłonie na rękojeści i przyjrzał się im, ciemnym i wielkim.

Pasowały do rękojeści, jakby miecz został dla nich stworzony albo wręcz na nie czekał.

W tym momencie odezwał się róg halabardników przy północnej bramie, oznajmiając przybycie dostojnych gości. Wszyscy zwrócili się twarzami w tamtą stronę, by spojrzeć: nawet nie zauważyli przyjazdu grupy kawalerzystów, którzy zsiadali właśnie z koni, by wejść do miasta przez bramę.

Było ich pół tuzina, ubranych w aksamit i brokat, z biało-żółtymi sztandarami w kolorach Varil. Rankstrail rozpoznał księcia Erika i jego wuja, Borgomastra.

Zszedł, by ich przywitać. Trzymał ciągle miecz Arduina i poczuł coś, czego nie potrafił nazwać. Tak jakby błoto zniknęło z jego butów, a jego zbroja zalśniła większym blaskiem niż księżyc zimową nocą. W

rzeczywistości to dusza Kapitana jaśniała bardziej niż słońce w letni dzień, kiedy cykady brzęczą pośród suchych traw, a maki mienią się czerwienią. Kiedy stanął naprzeciw delegacji, pozdrowił kawalerzystów uprzejmie skinieniem głowy. Gdyby nie ten miecz w dłoni, jeszcze byliby w stanie go onieśmielić. Kapitan trzymał miecz Władcy Światła, wielkiego króla, który urodził się orkiem i postanowił nim nie być.

Oddano mu miecz tego, który chciał być ostatnim z orków. Bez reliefów, klejnotów, zbytecznych zdobień ani zawijasów. Tylko kamień i stal. I pasmo ze złota dla upamiętnienia tęsknoty i bólu.

Kiedy już ich powitał, tamci odpowiedzieli ukłonem. Przybyli zaproponować mu stanowisko dowódcy miasta Varil.

Jak wyjaśnił Borgomastro, miastu znów groziło oblężenie. Lawina wody i błota uwolniona przez tamy nadal chroniła podnóże 251

wzniesienia, na którym stało Varil, lecz w oddali, na polach ryżowych, roiło się od obozowisk orków i z każdym dniem ognisk było coraz więcej, bo dołączały nowe bandy. Każdego dnia do Zewnętrznej Kręgi ściągały kolejne rodziny, uciekające przed bestialstwem wrogiej armii, kolejni nieszczęśnicy i kolejni zrozpaczeni ludzie. Całymi dniami miejscowa arystokracja, zwoławszy radę miasta, próbowała wyłonić tych którzy powinni ruszyć na orków, ale jedyne, co zdołali ustalić, to imiona tych, którzy mieli się udać, by wezwać Kapitana i skłonić go do objęcia do-wództwa i przepędzenia orków. Książę Erik od samego początku proponował jedyne sensowne rozwiązanie: oddać Rankstrailowi dowództwo nad miastem i zaproponować jego wybór na króla.

Prawo miasta szczegółowo stanowiło, że dowódcy Varil powinni być wybierani spośród rodów, które zamieszkiwały miasto od wielu pokoleń, lecz w razie bezwzględnej zagrożenia regułę tę można było złamać.

Kiedy zabrakło potomków pradawnych rodów i dynastii, wtedy zwracano się do kogoś, kto mógłby nowy ród albo dynastię założyć.

Rankstrail kiwnął głową.

Delegacja ofiarowała mu insygnia dowódcy: naszyjnik z herbem miasta zrobiony z płyt z surowego i emaliowanego złota, które układały się we wzór jak na sztandarach. Naszyjnik znajdował się w kasecie z intarsjowanego drewna, wyłożonej białym aksamitem i brokatem.

Rankstrail znów skinął głową. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza: poczuł

kamień i żelazo na skórze. Pomyślał o wielkim królu. Nazwali go Arduin Sprawiedliwy, będzie godny jego miecza. Potem Rankstrail przemówił.

- Do końca moich dni - oznajmił - zaszczytem będzie dla mnie walka o to, by miasto pozostawało



wolne i mogło się rozwijać. Jeśli przyjdzie mi zginąć za tę sprawę, zginę. Na nas wszystkich spada odpowiedzialność za to, by lud był wolny, wyswobodzony z rąk tych, którzy za chwałę poczytują sobie zabijanie naszych

252

dzieci, tych, którzy po podejrzeniu kogoś gardła tańczą, pokazując ręce ociekające krwią. Na nas spada odpowiedzialność za wyzwolenie naszego ludu od nędzy, która w zimowe noce zagląda do nieogrzewanych chat i zabiera ze sobą dzieci tak samo okrutnie jak orkowie. Za wyzwolenie go od kaszlu, który niszczy niedożywionych, zmuszając ich do spluwania resztkami krwi, których nie wyssały komary i wszy z bagien tak skażonych, że hańbą byłoby trzymać tam przy życiu psa, i wreszcie za wyzwolenie go od konieczności dzielenia się własnym ciałem z kleszczami, gdy śpi się na słomie dla świń. To na nas spada odpowiedzialność i sprostamy temu, podejmiemy walkę o bezpieczne drogi, by handlarze mogli znów nimi podróżować, by rzemieślnicy wrócili do pracy i aby bogactwo pomnażało się niczym kijanki w stawach na wiosnę. To na nas spada odpowiedzialność, i sprostamy jej, za zabezpieczenie granic, aby znów można było uprawiać fasolę i kapustę bez obawy, że ktoś rzuci się na ród ludzi jak wilk pośród nocy albo szakał w ciemnościach. To na nas spada odpowiedzialność, i sprostamy temu, za przywrócenie wolności i godności rodowi karłów i za naprawienie wyrządzonej niesprawiedliwości.

To na nas spada odpowiedzialność, i sprostamy temu, za zapewnienie nawet najodleglejszym wioskom choć jednej uzdrowicielki, by oparzenia nie stawały się utrapieniem, złamane kości mogły zostać uleczone, a dzieci rodziły się na czystym kawałku sukna. To na nas spada odpowiedzialność, i sprostamy temu, za bezpieczeństwo wędrownych mistrzów, którzy będą podróżować od regionu do regionu, nawet do najbardziej zapomnianych zakątków Ziemi Znanych, bo nieumiejętność pisania i czytania to cierpienie i nikt, żaden mężczyzna, żadna kobieta ani żadne dziecko, nie powinien być na nie skazane. Jak powiedział sir Arduin, wojny trzeba prowadzić dwie naraz: jedną przeciwko orkom i jedną przeciw niesprawiedliwości. Sprawiedliwe ludy waleczniej się biją, przymierający głodem walczą słabo.

**\*53**

Delegacja przyjęła jego słowa długą ciszą. Wreszcie Borgoma-stro spojrział na niego, pokłonił się nisko i powiedział:

- Tak, mój panie. Dokonamy tego. Wy nas poprowadzicie i dokonamy tego.

Pozostali również się pokłonili.

Borgomastro wziął naszyjnik, zawiesił go na szyi Rankstraila, zapiął na jego zbroi w kolorze błota.

W tym momencie delegacja wręczyła Kapitanowi kolejną szkatułę, z drewna i złotych klamer i na koniec jeszcze raz się głęboko kłaniając, pożegnała go.

Rankstrail odniósł wrażenie, że książkę Erik dziwnie się zachowuje.

Rzucił mu ukradkowe spojrzenia i lekko kręcił głową, tak jak ktoś, kto ma coś do powiedzenia, ale nie śmie się odezwać, bo sytuacja jest nieodpowiednia.

Po ich odjeździe Rankstrail otworzył szkatułę. Zawierała ona więcej złota, niż kiedykolwiek widział na oczy. Właściwie to takiego bogactwa w ogóle nie potrafił sobie wyobrazić. Mógłby kupić cały Zewnętrzny Krąg, a i tak pozostałby bajecznie bogaty. Od tego właśnie zacznie. Trochę wyda na Zewnętrzny Krąg, gdzie roiło się od wieśniaków bez ziemi, kowali bez kuźni, furmanów pozbawionych wozów i osiołków, od ludzi niemających nic. Część jednak będzie musiał zachować i wydać na swoje potrzeby: czy mu się to podobało, czy nie, teraz, gdy wyruszy, by dowodzić miastem, musi mieć odpowiedni strój, broń i... konia, pasującego do powagi swojej funkcji. To był jeden z jego obowiązków.

Poza wszystkim kapitan mógł Kleszczowi Wspaniałemu, który odbył

trzy zwycięskie szarże, co przyniosły wolność rodowi ludzi, zapewnić pogodną starość w jakiejś miłej stajni, otoczonej polami pełnymi koniczyny, lucerny i kwiatów.

# J

utrznia była zmęczona. Poczawszy zapach mchu dochodzący z grobu króla, zapagnęła położyć się w ziemi i zostać tam, w świętym spokoju, na kolejne stulecia. Ona także chciała zatopić się w ciemności, w cichym królestwie ślimaków i pomrowów. Jej przyszłe życie wydawało jej się serią zbędnych dni, które miały minąć tak szybko, jak woda spływa po kamieniu, by wreszcie zniknąć wśród pachnącej, wilgotnej ziemi i zgniłych liści w kamiennym sarkofagu.

Ona też będzie musiała pamiętać, by polecić wykonanie otworów w kształcie okien strzelniczych w swoim sarkofagu.

Nie była to jedyna myśl, jaka zdołała trochę pocieszyć Jutrznie, która czuła się bardzo, bardzo zmęczona.

Pojawiła się jeszcze jedna: o jej domu. Królowa bawiła się w wyobraźni obrazami morza. Widziała leniwe, długie fale podczas jesiennych wieczorów, zimowe sztormy, letnie deszcze, kiedy z nieba lała się ściana wody, a grad unosił się na morzu wśród tryskającej piany ogromnych i bezlitosnych fal. Ukojenie przyniosło jej wspomnienie plaży ciągnącej się między dwoma cyplami niczym smok śpiący na słońcu.

Chciała iść do domu.

Jej domu, tego, który zbudowała razem z Yorshem.

Będzie spacerowała po plaży, szukając śladów jego stóp i nie znajdując ich, ale zobaczy za to ślady swoich pociech. Chciała, **255**

aby jej dzieci dorastały w domu, który ona i ich ojciec razem zbudowali, układając kamienie jeden na drugi, dodając muszle oraz kawałki drewna wyrzucone przez fale.

Wezwała Marszałka i posłała go, by poszukał Aurory. Zajął to trochę czasu, ale potem wreszcie ktoś przypomniał sobie, że Księżniczka Daligar uwielbiała kończyć dzień na wschodnich murach, ze spojrzeniem zagubionym horyzoncie, tam, skąd wypływał Dogoń, wstęgą lśniąca w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Aurora zjawiała się, idąc swoim lekkim krokiem. Miała na sobie ubranie w kolorze piór turkawki, które wkładała, gdy była w lazarecie. To prosta suknia, niemal jak u kobiety z ludu, ale nawet w takim stroju Księżniczka wciąż nosiła swoje misternie zaplecione warkoczyki, które wiły się wraz ze złotymi nićmi i maleńkimi perełkami, upięte w sztywne i precyzyjne spirale. Jutrznia zastanowiła się, czy kiedykolwiek zdarzyło się, by ktoś zobaczył ją z włosami na twarzy lub na oczach. Jeśli tak, z pewnością od-notowałyby to tutejsze kroniki.

Siedząc na kamiennym tronie, władczyni Daligar zakomunikowała damie Aurorze swój zamiar odejścia: wróci do Erbrow, wioski smoka, wraz ze swoimi dziećmi. Rankstrail będzie bronił Varil. Damie Aurorze przypadnie dowództwo w Daligar.

Jutrznia zamknęła oczy i odchyliła się na oparciu. To tyle. To już koniec.

Jeszcze parę dni, a szum morza będzie towarzyszył jej podczas niekończących się, bezsennych nocy.

Poczuła, jak promyczek radości zaczyna rozświetlać mroki jej duszy.

Teraz musiała już tylko wysłuchać Aurory, wyrażającej dozgonną wdzięczność, jaką będzie żywić dla Juny - i wdzięcznie się przy tym uśmiechać.

Minęło trochę czasu. Jako że nic z wyjątkiem nieustannego gdakania kurczaków na podwórzach nie przerywało panującej ciszy, Jutrznia zdecydowała się z powrotem otworzyć oczy. Aurora była jak zwykle nieprzenikniona. Radość nie opromieniała jej

256

twarzy, wręcz przeciwnie - Juna odniosła wrażenie, że w półcieniu oczy dziewczyny były jeszcze ciemniejsze niż zazwyczaj.

•Obawiam się, że ten plan jest niewykonalny, moja pani - powiedziała w końcu.

•Niewykonalny? - powtórzyła Jutrznia.

•Niewykonalny - potwierdziła Aurora.

Królowa poczuła, jak wściekłość wzbiera w jej zmęczonej głowie.

Prędzej czy później nadejdzie dzień, w którym zdoła rozmawiać z córką Zarządcy, nie odczuwając przy tym przemożnej chęci uduszenia jej. Ale to jeszcze nie teraz.

- Moja pani - Aurora postanowiła wszystko wytłumaczyć - je stem córką mojego ojca, Zarządcy, człowieka, który kazał powieść waszych rodziców i dobić waszego małżonka, jak dobija się wściekłego psa. To człowiek szalony i chory, a także tchórzliwy.

Dopóki wy zasiadać będziecie na tronie, ani on, ani żaden z sę pów, które towarzyszyły mu w jego ucieczce, gdy pozostawiał

miasto na pastwę orków, nie ośmieli się nawet drgnąć. Nieszczęsnego dnia, w którym to mnie przysłoby zastąpić was w roli dowódcy miasta, mój ojciec i cały jego dwór wyruszą tutaj, by odebrać Daligar. Wszyscy pamiętają mnie jako bardzo grzeczną dziewczynkę, która na wszystko miała jedną odpowiedź: „Tak, mój panie”, a ja ogniem, i mieczem musiałabym dowieść, że ta dziewczynka już odeszła i nigdy nie wróci. Choćby nie wiem jak wielki wstręt wzbudzał we mnie mój ojciec, choćbym nie wiem jak dobrze znała wszystkie jego zbrodnie, pragnęłabym mimo wszystko, by oszczędzono mi konieczności podnoszenia miecza na mojego rodziciela nie tylko dlatego, że aby to uczynić, mu siałabym stawić czoła mrokom przeszłości, o których pragnę za pomnieć, ale co ważniejsze, wciągnęłabym miasto w bratobójczą wojnę, która zniszczy to, co ocalało przed orkami.

Jutrznia skamieniała. Przyznanie, że wypowiedź Aurory była tak logiczna, że aż oczywista, o dziwo wcale nie zmniejszyło w niej ochoty, by udusić swą rozmówczynię.

257

Wreszcie przytaknęła. Pogrzyżyła się w rozpacz.

Nie mogła już uciec.

Jej plaża, cykady, wodospad, morskie fale, wszystko to stawało się jak daleki sen.

- Obawiam się, że macie rację - powiedziała w końcu ponuro.

Została uwięziona i osaczona, i to w mieście, które było świadkiem powieszenia jej rodziców i uznało śmierć jej małżonka za powód do świętowania.

Nie mogła wrócić do domu.

Zapadła cisza, a potem Aurora znów przemówiła.

- Moja pani - dodała - za waszym pozwoleniem, pragnęłabym opuścić to miasto i udać się do Varil, by tam zamieszkać.

Znów zapadła cisza, przerywana jedynie gdakaniem kurczaków.

- Ani wy, ani nikt inny nie potrzebuje mojego pozwolenia, by żyć tam, gdzie mu się podoba. Ale dlaczego akurat Varil? - spytała Jutrznia. - Co tam będziecie robić? To tutaj się urodziliście.

Była zaskoczona, lecz z pewnością podniesiona na duchu informacją, że skoro już musiała pozostać w Daligar, przynajmniej nie będzie żyć w mieście razem z Aurorą. Ale także zaciekawiona.

- Rzeczywiście, urodziłam się i od zawsze mieszkałam tu: i tu taj jestem i zawsze pozostanę, córką mojego ojca. W Varil z ko lei będę po prostu sobą. Co więcej, sądzę, że mam talent jako uzdrowicielka. Jako że Varil jest najbardziej wysuniętym poste runkiem, miejscem, gdzie wojna zaczyna się wcześniej niż gdziekolwiek indziej, a kończy dopiero wtedy, gdy w innych miastach już od dawna jej nie ma, mogłabym się tam bardziej przydać.

Tamtejsi ranni mogliby skorzystać z moich kuracji, a żołnierze z mego łuku.

258

Juna znów przytaknęła. Pragnienie ujrzenia morza odczuła niemal namacalnie.

Odzyskała spokój: potrzebuje tylko trochę więcej czasu, ale uda jej się wreszcie wrócić do domu. Na pewno będzie mogła się oddalić, aby wybrać się na plażę Erbrow: najpierw na krótkotrwałe wizyty, potem na coraz dłuższe. Bez trudu stworzy odpowiednie warunki, by powierzyć Daligar jakiemuś namiestnikowi.

Ależ oczywiście! Droga!

Trzeba z powrotem otworzyć przełęcz; zbudować schody, które poprowadzą aż na plażę, za przyprawiającym o zawrót głowy wodospadem Dogonu; odbudować schody do pradawnej biblioteki i uratować tomy, które nadal jeszcze się tam znajdują. Droga między Daligar a Erbrow będzie wygodna i ogólnie dostępna, jak za dawnych czasów, i tak jak kiedyś na jej środku stać będzie wieża mądrości, prastara siedziba smoków.

Erbrow to naturalny port. Będzie się rozwijać i coraz prężniej prosperować. Stanie się miastem smokiem. Każdego ranka ściągać tam będą łodzie z sieciami.

Do połowu ryb dojdzie hodowla kóz i głód stopniowo stanie się wspomnieniem.

Sól! Do plaży docierały wielkie przyływy morskie i suchy wiatr z południa. Yorsh opowiadał jej, że za czasów drugiej dynastii runicznej na wybrzeżu były wielkie warzelnie soli. Zostały opisane w kronikach.

Juna zamknęła oczy i wszystko wypełniło się błękitem i złotem. Wielkie, olśniewająco białe figury, geometryczne wiatraki wykorzystujące siłę wiatru do przenoszenia wody załśniły w słońcu, w perspektywie morza, na tle zieleni skał nadbrzeżnych, całych w janowcu i kwitnących kaparach.

Ujrzała port pełen żagli. Zobaczyła niesamowite zwierzęta, coś w rodzaju krowy w plamy z niezmiernie długą szyją, absurdalnego osła w biało-czarne pasy.

259

Sardele i wieprzowinę można konserwować w soli, by klęska głodu nie stanowiła już więcej zagrożenia.

Jutrznia zastanowiła się, co i kto jest po drugiej stronie morza.

Wróci do Erbrow, ale później: wcześniej uczyni wioskę silną i wspaniałą, tak jak dziewczynka, która nosi to samo imię, i jak smok, który już go nie nosi, bo oddał za nich swoje życie. Do tego czasu będzie mieszkała w Daligar, mieście, które wraz z nią walczyło, cierpiało głód, przełamało obleżenie, a dzięki niej miało teraz swoją chorągiew: kwiat krwi przelanej za wolność rodu ludzi na białym polu, symbolu ich niewinności.

Głos Aurory wyrwał ją z rozmyślań.

- Moja pani, byłabym skłonna wyruszyć jak najszybciej, jeszcze przed jutrzejszym świtem. Czy jest jeszcze coś, co pragniecie mi obwieścić?

Jutrznia aż podskoczyła. Tak bardzo zatoneła w rozmyślaniach, że aż zapomniała zarówno o swoim zmęczeniu, jak i o obecności Aurory.

Podniosła się, by ją pożegnać, podziękować jej i spełnić wszystkie stosowne ceregiele. Fakt, iż uważała za nieznośną jej idealną doskonałość, nie kwestionował bynajmniej siły tej dziewczyny,

wierności, odwagi i inteligencji; nie umniejszał znaczenia sytuacji, w których Aurora uratowała jej życie.

Po raz pierwszy Juna spostrzegła, że córka Zarządcy nosiła na szyi wisiołek z czegoś, co wyglądało jak przezroczysta muszelka inkrustowana złotem i otwierało się z boku jak para skrzydeł. Był lekki i piękny, jak gdyby sama kwintesencja lekkości została uwięziona w kryształach.

Zawieszony został na starym sznurku ze splecionej skóry. Aurora zauważyła jej spojrzenie.

•Należał do mojej matki - wyjaśniła.

•A sznurek? - spytała Jutrznia. Był to dosyć nietypowy sposób noszenia na szyi tak kunsztownego klejnotu.

Dziewczyna cała się zaczerwieniła. Rumieniec sięgnął aż do upięcia włosów, nadając jej na moment niemal dziecinny wygląd.

260

- To? To była cięciwa mojego pierwszego łuku. Podarowano mi go, gdy byłam mała, i bardzo mi na nim zależało - odparła zawstydzona.

Jutrznia pomyślała o prezencie od ojca, o czymś, co łączyło Aurorę z Zarządcą, o uczuciu między córką i ojcem, którego zresztą sama się wstydziła. A potem przypomniała sobie coś, co kiedyś powiedział Yorsh: elfy zakochują się bardzo młodo, czasem będąc jeszcze dziećmi, i już na zawsze. Często się zdarza, że podczas pierwszego spotkania dochodzi do wymiany albo podarowania jakiejś zabawki, czegoś, co potem może być przechowywane i przekazywane z pokolenia na pokolenie jako dowód miłości. Może ta sama reguła sprawdzała się także w wypadku kogoś, kto był elfem tylko w połowie. Cichym i obojętnym tonem głosu spytała Aurorę, kto podarował jej łuk.

Aurora znów się zaczerwieniła aż po same uszy.

•Kapitan Rankstrail go dla mnie zrobił - zdołała odpowiedzieć w miarę swobodnie. - Przepędził Czarnych Grabieżców, którzy terroryzowali południowe krainy, a choć był bardzo młody i nie należał do arystokracji, powierzono mu straż nade mną, tylko na jeden dzień, kiedy byłam mała. To on tamtego dnia nauczył mnie posługiwać się mieczem i łukiem. Na szczęście mój ojciec nigdy tego nie odkrył...

•Musiał być wspaniałym nauczycielem - stwierdziła Jutrznia, uśmiechając się. - Jesteście największym wojownikiem, o jakim może marzyć każdy dowódca.

I wtedy to Aurora się uśmiechnęła.

•Jestem półelfem, moja pani, mam oko elfów i trochę z ludzkiego barbarzyństwa. A wy, moja pani - dodała wesoło, choć raz prawie beztroska - jesteście największym dowódcą, o jakim mógłby zamarzyć wojownik.

•Jeszcze większym niż Kapitan Rankstrail? - spytała przekornie.

- Powiedzmy, za waszym pozwoleniem, że Kapitan Rankstrail jest jedynym dowódcą, jaki może się z wami równać.

z6i

•Macie moje pozwolenie - przystała Jutrznia. Spoglądały na siebie przez chwilę, uśmiechając się.

•Jak się czuje kapral Lisentrail? - przerwała ciszę Królowa.

•Jego życiu z pewnością nie zagraża niebezpieczeństwo.

•Cieszę się. Kiedy waszym zdaniem będzie w stanie opuścić miasto?

•Za kilka dni, ale będzie musiał jechać na wozie, moja pani. Jego życie zostało ocalone, lecz jego nogi nie zdołają go utrzymać. Dlaczego o to pytacie?

•Wiecie, kiedy poszłam mu podziękować za uratowanie mojej córki, rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót. Korzystając z pewności, że teraz już nie pozwoliłabym, jak sam się wyraził, aby włos spadł mu z głowy, kapral opowiedział mi, że to on, nie Kapitan Rankstrail, wydał

rozkaz zabicia smoka. Kapitan gotów był zapłacić własnym życiem za swoje nieposłuszeństwo wobec rozkazu zaatakowania nas, a Lisentrail nie chciał mu na to pozwolić. Ofiara smoka ocaliła wszystkich.

•Niedawno i do mnie dotarła ta pogłoska - odparła Aurora. -Wszyscy żołnierze, którzy byli na przełęczy Astrid, potwierdzili, że to prawda, a kiedy człowiek jest ranny i nie wie, czy doczeka następnego świtu, nie kłamie. To Lisentrail wydał rozkaz. Ukarzecie go?

•Symbolicznie. Dałam mu prawie połowę mojego naszyjnika i wygnałam go z Daligar. Muszę zacząć trochę oszczędniej dysponować tymi klamrami, bo nie wystarczy mi ich na kolejną wojnę. Co do wydalenia z miasta, to doprawdy: trudno byłoby mi wymyślić bardziej dotkliwą karę. Jedyne, czego Lisentrail nie może się doczekać, to by wyzdrowieć na tyle, żeby załadować swoje chore nogi na wóz, razem ze swoją żoną i dwoma kurczakami będącymi w jej posiadaniu, i zawieźć to wszystko do Varil. Czeka tam na niego godność namiestnika Zewnętrznego Kręgu. Nie wiem, co to dokładnie oznacza, ale jeśli Rankstrail mu ją przyznał, to musi to być jakieś stanowisko, na którym zdrowy

262

rozsądek kaprała okaże się pożyteczny dla wszystkich i będzie mógł je piastować, otoczony gromadką kurczaków i dzieci - jeśli będzie je miał -

nie czując zakłopotania z powodu swoich brakujących palców i nie zawsze godnego arystokraty języka. -Jutrznia uśmiechnęła się. - Wiecie, moja córka także ofiarowała kapralowi podarunek.

•Wasza córka?



•Tak, zabrałam ją ze sobą. Jak tylko go ujrzała, przytuliła się i długo nie wypuszczała go z objęć. Myślę, że to właśnie ten gest na tyle go zachęcił, by popchnąć go do opowiedzenia mi historii, która wydarzyła się na przełęczy Astrid.

•Czy mogę spytać, jakim to darem obdarzyła kaprala małą księżniczka?

•Małą piłeczką z kawałków materiału, nie wiem nawet, kto jej ją dał.

Aurora jeszcze raz się uśmiechnęła, potem znów spoważniała.

- Zastanawiam się, dlaczego Kapitan nigdy się nie usprawiedliwił - dodała zamyślona.

Jutrznia długo się zastanawiała, zanim udzieliła odpowiedzi. Dobrze ją znała i teraz próbowała bardziej ustalić, czy Aurora rzeczywiście czuła potrzebę poruszenia tej kwestii, czy też akurat chciała pozwolić Królowej odnieść wrażenie, że z nich dwóch to ona jest sprytniejsza. Ale że tak naprawdę nie miało to już znaczenia, odparła:

- Dlatego że prawdziwy dowódca bierze na siebie odpowieć za swoich ludzi. Od jego decyzji zależy, czy jego żoł

nierze mogą żyć, czy też muszą iść na śmierć. A zatem, tak jak bierze na siebie odpowiedzialność za ich życie i śmierć, tak też musi ponosić konsekwencje ich czynów i pomyłek. I musi być gotów za nie zapłacić - powiedziała wreszcie.

Aurora przytaknęła. Po raz pierwszy w swoim życiu Jutrznia doznała nagłego przypływu czułości wobec córki Zarządcy. Pomyślała o niej jak o bardzo inteligentnej i dzielnej dziewczynce,

263

rozdartej między uczuciem a pogardą dla okrutnego i szalonego ojca, ze skrywaną w sercu miłością do młodego Kapitana.

- Oprócz ostrzeżenia pól ryżowych Varil musi także trzymać z dala hordy, które mogłyby zaatakować od wschodniej równiny, a poza tym zgromadzić siły do obrony Pogranicza. Już nigdy nie może się zdarzyć, by orkowie zaskoczyli nas nieprzygotowanych do walki. Tutaj jesteśmy całkiem nieźle zorganizowani. Będę spokojniejsza, jeśli natychmiast dotrzecie do Varil, zabierając ze sobą każdego, kto się zgłosi, by jechać z wami. Najemnicy Rankstraila, którzy pozostali w mieście, z pewnością ruszą. Zapewnię im za to trzy razy wyższy żołd niż zazwyczaj. Handlarze, którym daliśmy schronienie, zapełnili nam kasy podatkami i czas zacząć wykorzystywać te środki. Nie walczy się dla pieniędzy, ale to sprawiedliwe, by ten, kto walczy, został opłacony, i to sownie.

Ci ludzie potrzebują pieniędzy, bo szykują się do zakładania ro dzin i kochają swojego Kapitana. Pojadą. Ruszajcie natychmiast, by dotrzeć na miejsce, nim skończy się noc. Kapitan Ransktrail prawdopodobnie jutro przypuści atak, by oswobodzić pola ryżo we, i pięćdziesięciu dodatkowych zbrojnych może mieć istotne znaczenie. Varil jest w obecnej chwili najbardziej wysuniętym posterunkiem i przydadzą mu się posiłki.

Aurora pozwoliła sobie na jeszcze jeden uśmiech, który rozświetlił jej oczy, a potem znów jej spojrzenie stało się nieprzeniknione.

•Tak, moja pani - odparła i lekko się ukloniła.

•Nigdy wam nie podziękowałam za ocalenie mi życia - powiedziała Jutrznia, żegnając ją - za wszystkie te sytuacje, kiedy mi je uratowaliście. Nigdy wam nie podziękowałam za waszą wierność, za niewzruszoną wiarę w zdawałoby się niemożliwe do odniesienia zwycięstwo, kiedy nikt, nawet ja, na nie nie liczył. Nigdy wam nie podziękowałam za czułość, jaką obdarzyliście moją córeczkę: sądząc po tym, jak mała promienieje, gdy tylko was ujrzy, musi być ogromna -

dodała, mówiąc powoli, z wysiłkiem,

264

który z każdym kolejnym słowem malał. - Nienawiść do waszego ojca oślepiła mnie i dopuściłam się okrutnej niesprawiedliwości w stosunku do was. Nigdy nie podziękowałam wam za zwrócenie się do mnie „moja pani”. Wy jako pierwsi to učiniliście. Co najmniej dwukrotnie posłużyło to umocnieniu mojego autorytetu w sytuacji, gdy brak dostatecznie dużego byłby śmiertelnie niebezpieczny. Nie mogłabym ani walczyć, ani zwyciężać, gdybyście nie walczyli wraz ze mną. Gdyby nie wy, poległabym, a dzieci ostatniego elfa zginęłyby wraz ze mną; miasto Daligar zamieniłoby się zaś w krainę błota, zburzonych domostw i kości obgryzanych przez psy. To wy uratowaliście moje życie i życie moich dzieci, przybywszy tu odważnie, gdy opuściliście miejsce, w którym byliście bezpieczni, ryzykując tym, że zginiecie wraz z nami. Proszę was o przeba...

- Wy uratowaliście i moje życie - przerwała Aurora - już pierwszego dnia, w którym was spotkałam. Przypominacie sobie? Ja siedziałam w mojej lektyce, a wy byliście w łańcuchach, w strzępach ubrań, krwi i sińcach. My wszyscy, a ja jako pierwsza, chyliliśmy głowy przed moim ojcem. Wy nie poddawaliście się. Dopiero gdy was ujrzałam, zrozumiałam, że walka była jedynym możliwym wyborem. Za każdym razem, gdy strach i przygnębienie stawały się jeszcze większe niż ściany komnat, w których byłam zamknięta, wracałam myślami do was, do waszej twarzy pokrytej błotem i zakrzepłą krwią, do waszych oczu i waszego wzroku, którego wy, w przeciwieństwie do mnie, nie spuszczaście.

Chodzi o sam fakt, że można było postanowić, by nie opuszczać wzroku, rozumiecie? Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Skoro wy mogliście walczyć, mogłam i ja. Po śmierci mojej matki to wy byliście jednym z promyków światła, które rozjaśniały mrok mojej młodości. Rozumiem miłość waszego małżonka do was, dla waszej odwagi, waszej wiary, a także, za waszym pozwoleniem pani, dla waszej dzikości. Czy nam się to podoba, czy nie, jest to jeden ze składników tego szczególnego

265

typu odwagi, którą mają ludzie, ich zdolności, by zawsze się podnieść, stawić wszystkiemu czoła.

Aurora zaczerpnęła tchu i nieśmiały uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Moja pani... Argniolo... ja i Marszałek zabraliśmy go... jego...

jego zwłoki i pogrzebaliśmy je na cmentarzu Daligar.

Jutrznia spojrzała na nią. Wspomnienie śmierci Yorsha, na dźwięk imienia Argniola, odezwało się tak jak rana, gdy się ją urazi, i przez dłuższą chwilę Królowa Czarownica nie była w stanie się odezwać. Wciąż stała, w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w oczach Aurory. Kiedy odzyskała głos, zdołała podziękować dziewczynie za to, że wzięła na siebie to zadanie, zrobiła to spokojnym i bezbarwnym głosem, jakim dziękuje się za drobne przysługi: rozwieszenie ubrań albo podlanie pelar-gonii. Historia Argniola także musiał też musiał skrywać jakieś bolesne tajemnice.

- Wam także chciałabym dać fragment mojego naszyjnika

•powiedziała, zdejmując go. Nabrała już w tym pewnej wprawy.

•Jeśli jeszcze trochę go skrócę, zrobi się z niego naramiennik, ale na odpięcie ostatniej klamry mogę sobie pozwolić i stanowczo pragnę, abyście to wy ją zatrzymali. Dowód mojej przyjaźni, której nic nigdy nie zniszczy.

- Z ogromną radością, moja pani - zgodziła się Aurora -

z ogromną radością. Dodam ją do mojego naszyjnika. Kiedy nieco podrosłam, zapragnęłam mieć naszyjnik... jak by to powie dzieć? Naszyjnik właśnie taki jak ten, który teraz noszę, i bardzo cieszy mnie, że mam dowód waszej przyjaźni.

Aurora pożegnała się ukłonem, dumna i piękna.

Jutrznia patrzyła, jak się oddala. Po raz pierwszy nie odczuwała nienawiści ani urazy, tylko wdzięczność i czułość.

Długo pozostała zamyślona. Nie miała wątpliwości co do tego, że drugim promykiem światła rozjaśniającego młodość Aurory był człowiek, który podarował jej łuk, i po raz pierwszy zdała 266

sobie sprawę z przerażających mroków, pośród których błędziła tamta dziewczyna w szatach z brokatu i srebra, z mnóstwem maleńkich pereł we włosach.

Jutrznia zastanawiała się nad rzeczami zupełnie nowymi, prawdami być może oczywistymi, które jednak zawsze jej umykały, a jednocześnie fascynowały ją niczym odkrycie nieznanego kontynentu. Rozmyślała nad niejasnością pojęć takich jak „porażka” i „zwycięstwo”. Jeden z najmroczniejszych momentów jej smutnego życia wnosił jednocześnie to światło w życie drugiej osoby. Zastanowiła się nad tym, jak czasami to, co dostrzegamy w spojrzeniu innych, jest po prostu projekcją naszych własnych myśli. Nieistniejąca tak naprawdę pogarda w spojrzeniu Aurory to był odwieczny strach Jutrzni przed tym, że jej prostota, jej barbarzyństwo, rozdzieli ją z Yorshem, i odwzajemniała spojrzenie dziewczyny kipiącą nienawiścią, która tkwiła w niej latami, wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi.

Ona to ona. To jej ludzki brak ogłady i jej krew orka obdarzyły ją barbarzyństwem i odwagą, koniecznymi, by uratować Daligar, jej dzieci i świat. Yorsh i Aurora darzyli ją miłością właśnie za to, kim była, a nie pomimo tego.

A jednak barbarzyństwo, niezaprzeczalnie jeden ze składników jej natury, uznać należało za cenną zaletę, jeśli korzystała z niego z należyтым umiarem. Królowa wezwała Marszałka Dworu i rozkazała, by pochować, najlepiej jak tylko możliwe, ciała orków, a zwłaszcza to, co zostało po ich głowach, i to jak najszybciej. Kazała poszukać cmentarza dla wrogów, pośrodku lasu, daleko od ścieżek, by ograniczyć ryzyko profanacji, i poleciła, aby miejsce było...

- Przyzwoite? - odpowiedział starszy mężczyzna.
- Przyzwoite - potwierdziła Królowa.
- Są lasy kasztanowe, za polami, gdzie Kapitan zbudował obozy dla więźniów.
- Myślę, że będą odpowiednie - odparła Jutrznia.

267

Nie chciała, by dzieci Yorsha dorastały w mieście, gdzie na chlebie i miodzie podczas podwieczorków siadały muchy, które właśnie zakończyły ucztę w oczodołach ściętych głów.

Kiedy mężczyzna się pożegnał, Królowa Daligar długo dumiała o Aurorze i Rankstrailu; pomyślała, że już dawno temu powinna była zrozumieć...

Życzyła im obydwojgu z całego serca, by długo się kochali, by mieli synków i córeczki i by mogli patrzeć, jak żyją, rosną i radzą sobie w życiu.

Życzyła im, by byli świadkami narodzin swoich wnuków, a potem jeszcze prawnuków.

Życzyła im, by zmarli w późnej starości, razem, trzymając się za ręce.

Potem wybuchnęła płaczem. To był smutny, niepohamowany i niezmiernie długi płacz, przerywany spazmami, które wstrząsały nią tak, jak jesienny wiatr targa liśćmi na drzewach. Skulona na swoim kamiennym tronie, gdzie Arduin także rozpaczał po swojej małżonce straconej na zawsze, Jutrznia poczuła cały swój ból, który do tej pory udawało jej się zepchnąć w głąb swojej duszy, bo taka konieczność. Teraz wojna była wygrana i nic już nie odsuwało od Królowej myśli o tym, że na zawsze straciła małżonka, który przepadł gdzieś po tamtej stronie wiatru i gwiazd.

Trzymała jedną dłoń na mieczu Yorsha, drugą na zielonej kuli z nefrytu należącej do Arduina.

Płakała prawie całą noc. Zimno stało się nie do wytrzymania. Kamienny tron był lodowaty. Zaczęła drzeć. Wstała i powłóczyłym krokiem udała się w stronę swoich komnat. Na środku wielkiego łoża, pokrytego tkaninami obszytymi skomplikowanymi koronkami, delikatnymi i cennymi, ciepłe ciała jej dzieci unosiły się w spokojnym oddechu.

Jutrznia uwolniła się od swoich mieczy, wyciągnęła się pod przykryciem obok tych ukochanych istotek i objęła je. Pocieszyła się ich ciepłem. Jej szłochy

ucichł. Jej córeczka obudziła się. Spojrzała na matkę w blasku ognia, który palił się w ogromnym kominku z kamienia i ogrzewał komnatę.

Dotknęła jej twarzy mokrej od łez.

- Mama, be - powiedziała zasmucona.
- Już mi przeszło - uspokoiła ją Jutrznia.

Dziewczynka przytaknęła. To była ich córka. Miała oczy Yorsha. Obok niej spali jej braciszki, ich dzieci, jej i Yorsha. Po drugiej stronie grubych murów w świetle gasnących gwiazd odpoczywały inne istotki tego miasta. Yorsh był po drugiej stronie wiatru, ale nawet każda pojedyncza chwila życia, jaką przeżył, będzie bezcennym darem i Jutrznia nauczy się nim cieszyć.

Królowa objęła Erbrow i ukryła twarz w jej ciemnych lokach.

- Tata tu - powiedziała maleńka.
- Widziałaś tatę? Twój tata ci się przyśnił? Dziewczynka znów przytaknęła.
- Tata tu - potwierdziła. Potem zdecydowanym ruchem położyła rączkę na swojej klatce piersiowej. - Piękna - dodała.
- Widziałaś tatę, który powiedział ci, że jesteś piękna - powtórzyła Juna.

Erbrow przytaknęła. Juna zastanowiła się, jak długo mała zachowa w pamięci ojca. Była szczęśliwa, że jej się przyśnił. Erbrow wyciągnęła rączkę do wisiora z nefrytu jej mamy.

- Wisioek dugi tata.
- Wisioek jest drugiego taty. Był tam drugi tata? Drugi pan! Był drugi pan, który miał go na sobie? Ten wisioek?

Mała przytaknęła.

- Widziałaś go? Wskazała na kominek.
- Duży i czarny.

- Był duży i czarny. Wysoki, potężny i ciemny mężczyzna?

W czarnym płaszczu? I miał ten wisioek na szyi? Widziałaś wysokiego, dużego mężczyznę, ubranego w ciemne szaty, który miał ten wisioek na szyi?

Erbrow znów przytaknęła, potem położyła dłoń na lewym policzku i spochmurniała. -Be.

•Na jego policzku była... Rana? Rana po ogniu?

•Be - potwierdziła dziewczynka ze smutkiem. Potem znów się uśmiechnęła, ponownie kładąc rączkę na swojej klatce piersiowej. -

Piękna - powtórzyła zadowolona.

•On też powiedział ci, że jesteś piękna?

Dziewczynka przytaknęła. Jej matka przytuliła ją mocno do siebie.

Długo się jej przyglądała: może to był tylko sen, dziwny sen, w którym maleńka wspomniała swojego ojca i zobaczyła prawdziwe oblicze Arduina.

Może dziewczynka odczytywała przeszłość tak samo, jak ona widziała przyszłość, i udało jej się przejrzeć jej mrok.

A może śmierć istniała i była czymś innym od pustki? Miejscem, skąd można wrócić czasami, by przesłać swoje pozdrowienia. Być może Yorhowi i Arduinowi dane było przekroczyć jego bramy, aby pozdrowić istotę, w której żyłach krew elfów płynęła razem z krwią ludzi i orków.

Na skrzyni, na której Parzia położyła koszulki nocne chłopców - Yorsha, wyszywaną błękitną nicią, i Arduina, zieloną -zobaczyła bączek i drewnianego konia, które Solario wystrugał dla Erbrow, i uśmiechnęła się do swojej hojnej dziewczynki, która zrezygnowała z tych zabawek, aby braciszek mogli mieć coś swojego. Spytała swej córki, gdzie się podziały lalka i łódeczka: wówczas zdała sobie sprawę, że dawno już ich nie widziała.

- Juz - odparła mała, rozkładając rączki.

Jutrznia poczuła się nieswojo.

To były zabawki, które jej ojciec i matka zrobili dla niej: przyniósł je jej Yorsh, uratowawszy je ze zniszczonego domu. Zawsze rozczulał ją widok Erbrow z tymi zabawkami w rączkach.

270

- Nie masz ich już, zgubiłaś je? Och, nie - spytała.

Natychmiast pożałowała tych słów. Zabawki nic jej nie obchodziły.

Jedynym, na czym jej zależało, były jej dzieci. W tę noc, pełną czułości, nie chciała zasmucać Erbrow, czyniąc córeczce wyrzuty o to, że zgubiła lalkę i łódkę, choć to było wszystko, co pozostało po jej dzieciństwie.

Nieuwaga jest czymś normalnym w wypadku dziecka. Zabawki na ogół są przecież gubione, psute,

zapominane.

Erbrow wcale się nie zmieszała i ani trochę nie zasmuciła.

- Akkail - wyjaśniła pogodnie.
- Rankstrail? Dałaś je Kapitanowi? - spytała Jutrznia zdumiona. -

Łódeczkę i lalkę? Kapitanowi?

• Akkail, Aoa. Eci - wyjaśniła Erbrow, znów rozkładając rączki takim gestem, jaki wykonuje ktoś, kto tłumaczy coś naprawdę oczywistego.

• Rankstrail, Aurora? Dałaś je Aurorze i Rankstrailowi dla ich dzieci?

Erbrow przytaknęła, potem ziewnęła. Jutrznia wybuchnęła cichym śmiechem. Po raz pierwszy, odkąd straciła Yorsha, usłyszała dźwięk swojego śmiechu.

- Dzielna dziewczynka, wspaniały pomysł. A zatem sprawili śmy im już prezent ślubny?

Mówiła do siebie. Jej córka zamknęła już duże błękitne oczy i zapadła w sen. Teraz lalka i łódka dziewczynki przejdą pod czułą opiekę dzieci furory i Kapitana.

- To był naprawdę wspaniały pomysł - dodała szeptem, nadal mówiąc do śpiącej dziewczynki. - Jako pierwsi sprawiliśmy im prezent ślubny. Zrobiliśmy naprawdę dobre wrażenie, i w dodatku zaoszczędzimy, nie wykosztowując się na coś innego, droższe go, a w hrabstwie po trzydziestu latach rządów Zarządcy i mie sięciu obłężenia przez orków ze złotem i srebrem trzeba uważać.

Nagle z przerażeniem przypomniała sobie, że przeklęła Aurorę.

Z71

Ta myśl zmroziła radość chwili, była niczym szron na kwiatkach w kwietniu.

Jutrznia nigdy się nie modliła.

Ani razu przez całe swoje życie nie zaniósła do bogów żadnej modlitwy.

Skoro nic nie potrafili zrobić, nie warto się było do nich modlić. Jeśli mogąc zrobić wszystko, pozwalali na ból, nędzę, samowolę, deptanie sprawiedliwości, krzywdę niewinnych, to już wolała trafić do piekła, niż pomodlić się do nich. Nie modliła się, kiedy powieszono jej rodziców. Nie modliła się w obliczu śmierci Yorsha. Nie modliła się o to, żeby jej dzieci przyszły na świat zdrowe, jako że wydawało jej się to nieprzyzwoite, skoro innym kobietom, które nigdy nie zrobiły nic złego, rodziły się dzieci upośledzone fizycznie lub umysłowo. Nigdy się nie modliła.

Tej nocy pomodliła się szczerze, z całego serca. Poprosiła o wybaczenie niewdzięczności i przeprosiła za nienawistne myśli. Podziękowała za życie, swoje i wszystkich innych, także tych

cierpiących, również tych, którzy urodzili się upośledzeni. Zrozumiała, że bez bólu niemożliwe byłoby stworzenie ludzi i podarowanie im wolności. Dlatego też musiało istnieć zło. Zrozumiała, że zadaniem tego, który stworzył świat, wcale nie jest interwencja, by nie dopuścić do cierpienia. Cierpienie trzeba bowiem zrozumieć. Poprosiła o przebaczenie i błagała, by przekleństwo, które rzuciła, nie zadziało. Modliła się i modliła. Nie poprosiła o przebaczenie za to, że zabiła Argniola, bo był to jedyny sposób, by mogła przeżyć, lecz przeprosiła za zbezczeszczenie jego zwłok. Bo przecież Argniolo także był

kiedyś w łonie matki. Za to samo przeprosiła w wypadku orków, których kazała ściąć.

Jutrznia wyplakała spokojnie swoje ostatnie łzy, ciesząc się największym szczęściem, jakim napawał ją oddech jej dzieci i ich zapach pod wielkim przykryciem, które było jak chmura. Nakarmiła piersią malców, gdy się obudzili, aby dźwięk ich płaczu,

272

choć tak przyjemny, nie rozległ się w komnacie. Długo czuła pod palcami loki Erbrow, gładkie i miękkie włoski Arduina i wciąż jeszcze łysą główkę ostatniego dziecka, tego, które nosiło imię ojca. Malca, który był już w Królestwie Śmierci i stamtąd wrócił.

O świcie usnęła także ona. Gdy zamykała oczy, do jej uszu zaczął

dobiegać jedyny w swoim rodzaju, delikatny, wesoły odgłos deszczu. Juna zasnęła, zasnęła i śniła, a jej zmęczenie wreszcie się zniknęło, tak jak kurz ginie w wodzie.

Ujrzała ciasne i ciemne miejsce, zamknięte, jak krąg, i zrozumiała, że znajduje się we wnętrzu jakiejś torby.

Były tam pestka jakiegoś owocu, list, którego nie dało się już odczytać, i lalka z drewna z małą łódeczką, które należały kiedyś do niej, a teraz miały należeć do dzieci kobiety, którą ona pewnego dnia przeklęła, i po jakimś czasie zrozumiała, że dar unieważnił przekleństwo. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że do starego drewna przyczepione były wciąż białe i karmazynowe płatki kwiatów, które teraz się odczepiły i opadły na dno torby, gdzie połączyły się z innymi płatkami, starymi i zeschniętymi, w tych samych kolorach. Tak jak łączą się ręce w długo oczekiwanych objęciach. Krew ostatniego smoka i ostatniego elfa zetknęły się na płatkach. Ciemny i zamknięty krąg otworzył się na światło, bo był nie tylko wnętrzem torby, ale i mrocznym znakiem królestwa śmierci: Juna zobaczyła przeszłość każdej istoty, która jednoczyła się z jej przyszłością, gdzie każdy ból znajdował pocieszenie.

Ujrzała Wzgórza Nowego Księżyca, pełne maków i kwitnących janowców, a ponad nimi wielkie skrzydła smoka, na których sierść przeplatała się z łuskami układających się we wspaniałe spirale, a na jego grzbiecie dostrzegła, siedzących między jego wielkimi skrzydłami, wojowników, którzy go zabili i którym zostało to wybaczone, bo to, czego się dopuścili, nie miało niszczyć, lecz ratować. Tej grupie żołnierzy zawdzięczała swe życie dziewcz-273

czynka, która po tym smoku odziedziczyła imię. Juna zobaczyła dłonie, na których nie brakowało już



palców, przebiegające po miękkiej sierści, i zrozumiała, że mężczyźni i smok pocieszali się nawzajem, wymieniając imiona dzieci, które uratowali. Ujrzała Jastrina biegnącego na wietrze, a także Yorsha, którego wspominała. Rozpoznała cichego i wysokiego mężczyznę: pierwszego z żołnierzy, co poległ, walcząc pod jej dowództwem, a za nim wszystkich innych, którzy poszli w jego ślady.

Widziała niezmiernie długi, suto zastawiony stół, gdzie delikatne batystowe i lniane obrusy przeplatały się z tymi z grubej bawełny i z płótna, i rozpoznała Przełożonego Domu Królów, zdyszanego i zadowo-lonego z przygotowań do niekończącej się uczy, po której nikt już nigdy nie odczuje głodu; gdzie fantastyczne nadziewane bżanty i zwyczajne misy słoniny z fasolą przeplatały się z karne-lizowanymi w miodzie nietoperzami i szczurami w orzeszkach piniowych, którymi żywili się oblegani mieszkańcy. Otulonych delikatną, poranną mgłą ujrzała swoich rodziców, swojego ojca i swoją matkę... Daleko w tle dostrzegła cienie orków, których kazała pochować. Na samym końcu zobaczyła cień Argnioia - też musiał być kiedyś dzieckiem i także miał swoją historię do opowiedzenia.

Miliony kropel oderwały się od chmur zawieszonych nisko na niebie, które od wielu dni przytłaczało miasto, i spadły na Dali-gar, napełniając studnie, krusząc zaduch, zmywając pył i krew, tę Jastrina, tę Lisentraila, tę należącą do wszystkich, którzy ją przelali, by zmarłych upamiętniała już tylko tęsknota. Krople deszczu połączyły się w cienkie strumyczki, małeńkie potoki, które słyęły z dachów i po schodach, zabierając ze sobą krew Argnioia i orków; oczyściły pale, na których wystawiano ścięte głowy, a od tej pory miały służyć do podtrzymywania pędów fasoli. Zmyły krew przelewaną latami przez katów, zakuwających niesprawiedliwie w dyby, i zmyły wstyd tych, co patrzyli i nic nie zrobili.

274

Deszcz połączył się z ziemią, by trawy znów mogły stać się zielone, by liście winorośli mogły dumnie się podnieść, oddychając czystym powietrzem, by główki kapusty mogły otworzyć się w blasku swoich niemal błękitnych liści. Skórka pomidorów, pomarszczona przez upał, na powrót stała się jędrna.

27

# R

ankstrail, młody kapitan z Daligar, pogromca orków, wyzwoliciel Varil, obrońca honoru rodu ludzi, dotarł do swojego miasta, gdy ostatnie promienie popołudniowego słońca lśniły na tle soczystej i delikatnej zieleni dojrzałego ryżu. Kiedy mijał Wielką Bramę prowadzącą do Zewnętrznego Kręgu i zsiadał z konia, pierwsze światła zachodu zamigotały, czerwone i ukośne, nad pierścieniem murów oraz nad wzgórzem migdałowców i drzewek pomarańczowych, na którym wznosiło się miasto.

Kapitan odprawił dwóch żołnierzy, którzy rozpoznali go w bramie, i powierzył im wilka oraz swojego wspaniałego rumaka, czarnego niczym skrzydła kruka, niczym oddech nocy.

Nie chciał zabierać nikogo ze sobą. Ruszył na piechotę, całkiem sam.

Maskował go płaszcz, a wraz z nim ukrywał także miecz, który nosił u boku. Przebył przez rynsztoki, gdzie dzieci bawiły się pośród kur i stada gęsi. Śnieżna biel skrzydeł ptactwa zlewała się z bielą chmur, odbijających się w lustrach kałuż.

Po kamiennych murach znów piał się bluszcz, rosły tam mchy i krzewy z małymi kwiatami. Odrodziły się także kolorowe ogródki warzywne wśród wyższych partii murów. Na południowej ścianie całe drzewo, prawdziwa dzika wiśnia, wyłaniało się krzywo z pionowego muru. Jego korzenie znalazły między kamieniami wystarczająco dużo miejsca, by się zaczepić i pozwolić

276

drzewu żyć, rosnąć, kwitnąć, rodzić małe, kwaśne owoce. Wiśnia odbijała się w kałużach wraz z chmurami.

Potoki ciągnęły się dalej w rynsztokach kuchennych, łączących się z wodą z fosy, która spływając ze wzgórza, zasilala stawy, a te błyszczały wśród pól ryżowych i kanałów. Wszystko to razem wyglądało jak idealne miasto błota i wody, w której odbijało się niebo: niekończąca się przestrzeń żywiąca niezliczone ilości ślimaków i żab, co od niepamiętnych czasów kończyły w garnkach, razem z czosnkiem i pietruszką, zwiększając w ten sposób szanse na przeżycie mieszkańców Zewnętrznego Kręgu.

Różne głosy mieszały się ze sobą, goniły się nawzajem, urywały się.

Rankstrail zbliżył się do zachodniej ściany ostatnich murów, na której z powrotem pojawiły się kramy sprzedawców wody i stragany z podpłomykami i marcepanem, napełniając powietrze delikatnymi zapachami oraz ostrym dymem ciecierzycy opiekanej nad węglem.

Ukrywając twarz pod kapturem, dowódca miasta kupił sobie największe ciastko z sezamu i miodu, jakie było na sprzedaż na maleńkim placu handlowym, i wreszcie zanurzył w nim zęby. Zamknął oczy i na moment musiał się oprzeć o mur, bo przyjemność przyprawiła go niemal o zawrót głowy.

Na tyłach targowiska odnalazł kucającego przy murze sprzedawcę dywanów, który pochodził z miasta karawan Darboga, Daru Bogów, które zostało zniszczone przez trąbę powietrzną i dawniej,

zanim zatopiła je powódź, nazywało się Gounnert, czyli Lubiana, powstała z kolei na ruinach Lakkil, czyli Fortuny, zmiecionej z powierzchni świata przez trzęsienie ziemi. Mężczyzna powtórzył mu w swoim dziwnym dialekcie, że jeśli kiedykolwiek udałoby mu się sprzedać jakiś dywan, to mógłby tam wrócić, do swojego miasta, i wtedy wszyscy razem odbudowaliby je, używając nie drewna i skóry wielbłądziej, lecz kamienia, a na czubku każdego kamiennego budynku byłyby kopułki z lazary-277

tu, by nic nie mogło już zniszczyć miasta. Nazwaliby je Samkid, czyli Niezwyciężone. Rankstrail kupił od niego wszystkie dywany w kolorach wiatru i słońca, prosząc, by je dla niego zatrzymał, dopóki nie wymyśli, gdzie je umieścić, a potem oddalił się, Żegnany całą serią błogosławieństw, równie wymyślnych i niezrozumiałych jak przekleństwa, które handlarz wypowiadał dawniej pod jego adresem.

Rankstrail minął pień dzikiej wiśni, wciąż jeszcze czarny od płomieni oblężenia, z maleńkimi kępkami zielonych listków, które niczym kwintesencja wiosny zakwitły na szczycie jednej, jedynej gałęzi, jaka ocalała od ognia. Zatrzymał się, by na nią spojrzeć, i delikatnie musnął

dłonią pomarszczony pień, brudząc sobie sadzą palce i brzeg bandaża, który wciąż nosił na dłoni, choć od dawna nie czuł bólu.

Dom jego ojca został odbudowany i był taki sam jak wcześniej. Mieścił

się w zagłębieniu między przyporami drugiego pierścienia murów, do których dodano dach i nieuchronnie krzywą ścianę oraz drzwi. Całe domostwo pokryte na koniec zdobieniami. Wysoko, znad bastionów osmalonych niedawnym pożarem, bluszcz i kwitnące kapary spływały znów na maleńki domek. Młody Kapitan przypomniał sobie o kijankach, które tu łapali, o ślimakach i żabach tu zjedzonych, o czaplach upolowanych nielegalnie, aby wnieść zaległe opłaty za warsztat stolarski i rzeźbiarski, wciśnięty między przypory drugiego pierścienia murów a dziką wiśnię.

Jego palce musnęły torbę, szorstką i zużytą, ukrytą pod aksamitnym kaftanem. W środku znajdowała się pestka z brzoskwini, która upamiętniała pierwszych zabitych, jakich pomścił. Były tam również płatki kwiatów poplamione krwią smoka, co poświęcił swe życie, by ratować swojego brata elfa. Był list podyktowany przez jego ojca, gdzie słowa: „Kochany synu, marzę w każdej chwili o twoim powrocie i o twój powrót w każdej chwili się modłę...”, zrobiły się już nieczytelne, bo opuszki Kapita-278

na dawno temu je zamazały. Były tam zabawki podarowane mu przez Erbrow, by wzbudzić jego litość i rozweselić jego przysze dzieci. Których postanowił nigdy nie mieć.

Kiedy wszedł do środka, zapadł już mrok. Jego ojciec był w domu, siedział na kawałku pnia między kominkiem a łóżkiem, które zajmowało prawie całą przestrzeń. Drzwi drugiego maleńkiego pomieszczenia, gdzie stało łóżko jego siostry, były zamknięte - znak, że poszła już spać.

Borstril, jego najmłodszy brat, spał spokojnie na sianie na drewnianej antresoli, która dzieliła na pół i tak niewysoki pokój. Rankstrail spojrział na ojca. Nie przypominał sobie, by aż tak się garbił. Wydał mu się mały, zniszczony. Włosy miał bielsze i rzadsze, niż kiedy widział go ostatni raz.

Dłonie starego człowieka drżały, czego wcześniej także nie zauważył.

Ojciec podniósł wzrok znad ławy, którą z mozołem naprawiał, dłońmi, co wydawały się już nie jego własnymi. Zobaczył Rankstraila i uśmiechnął

się. Na moment się rozpromienił.

Kapitan podszedł bliżej. Przerastał staruszka niczym góra. Odwzajemnił

uśmiech, lecz ten jego był słabszy, lekko tylko zarysowany. Długo milczał.

- Ojczy, wybaczcie mi, przyszedłem was spytać, kim jestem -

powiedział wreszcie cichym głosem.

Starzec przestał się uśmiechać. Zachwiał się, lecz ani na moment nie oderwał swych oczu od twarzy Kapitana. Nastąpiła kolejna długa cisza.

- Ty jesteś moim synem - powiedział wreszcie. - Jesteś moim pierworodnym synem. Jesteś synem moim i mojej małżonki.

Masz jej oczy. Ty jesteś... no właśnie. Uśmiechasz się tak jak ona... Jesteś moim synem... Jesteś naszym dzieckiem, naszym pierworodnym synem...

Głos starca słabł na ostatnich sylabach. Rankstrail przytaknął. Potem ukląkł przed staruszkiem, ujął go za dłoń, zdejmując ją delikatnie z ławy, ucałował ją, a na-279

stępnie pochylił głowę, by ją na niej położyć. Dłoń starca była blada i smukła, ujęta przez dłonie kapitana: ogromne, krótkie i ciemne.

- Wiem o tym - potwierdził Rankstrail pogodnie. - Wiem o tym - powtórzył jeszcze. - Nie mógłbym żyć, gdybym o tym nie wiedział. Wiem, że jestem waszym pierworodnym synem, i ta świadomość towarzyszyła mi na każdym kroku, pozwalała mi oddychać.

Dłoń starca była zimna na jego płonącym teraz czole. Czuł jej drzenie.

Pozostali tak długo, w ciszy.

- Teraz proszę was, ojczy, powiedzcie mi, kim ja jestem - po wtórzył, a cienie wieczoru wdzierały się już do małego domku, jakby walcząc ze światłem ognia, który przygasał.

Dopiero gdy za drzwiami, które pozostały cały czas otwarte, pojawił się blask pierwszych gwiazd na niebie, głos jego ojca odezwał się ponownie.

- Zanim nadeszły Niekończące się Deszcze, żyliśmy u wejścia do wschodniej równiny, na skraju Ziemi Znanych. Nasza wioska była biedna, ale nie nędzna. Kochałem twoją matkę i wiedziałem, że ona mnie chciała. Czekaliśmy tylko na letni księżyc i zbiory, a potem mieliśmy się pobrać. Ja

potrafiłem rzeźbić w drewnie, miałem sześć kóz i byłem w odpowiednim wieku, by wziąć sobie żonę. Ale tamten księżyc nie przyniósł żadnego lata, a początek Niekończących się Deszczów i zatopiony świat pograżył się w nędzy. Kozy potonęły, ziemniaki zgniły. Nie było nic, by móc jak należy poprosić o rękę kobiety. Ośmieliliśmy się poskarżyć i może właśnie za to ukarali nas władcy piekła: demony nie lubią niezadowolenia i mszczą się za złorzeczenie. Kiedy już myśleliśmy, że nędza była wystarczająco okrutna, a los wystarczająco niesprawiedliwy, zjawili się orkowie i na nas napadli. Nie potrafię ci powiedzieć, skąd przybyli. To byli pierwsi, jakich widzieliśmy: od rządów Arduina orkowie nie pokazywali się, ale za 280

dawnych czasów granic strzeżono i istniały forty oraz systemy ogni sygnalizacyjnych. Wtedy natomiast tylko nasze pola fasoli wyznaczały granicę między znanym i nieznanym, ale podobnie jak i stepy, z którymi graniczyliśmy, zamieniły się w błoto. Głód zaprowadził orków do naszych domostw. Znaleźli to, co zostało z naszych zapasów fasoli, ale to nie było wszystko, czego chcieli. Nasze kobiety... widzisz... my nie...

Starzec przerwał. Na moment ukrył twarz w dłoniach. Potem znów zaczął mówić.

- My nie zdołaliśmy ich obronić - kontynuował. - Trudno to wytłumaczyć. Wiem, że powinniśmy byli ich bronić albo zginąć, próbując tego dokonać... Chodzi o to, że... widzisz... my się tego nie spodziewaliśmy. Nie mieliśmy ani wartowników na czatach, ani rogów, ani ogni sygnalizacyjnych. Nie mieliśmy nic, a oni rzucili się na nas jak...

jak wilki nocą. Zanim się zorientowaliśmy, co się dzieje, połowa z nas była martwa, a druga połowa cierpiała tak bardzo, że marzyła już tylko o tym, by dołączyć do tamtej. Tak, tak właśnie się to odbyło. Połowa z nas była martwa, a druga połowa miała dołączyć do tej tamtej... A potem stało się tak, jak zawsze dzieje się w takich wypadkach. Ci z nas, którzy jeszcze oddychali, podnieśli się z ziemi i postanowili znów zacząć żyć.

Ugasiliśmy pożary, pochowaliśmy zabitych, opatrzyliśmy rany żywych i postanowiliśmy już na zawsze udawać, że nic się nie stało. Pochowałem mojego ojca i przysiągłem sobie, że znienawidzę i zniszczę jakąkolwiek istotę, która będzie w sobie miała krew orka. Kobiety, które trzy pory roku później urodziłyby dzieci orków, miały je wrzucić do stawu powstałego poniżej wzgórza wskutek deszczy, i po wszystkim nie miał pozostać żaden ślad. Honor wioski musiał zostać przywrócony. Ale ona nie chciała. To znaczy: twoja matka. Powiedziała, że jesteś dzieckiem. Dzieckiem i koniec.

Wszystkie dzieci płaczą w ten sam sposób. Powiedziała, że honor ludzi polega też na tym, że nie zabija się dzieci. Nigdy. Inaczej bylibyśmy jak orkowie. No i przepędzili ją. A ja,

281

który przysiągłem, że znienawidzę i zniszczę każdą istotę, która będzie w sobie miała krew orka, ja... zrozumiałem, że z dala od niej... i od ciebie...

moje życie byłoby tylko bagnem. Spytałem, czy zechce, bym został jej mężem i twoim ojcem. Ona nie chciała, bo jej twarz została oszpecona, a łono zbrukane, a ja jej powiedziałem, że... ja jej powiedziałem, że... wiesz, to były trudne słowa, przygotowałem je sobie wcześniej... a ja jej

powiedziałem, że chciałbym być bogaty, silny, piękny, chciałbym być królem, by złożyć u jej stóp moje królestwo, chciałbym być przynajmniej złodziejem, tak, aby mieć czym was nakarmić, ale byłem niczym i nikim, a jedynym, co mogłem jej zaoferować, byłem ja sam, mężczyzna bez niczego, który błąkał się po krainie zatopionej w błocie. Powiedziałem jej, że gdy będziemy razem, noc stanie się mniej zimna, światło wstawać będzie wcześniej, podczas gdy w pojedynkę świat nas po prostu zmiażdży, i chociaż może nikt nie pofatygowałby się, aby nas zabić, to nasza własna udręka zdusiłaby nasz oddech, nim nastanie kolejny dzień. Nie mogliśmy w żaden inny sposób zaradzić orkom jak tylko w ten sposób: niweczając czyny, których się na nas dopuścili, i ocalając mimo wszystko życie.

Chciałem, aby została moją żoną, żebym mógł ją kochać ponad wszystko. Jej twarz znów byłaby nietknięta, a jej ciało nienaruszone, bo takie były w moich oczach i takie byłyby również dla niej. Orkowie, którzy zniszczyli nasz lud i zbrukali jej łono, pozostałoby tylko zapomnianym koszmarem zimowej nocy. Dziecko, które się z niego narodziło, miało być naszym pierworodnym synem i miłością, którą byśmy mu dali, na zawsze pokonałaby zniszczenie i nienawiść, utopiłaby je w bagnie innych bezsensownych okrucieństw.

Starzec zamilkł. Znow zapadła długa cisza. Ogień w kominku zgasł.

Rankstrail ledwo oddychał. Zerwał się wiatr, drzwi trzasnęły. Ojciec zadrżał z zimna. Kapitan wstał, zamknął drzwi, narzu-282

cił na plecy starca swój płaszcz i rozpalił ogień. Blask płomieni ponownie rozświetlił pokój. Mrok się rozproszył. Ojciec spojrzał na syna.

- Cieszę się, że to ty uratowałeś miasto - powiedział do młodego żołnierza, a potem powtórzył to.

Rankstrail przytaknął. Miał wrażenie, jakby trafił do piekła i stamtąd wrócił. Przeklęta wątpliwość, która nie dawała mu spokoju przez całe życie, jadowita glista, co od zawsze zżerała jego myśli, a on przepędzał ją w jakiś zakamarek swojego umysłu, wystarczająco ciemny, by móc udawać, że o niej zapomniał, teraz nie mogła już zostać przepędzona. Prawda stała przed nim niczym od dawna poszukiwany, umykający mu i wreszcie napotkany potwór. Spojrzał w oczy swojemu ojcu i potwór, w którego cieniu znajdował się przez całe życie, rozplątał się na zawsze, wraz z upiorami pewnej błotnistej nocy na polach fasoli na obrzeżach Ziemi Znanych. Jest pierworodnym synem mężczyzny i kobiety, którzy kochali się ponad wszystko. Jest pierworodnym ich miłości. Cała reszta utonęła w bagnie niepotrzebnych nikomu rzeczy.

Bramy piekła zamknęły się i on nie otworzy ich już z powrotem, dla nikogo.

Starzec spojrzał zaniepokojony na zabandażowaną dłoń.

•Jesteś ranny? - spytał.

•Nie, już nie - odparł Rankstrail, zmieszany.

Staruszek musnął palcami brzeg aksamitnego rękawa i wskazał insygnia ze złota.

- Teraz jesteś kimś ważnym - stwierdził. - Jesteś... jesteś też bogaty? - zapytał nieśmiało.

Rankstrail przytaknął.

- Oczywiście - odparł. - Oczywiście - powtórzył, czując się winnym tego, że nie pomyślał do tej pory, jak wyciągnąć staruszkę z jego maleńkiego domu. - Jutro pierwsze, co zrobię, to poszuka-

kam ci prawdziwego domu, ze wszystkimi ścianami... oknami, ogrodem...

ogródkiem warzywnym...

- Nie, nie, to nie dla mnie, to nie dla mnie - zaprotestował

starzec. - To jest mój dom i nie chcę go opuszczać. Tutaj przeżyłem całe życie. Tu zmarła twoja matka. Jej grób jest o pięćdziesiąt kroków stąd i kiedy tylko czuję się samotny, mogę iść i z nią porozmawiać. I sąsiadów też znam. To dla twojej siostry. Ma wyjść za mąż... - wyjaśnił ze zmartwioną miną.

Ten skok w wir codzienności rozpromienił duszę Kapitana.

•Syn piekarza zdecydował się poprosić o jej rękę? Możemy powiedzieć tej hienie, jego matce, że teraz dostanie taki posag, jaki tylko będzie chciała.

•Nie, to nie syn piekarza, to książę łuczników poprosił o jej rękę.

•Książę Erik, dowódca łuczników? Potomek najważniejszego rodu w mieście?!

•Właśnie on. Chce pojąć twoją siostrę za żonę, ale powiedział, że posag nic go nie obchodzi i nie chce nawet o nim słyszeć. Mówi, że jej łuk i jej odwaga to i tak już... jak on to powiedział? Okazały posag. Oni cały czas wszędzie byli razem. Wiesz, razem zorganizowali obronę miasta. Twoja siostra nauczyła strzelać z łuku wszystkie kobiety w Varil. Nawet wielką damę. Nawet praczkę. Żebyś ją widział... On powiedział, że zaszczyt poślubienia Fiammy, a do tego zaszczyt poślubienia dziewczęcia, które jest twoją siostrą, o wiele bardziej się liczą...

Rankstrail wybuchnął śmiechem: długim, wyzwającym śmiechem, który długo jeszcze rozbrzmiewał w małym domu. Staruszek nie roześmiał się, lecz nadal był zmartwiony.

- Choć on nic nie chce, musimy przecież coś wysupłać. Po trzeba jej będzie suknia ślubna. Jak się patrzy. To w końcu książę... Swoją suknię, wiesz, tę, która należała do twojej matki, włożyła i poszła w niej na wojnę. Może to i dobrze... Wiesz, miała ją na sobie, kiedy po raz pierwszy się spotkali. Była taka 284

piękna. Wzięła strój ślubny, żeby w nim umrzeć. Ale teraz suknia jest cała w błocie i krwi, i nawet jeśli uda nam się ją doprać, nie będzie mogła...

Rankstrail go uspokoił. Ojciec wciąż wydawał mu się o wiele mniejszy, niż go zapamiętał. Pomógł mu się położyć, a potem został przy nim jeszcze jakiś czas.

Zanim zasnął, staruszek szepnął:

- Cieszę się, że to ty właśnie uratowałeś miasto.

Rankstrail znów uklęknął i ucałował jego dłoń.

Kiedy ojciec usnął, wyszedł na zewnątrz. Musiał przejść całe miasto, by dotrzeć do schodków prowadzących w górę, na bastiony i ostatni z trzech pierścieni murów, ten, który widać było nawet z daleka.

Zapalono pochodnie.

Jego płaszcz pozostał na ramionach staruszka. Złote insygnia Rankstraila zalśniły w świetle ognia. Ludzie, których spotykał po drodze, rozpoznawali go i pozdrawiali, kłaniając się, gdy ich mijał. Niektórzy klękali.

Rankstrail dotarł do wschodnich bastionów i wspiął się na górę.

Wartownicy wyprężyli się, salutując mu. Objął wzrokiem równinę, która ciągnęła się aż do Gór Ciemności. O wojnie przypominały wciąż obecne na horyzoncie ognie obozowisk orków i rzędy pali po obu stronach wielkiej bramy z nadzianymi na nie głowami wrogów, które pod strasznymi maskami wojennymi już się rozkładały.

- To ich przeraża - ośmielił się wyjaśnić dowódca żołnierzy, który nadbiegł, by go powitać na murach. - To znaczy orków.

Przeczytaliśmy w jakiejś starej kronice, że ścięcie ich przeraża, bo wierzą, że będą musieli pozostać bez głowy w królestwie zmarłych. To jedyne, co napawa ich strachem.

Rankstrail odprawił go i został na miejscu sam, by długo jeszcze patrzeć na ognie obozowisk w oddali i pale prosto pod nim. Potem posłał po dwóch komendantów miasta.

285

Oznajmił im, że nazajutrz przypuszczą atak, by oswobodzić pola ryżowe, i polecił, by sprawdzono, czy wszystko w porządku z uzbrojeniem i czy wydano ludziom odpowiednio dużo strzał. Rozkazał, by zastąpiono wszystkie zbroje komżami z metalowych płytek, jakie nosi lekka kawaleria, ponieważ łatwiej się było w nich poruszać i nie błyszczały w słońcu, ściągając tym samym uwagę łuczników na tego, kto miał je na sobie. Rozkazał, by zabrano głowy orków, które wciąż jeszcze pozostały na palcach przed bramą miasta, i dołączono je do zwłok, o ile to było możliwe, oraz pogrzebano wrogów. Rozkazał, by nie dobijano rannych lub schwytanych orków, lecz brano ich w niewolę, i na koniec zażądał, by przywrócono do użytku stare podziemne więzienie, które znajdowało się między studniami pośrodku miasta, i polecił, aby nie zabrakło tam czystej wody ani bandaży dla rannych wrogów.

Jego słowa przyjęto w ponurym, ale wymownym milczeniu.



Po chwili przerwał je młodszy z jego komendantów, wysoki mężczyzna z gęstą i krótką brązową brodą. Spojrzał na Rank-straila swoimi błękitnymi niczym stal oczami, w których malowały się rozczarowanie i uraza.

- Orkowie wymordowali moją rodzinę, mój panie - powie dział w końcu. - Jeden z moich synów, a był jeszcze dzieckiem, błąka się teraz samotnie po królestwie śmierci, do którego trafił

wcześniej niż ja. Orkowie spalili mój dom. Za każdym razem, gdy zamykam oczy, krzyki, które unosiły się wtedy w powietrzu, rozbrzmiewają na nowo i wiem, że niemożliwe jest, by człowiek miał żyć na tyle długo, aby dane mu było o nich zapomnieć.

Rankstrail długo przyglądał się temu człowiekowi, nim odpowiedział.

Wydawało się, że szuka właściwych słów. Wreszcie je znalazł.

- Myślę, że żaden ból na świecie nie równa się z bólem ojca i matki zmuszonych do patrzenia, jak ich ukochana istota wyprzedza ich, opuszczając ten świat. Jednakże widziałem, co orko-286

wie zrobili moim ludziom, mojej rodzinie, a zatem proszę was, pozwólcie mi teraz mówić do was tak, jak mówi się do brata... -Kapitan przerwał, zaczerpnął tchu, a potem ciągnął: - Twój ból jest moim bólem. Jeśli w zamian za moje życie twojemu dziecku mógłby zostać przywrócony oddech, przysięgam ci, że oddałbym je. Jeśli w zamian za moją rękę twój ból mógłby zostać ukojony, przysięgam ci, że bym ją sobie odciął. Twoje dziecko nie jest samo w królestwie śmierci, bo wszyscy nasi przodkowie przyjęli je i pocieszyli, a gdy my przejdziemy na drugą stronę wiatru, ujrzemy je oczekujące nas na ogromnych łąkach pod bezkresnym niebem, gdzie gwiazdy lśnią, nawet gdy świeci słońce. Wydam rozkaz, by zawsze w rocznicę jego śmierci zapalano pochodnie i składano kwiaty w miejscu, które było świadkiem końca jego życia, bo zapomnienie o bólu to hańba najgorsza ze wszystkich. Teraz rozkazuję, by przygotowano groby dla orków, którzy zginęli, i miejsca, gdzie ci, których weźmiemy do niewoli, przeżyją i będą mieć czystej wody pod dostatkiem.

•Mój panie - powiedział starszy z dwóch komendantów, trochę przygarbiony mężczyzna z siwą brodą - to są orkowie.

•Ale my nimi nie jesteśmy - odparł Rankstrail.

Rankstrail usiadł na balustradzie bastionu. Jaśminy właśnie kwitły, ich zapach wypełniał powietrze, które niosło w sobie dziką słodycz nocy pod koniec lata. W oddali, nad Daligar, kłębiły się wielkie chmury, deszcz miał

spaść i przepędzić spiekotę, lecz nad Varil niebo było wciąż puste.

Rankstrail po prostu zaczeka, aż minie noc.

Wraz z nastaniem nowego dnia przypuści rozstrzygający atak i odzyska równinę Varil dla rodu ludzi.

Nie zdołałby zasnąć i nawet nie spróbował tego zrobić.

Ból komendanta i opowieść jego ojca nie dawały mu spokoju.

Wiedział, że szykują się, aby wybrać go na króla - cześć, jaką wszyscy mu oddawali, nie pozostawiała wątpliwości. Pomyślał, że prawdopodobnie przejdzie do historii jako Rankstrail Samotnik. Nie wyobrażał sobie, by kiedykolwiek mógł znaleźć w sobie odwagę i zaproponować komuś swoją krew, by założyć nowy ród. Bramy piekielne zamknęły się i dla nikogo już ich nie otworzy. Będzie żył samotnie i tak umrze. Dopełni swojego obowiązku, by nikt nigdy nie musiał się za niego wstydzić. Nigdy nie będzie miał potomstwa. Stanie się dla miasta królem sprawiedliwym i samotnym. I będzie zaszczycony, mogąc piastować taki urząd.

Pomyślał o sukni ślubnej, którą jego matka wyhaftowała, lecz nigdy potem jej nie włożyła. Zostawiła ją jego siostrze. Suknia miała kilka rzędków haftu zrobionych w tylnej części, by nikt 288

nie wątpił, że była nowa, kiedy mama zabrała ją ze sobą w czasie ucieczki.

Nieużywana, została złożona w domowej skrzyni.

Przypomniawszy sobie, jak jego matka, będąc na łożu śmierci, kazała go wezwać i powiedziała mu, że zaszczytem było dla niej mieć takiego syna.

Rankstrail często wtedy o tym myślał. Jedyne, co potrafił zrobić, to po prostu żyć, oddychać, opiekować się młodszą siostrzyczką, pomagać w praniu, albo samemu je robić, rąbać drewno, nosić wodę, wspierać ojca, polując na czaple, żeby w domu było co jeść.

Jako dziecko przysiągł sobie, że będzie żył tak, aby nie zawieść oczekiwań matki, i zostanie kimś, z kogo można być dumnym. Jego upór rósł z każdą chwilą. Jego matka i ojciec zawsze będą z niego dumni.

Kiedy już wyzwoli równinę, rozstawi warty i ognie sygnalizacyjne na Pograniczu, aby wilki już nigdy nie mogły wtargnąć nocą do domów i wiosek, a ludzie nie dzielili się na tych, którzy zostali zabici, i tych, co chcą do nich dołączyć. Już nigdy więcej żaden ojciec nie będzie musiał

opłakiwać swojego syna z powodu orków. Wypełni swe zadanie przywracania bezpieczeństwa rodu ludzi na jego ziemi, a potem umrze.

Zamknął bramy piekła za swoimi plecami i już nigdy ich nie otworzy, będzie żył i umrze samotnie.

W oddali ujrzał sporą grupę zbrojnych nadciągających z Daligar i pobłogosławił Królową Czarownicę za przysłanie mu ich. To jego najemnicy, którzy pozostali w Daligar i byli właśnie tym wsparciem, jakiego mu brakowało, by podtrzymać ducha swego oddziału i zwiększyć siłę uderzenia kawalerii podczas starcia. Nagle domyślił się, kto nimi dowodzi.

Jego serce niemal zamarło z przerażenia i zrobiło mu się niedobrze, gdy na czele żołnierzy rozpoznał Aurorę.

Lada chwila przyjdą ogłosić mu jej przybycie.

289

Nowy dzień to czas ostatniej bitwy. Znów będzie musiał walczyć ze świadomością, że ciało, krew i kości Aurory, a także jej oczy, skóra i włosy, są pośród hord orków.

Zadał sobie pytanie, jak i dlaczego władczyni Daligar mogło przyjść do głowy, by wysłać młodą kobietę w sam środek wojny, co ciągle trwała.

Rankstrail pomyślał o starciu, które się szykowało. Może gdy będzie walczył, ktoś przyjdzie mu oznajmić, że dowódca łuczników z Daligar poległ - dosięgły go strzały i jego ciało krwawi, a krew miesza się z wodą z rynsztoków; albo też że jego serce zatrzyma się trafione przez miecz.

Może ktoś przyjdzie mu oznajmić, że głowa dowódcy łuczników z Daligar została odcięta i znajduje się na jakiejś lancy. Albo przyjdą go powiadomić, że młody kapitan o bardzo długich blond włosach, ozdobionych perłami i srebrem, zniknął pośród wrogiej hordy niczym wyspa zatopiona przez przyplływ.

Nie był w stanie tego znieść.

Jako król powinien mieć jakąś możliwość, by zmusić Aurorę do wykonania rozkazu, ale nie był tego taki pewien, skoro ona dowodziła obcym oddziałem. W każdym razie tytułu króla jeszcze nie posiadał i chociaż wiedział, że zostanie mu on przyznany, to równie pewne było, że minie wiele dni, może nawet tygodni, zanim dojdzie do koronacji. Nie miał żadnej władzy nad Aurorą. Nie był ani jej królem, ani jej wodzem.

Nawet jeśli on by o tym zapomniał, ona przypomni mu o tym na pewno.

Może jako mąż mógłby nakazać jej, by zajęła się czymś innym niż dowodzeniem łucznikami na zachodnim skrzydle. Bez wątplenia powierzy jej nowe zadania, choćby szkolenie kobiet z Varil w posługiwaniu się łukiem, razem z Fiammą. Miasto, gdzie wszyscy potrafiliby się bronić, stałoby się bezpieczniejsze. Nigdy nic nie wiadomo... w razie następnego oblężenia... strzelanie z łuku było umiejętnością, która zawsze mogła się przydać...

Wojna, rzecz nieprzewidywalna, mogła spokojnie uchodzić za taką dziedzinę, gdzie ostrożności i ćwiczeń nigdy za wiele.

A poza tym byli jeszcze ranni! Aurora mogłaby zorganizować opiekę nad nimi razem z pozostałymi kobietami. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym wspanialszy wydawał mu się ten pomysł.

Nie tylko ze względu na szansę utrzymania Aurory z dala od strzał

orków, ale także z uwagi na rannych. Wszystkich rannych. Myśl znów powróciła.

Wszystkich. Nie tylko ich własnych. Także.... wrogów, mimo że to wydawało się szaleństwem...

Niewiarygodne zdało mu się, że wcześniej na to nie wpadł.

Niewiarygodne zdało mu się też, że nie wpadł na to nikt przed nim, i zauważył także, nadal rozmyślając, że raz zrodzona myśl w jakimś sensie dojrzewa. I choć na początku wydaje się dziwaczna, niedługo potem nie da się już z niej zrezygnować.

Musiał poślubić tę kobietę.

Aurora nie mogłaby sprzeciwić się prośbie małżonka, by opuścić pole walki i schronić się w obrębie murów. Niespełnienie jej byłoby równoznaczne z uchybieniem wobec tego, który pojął ją za żonę, niemal ośmieszeniem go, a ona nigdy by się tego nie dopuściła, zwłaszcza jeśli ten upokorzony nieszczęśnik musiałby potem dowodzić całym wojskiem.

Może ona go zechce. Może. Musi być bardzo silny, gdy ją o to zapyta.

Grupa zbrojnych zjawiała się pod murami. Rankstrail rozpoznał twarz Aurory w świetle pochodni i zobaczył, jak dziewczyna kieruje się w stronę wąskich schodów, prowadzących na mury. Przypomniawszy sobie, że to on jako pierwszy dał jej do ręki miecz i łuk, i obrzucił się wszystkimi możliwymi przekleństwami.

Aurora dotarła na najwyższy stopień, ujrzała go i uśmiechnęła się.

Rankstrail spróbował sobie przypomnieć, kiedy się w niej zakochał.

Musiał przecież być taki moment, gdy jeszcze nie darzył

jej uczuciem, ale zagubił się gdzieś w jego pamięci. Kochał ją od zawsze, właśnie dlatego, że ona to ona, i zwłaszcza jej nie ośmieliłby się nigdy zaoferować swojej mieszanej krwi, by założyć ród. Właśnie dlatego, że ona to ona, nie dotknąłby jej swą dłonią orka, tą wielką, kwadratową łapą...

Spróbował coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle, wspomnienia okazały się silniejsze. Potem

znów spojrzął na równinę, na niezliczone ogniska obozowisk orków, i niepokój, który nim zawładnął na myśl o Aurorze tam, pośrodku ich wszystkich, okazał się silniejszy niż ten, którym napawała go wizja jej u jego boku.

- Chcecie zostać moją żoną? - spytał wprost. - Teraz - dodał.

Zaprzagnął, by piekło się rozstąpiło i go pochłonęło. Powiedział

„żoną”. Nawet nie „małżonką”. Powinien był zapytać, czy zechce dostąpić zaszczytu zostania jego małżonką... Zaraz, zaraz... A może to ona jemu pozwoli dostąpić zaszczytu zostania jej mężem? To znaczy małżonkiem.

Coś w tym stylu. No bo kto w końcu dostępował zaszczytu? On czy Aurora? Jak brzmiało to przekłete zdanie? Powinien był poprosić ją, by uczyniła jemu... tak, tak właśnie to szło. Dodanie „teraz” też było katastrofą. Nie tak należało powiedzieć. Może raczej „bezzwłocznie”?

„Nie odwlekając”... nie, nie... „Nie zwlekając”... Spróbował zacząć od nowa. Nie zdążył.

- Chcę tego, mój panie - odparła Aurora.

Rankstrail zaniemówił.

- Powiedzieliście „tak”? - dopytał zdezorientowany. - Napraw dę? Zatem chcecie powiedzieć, że się zgadzacie?

Aurora spojrzała na niego w milczeniu. Przytaknęła.

•Tak, mój panie - potwierdziła po chwili. - To właśnie chcę powiedzieć.

•Teraz, znaczy w tej chwili - Rankstrail poczuł się w obowiązku sprecyzować - od razu.

Aurora utkwiała w nim wzrok.

292

- Znam znaczenie słowa „teraz”, mój panie - wyjaśniła. - Wy-krzykiwałam je razem z wami i waszymi ludźmi, kiedy wspólnie galopowaliśmy. Przypominacie sobie?

Rankstrail znów przeklął swoją głupotę. Powinien był chociaż pamiętać, by powiedzieć, „moja pani”, gdy do niej mówił, i choć udawać mniej tępego: ani jedno, ani drugie mu nie wyszło!

Potem przestał przeklinać.

Udało się.

Powiedziała mu „tak”.

Pomyślał o pierwszej czapli, którą złapał jeszcze jako dziecko. W jego domu nie jedli wtedy od dwóch dni i poszedł z procą na pola ryżowe. To była noc bez księżyca. Strzelał w ogromnym pośpiechu i tamtego wieczoru mieli na kolację pieczoną czaplę. Mama jeszcze żyła.

Przypomniał sobie pierwsze polowanie Aurory: jej nie sprawiło ono radości. Zabicie królika bardzo ją poruszyło.

Aurora, tak jak Yorsh, czuła ból śmierci.

Rankstrail poinformował ją o konieczności posługiwania się łukiem przez każdego, kto był w stanie utrzymać go w rękach -by już nigdy więcej lud miasta nie został oblężony - oraz zorganizowania opieki dla rannych, wszystkich rannych. A ona przytaknęła z tak wielkim przekonaniem, że Rankstrail zdał sobie sprawę, iż prosił ją właśnie o coś, czego ona od zawsze pragnęła. Gdyby wcześniej pomyślał o historii z królikiem, sam by na to wpadł; dla Aurory bowiem rola wojownika była równie bolesna jak dla Yorsha. Oboje mogli walczyć jedynie w razie bezwzględnej konieczności i zawsze robili to z ciężkim sercem. Łatwo więc było utrzymać takich jak oni z dala od pola walki. Wystarczyło, że nie zachodziła bezwzględna potrzeba ratowania czyjegoś życia i że był

ktos potrzebujący nauki lub leczenia.

On był inny. Tak jak Arduin, mógłby zostać nazwany Sprawiedliwym, może Wielkim. Na pewno nie Litościwym.

Nie czuł bólu tych, których zabił.

293

Chyba będzie musiał się nauczyć go odczuwać. Zapewne można się tego nauczyć.

Dopóki nie znało się tego bólu, nie zawsze szukało się takiego rozwiązania, dzięki któremu poległych byłoby jak najmniej. Dopóki nie czuło się tego bólu, zawsze istniało ryzyko liczenia zabitych wrogów i cieszenia się tym albo urządzania między sobą zawodów, by powiększać ich liczbę, a kiedy już do tego dochodzi, to znak, że z armią dzieje się źle.

On był inny niż Aurora.

Zdanie to wypełniało jego myśli.

On był inny. Nie mógł tego zataić przed Aurorą.

•Są pewne fakty dotyczące moich narodzin, o których musicie wiedzieć -

oznajmił jej szorstko.

•Nie ma żadnych faktów na temat waszych narodzin, o których musiałabym wiedzieć i o których jeszcze nie wiem - odparła Aurora tajemniczo. - Wasza rodzina jest jedną z tych zmuszonych do ucieczki z powodu napaści orków na Pograniczu Ziem Znanych, tak jak mój drugi łucznicz lub trzeci z

waszych halabardników. Jak ponad połowa ludzi z waszej armii.

Rankstrail nie musiał się obracać, by spojrzeć na drugiego łucznika i trzeciego halabardnika, także będących dziećmi miejscowości na granicy, gdzie doszło do napaści. Byli jedyni w swoim rodzaju. Mieli ogromne barki, które upodabniały ich do jakiejś góry. Nawet w półcieniu rozpoznałby ich dłonie, takie same jak jego własne, ciemne i szersze niż dłuższe. Nie do pomylenia.

Oni także zostali uratowani dzięki miłosierdziu matek, które wydały wyrok na swoje własne życie, bo nie chciały się pozbyć dziecka.

To były dzieci, które nie powinny żyć, i zawsze nosiły w duszy mroczne wspomnienia. Inaczej niż on sam, oni nie spotkali na swej drodze żadnego ojca, który zechciałby opowiadać im nudne

294

bajki - zupełnie bezużytecznie, ale pełne czułości i kojące ich płacz.

Pod jego rozkazami stali się niezwyciężonymi wojownikami, takimi jak on. Dwóch z nich, razem z ostatnim księciem rodu karłów, spoczywało teraz w krypcie królów Daligar.

Wszyscy razem byli twierdzą, o którą najazd orków rozbił się niczym fala o skałę nadbrzeżną.

Jego wzrok spoczął na Aurorze, która pogodna, wpatrywała się w horyzont, a potem powrócił do dwóch mężczyzn i znów do Aurory.

Ona już знаła prawdę. Wielu wiedziało. Wielu już zrozumiało. Poszukał

w pamięci: wiedział pożyczkodawca, prawdopodobnie także Marszałek Dworu, z pewnością zrozumiała i Królowa Czarownica, kiedy wręczała mu miecz.

Aurora musiała pojąć to już dawno: ani jedno ze słów, które wypowiedziała podczas swojego długiego monologu przy tronie Arduina, nie było przypadkowe.

W pewnym sensie bramy piekła zamknęły się raz jeszcze.

Nie przejdzie do historii jako Rankstrail Samotnik.

Aurora, tak jak i jego matka, będzie z niego dumna. Ona także będzie mogła powiedzieć, że zaszczytem było dla niej być jego żoną... to znaczy: małżonką. Już nie Samotnik, nie miał wyjścia, musiał zostać kimś innym.

Mógłby się stać Sprawiedliwym, tak jak Arduin.

Mógł też postarać się zostać Litościwym?

Może mógłby to wszystko połączyć jako Rankstrail Rozjemca, ten, który wyzwolił Ziemię Ludzi od orków i tak zmienił wrogów, że stali się ludem godnym swej własnej ziemi.

Jeśli nie on, to kto?

Miał ich krew w swoich żyłach: orkowie też byli jego ludem.

Musiał znaleźć jakiś sposób, coś wymyślić, i kiedy tak się nad tym zastanawiał, zorientował się, że miał gotowe rozwiązanie.

295

Trzymał więźniów. Rankstrail zgodził się brać jeńców tylko po to, by zapobiec rozpaczycy Erbrow, i dlatego że był przeczulony w kwestii dotrzymywania słowa, nawet tego danego dwuletniemu berbeciowi.

Wystarczyło, że wziął ich do niewoli tylko na jeden dzień, by pomysł

zładzenia ich zaczął mu się wydawać... Jak mówiła Aurora?

Niewykonalny.

Miał więźniów. Każąc im pracować na polach, pozwoli im odzyskać wolność i wypuści ich dopiero, gdy już nauczą się pracy na roli. Rozda ziemię, natomiast jeśli chodzi o bydło, to będzie musiał zrobić to samo, co onegdaj w Wysokiej Strażnicy, wprowadzając system pożyczek.

Podarowane rzeczy nie mają wartości, zostają roztrwonione, szybko się kończą. System godziwych pożyczek, bez jakiegokolwiek opodatkowania, mógł pozwolić na wielkie pomnożenie bogactwa. Musiał też chronić kobiety orków. Jedynym możliwym przeznaczeniem ludów, w których kobiety nie mają żadnej innej wartości prócz tej, że są środkami, dzięki którym jeden wojownik stwarza kolejnego, jest jak brodenie w błocie i krwi podczas wojen już po wsze czasy. Ludy gardzące kobietami składają się z mężczyzn, których dusza jest naznaczona pogardą. Dusza taka na zawsze traci czystość i szansę na odkupienie. Ludy takie pozostają niezdolne do wolnego myślenia i do twórczości, co skazuje je na wieczną nędzę, bez względu na to, jakie bogactwa kryje w sobie ziemia, na której żyją. W krajach, gdzie kobiety są niewolnicami, każdy mężczyzna rodzi się jako syn niewolnicy i to pozbawia go świadomości, że może myśleć, działać, odkrywać rzeczywistość, mówić, marzyć, tak samo jak już przed nim marzyli, działali i mówili jego ojcowie i dziadkowie. Każdy, kto narodzi się jako syn niewolnicy, pozostaje w duchu niewolnikiem, uległym na zawsze. To dlatego orkowie nie byli osobami, lecz elementami jednej armii, zawsze gotowymi bez mrugnięcia okiem poświęcić swoje życie.

296

Życie bez podjętego wyzwania, jakim jest myślenie, to życie do tego stopnia liche, że można się go łatwo pozbyć, by zniszczyć jeszcze więcej wrogów, zupełnie bez emocji, a może nawet z przyjemnością.

Po raz pierwszy w swoim życiu gdzieś między żołądkiem a kręgosłupem Rankstrail poczuł strach, nieuchwytny, nieokreślony i niezwykajny. Taki, jakiego nie czuł jeszcze nigdy.



Nie chciał umierać.

Nie chciał zostać ranny.

Nie chciał, by jego krew pozostała razem z błotem na polach walki.

Pragnął, by została w jego żyłach, żeby mógł wrócić do Aurory, do swojego domu, gdzie jego dzieci będą raczkować po dywanach w kolorach wiatru i słońca. Zdał sobie sprawę, że do tej pory odwaga, która towarzyszyła mu na każdym kroku, miała w sobie wiele z brawury orków, obojętności kogoś, kto nie kocha ani własnego życia, ani własnej krwi, do tego stopnia, że ryzykuje ich utratę w walce. Teraz jego życie i jego krew stały się dobrem. Aurora je kochała, on nie chciał już ich stracić. Zdał

sobie sprawę, że jeśli nadal ma walczyć, musi nauczyć się odwagi ludzi, tej, która pozwala zawsze iść naprzód, nawet gdy przerażenie ściska za serce, tej, która nie pozwala się zatrzymać, nawet jeśli życie, które się ryzykuje, jest niezmiernie cenne, pełne radości i światła. Nienawiść nie przydała się i nie wystarczy. Tylko myśl o tych, których bronił, będzie go wspierać i prowadzić.

Dyplomacja i bogactwo ziemi mogą zmniejszyć liczbę i rozmiary wojen, a może nawet sprawią, że pójdą one w zapomnienie.

On potrafił być królem: pożyczkodawca nauczył go, jak wykorzystać pieniądze, aby ziemia przynosiła obfite plony, a przecież właśnie w czasach dostatku zanika ludzkie okrucieństwo. Umiał też trzymać plecy prosto, w razie gdyby przyszło mu ucztować z ambasadorami. Nic zatem nie było dziełem przypadku.

297

Rankstrail znów spojrzął na Aurorę, potem popatrzył na horyzont, który pojaśniał i zmienił się. Była teraz przed nim ziemia orków, ta, którą widział, gdy wspiął się na szczyt Rozłupanej Góry. Ujrzał, jak tam, gdzie teraz był tylko pusty step, wznoszą się miasta, arkady mostów przerzuconych nad rzekami i wiszących nad urwiskami. Tam, gdzie teraz były nieprzebyte lasy, ujrzał pola kukurydzy, przeplatające się z nieregularnymi uprawami ziół leczniczych. Ujrzał ród orków opuszczający obozowiska grzęznące w błocie i namioty z niewyprawionej skóry, gdzie dzieci biły się z psami o objedzone kości. Orkowie mieli stworzyć miasto z kamienia i marmuru - złote i turkusowe kopuły będą odbijać niebo, a monumentalne biblioteki przywracać godność wolnej myśli i nauce.

Z Aurorą u boku wszystko było możliwe.

Wierzył w to.

Przez chwilę jeszcze napawał się wizją i nawet kiedy miasta łuki i kopuły zniknęły, migocząc niczym świeczka na wietrze, została już mocno wyryta w jego umyśle, zaznaczona jak punkt docelowy na mapie.

Rankstrail odwrócił się do Aurory, myśląc nad pewną praktyczną kwestią. Jeśli przed świtem chciał wziąć dziewczynę za żonę, trzeba było znaleźć kogoś, kto odprawiłby ślub.

Zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, kogo wezwać. Mieszkańcy Zewnętrznego Kręgu zwracali się w takich wypadkach do ponurego człowieczka, który zbierał podatki i opłaty, poborca podatkowego, koślawego mężczyznę mającego coś z sępa, z siwawy-mi i tłustymi włosami, trudniącego się także odnotowywaniem zgonów i narodzin mieszkańców oraz rejestrowaniem nowych przybyszy. Oprócz prowadzenia rejestru poborca podatkowy zajmował się zbieraniem niesprawiedliwych należności, które pociągała za sobą w Zewnętrznym Kręgu jakakolwiek czynność, od urodzin i śmierci począwszy, na ślubie i wyprowadzce skończywszy.

298

On dowodził Varil, a Aurora, oprócz tego, że była drugim komendantem wojska sprzymierzonego miasta, należała do arystokracji Daligar. Przecież nie mógł ich połączyć sęp z Zewnętrznego Kręgu. Rankstrail zdobył się na wysiłek umysłowy, pierwszy w jego kadencji, obiecując sobie, że usprawni system podatkowy, a potem znów zadał sobie pytanie, do kogo powinien się zwrócić, by się ożenić.

Nie wiedział prawie nic na temat życia w Cytadeli. Wszedł na jej teren dwa razy w całym swoim życiu.

Zastanowił się także, gdzie powinien zamieszkać teraz, kiedy był

dowódcą miasta. Z rozmyślań wyrwał go jej głos.

- Mój panie - spytała Aurora - chcecie, bym to ja poszła we zwać Borgomastra, aby odprawił ceremonię? Znam go od dzieciaka, a wy nie powinniście zaprzętać sobie tym głowy teraz, gdy musicie zadbać o wojsko.

Zapadła na chwilę cisza.

•Tak, oczywiście - odparł Rankstrail, skrywając ulgę pod udawaną beztroską.

•Chcecie, bym kazała mu otworzyć rezydencję dowódców? Sądzę, że jest zamknięta, odkąd sir Erktor został powieszony przez orków.

•Ależ oczywiście - znów odparł radośnie Rankstrail.

A zatem istniało coś takiego jak rezydencja dowódców! Miał miejsce, gdzie mógłby przyjąć Aurorę. Po za tym, skoro już posiadał dom, miał też trochę sprzętu, który należało tam przenieść: dywany w kolorze wiatru i słońca, pochodzące z miasta karawan Darboga, Daru Bogów, dawniej nazywanego Lakkil, Fortuna, które miało zostać odbudowane w kamieniu i lazurycie i przejść do historii jako Samkid Niezwyciężone.

Aurora była już w drodze, kiedy on wreszcie sobie przypomniał, by powiedzieć „moja pani”.

Zatrzymała się, obejrzała się, pokłoniła się lekko i uśmiechnęła. Znów się odwróciła i zaczęła schodzić, lecz przy zbyt gwałtownym

ruchu straciła równowagę. Rankstrail rzucił się w jej stronę i zdołał ją podtrzymać za ramię,

ratując przed upadkiem. Lecz podczas tego ruchu brzeg jego masywnego, złotego naszyjnika, symbolu dowódcy miasta, zahaczył o siateczkę ze srebra i maleńkich pereł, która więziła w sobie włosy Furory. Misterna plecionka rozerwała się, a warkoczyki zamieniły się w jedwabiste pasma, lekkie jak czapla w locie. Nawet w niepewnym świetle księżyca, zmieszanym z blaskiem pochodni, Rankstrail zorientował

się, że Aurora się zarumieniła. Pozostał długo w bezruchu, bojąc się nawet drgnąć, a może nie chcąc tego zrobić, a Aurora także nawet nie drgnęła.

Wreszcie bardzo ostrożnym gestem ośmielił się odgarnąć jej włosy z twarzy.

Kiedy to robił, spojrzął na swoje ciemne dłonie na jasnych włosach Aurory i tym razem nie poczuł nagłej potrzeby cofnięcia ich. Ręce te należały do niego, nie do tego, kto go pocałował.

Bez przerażenia i wstydu mógł trzymać je na włosach kobiety, którą kochał miłością nie do opisania i która z własnej nieprzymuszonej woli wybrała go na swego małżonka.

Spytał Aurorę, czy wszystko w porządku, a ona przytaknęła. Jeszcze raz spojrzeli sobie w oczy, a potem dziewczyna powiedziała cicho:

- Mój cień także skrywa w sobie demony.

Powiedziała to monotonnym głosem, lecz Rankstrail wyczuł w nim ból i nagle wyobraził sobie, że morze błota zalewa cały świat.

Przypomniawszy sobie dawne dziwne wyrzuty sumienia, pewnego ostatniego dnia lata, kiedy o zachodzie słońca zostawił Aurorę w jej ogrodzie, pośród kwiatów i srebrnych huśtawek, odnosząc wrażenie, że porzuca towarzysza broni i zostawia go na pastwę orków.

•Nigdy mi nie powiedzieliście, jak zmarła wasza matka - powiedział.

•Próbowała uciec, zabierając mnie ze sobą. Została ścięta - odparła Aurora bezbarwnym głosem.

300

- To wasz ojciec wydał rozkaz egzekucji? - spytał Rankstrail.

Chciał mieć pewność, że wszystko dobrze zrozumiał.

Aurora przytaknęła.

- Wy to widzieliście? To znaczy egzekucję - spytał od razu.

Aurora znów przytaknęła.

Rankstrail poczuł ból i wstyd, jaki znać mogą tylko dzieci złych rodziców.

Jego wątpliwości, bo wciąż jeszcze je miał, zniknęły, rozwiały się już na zawsze.

Pomyślał, że każdy jest odpowiedzialny za dokonane wybory, ale nie za te decyzje, które podjął ten, kto go począł.

Wziął Aurorę w ramiona i przytulił ją z całej siły, mając wrażenie, jakby byli dwójką samotnych wędrowców, którzy przebyli całą pustynię i wreszcie się spotkali. Znowu poczuł drzenie, jak lekki trzepot skrzydeł

wróbla, kiedy trzyma się go w dłoniach, a potem zapadł spokój. Aurora położyła mu głowę na ramieniu i rozplakała się.

Jej policzki dotykały dokładnie tego miejsca na jego ciele, gdzie stare blizny po chłostach przecinały się z tymi niedawnymi, pozostawionymi przez kata.

Lisentrail powiedział mu raz, że gdy kobieta choć muśnię delikatnie blizny mężczyzny, ich wspomnienie przestaje boleć. To była prawda: właśnie terażniejszość ubarwia przeszłość. Teraz, gdy pod swoim kaftanem z aksamitu czuł na sobie dotyk i ciepło twarzy Aurory, cierpienie z przeszłości zniknęło. W pewnym sensie ból ten przygotował nadchodzącą przyszłość. Zarówno jutro, jak i dziś warte były tamtego cierpienia, najdrobniejszej jego cząstki.

Kapitan zamknął oczy. Po raz pierwszy powróciło marzenie o maleńkim ciele, które można by trzymać na ręku: kimś, kogo można by nauczyć chodzić i mówić, kto nazwałby go ojcem. To było marzenie, które nosił w sobie już jako chłopiec, zanim zaczęły go trawić okropne wątpliwości.

Potem myśl ta go opuściła,

301

zamknięta w jakimś ciemnym zakamarku, wraz z prawem do snucia takich wyobrażeń, pośród przerażenia z powodu konieczności rozpoznania we własnych dzieciach widma potwora, który spłodził jego samego. Teraz znowu się rozmarzył: jego dzieci narodzą się i będą przypominały tylko siebie.

Rankstrail zdał sobie sprawę, że otrzymał zabawki dla swoich przyszłych pociech. Pomyślał, że raj może jednak istnieć i że sam właśnie do niego trafił. Cudownie było czuć oddech Aurory na ramieniu; czuć jej zapach, gdy trzymał dłonie na jasnym ciepłe jej włosów. Pomyślał o nocach i dniach, które będą po sobie następować, a wszystkie przyniosą bezcenny dar w postaci bliskości Aurory. Dzieci zrodzone z jej łona będą go nazywać ojcem. Aurora dzieliła z nim strach dzieci niegodziwych ojców, że we własnym potomstwie dojrzą ślady po potworach, które zrodziły ich oboje. On i Aurora nauczą się siebie kochać, odbijając się jedno w spojrzeniu drugiego. Nauczą się kochać własne dłonie, rozpoznając je u swoich dzieci.

Rankstrail zastanowił się, czy to prawda, że dzieci królów były zmuszone spać samotnie w komnatach, w których znajdowały się tylko one. Miał nadzieję, że nie zostanie uznane za zbyt niestosowne to, że on swoje pociechy będzie trzymał blisko siebie, by podczas burzowych nocy móc

im opowiadać bajkę o wilku i kozie, żeby się niczego nie bały, i tym razem zakończy ją jak należy, zdaniem o wilku i kozie, którym udaje się, pozostając przy życiu, doczekać świtu, bo tak jak słusznym jest, by ludzie nigdy nie rezygnowali z dzikości, jaką podarowały im niebiosa, by mogli się wyżywić, tak też słusznym jest, by marzyć o tym, że wilk zasypia spokojnie obok kozy. Jego proca na powrót stanie się fletem, by jego muzyka mogła towarzyszyć słowom bajki i wypełniać pauzy budujące napięcie.

Tak jak w królewskich stajniach pośród kopyt czystej krwi rumaków przebiegają czasem myszy, tak i jemu w tym momencie przemknęły w głowie błahe i beztroskie pomysły.

302

Pomyślał, czy to prawda, że w Cytadeli każdego dnia jest świeży chleb.

Zastanowił się też, czy często robili tu zupę z cebuli i czy teraz, kiedy nad wszystkim sprawował pieczę, dadzą mu miskę dokładki.

Rankstraił położył jedną dłoń na karku Aurory, czując pod swoją szorstką dłonią jej włosy gładkie jak jedwab. Łzy napłynęły mu do oczu po raz drugi od czasu, gdy jako dziecko odprowadził na cmentarz trumnę swojej matki.

Kiedy trzymał w ramionach całą rozpacz, jaką dusiła w sobie córeczka Yorsha, i zapłakał nad jej ojcem. Zawstydził się okropnie tych łez i jednocześnie nie żałował ich ani przez chwilę. Pozwolił Aurorze, by to dostrzegła, gdy ukryty przed spojrzeniami innych, za wysoką balustradą wąskich schodów, nadal mocno ją tulił.

Niczego innego na świecie nie był tak pewien jak tego - nie mogli żyć inaczej niż tylko razem, jedno należąc do drugiego; dwoje rozbitków, którzy przebyli cały mrok i wreszcie się odnaleźli. To oni, bo jeśli nie oni, to kto przywróci blask światu, który został go pozbawiony. Płacz Aurory był cichy i oczyszczający, trwał długo, lecz zaczynał słabnąć.

Rankstraił myślał o tym, że uda się im, im dwojgu, stworzyć godny świat, gdzie nikt nie będzie musiał się wstydzić krwi, która płynie w jego żyłach. To właśnie ta hańba, wstyd za porażki własnego rodu, była elementem natury orka, wraz ze świadomością bycia niechcianym synem i przynależenia do rzeczywistości, w której samemu nie znaczyło się nic i było się coś wartym, jedynie wtedy, gdy stanowiło się element armii.

Zamieni orków w lud, w którym każdy będzie pamiętał o wzniosłości i godności, poczuje dumę ze swojego istnienia w świecie.

Ród orków będzie mógł zapomnieć o swoich tępych i okrutnych bogach, którzy zmusili ich do uwierzenia, że ich jedyna wartość i wielkość leży w walce. Znów odkryją, że nic nie zostało im zabronione. I w przyszłości już nikt inny nie będzie musiał się wstydzić swojej krwi. On jest ostatni. Po nim nie będzie już

303

orków. To wcale nie takie trudne: musi odzyskać Ziemię Ludzi, aż po tereny Pogranicza, a potem zrobić to samo, tyle że na większą skalę, co uczynił z Czarnymi Grabieżcami, stopniowo wydzierając ich terytorium ze szponów nędzy oraz barbarzyństwa, nie poddając się ani na chwilę.

Orkowie też byli jego ludem. Czy tego chciał, czy nie, miał w sobie także ich krew: stał się za nich odpowiedzialny. Musiał wykorzystać siłę wojsk i dyplomacji jednocześnie. Musiał stać się najpotężniejszym z orków, aby móc być ostatnim z nich, by przerwać zakłęty krąg barbarzyństwa i okrucieństwa, który więził ich od wieków, i połączyć ich pradawną świetność z przyszłością pełną blasku.

Tylko ten, kto długo maszerował przez świat cienia i nie zablądził, zdoła odnaleźć drogę w labiryncie.

Aurora przestała płakać.

Najwyraźniej szukała czegoś, by wydmuchać sobie nos i wytrzeć twarz.

Rankstrail podał jej to i oboje wybuchnęli śmiechem, gdy Aurora rozpoznała Iniany szal, którego użyła, by go zabandażować. Nie był już zbyt czysty, ale się nadał: Aurora ukryła w nim twarz, potem osuszyła oczy, wydmuchała nos i wreszcie uśmiechnęła się.

- My - powiedział Rankstrail i natychmiast przerwał. Chciał powiedzieć:

„My, wy i ja, wymierzmy sprawiedliwość”, ale zdał sobie sprawę, że mimo że okrutny był ojciec, to nie jego dziecko, lecz ktoś inny powinien wymierzyć sprawiedliwość. Poprawił się zatem: - My, Królowa Czarownica i ja, wymierzmy sprawiedliwość. Wszystkim.

To nie była niezrozumiała obietnica. Królowa Czarownica z pewnością nie miała zamiaru litować się nad tym, kto zamordował jej rodziców i jej małżonka. On także miał wiele rachunków do wyrównania: brakujące palce Lisentraila, stopy Szalonego Skryby, śmierć mężczyzny zabitego dla złotego naszyjnika,

304

blizny po obcęgach, które już na zawsze miał na sobie nosić, łzy Aurory -

wszystko to zostanie pomszczone.

To oni wymierzą sprawiedliwość.

Do Alyil, niedostępnego miasta sokoła, z pewnością jednak prowadzi jakaś droga i nie można go było zostawić samego sobie, by samotnie stawiało czoła szaleńcowi otoczonemu piętnastoma katami.

Rankstrail pochylił się, by pocałować ukochaną w policzek, potem ucałował jej dłoń i na koniec musnął jej wargi swoimi. Wtedy pozwolił jej odejść. Aurora znalazła się na schodach.

Wiadomość o ślubie rozeszła się lotem błyskawicy, wywołując entuzjazm wśród żołnierzy. Myśl o

tym, że młody dowódca ich miasta i ich armii ma poślubić wojowniczkę z Daligar o odwadze lwa, urodzie wiosennego nieba i obdarzoną darem leczenia ran żołnierzy, wprawiła towarzyszy broni w euforię.

Spośród wszystkich możliwych dobrych znaków ten z pewnością wzbudził największą radość. Co więcej, było to małżeństwo z należąca do najwyższej arystokracji damą z Daligar, Księżniczką hrabstwa, co dodatkowo umacniało pozycję dowódcy, który nie należał do arystokracji, a miał nią rządzić.

Kapitan Rankstrail trwał na bastionach do końca nocy. Cały czas obserwował ruchy ogni wzdłuż kanałów. Wreszcie zorientował się, widząc ruchy orków po locie czapli i odgadując kierunki lotu ptaków po krzykach drapieżników, że największe siły oddziałów obozowały w ciemności i że jedynym celem ciągłego przemieszczenia ogni było wciągnięcie ich w pułapkę. Wezwał oficerów kawalerii, aby poinformować ich o zmianie planów ataku: uderzą o wiele bardziej na wschód, niż pierwotnie zakładano, i popołudniem, a nie rankiem. Dadzą ukrytym pośród zarośli, oczekującym w bezruchu orkom czas na to, by poczuli, jak ich 305

hełmy nieznośnie się żarzą w słońcu, a pchły pod kolczugami tną ich ciała bezlitośnie.

Starszy z dwóch komendantów miasta Varil przyglądał się wszystkiemu z daleka. Jego oczy wędrowały od Rankstraila do drugiego z łuczników z Daligar i trzeciego halabardnika, tego pełniącego wartę na wschodnich murach. Potrząsnął głową.

- Nadeszły czasy, których nigdy nie spodziewalibyśmy się od czekać. Elfy wyginęły, a honor rodu ludzi spoczywa w rękach dzieci orków - powiedział cicho.

Młodszy z dwóch komendantów, ten, który stracił małego synka, także był świadkiem tej sceny. Aurora wróciła właśnie od Rankstraila i światło wczesnego słońca lśniło na jej jasnych włosach. Na dole, pod murami, jedna z kobiet, które przyszły, by przynieść wodę i chleb halabardnikom, pochyliła się, by obejrzeć łapę rannego pieska, który pod wpływem dotyku jej dłoni natychmiast przestał skomleć. Kaptur zsunął się z głowy młodej kobiety i słońce musnęło jej włosy, brązowe, ale przeplatane gdzieś jasnymi złotymi nitkami, które zaśniły w słońcu. Również w rudych włosach pewnego młodego łucznika srebrne nitki odbiły promienie słońca.

Łucznik śmiał się razem z dwoma żołnierzami: musieli się o coś założyć, bo nagle napiął swój łuk i przeszył w samym środku liść niesiony w powietrzu przez poranny wiatr.

Młody porucznik uśmiechnął się ciepło.

- Nadeszły czasy, których nigdy nie spodziewalibyśmy się do czekać - powiedział cicho, mówiąc bardziej do siebie niż do tego drugiego. - Elfy na zawsze już znalazły miejsce wśród nas i nawet dzieci orków walczą za honor rodu ludzi...

EPILOG

# T

uż po świcie w złocistym świetle wczesnego poranka odbył się ślub naczelnego dowódcy, a równocześnie ślub jego siostry z księciem Erikiem, synem sir Erktora, z najstarszej dynastii w Varil. Obie małżonki ubrane były w stroje łuczników, mimo że wszystkie kobiety w mieście chętnie ofiarowały swoje najokazalsze chusty i najcenniejsze tuniki.

Kapitan Rankstrail, którego wszyscy tytułowali już sir, znów pomyślał o tym, jak dziwne jest przeznaczenie: teraz, kiedy już wreszcie miał

pieniądze, nikt ich na nic nie potrzebował, nawet na suknię ślubną.

Mieszkańcy wszystkich kręgów miasta, członkowie każdej armii, połączyli się w zabawie. Wytwórcy marcepanów i ciastek z sezamu i miodu zalali tłum wszystkim, co tylko mieli, i oni także odrzucili pomysł

jakiegokolwiek zapłaty, poczytując go sobie jako obrazę. Ostatnie skromne zapasy wina w mieście, którym udało się przetrwać oblężenie, zostały wyczerpane.

Nim rozpoczął się atak, coraz to dokładniejsze i coraz bardziej uporczywe zaczęły dochodzić pogłoski, jakoby bandy orków dezercerowały i miały zamiar się poddać. Rozeszła się fama, że po raz pierwszy w historii jeńcy nie zostaną zgładzeni, lecz ocaleni i nakarmieni.

Od zawsze w potrzasku, między strasznymi karami za dezercję a śmiercią, która czekała na schwytanych, orko-wie pozostawali na polu bitwy, nawet kiedy nie było już żadnej nadziei, a wojna została definitywnie przegrana.

Teraz, po raz

307

pierwszy, wiedząc, że są już pokonani, poddawali się i wybierali godną niewolę, a nie pomstę swoich dowódców.

Dowódca miasta, Rankstrail, postanowił przesunąć o jeden dzień atak, który koniec końców ograniczył się do szarży przeciw uciekającej armii.

Wojsko Varil odzyskało równinę aż po tereny Pogranicza Ziem Znanych, nie tracąc przy tym ani jednego ze swoich ludzi i nie wyrządzając żadnych strat po stronie wroga. Schwytano tylko jeńców.

pierwsza część cyklu: OSTATNI ELF

Druga część cyklu: OSTATNI SMOK

Trzecia część cyklu :OSTATNI ORK